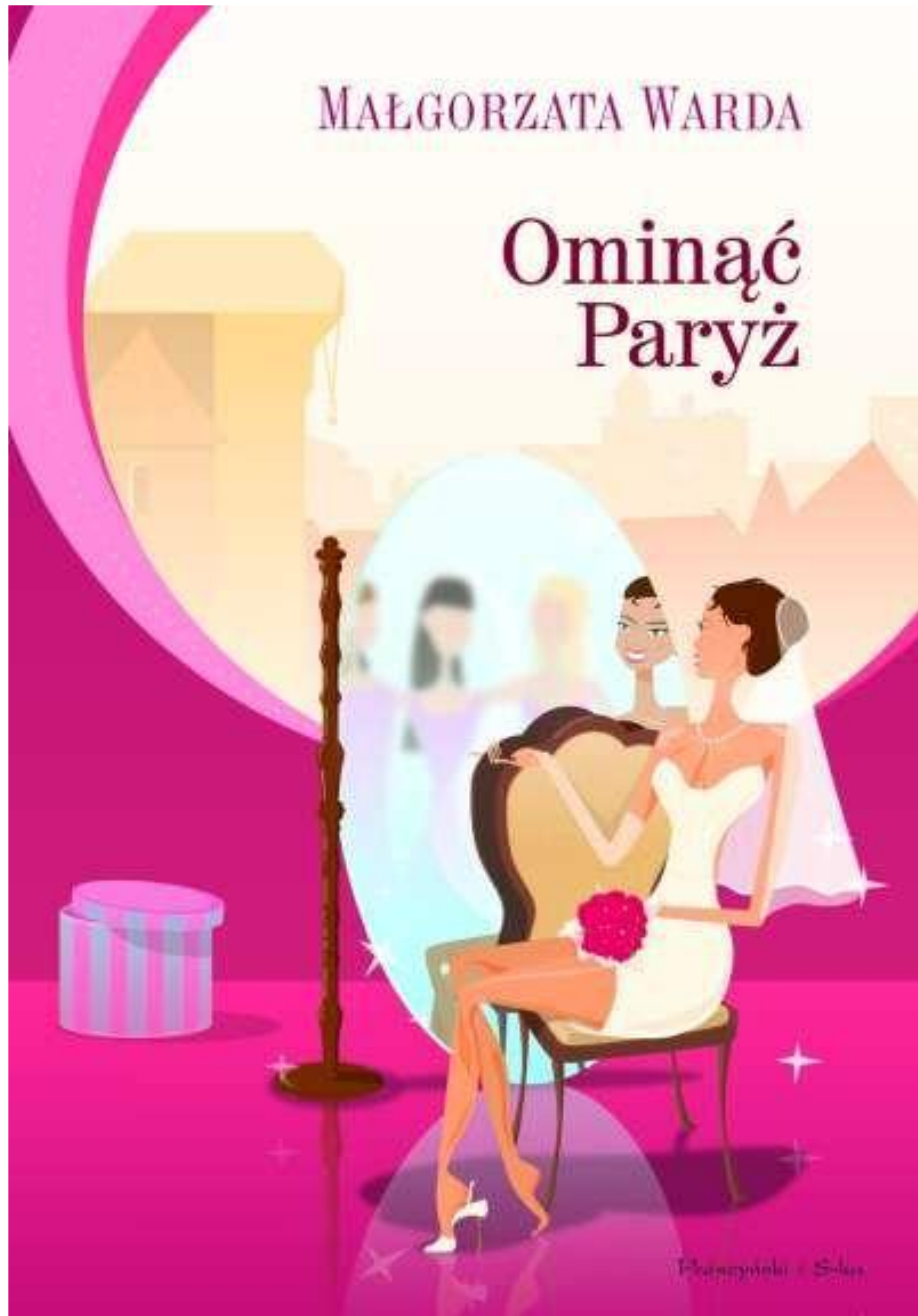


MAŁGORZATA WARDA

Ominać Paryż



Placemini & Siles

Warda Małgorzata

Ominąć Paryż

Każda dziewczyna przeżywa to, co Ty. Nie wierzysz? A może tylko chcesz nabrać pewności? W każdym z tych portretów jest fragment Twojej historii. Chcesz poznać jej prawdziwy, ledwo uchwytny, ledwo wyczuwalny sens?... nie boisz się szczerości? Przeczytaj...

"Ominąć Paryż" to przede wszystkim piękna opowieść o przyjaźni, która przetrwała od dzieciństwa do dorosłości. To również frapująca opowieść o miłości i poszukiwaniu szczęścia. Składają się na nią cztery misternie splecione historie, opowiedane przez cztery młode kobiety. Wartka akcja i zaskakujące rozwiązania sprawiają, że książkę czyta się jednym tchem.

Siedzimy naprzeciwko siebie i unikamy swojego wzroku. Siedzimy tu już od kilku godzin.

W pokoju rozbrzmiewa ulubiona muzyka Joasi: zgrzyty, trzaski i pulsujący, nieomal hipnotyczny rytm. „Muzyka środka” - tak określiła ją Magda kilka godzin temu.

Miała racje. Mrużę oczy, odczytując czerwone cyferki wskazujące trzecią w nocy i myślę, że ta muzyka jest faktycznie muzyką środka: środka nocy, środka naszych problemów, środka dyskusji i środka niczego.

- To nie jest egoizm. - Basia pierwsza przerywa nasze milczenie. Wygląda na to, że przemyślała wszystko i ma dla nas jakąś radę zamiast oczekiwań, że będziemy zasadniczo czarne albo białe, bez szarości.

Basia mówi tak cicho, że zagłuszają muzyka i mogę sobie wmówić, że wcale tego nie powiedziała. Mówi:

- Szczęście jest egoistyczne, bo każdy szuka szczęścia dla siebie.

Joasia

Basia powiedziała mi kiedyś w przypiływie gniewu, że powinnam z tym skończyć. - To jakaś chora obsesja! - krzyknęła, a ja tak się zezłościłam, że wyrzuciłam ją z domu.

Tak właśnie wyrzuciłam ze swojego życia Roberta i Damiana, kiedy powiedzieli dokładnie to samo, co Basia.

Może też dlatego postanowiłam nie mówić nigdy o tamtych rzeczach Karolowi. Pomyślałam, że jeśli mu nie powiem, to może nigdy nie będę musiała być na niego zła, że mnie nie rozumiał i że podobnie jak Basia nazywałby tamto wszystko obsesją.

Przez dwa lata udawało mi się kryć przed nim tamte zdjęcia, tamte listy, tamte pamiątki.

Kiedy wyjeżdżał, mogłam przeglądać stare gazety i szukać odpowiedzi. Mogłam też wspinać się po stromych schodach na strych, zapalać tam światło i sięgać do schowanych przed jego wzrokiem pudełek.

W tych pudełkach było wszystko: kilka jej ubrań, zdjęcia i ogłoszenia, które wiele, wiele lat temu wisiły dosłownie wszędzie: na słupach, na murach, na płotach.

Nawet dzisiaj, po piętnastu latach, dokładnie pamiętam, jak biegałam z ojcem po Sopocie, żeby je rozwiesić. Pamiętam nawet, że zanosilo się na burzę: w powietrzu czuć było duchotę poprzedzającą ulewny deszcz, ptaki latały nisko nad chodnikami, moja mama przybiegła do nas ze sztormiakiem i powiedziała, że mam go włożyć.

Pamiętam też, jak ciepło było mi w tym sztormiaku. Duchota narastała, od czasu do czasu jasna błyskawica przecinała niebo, ale deszcz nie nadchodził. Moje ciało lepilo się do gumowego sztormiaka, stopy ślizgały się w czerwonych sandałach, ręce miałam spocone i lepkie od kleju.

Dochodziła pierwsza w nocy, kiedy w końcu zaczął padać deszcz. Najpierw kilka kropel, które poczułam na czole i we włosach. A potem cała kaskada deszczu. Tata pociągnął mnie za rękę w pierwszą lepszą bramę i staliśmy w niej, czując, jak powietrze ochładza się z minuty na minutę, jak robi się coraz bardziej wilgotne, a deszcz staje się jedną wielką ścianą, przez którą mieliśmy przejść na autobus. Oczy kleiły mi się do snu, pocierałam je ręko-

ma, tata powtarzał, że jak tylko trochę przestanie padać, to zaraz wrócimy do domu, a ja zaoponowałam, że nie możemy tego zrobić, bo zostało jeszcze tyle ogłoszeń do rozwieszenia.

- To nic. Rozwiesimy je jutro.

- Nie możemy jutro! - Nienawidziłam swojego głosu za jego piskliwe brzmienie i pobrzmiwającą w nim rozpacz. Chciałam być bardziej opanowana. Moja mama powiedziała mi, że płacz i krzyk są dla ludzi słabych: „A ty masz być dzielna, rozumiesz?”.

Chciałam być dzielna, ale nie umiałam. Deszcz niszczył nasze ogłoszenia: widziałam, jak wiatr przesunął kilka po chodniku. Z chodnika patrzyła więc na mnie jej twarz i nie mogłam znieść tego widoku.

- Nie możemy jutro! Dzisiaj! Dzisiaj! - zaczęłam krzyczeć, a tata bezradnie przycisnął mnie do siebie i powtórzył to, co tłumaczyła mi mama: że muszę być dzielna, bo jestem już duża, a duże dziewczynki nie płaczą.

Po piętnastu latach ja wciąż płaczę, kiedy Karol wyjeżdża i w samotności oglądam tamte pamiątki. Płaczę w ciszy, bez szlochania i bez hysterii, Same łzy.

Nie chcę mówić o tym Karolowi, bo wiem, że nie zrozumiałby tego. Zresztą, jak by to brzmiało po dwóch latach wspólnego życia, gdybym usiadła przed nim i powiedziała po prostu: „Wiesz, piętnaście lat temu w moim życiu stało się coś, co zburzyło cały mój świat”.

Jak on by się miał czuć z tą wiedzą? Nie umiałby mi pomóc, tak jak Basia powiedziałaby ostro, że minęło piętnaście lat i powinnam zostawić to za sobą, bo inaczej stanie się to moją obsesją.

Basię znam od najwcześniejszych lat, ze szkoły podstawowej i z piaskownicy. Mam nawet jakieś zdjęcia, na których siedzimy w wózkach przed naszym blokiem i wpatrujemy się bezmyślnie w obiektyw.

Na innych fotografiach jest z nami Magda.

Pamiętam, że jak byłam mała, to bardziej lubiłam Magdę, bo Magda miała bujną wyobraźnię i potrafiła opowiadać mi takie historie, że myślałam o nich potem całymi dniami. I umiała sprawić, że każda rzecz nabierała znaczenia. Kiedy na przykład pokazałam jej duże lustro w złotych ramach, zaraz powiedziała, że to lustro na pew-

no jest furtką do innego świata. Albo że jak zasypiamy, to nasza dusza uwalnia się i to, co śnimy, to jej wędrówka po różnych krainach.

Do dzisiaj dokładnie ją pamiętam: śliczna blondynka, z dużymi, pełnymi ustami, z warkoczem sięgającym połowy pleców, w niebieskiej sukience.

Rodzice zawsze ubierali ją na niebiesko albo na różowo. Jej mama mówiła, że w tych kolorach Madzia wygląda jak lalka i faktycznie - Magda w sukienkach i czapkach wyglądała jak jedna z tych pięknych lalek, których nigdy nie miałam, bo były za drogie.

Basia wolała grać w gumę albo w dwa ognie. Magda natomiast lubiła szukać roślin, z których mogłyby wylegnać się duchy; twierdziła, że każdy kamień ma serce i całymi dniami potrafiłyśmy rozłupywać na pół cegły z pobliskiej budowli, żeby tylko je znaleźć. Ja pytałam natrętnie: To jest serce? I podsuwałam jej pod oczy każdy, najdrobniejszy fragmencik, który chociaż odrobinę odstawał kolorem od reszty cegły. A Magda zawsze cierpliwie odpowiadała, że to nie to, ale że na pewno kiedyś je znajdziemy.

Tak dokładnie pamiętam nastrój tamtych dni: woń lata, zapach ziemi, ręce brudne od różnych roślin, rajstopy podarte podczas przedzierania się przez krzaki w poszukiwaniu właściwych kwiatów. Pamiętam też rozpacz mamy, kiedy w słoikach trzymałam po kilka dni znalezione rośliny i nie pozwalałam ich wyrzucić, zarzekając się, że lada dzień wylegną się z nich duchy.

Lato, o którym myślę, było niesamowicie upalne i duszne. Bawiłyśmy się z Magdą na stopniach wznoszonej właśnie budowli. Magda twierdziła, że jeśli budowa zostanie ukończona, nastąpi koniec świata, więc panicznie bałam się i każdego dnia przychodziłam popatrzeć, jak postępuje praca.

Tamtego dnia Magda opowiadała mi o dziewczynce, która przeszła przez lustro i znalazła się w innej epoce. Jej dziecięcy, wysoki głosik unosił się i opadał rytmicznie:

- Lustro zamknęło się za nią i nigdy już nie wypuściło jej ze środka. Została sama w obcym świecie. Zobaczyła, że ma na sobie szeroką sukienkę z mnóstwem halek i koronek. Włosy też miała upięte wysoko i ozdobione małymi diamencikami. A na dłoniach koronkowe rękawiczki. Zobaczyła, że wszystko wokół niej jest niby takie samo, a jednak zupełnie inne. Przez okno pokoju widziała ten

sam kościół, ale tym razem nie był stary, tylko nowy, jakby dopiero go wybudowali. Po ulicach jeździły powozy, kobiety miały długie suknie i kapelusze, a jej pokój był zupełnie inny...

Siedziałam o stopień niżej niż ona i patrzyłam na nią z wielkim przejęciem.

- A co zrobili jej rodzice, jak zobaczyli, że jej nie ma? Magda zastanawiała się nad moim pytaniem, drapiąc się w głowę. Po chwili podjęła:

- W tamtym czasie Cyganie chodzili od domu do domu i prosili o pieniądze.

Cyganie lubili kraść dzieci, więc jej mama pomyślała, że wykradli ją z domu. Stała przy lustrze i płakała. Marysia oczywiście widziała ją przez lustro, uderzała w nie dłonią i wołała, mama jednak nie mogła tego widzieć. Zawiadomiła policję, ale policja nigdy nie trafiła na ślad Marysi...

To chyba właśnie wtedy przybiegła do nas moja siostra, Daria, zdyszana i zaczerwieniona na twarzy z wysiłku.

- Tu jesteście! - powiedziała, nabierając głęboko powietrza. Była starsza ode mnie o cztery lata i zawsze twierdziła, że nie

mam o niczym pojęcia, bo jestem za młoda. Pamiętam jej twarz okoloną ciemnymi włosami i pasiastą bluzkę, która spadała jej z jednego ramienia. Miała takie długie i szczupłe nogi, że wszyscy chłopcy w szkole ciągle nagabywali ją, żeby z nimi chodziła. Tyle że ona nie była zainteresowana takimi flirtami. Śmiała się, że to dzieciaki, bo wyczytała w jakiejś książce, że chłopcy rozwijają się wolniej niż dziewczynki. Zwykła mawiać: „Są umysłowo trzy lata młodszy od nas, więc to prawie tak, jakbym miała chodzić z twoimi rówieśnikami!”.

Tamtego dnia miała na sobie krótkie spodenki dżinsowe, które ucięła zaraz pod pośladkami i które przez ostatnie dwa dni strzepiła, by były bardziej modne. I te włosy, trochę przyciemnione szamponem kolorującym.

Stała przy schodach i mówiła:

- Mama kazała wam biec do domu, bo był jakiś wybuch i powietrze zostało skażone!

- Co to znaczy? - spytała Magda, przestraszona, jak jeszcze nigdy.

- To znaczy, że był jakiś Czarnobyl i wszyscy możemy umrzeć, jeśli zostaniemy na dworze. A ja się dla was narażam!

Następnego dnia stałyśmy razem z mamą w długiej kolejce do gabinetu medycznego naszej szkoły podstawowej. Mama tłumaczyła nam, że jak zaraz dostaniemy jod, to wszystko już będzie dobrze i będziemy mogły wychodzić na dwór. Razem z nami stała cała moja klasa wraz z rodzicami i panowała bardzo nerwowa atmosfera.

Daria spytała, co to takiego ten cały Czarnobyl, a mama odpowiedziała, że to taka wielka czarna chmura, która idzie po niebie w naszą stronę i może wszystko zniszczyć. Daria rozpląszczyła się na szybie i patrzyła w niebo wzrokiem pełnym wyczekiwania. Ja stałam obok niej, wystraszona. Mama pogładziła mnie po włosach; Daria upewniła się:

- Ale jak wypijemy jod, to będziemy dalej żyć? A mama roześmiała się i powiedziała, że tak.

Kiedy Karol wyjeżdża, w naszym domu zapada wielka cisza. W tej ciszy przypominam sobie wszystkie historie opowiedziane mi przez Magdę. Wraca wrażenie, że świat jest nieskończenie tajemniczy i że wszystko w nim ma kilka wymiarów.

Magda mówiła, że w pokoju, w którym jesteśmy, tak naprawdę przenika się wiele światów, tylko że my nie umiemy ich dostrzec. Mówiła, że gdzieś tu jakaś inna ja spaceruje w sukni z dawnej epoki. Albo że między nami spacerują duchy.

Wraca echo mojego głosu: „Ty widzisz duchy?”. I pewność, z jaką Magda mówiła, że każdy może je zobaczyć, jeśli dobrze się wpatrzy.

Nigdy nie umiałam znieść samotności. Za dużo kryło się w niej wspomnień, za wiele pytań. Najczęściej starałam się zgrać wyjazdy Karola z moją pracą, żeby nie zostawać sama. Umawiałam się z klientkami.

Odkąd wyjechałam do Warszawy, nic już nie było takie proste jak w Gdyni. Nie mogłam po prostu zadzwonić do Magdy i spytać, czy mogę przyjść do niej na noc. Ani zrobić u siebie żadnej posiadówki. Jedyłą osobą, którą miałam w Warszawie, była Basia, z jej złością, praktycznością i pięknymi wierszami, które uwielbiałam czytać. Tyle że Basia powiedziała mi w złości o mojej obsesji:

- Napisz o niej książkę! Nie widzisz, że przez nią depczesz swo-

je życie? Przestań tym żyć, do jasnej cholery! Napisz książkę i olej to wreszcie!
Moje klientki to bogate kobiety. Prawie tak bogate, jak ja.

Najczęściej, kiedy do nich dzwonię, myślą, że mają do czynienia z kimś z niższej sfery finansowej i widzę, jak są zaskoczone, kiedy podjeżdżam pod ich domy nowiutkim saabem i kiedy dzwonię do ich furtek, ubrana w jasne futro i wysokie ekskluzywne kozaki.

Zadziwia je, że mogę być bogata, a jednocześnie wciąż pracować. Tyle że przecież moje pieniądze zdobyłam właśnie dzięki nim. Nie od razu podjeżdżałam pod ich domy takim pięknym wozem. Kiedyś przywoził mnie do nich autobus, a na sobie miałam zwykłą kurtkę z hali.

Ich domy najczęściej są zupełnie gołe - same ściany i podłogi. To ja mam zdecydować, co gdzie ma się znajdować, w jakich ma być kolorach i jaki ma mieć kształt.

Liczą na mnie, chodzą za mną krok w krok i chłoną każde moje słowo. Najczęściej są tak mało zaradne - albo tak leniwe, albo tak mało mają wiary we własny gust - że w ogóle nie oponują, kiedy urządzam im domy. Mówią tylko: „Ta, tak...”. Oraz: „Zgadza się, właśnie to miałam na myśli!”.

Rzadko kiedy mężowie przychodzą z nimi. Najczęściej pracują do późna, a one dysponują ich gotówką i nudą, która sprawia, że starają się mnie zatrzymać u siebie tak długo, jak się da. Proponują kawę, wypytują mnie o wykształcenie, o mojego męża, o trudności, które spotykam w swoim zawodzie.

- Z zawodu jestem fotografem - odpowiadam zawsze tak samo obojętnie, jakby ich zdziwienie omijało mnie wielkim łukiem. - Projektowanie wnętrza to moje hobby. Bardzo przydatne hobby - dodaję w myślach i przez Ułamek chwili przypominam sobie ciężkie i czasochłonne studia fotograficzne, które kompletnie nie przydały mi się w życiu.

Oglądam więc domy klientek, spaceruję po pustych pokojach, marszczę brwi nad arkadami, które zawsze umieszczone są nie tam, gdzie być powinny, rozważam, którą ścianę można by przekuć, którą przesunąć.

W mojej głowie zaczynają pojawiać się obrazy: w tych obrazach pusty pokój staje się pełny. Ściany zamalowują się na kolor, podłogę nakrywa puszysty dywan albo gładka wykładzina, pod ścianami

rozrastają się serwantki i biblioteczki, pojawiają się stoły, krzesła, żyrandole, w oknach zwieszają się tkaniny, woale drapują się w finezyjne fałdy, dopełniają się drobne elementy: wazony, chusty, lustra, obrazy, w kątach wyrastają rzeźby.

Moje klientki są zaskoczone zawsze, kiedy widzą, jak stoję nieruchomo, rozglądając się dookoła. Wiem, jak śmiesznie wtedy wyglądam: mrużę oczy, przechylam na bok głowę i marszczę brwi. Bo w mojej głowie rozpoczyna się tak gigantyczna projekcja obrazów, że nie byłabym w stanie udźwignąć jej z uśmiechem na ustach i z szeroko rozwartymi oczami.

Czasami umawiam się z klientkami w konkretnych sklepach. Najpierw sama przemierzam całą Warszawę w poszukiwaniu odpowiednich mebli, a potem dzwonię do klientki, żeby przyjechała zobaczyć to, co wybrałam. Jeśli wymyślę, że na ścianie powinien znajdować się jakiś konkretny obraz, dzwonię do Magdy, do Gdyni, i zlecam jej wykonanie go. Klientkom mówię:

- Znam malarkę, która podejmie się namalowania go. Nie ma sensu szukać czegoś takiego w galerii.

Nigdy nie mówię, że nie ma sensu szukać tego w galerii głównie dlatego, że tam jest narzut sto procent albo nawet sto pięćdziesiąt. Wzmianka o tym, że można coś kupić taniej, byłaby w złym guście. Moje klientki chcą, żebym uważała, że są bogate i należy im się wszystko, co najdroższe.

Czasami w ich mieszkaniach widuję dzieci. Jakiś mały chłopiec biega za naszymi plecami, matka nawołuje go i przeprasza mnie za kłopot.

Kiedyś u jednej pani zobaczyłam zdjęcie dziewczyny do złudzenia przypominającej Darię.

Zamarłam w bezruchu, potem przybliżyłam się do fotografii nerwowo, nieomal histerycznie i spytałam głosem nabrzmiałym z nerwów:

- Kto to?

Moja klientka wyjaśniła, że to jej córka i że obecnie studiuje w Poznaniu.

Zdjęcie przyciągało mnie jak magnes, nie mogłam oderwać od niego oczu. Czułam, że cała twarz mi płonie, moje spojrzenie nerwowo wychwytywało subtelne niezgodności, które wcześniej umknęły mojej uwadze: nie te oczy, nie ten nos i włosy, które przecież nie mogłyby być takie.

Potem, w swoim mieszkaniu, czułam się tak, jakby ktoś siłą zmusił mnie do grzebania w przeszłości. Zadzwoiłam do Basi i krzyczałam jej w słuchawkę, że nie dam sobie z tym wszystkim rady i że już nigdy nie pojedę do tej kobiety.

- Uspokój się! - Głos Basi był ostry, stanowczy. - Słyszysz? Musisz się uspokoić! Karolowi nie mówiłam nic. Po prostu byłam bardziej cicha niż zwykle, bardziej w sobie zamknięta, bardziej małomówna.

- Co cię gryzie? - pytał, a ja odpowiadałam, że mam dużo pracy, albo że mam nieprzyjemną klientkę, z którą trudno mi się porozumieć.

Nic nie mówiłam o tamtych pudełkach na strychu. O tamtych zdjęciach. O wycinkach z gazet.

Leżały w ciemnościach, uśpione, czekając, aż zostanę z nimi sam na sam.

Basia

Mijamy się na schodach. On mieszka na parterze, a ja na pierwszym piętrze.

Wprowadził się tu w zeszłym miesiącu razem z jakąś cizią. Diabli wiedzą, czy to jego dziewczyna. No, ale chyba są razem. Laska ma ogniste rude włosy, takie, jakich jeszcze nie widziałam u żadnej babki. No i ciągle pali papierosy: pali na klatce schodowej, pali w oknie jego mieszkania; kiedy pomagała mu w przeprowadzce, paliła też, stojąc oparta o samochód. Wydaje mi się znajoma, ale za cholerę nie mogę sobie przypomnieć, gdzie ją widziałam.

Facet jest fajny. Kiedy minął mnie na klatce schodowej za pierwszym razem, oglądał się za mną tak długo, że zaczęłam się śmiać. Od sąsiadki dowiedziałam się, że będzie mieszkał na parterze.

- Agatka wynajęła mu mieszkanie - mówiła sąsiadka w mojej kuchni, patrząc, jak on i ruda wygrzebują ze starego jeepa dziwnie wąskie i długie pakunki. - Co to? Jakieś szyby?

Pakunki były w różnych rozmiarach: niektóre zapakowane w szary papier, inne w białe. Ale wszystkie pieczołowicie poowijane jeszcze jakąś gąbką.

- No chyba... - mruknęłam zaskoczona. - Jakaś szyba, nie?

- Myślisz, że są małżeństwem? - spytała mnie od razu, bo pewnie w głowie już rola sobie tatusia dla swojej małej córeczki.

Ruda dziewczyna podpałała papierosa i osłaniając się przed wiatrem, odwróciła głowę w naszym kierunku. Momentalnie też dostrzegła nas, więc obie cofnęłyśmy się poza zasięg jej wzroku.

- Gdzie tam! - odpowiedziałam, wracając do parzenia kawy. - Ona nie wygląda na taką, co chciałaby wychodzić za mąż!

i faktycznie, cizia kompletnie nie wygląda mi na kandydatkę do roli żony. Raczej kochanki - to tak, bo nawet na dziewczynę dla żadnego chłopaka chyba by się nie nadawała. Jest w niej jakieś zimno i nieprzystępność, które sprawiają, że kiedy ją widzę, zaraz odwracam wzrok. Nie chciałabym zaprzyjaźnić się z nią za nic w świecie!

Wpadam na nią w sklepie. Niezle się odstawiała, ma buty na kilkumetrowym obcasie i chyba ścięła włosy, bo przylegają jej do głowy płasko, zupełnie krótkie. Nie są też już rude, tylko granatowe.

Nie mogę się powstrzymać i gapię się na jej krótką czerwoną spódnicę, na chude nogi w zielonych rajstopach, przesuwam spojrzenie wyżej, do miejsca, gdzie znajduje się nastroszony kołnierz skórzanej kurtki. Granatowe włosy kończą się ostrą linią, która nasuwa mi przypuszczenie, że wcale nie ścinał ich fryzjer.

Dziewczyna czuje, że na nią patrzę i odwraca się do mnie przez ramię. Ma czerwoną szminkę na ustach, powieki pomalowała na czarno. Uśmiecha się, żując gumę, a potem traci mną zainteresowanie i sięga po kilka paczek papierosów, które wrzuca do koszyka i zaraz odchodzi w głąb sklepu.

Kilka dni później już wiem, kto ścina jej włosy i kto je farbuje.

Wracam z Patrykiem z zakupów, jesteśmy obładowani siatkami i wściekli, bo przez ostatnią godzinę w sklepie strasznie się na siebie wydzielaliśmy. Przystajemy pod naszą klatką i ja wtedy dostrzegam tamto mieszkanie na parterze. Nie ma w nim firan, rolety są podciągnięte i w środku pali się światło.

Właśnie dlatego jak na dłoni widzę ich pokój. Ona siedzi na obrotowym krześle z pochyloną głową, a tamten chłopak nakłada jej na włosy jakieś mazidło w obrzydliwym kolorze zdechłego granatu.

Patrzę na nich zaskoczona, zaintrygowana i nagle jakaś dziwnie zazdrosna. Patrzę, jak on rozsmarowuje delikatnie mazidło po jej

włosach szerokim pędzlem, a potem wciera je rękoma, jak ona zamyka oczy i niemal słyszę, jak mruczy z zadowolenia, niczym kotka.

Patryk pyta oschłym tonem, którego u niego nienawidzę:

- Możemy już wejść? Napatrzyłaś się?

Wciąż nie mam pracy, chociaż wysyłam moje CV na prawo i lewo. Kiedy zdecydowałam się tu przyjechać kilka tygodni wcześniej, Patryk pieprzył, że w Warszawie praca pcha się w ręce dosłownie sama! Do dzisiaj pamiętam, jak obiecywał mi złote góry: „Jak tylko przyjedziesz, od razu sobie coś znajdziesz. W Warszawie nie ma problemów z pracą, nie takie, jak u was...”.

U nas, czyli w Gdyni.

Gówno tu jest - myślę z narastającym żalem. Tu nie ma pracy, nie dla mnie.

Codziennie rano wstaję, by wyprasować Patrykowi koszulę i zrobić mu śniadanie.

Siedzę sennie na stołku, patrząc, jak Patryk pochłania wszystko, co mu przygotowuję.

Siedzę i patrzę, i czuję, jak każdego dnia trafia mnie szlag. Wiem, że przyjdzie moment, gdy wybuchnę. I wiem, że jak już wybuchnę, to będę chyba musiała wracać do Gdyni, bo to będzie prawdziwie wielki wybuch.

Patryk obiecywał mi złote góry, z których nic nie wyszło. Mówił, że będziemy mieli mnóstwo czasu dla siebie, że nareszcie się zaręczymy i że pozna mnie ze swoimi przyjaciółmi.

Nie wiem, jak w ogóle mogłam wierzyć w takie pieprzenie! Siedzę tu sama jak palec, z nudów zaczynam podglądać sąsiadów. Patryk wychodzi z domu o siódmej i wraca po siedemnastej, więc nigdzie nie chodzimy, bo mówi, że pada z nóg. Całe wieczory oglądamy telewizję, a jego znajomi poznikali chyba z powierzchni ziemi, bo jak o nich pytam, to słyszę, że w pracy nie ma miłych ludzi, że wszyscy są od nas dużo starsi i że nie ma tu nikogo fajnego.

Na razie, żeby nie umrzeć z nudów, zaprzyjaźniłam się z Iwoną, moją sąsiadką.

Lubiłam też Agatę z parteru, ale wyjechała do Poznania i odnajęła mieszkanie tamtej dziwnej parze.

Iwona też nie pracuje, tylko siedzi w domu z dwuletnią córką. Mąż zrobił jej tego dzieciaka na kilka tygodni przed podjęciem decyzji o rozwodzie. Zresztą, nie wiem dokładnie, jak to było. Tak mi mówi Iwona; ja mam wrażenie, że dzieciaka wykombinowała ona, bo myślała, że uda jej się zatrzymać męża. Niestety, są faceci odpowiedzialni i nieodpowiedzialni - jej mąż należy do grupy drugiej

i wcale go córka nie wzrusza. Ma teraz jakąś młodą babę, pewnie standardowo sekretarkę, i w ogóle rzadko tu przychodzi.

Całe dni siedzę więc w domu, szukam na Internecie pracy, przeglądam też codziennie warszawskie gazety w nadziei, że moje oko wychwyci fascynujące ogłoszenie, nudzę się i piszę wiersze.

Moje koleżanki dziwiły się zawsze, jak to jest, że przy moim podejściu do życia i przy całej arogancji, która cechuje mój sposób bycia, potrafię tworzyć piękne wiersze.

- Bo one są naprawdę piękne - zapewniła mnie kiedyś moja przyjaciółka, Magda, kiedy dałam jej do przeczytania kilka. Powiedziała jeszcze: - One są tak niesamowicie piękne, tyle w nich wrażliwości i... nie mogę uwierzyć...

W porę jednak ugryzła się w język i nie dokończyła. Nie musiała. Dobrze wiedziałam, co miała na myśli: nie mogła uwierzyć, że sama je wszystkie piszę. Podczas gdy moje własne słowa zawsze brzmią płytko i koślawo, w mojej głowie rodzą się wiersze, które pełniej oddają to, co myślę. A czasami nawet oddają to, czego jeszcze nie przemyślałam i dopiero czytając je, zaczynam w pełni rozumieć swoje własne uczucia.

Przeglądając moje wiersze z Warszawy, łatwo można zauważyć, jak zmieniał się mój stosunek od radosnej euforii po pełną niedowierzania nudę.

Wiersz pierwszy został napisany, kiedy obudziłam się z rana po mojej pierwszej nocy w Warszawie, kiedy otworzyłam okna naszego mieszkania na oścież i czułam się zajebiście szczęśliwa, że tu jestem:

Usiadłam na świeżym, porannym oknie Patrzę na nas i widzę wciąż nas... Mój płaszcz w przedpokoju moknie Kroplami deszczu odmierza czas

Wiersz drugi to wciąż radosna nieświadomość. Wtedy był weekend, w Warszawie wrzesień nie atakował zimnem, tylko słoneczną, przyjemną pogodą, jeździliśmy z Patrykiem po różnych fajnych miejscach warszawskich, całe popołudnie przesiedzieliśmy na ławce w Łazienkach i wyglądało na to, że jeszcze wszystko się ułoży.

Napisałam wtedy:

Wiatrem muskane włosy z jaśminu W duszy tęsknota za czymś nieznanym
Nieosiągalność staje się prawdą Wyruszą w podróż zapomnienia Kamyczek pełen
stoicyzmu Duma nad sensem swojego istnienia Życie w załączkach dramatyzmu
Przechodzi chwile ukojenia...

A potem już było coraz gorzej:

Różne ma oblicza Samotność Raz zadaje rany Innym razem nadwyrężą Cierpliwość
Jeszcze innym Pozostawia niepokój Pustkę
I brak nadziei na Powrót

I na koniec wiersz napisany dwa dni temu:

My nie lubimy się dzielić Nie lubimy przyjmować Zamknięte plemię Obcych zabija
Obcych pożąda. My nie lubimy się bawić Nie lubimy rozrywki Ponura para
Towarzystwem pogardza
O towarzystwie marzy
My nie lubimy okazywać przywiązania
Nie lubimy pokazywać przyjaźni

Zimni jak lód Bez uczuć jesteśmy Bez nadziei na bliskość.

Ruda dziewczyna wyjeżdża. Z gigantyczną podróżną torbą schodzi po schodach, głośno rozmawiając z tamtym chłopakiem. Najpierw słyszę ich przez drzwi, a potem widzę z okna. Jeep już czeka, więc najwyraźniej jest jej własnością, a nie jego.

Dziewczyna obraca w dłoniach kluczyki, potem wrzuca do wozu torbę i opiera się o maskę.

Na dworze jest zimno i lada moment zacznie lać, ale ona ma na sobie tylko cienkie rajstopy, buty na szpilce i jakąś kieckę w wojskowe maziąje moro.

Chłopak opiera się dłońmi o samochód, coś do niej mówi, a potem całuje ją w uszmińkowane usta. Kiedy się odsuwa, dziewczyna wybucha śmiechem i ściera mu palcami szminkę z warg.

Stoję przy oknie, bezpiecznie ukryta przed ich wzrokiem, i obserwuję. Ja też zapalam papierosa, akurat w tym samym czasie, w którym ona to robi.

Przekrzywiam głowę na bok, lustruję dziewczynę zaciekawionym spojrzeniem.

Teraz widzę, że jest ładna. Strasznie chuda, ale jednak bardzo ładna. Gdyby zdjąć jej z twarzy cały ten okropny zbyt mocny makijaż, mogłoby się okazać, że ma jednak miłą twarz.

Ciekawi mnie, gdzie jedzie i czy jeszcze wróci. Patrzę, jak on przytula ją do siebie i podnosi do góry. Śmieją się, a mnie coś ściska w żołądku, bo Patryk też mnie kiedyś tak podnosił do góry i jak wracał do Warszawy, to nigdy nie mogliśmy się rozstać: całowaliśmy się i całowaliśmy, on mówił różne miłe rzeczy, a ja zaraz zaczynałam za nim tęsknić, chociaż jeszcze był koło mnie.

Tam na dole pożegnanie dobiega kresu: dziewczyna wsiada do jeepa, otwiera szybę i coś woła. On odsuwa się krok w tył, kiedy samochód rusza z miejsca. I mimo że zaczyna padać deszcz, on dalej stoi na chodniku. Krzyżuje ręce na piersiach, widać, że jest mu cholernie zimno, ale stoi tam i gapi się za jej wozem.

Wieczorem mijamy się na klatce schodowej. Nie działa światło, ale bez problemów rozpoznaję jego sylwetkę na tle jasnych drzwi mieszkania. Mówi do mnie:

-Dzień dobry.

- Dzień dobry - odpowiadam w ciemnościach i mijam go. Kiedy go tak mijam, czuję, że ładnie pachnie męskimi perfumami. Z tym zapachem pomieszany jest jednak jeszcze inny zapach: jakiegoś rozpuszczalnika albo innego świństwa.

Wciągam głęboko po? wietrze, a on mówi niemal przeprasząco:

- To terpentyna; wiem, strasznie śmierdzi...

Odwracam się, by odpowiedzieć, że to nic nie szkodzi i spytać, do czego używa terpentyny, ale kiedy odwracam się, jego już nie ma - wszedł do mieszkania.

Przez kolejne dni Warszawa tonie w deszczu. Na ulicach robi się błoto, samochody jeżdżą brudne, ochlapano, niebo jest szczelnie zakryte chmurami, wyprane z wszelkiego koloru.

Palę papierosy, odpalając jednego od drugiego, siedzę w bujanym fotelu i patrzę w okno.

Czuję, że nadchodzi jesień i wiem, że to będzie najokropniejsza jesień, jaką mogłabym sobie wymarzyć. Będzie zimno, deszczowo, nie będę miała z kim pójść do kafejki na gorące piwo i większość czasu przesiedzę właśnie tutaj, w bujanym fotelu, wpatrzona w szybę.

Za szybą pojawiają się liście: jeden osiada na moim parapecie, a ja przyglądam się mu zamyślona, zmartwiona, bo widok nagich drzew działa na mnie zawsze najgorzej ze wszystkich możliwych widoków.

Przypominam sobie jesień w Gdyni: moje koleżanki dzwoniące jedna do drugiej i umawiające się albo u Magdy, albo w Kontraście na Bulwarze Nadmorskim, przypominam sobie zimne i szare morze falujące pod naporem wiatru, biały piach plaży i piecyki w kształcie kolumn wystawiane w Kontraście, żeby było ciepłej.

Siadałyśmy z koleżankami zawsze przy szybie, żeby móc obserwować morze podczas picia. Ile wtedy się działo i jak odjazdowo było!

Zaciągam się papierosem i wspominam Kontrast, wspominam moje przyjaciółki, zespół grający szanty i Anetę podrywającą się na nogi, namawiającą nas na taniec.

Przypominam sobie nawet, jak udarła się radośnie: „Jak słyszę szanty, to nie mogę usiedzieć! Chodźcie, błagam! Chodźcie!”.

Przypominam też sobie nas tańczące na parkiecie, nas w zatłoczonym nocnym autobusie, wracające do domu, i nas w samocho-

dzie Magdy, jak śpiewamy z Farbą: „Patrz na mnie, patrz! Tylko tyle mogę dziś ci dać. Patrz na mnie, patrz, to dla ciebie mam!”.

O, kochany Jezu, jak wtedy było fajnie! A teraz siedzę w zapyziałej Warszawie i nie mam do kogo się odezwać, zanim Patryk nie wróci z pracy.

Z rana jadę do schroniska, żeby wziąć sobie jakiegoś psa. Gównu mnie obchodzi, że Patryk dostanie zawału, jak wróci. Zgotował mi taką samotnię, to nie powinno go dziwić, że szukam towarzystwa zwierząt.

W schronisku zaczynam żałować, że przyjechałam tu i to w dodatku sama, bo zaraz mi się zachciewa płakać. Psy siedzą na małych powierzchniach, w ciemnych budach, a najczęściej na budach, bo pewnie im zimno od ziemi. Siedzą i szczekają na mnie. Inne łaszą się do prętów furtki, jakby rozumiały, że przyjechałam wy dostać stąd jednego z nich.

Niech to szlag! Nie mam na to siły!

Głaszczę przez siatkę wyciągniętą do mnie pyszczki, drapię pieski po uszach, a kiedy idę wzdłuż ogrodzenia, zwierzęta biegną za mną do momentu, do którego pozwala im ich teren.

- Idzie zima... - zwracam się do oprowadzającej mnie kobiety głosem, w którym przebija złość. - Idzie zimna, a te zwierzęta będą tak siedzieć na dworze w źle ogrzewanych budach?

Kobieta nawet na mnie nie patrzy, tylko wzrusza ramionami. Pewnie przyzwyczyła się do takich gadek jak moje i nic ją już nie obchodzi. Odpowiada obojętnie:

- Nie ma pieniędzy na lepsze warunki.

Kiedy nie widzi, wycieram oczy wierzchem ręki i patrzę na starego grubego jamnika, który siedzi w głębi swojej klatki z uszami położonymi płasko po sobie, strasznie smutny.

- Pani chce szczeniaka? - pyta kobieta i otwiera drzwi prowadzące do jakiegoś hangaru. Tu też jest pełno klatek, tyle że ogrzewanych i siedzą w nich małe szczeniaki. Kobieta tłumaczy mi, że mam do wyboru szczeniaki wilczura, kundla i jednego chyba rasowego pieska.

Rasowy piesek ma strasznie puchate łapki i nastroszone uszy. Patrzy na mnie z nadzieją, a mi w głowie buzują same ciemne chmury. Tego pieska na pewno ktoś sobie weźmie, jestem tego pew-

na. Weźmie go jutro albo pojutrze. Tak samo jak te szczeniaki, które tu widzę. Ludzie wolą małe psy, więc ich przyszłość jest dość optymistyczna. Tak samo jak optymistyczny jest fakt, że siedzą w ciepłym pomieszczeniu, podczas, gdy tamte marzną na dworzu.

- Wezmę jamnika - decyduję, bo widmo jamnika z płaskimi uszami chodzi za mną krok w krok jak cień.

Kobieta patrzy na mnie, autentycznie zaskoczona.

- Którego jamnika?

- Tego starego. Tego, co na zewnątrz.

Nazwę go Kapeć. Śmiejąc się, patrzę, jak Kapeć obwąchuje wszystkie kąty w mieszkaniu i jak chodzi za mną przy nodze. Teraz, kiedy jest tutaj, już nie wygląda na smutnego. Przebiera żwawo łapkami, podnosi wysoko ogon, co u jamników oznacza zadowolenie, i jak patrzy na mnie, to z wdzięcznością.

Patryk jest przerażony.

- Co to jest?-pyta już w progu, kiedy Kapeć wybiega ku niemu. Staję za Kapciem, opieram się o futrynę drzwi.

- Kapeć.

- Kapeć?

- No przecież mówię.

Patrzymy na siebie i wiem, że zaraz będzie tu niezła awantura!

Wychodzę pospacerować z Kapciem po osiedlu. Oprowadzam go po różnych zakątkach, które mogłyby mu się spodobać, tłumaczę, w których śmietnikach może grzebać, a w których nie powinien. Kapeć o dziwno jest całkiem posłuszny, chociaż wiem, że na ogół jamniki są potwornie uparte i można z nimi dostać pierdolca.

Ten jest fajny i już go lubię. Kiedy go wołam, patrzy na mnie przez chwilę, a potem biegnie, przebierając tymi śmiesznymi, zbyt krótkimi łapkami po trawie. W ten sposób udaje nam się okrążyć prawie całe osiedle i w końcu docieramy za balkony naszego bloku.

- To jest twój teren - tłumaczę mu, ścisząc głos, żeby przypadkiem nikt mnie nie usłyszał i nie pomyślał, że mi odwaliło. - Zaznacz go sobie dobrze po jamniczemu... Bo jest twój.

Patrzę w okna na parterze. Jest w nich ciemno, ale jedno zostało uchylone i na podwórko wysypują się dźwięki jazzu: słyszę pianino, skrzypce w wirtuozerskich popisach i kontrabas.

Przymykam oczy, bezwiednie przysuwam się do jego okna i słucham, słucham, słucham. Bo jeszcze nigdy nie słyszałam tak pięknej muzyki.

Magda

Jaki jest ważny, uświadomiłam sobie, kiedy wyjechał.

Z rana przyszedłam do galerii i w milczeniu spacerowałam wokół jego rzeźb. Miałam wrażenie, że z galerii uszło całe życie, że stała się jakaś duża - zbyt duża, by moja jedna osoba mogła wypełnić jej wnętrze; zbyt zimna, zbyt elegancka.

Przesadzasz... to tylko potrzeba bycia tu z kimś - myślałam, przystając przy jego kamieniach. - To nie o niego chodzi, tylko o jakieś towarzystwo.

Myśli były fałszywe. Nie chodziło mi o towarzystwo. Chodziło o niego.

Delikatnie wyciągnęłam rękę i dotknęłam powierzchni kamienia w miejscu, w którym Mateusz naruszył jego gładką strukturę, wydobywając ostre, poszarpane wnętrze.

Dotykając, uświadamiałam sobie, jak wiele warstw ma jeden kamień, jak bogaty jest w środku, jak wiele daje możliwości twórczych. Mati powiedział mi kilka dni temu, że lubi kamienie właśnie dlatego, że są konserwatywnym, najstarszym materiałem. I dlatego, że tak ciężko cokolwiek się w nich robi.

Zimno i cisza galerii sprawiły, że stanęłam pod jedną ze ścian. Myślałam wtedy, że może to dobry moment, żeby się zastanowić, co dalej. Może powinnam wrócić do domu, może trzeba zostawić to wszystko za sobą nietknięte, tak, jak jest.

Kilka tygodni wcześniej Jacek stracił pracę w gazecie, gdzie pisał artykuły o premierach teatralnych i musiałam zacząć rozglądać się za pracą dla siebie.

Znalazłam ogłoszenie o opiece nad dziewięcioletnim chłopcem.

Beata - matka dziewięcioletniego chłopca - i Dawid mieszkali w strzeżonym osiedlu nowoczesnych apartamentowców

Kiedy otworzyli mi drzwi, moim oczom ukazał się przestronny jasnoniebieski korytarz z ikeowskimi szafami i komódkami. Wcho-

dzać głębiej, stapałam po puszystym dywanie zdartym z jakiegoś wielbłąda, zauważałam drogi sprzęt audio, jasne panele na podłogach i kanapy z czerwonej skóry.

Właścicielka wnętrza rozsiewała wokół siebie zapach perfum i wrażenie niesamowitej świeżości. Pełna uśmiechów, z rozchyłoną pod szyją koszulą, na wysokich szpilkach - wydała mi się niesamowicie atrakcyjna i luksusowa.

Usiadłam na czerwonej kanapie, która trzeszczała przy każdym moim poruszeniu, a ona zawołała do nas Dawida.

- Ja już jestem zdecydowana na panią - oznajmiła mi. - Dawid tak zdecydował, kiedy tylko zobaczył, jak wysiada pani z samochodu.

Nie wiem, co Dawidowi spodobało się we mnie: może mieszanina kolorów moich ubrań, może chmura pokręconych włosów, a może stary, rozsypujący się samochód, który sprowadziliśmy z Jackiem zaraz po ślubie aż ze Szwecji.

- Cała trudność tej pracy polega na tym, że nie mam konkretnych godzin, podczas których będzie tu pani pracować. Najczęściej dowiaduję się dzień wcześniej, że muszę jechać do klienta i wtedy będę panią zawiadamiać. Czy jest pani dyspozycyjna?

Za plecami Beaty widziałam panoramę całej Gdyni: od estakady aż po osiedla dalekie, których normalnie nie mam okazji widywać. Całe miasto wydało mi się miniaturowe i chaotyczne.

Wyobraziłam sobie siebie na tym balkonie wieczorową porą, kiedy Dawid już zaśnie, a Beata jeszcze nie wróci z firmy.

Myślałam o sobie na tej kanapie: jak rozciągnięta na całej długości czerwonej skóry czytam książkę, słuchając sączącej się z radia muzyki.

Wyobraziłam sobie siebie w wielkiej jasnej kuchni, jak kroję coś na stole tuż pod linią dwóch ogromnych obrazów olejnych przedstawiających owoce... I pomyślałam, że chciałabym tu pracować chociażby po to, żeby czuć luksus tego wnętrza przez kilka godzin.

Moje mieszkanie było małe i niepozorne. Jacek przystawał na wszystkie moje pomysły mające ukryć starość i brzydotę wnętrza -nie oponował, kiedy na ścianach rzeźbiłam płaskorzeźby, gdy prze-malowywałam co kilka miesięcy fragmenty domu na inne kolory, kiedy zawieszałam każdą wolną przestrzeń fotografiami i obrazami.

Mówił, że dzięki temu jest tu przytulnie i miło. Ja wiedziałam, że dzięki temu nie widać, w jak ciężkiej jesteście sytuacji.

Jacek dostał to mieszkanie od swojej cioci. Z początku stare budownictwo cieszyło mnie - bo skośny dach, bo wysoki sufit, bo okna dwa razy większe niż w normalnych blokach; no i pachniało czymś dawnym, wydawało się przechowywać w swoich ścianach wspomnienia ludzi, którzy tu mieszkali.

Lubiłam znajdować tu różne dziwne rzeczy: drzwi prowadzące donikąd, ukryte za starą skrzypiącą szafą, pudełko z bibelotami należącymi albo do ciotki Jacka, albo do poprzednich lokatorów.

Któraś mieszkająca tu wcześniej rodzina pozostawiła po sobie fotografie. Kiedy znalazłam je po latach, które przeleżały na dnie szafy, wpadłam w taki zachwyt, że wszystkim zrobiłam identyczne ramki i powiesiłam na ścianie. Teraz jest to Ściana Pamiątek Nie-naszych. Umieściłam na niej nie tylko te czarno-białe zdjęcia, ale też znajdowane w łazience pod wanną i w kuchni za szafkami złote medaliki, łańcuszki, czyjś śliczny kolczyk, stare projekty przebudowy mieszkania wykonane przez jednego z lokatorów ciotki, architekta.

Potem zaczęłam rozumieć, dlaczego większość ludzi woli jednak nowe budownictwo. Pod dużymi olejnymi obrazami ukrywałam grzyba toczącego ściany, popękane sufity zaszpachlowywałam gipsem i zastawiałam półki prezentami od cioci. Omijałam wzrokiem odpadający tynk, nie wypowiadałam się na temat zapowietrzających się notorycznie kaloryferów.

- Lubię nasz dom - mówiłam Jackowi.

Tyle że coś we mnie tęskniło za luksusem takim, jaki miała w swoim domu Beata. W tamtym czasie bardzo lubiłam swoje życie.

Lubiłam, kiedy Jacek grał na skrzypcach - melodia wiła się po pokoju, przenikała ściany i unosiła się pod skośny sufit.

Grał, a ja kładłam się na kanapie i otulona kocem słuchałam.

Czasami, kiedy słuchałam go, zmęczona całym dniem, wpadałam w stan graniczący ze snem: śniłam czuwając, mieszając dźwięki skrzypiec z moimi snami i tworząc z nich dziwne historie.

Często śniłam o lataniu. Unosiłam się jak ptak ponad kamienicami, rozpościerałam skrzydła i nabierałam prędkości. Te sny były dokładne, nieomal precyzyjne, i pełne kolorów.

Śniłam, że powietrze przesuwa się między moimi piórami, że miasto pode mną staje się coraz mniejsze, a mnie ogarnia spokój i pewność, że wszystko w tym śnie jest bezpieczne. Wiedziałam, w jaki sposób powinnam lecieć, by nie zdarzył mi się żaden wypadek, i ta wiedza wypełniała mnie tak, jakbym przechowywała ją w sobie od zawsze. Wiedziałam też, że jeśli polecę wyżej, zabraknie mi powietrza - obniżałam lot i delektowałam się ciszą nieba.

Jacek, widząc, że śpię, czasami odkładał skrzypce i kładł się koło mnie. W tamtym czasie w naszym mieszkaniu panowały ciągle niskie temperatury, co rusz zapowietrzały się kaloryfery, więc dłonie Jacka były zmarznięte tak samo jak twarz, którą opierał o mój rozgrzany policzek.

Lubiłam te chwile: ciszę mieszkania, mieszaninę snów o lataniu z rzeczywistością, ciało Jacka, potrzebujące mojego ciepła.

Problemy nie skłócały nas, wręcz przeciwnie - sprawiały, że stawaliśmy się coraz bardziej zgodni.

Jacek nie złościł się o to, że nie mam stałej pracy, ja nie nalegałam, by on poszukał pracy lepiej płatnej niż praca w teatrze.

Dobrze wiedziałam, jak ważna jest dla niego gra. Ważne było wszystko, co tyczyło się teatru; czasami zazdrościłam mu pasji, z jaką pisał o sztukach teatralnych, z jaką ćwiczył grę na skrzypcach.

Kiedy kilka miesięcy wcześniej miał etat w teatrze i dostawał jakąś rolę, ta rola pochłaniała go całkowicie: po całym domu walały się kartki z tekstem, ja musiałam angażować się w dialogi i przerabiać je razem z nim. Jacek spacerował z tekstem w dłoniach, a ja siedziałam na kanapie i bezbarwnie odczytywałam przeznaczone dla mnie frazy:

- „Dlaczego mi to robisz” - pytałam głosem pozbawionym wszelkiego talentu.

- „Nie chcę tego, ale nie mogę postąpić inaczej” - odpowiadał Jacek z werwą w głosie, z mimiką wskazującą, że faktycznie czyn, którego ma dokonać, jest mu kulą u nogi.

- „Och proszę, może da się coś zrobić”.

Czasami Jacek wybuchał śmiechem i mówił po prostu:

- Madzia, błagam, wczuj się w to trochę, bo wychodzę na idiotę!

- Staram się. Co powinnam robić?
- Może na początek wtącz w czytanie tekstu jakieś znaki zapytania, kropki, przecinki i w ogóle wszelką interpunkcję.
- Postaram się.

Czasami udawało mi się zagrać coś porządnie.

- „Dlaczego mi to robisz?” - wołałam głosem faktycznie przejętym i błagającym o odpowiedź. Zrywałam się nawet z kanapy i unosiłam błagalnie dłonie do góry. Wtedy tekst nabierał życia, Jacek odzyskiwał werwę i mógł odpowiedzieć zupełnie szczerze, z bólem:

- „Nie chcę tego, ale nie mogę postąpić inaczej!”.

Potem oboje zaczęliśmy się śmiać i ja wracałam na kanapę, by recytować resztę już bez przekonania.

Lubiłam jego teatr, bo fascynowała mnie zmiana, jaka zachodziła w Jacku, kiedy stawał na oświetlonej reflektorami scenie. Nagle stawał się smutnym skrzypkiem, pozerającym niewieście serca lowe-lasem, szanowanym dżentelmenem lub wiecznie naćpanym hipisem.

Uwielbiałam wtedy patrzeć na niego. Światła reflektorów wydobywały z niego piękno, które w dziennym świetle czaiło się gdzieś w środku, niedostrzegane przeze mnie.

Lubiłam go w perukach, w barokowych surdutach i w szeleszczących tkaninach.

Lubiłam patrzeć, jak charakterzatorka przekształca rysy jego twarzy, jak czyni go pięknym, brzydkim lub bezbarwnym. Podobał mi się też jego głos, kiedy rozrywał ciszę swoim niskim brzmieniem. Głos, który był kompletnie różny od tego, którego słuchałam w mieszkaniu.

Czasami wpadałam do teatru na próby. Siadałam wtedy na balkonie albo w ostatnim rzędzie i obserwowałam, jak sztuka dopracowuje się w szczegółach i staje ważna.

Nie przypominała już tej sztuki, którą rozgrywaliśmy we dwoje w mieszkaniu.

Bzdurne słowa nabierały znaczenia i sensu, dialogi, które w domowych warunkach brzmiały sztucznie i cynicznie, nagle okazywały się trafione.

Tak wiele zależy od interpretacji - doszłam do wniosku, kiedy wychodziliśmy z Jackiem po próbie generalnej któregoś z przedstawień. Pamiętam, że było wtedy ciepło i wokół pachniało latem. Zatrzymaliśmy się na przejściu dla pieszych, ja złapałam Jacka pod ramię, a on powiedział cicho i szczerze:

- Chyba tylko teatr jest w stanie zająć wszystkie moje myśli.

Teatr stał się tematem moich obrazów.

Lubiłam malować to, co widziałam na próbach, za kulisami i na premierze. Malowałam twarze kapiące od makijażu, zakulisowy ruch i pośpiech. Lubiłam malować rekwizyty teatralne: peruki, maski, ubrania. Fascynowała mnie ich sztuczność, blichtr: tworzyłam całe cykle prac poświęconych lustrom w garderobie, porzuconym ubraniom, które, pozbawione właścicieli, wydawały się też pozbawione uroku. Bawiłam się deformacjami w twarzy któregoś z aktorów, zmianami dokonywanymi na ustach, oczach.

Teatr znalazł się także w mojej rzeźbie: rzeźbiłam maski i zawieszałam nimi wieszaki; tworzyłam cykl głów pozbawionych twarzy, na które zakładałam te właśnie maski, zrobiłam też cykl ciężkich, betonowych kotar.

W moim pamiętniku zapisałam wtedy: *Tak trudno jest znaleźć ludzi, którzy dzieliliby ze mną fascynację sceną. Tak ciężko jest wytłumaczyć słowami, czego od nich bym oczekiwała. Nawet nie umiem wytłumaczyć ludziom, co fascynuje mnie w teatrze. Przecież nie jestem jego częścią, nie potrafię grać, nigdy też nie znalazłam się na scenie.*

Tak bardzo potrzebuję kogoś, kto mnie zrozumie!

Jacek czasem pyta mnie, dlaczego wybrałam sobie tak dziwny temat do obrazów i rzeźb.

Jak mam wytłumaczyć mu, że bez teatru nie umiem żyć? Jak mam sobie samej to wytłumaczyć?

Czy to, co zdarzyło się w dzieciństwie, może być odpowiedzią?

Aneta

Siedem miesięcy przed:

Należy już zdecydować o wyborze strojów ślubnych - zakup, krawiec, wypożyczalnia. Pomyśleć o fasonie. Dobrze, jeśli w poszukiwaniach stroju towarzyszy przyjaciółka albo jakaś specjalistka od ślubnej mody. Wspólnie łatwiej dobrać odpowiedni model.

Ostatecznie określić listę gości na wieczór kawalerski i panieński, ślub, koktajl, wesele.

Znając już wydatki, skonkretyzować budżet.

Wybrać osoby, które pomogą nam pozbiierać się w szaleństwie ostatnich przedślubnych dni Najczęściej są to rodzice, świadkowie, najbliźsi przyjaciele...

Całe swoje panińskie życie mam za pięć miesięcy spakować w wielkie kartony i wywieźć do Marka. Oj, mój Boże, już teraz ogrania mnie wrażenie absurdalności takiego przedsięwzięcia! Bo przecież nie można ot tak wyjść z własnego pokoju po dwudziestu siedmiu latach i zacząć żyć gdzieś na nowo! Tak po prostu się nie da zrobić!

Przeraża mnie myśl, że dom Marka ma stać się moim domem. Z przerażeniem oglądam ściany, podłogi, przypatruję się pustkom na półkach.

Och, biedny Marek! Jego rodzice spakowali się i zostawili go w tym mieszkaniu razem z pustymi meblami, na których zawsze leżały ich przedmioty, a których Marek sam nie potrafi zagospodarować. Faceci nie mają talentów do takich rzeczy, układają na najważniejszej półce okulary przeciwsłoneczne, klucze i komórkę, na drugiej wystawiają wódkę z kieliszkami i w rezultacie całkiem ładny segment zaczyna wyglądać jak najbardziej tandetny mebel wstawiony do jakiejś pijackiej meliny.

- Czekam, aż twoja kobieca ręka coś tu mi poukłada - broni się Marek, kiedy mówię mu, że wygląda tu jak w kurnej chacie. Ostatnio na oknie powiesił jakąś wielką brązową kapę. To dlatego, że nie może zmobilizować się, żeby kupić rolety, a nie chce, by złodzieje widzieli, kto jest wieczorem w domu, a kogo nie ma.

Moja kobieca ręka nic nie robi, bo nie chce zostać wepchnięta w schemat kobiety-żony póki jeszcze nie ma ślubu. Zresztą moja kobieca ręka najlepiej się czuje, kiedy trzyma pędzel albo dłuto.

- A gdzie twoje książki, Marek?

Marek miał zawsze dużo ładnych książek, niektóre nawet całkiem piękne: stare, albumowe, z obwolutami skórkowymi, ręcznymi napisami i innymi bajerami w środku.

- Gdzie pochowałeś książki?

Marek niepewnie otwiera szafę. W środku widzę pięknie poukładane właśnie te książki, których szukałam.

- Dlaczego chowasz je w szafie?

- Nie chowam.

- Och, przecież widzę. Wystawiasz na półkę wódkę, a chowasz książki!
- To nie jest zwykła wódka - oponuje Marek. - Zobacz, dostałem w pracy, na kawalerski.

Marek jakoś do tej pory o kawalerskim nie wspominał. Ja nie pytałam.

- Na kawalerski? - pytam nieufnie, rzucam na niego okiem i wydobywam książki z szafy, by moja kobieca ręka mogła je rozłożyć ładnie na półkach zamiast wódki od koleżków.

Aż mnie skręca z ciekawości, gdzież to na kawalerski wybiera się Marek? Koledzy pewnie zgotują mu niezapomniany wieczór. Zawsze się zarzekali: „Na kawalerskim Marka to sobie poszalejemy!”. Ciekawe, czy będą dziewczyny? Może nawet podłe, nagie i tańczące dziewczyny?

Marek śmieje się.

- Tak, na kawalerski.

I nie chce powiedzieć nic więcej.

Wobec tego układam książki na półce i zastanawiam się, czy nie powinnam włożyć w to układanie chociaż trochę serca. Justyna zawsze układa książki w porządku alfabetycznym, Asia mą ułożone formatami, a Magda tematycznie. Nina nie układa książek w ogóle: stawia je całymi stosami na podłodze i mówi, że tak jest najlepiej, bo przynajmniej nie wyglądają, jakby nikt ich nie używał.

- Masz tyle książek o historii... - marudzę. Marek kolekcjonuje książki o Napoleonie, o wielkich Polakach, ma tu całe długie życiorysy

Wieniawy-Długoszowskiego i gigantyczne tomy Łysiaka, opisane tajemniczymi tytułami: „Cesarski poker” albo „Szachista”.

Najczęściej kupuje w antykwariatach. Wszyscy znają go już tam tak dobrze, że kiedy tylko wchodzi do środka, od razu informują go o „nowościach”. Czasami przechowują dla niego książki pod ladą.

- Bo to najbardziej wartościowe książki - mruczy gdzieś za moimi plecami.

O tak, wartościowe. Marek ceni sobie takie niemodne słowa jak „Honor” i „Ojczyzna”. Godzinami potrafi mi opowiadać o Polakach, którzy z szablą w paszczy przepływali przez jakieś morze, albo o tych, którzy ginęli w wąwozie Somosierry; prawie ma łzy w oczach, kiedy opowiada mi o husarii polskiej pod Wiedniem go-

niącej Turków, albo o Monte Cassino. Nazwy takie jak: Grunwald i Warszawa, wszelkie cudzy nad Wisłami, Orleńskie bronienie Polski przed bolszewikami, powstania, w których Polacy ginęli za wzniosłą Wolność Waszą i Naszą - wszystkie te słowa mają dla niego ogromne znaczenie. Ogromne! Sto razy większe niż codzienność, w której żyje. Pod każdym takim słowem kryje się jakaś wielka karta historii, która go wzrusza lub zadziwia. Dla niego nie są tylko nazwami i nazwiskami - to coś, dla czego warto żyć i umierać.

- Ja tam bym nie mogła zabijać, nawet dla ojczyzny - mówię czasami specjalnie, żeby go rozsierdzić.

Marek wtedy strasznie się denerwuje. Twierdzi, że Ojczyzna to jedna z największych świętości, a ja jestem głupiotką kobietą i że właśnie taka pusta jest logika kobiet, że nie czują się nawet patriotkami.

Czasami z jego słów wynikają awantury.

- Ha! Pewnie, że nie czuję się patriotką! - krzyczę wtedy, naprawdę wściekła. - Jestem obywatelką całej kuli ziemskiej, a to, że urodziłam się akurat w takiej, a nie innej cywilizacji, nic nie zmienia!

Ziejąc nienawiścią, tłumaczę mu, że przecież nie mogłabym zabijać żadnych ludzi tylko dlatego, że napadają na mój kraj.

- Tylko dlatego? - przedrzeźnia mnie Marek i wiem, że przegięłam srodze.

- A co mi daje ten kraj?! - syczę zawzięcie. - Nic! I dla takich polityków mam ginąć?! Twoje niedoczekanie!

- Nie dla ludzi. - Marek naprawdę martwi się o mój poziom ducha i patriotyzmu. - Przecież nie ginie się dla Kwaśniewskiego... przecież ginie się za kraj, za trwałość tradycji, za język ojczysty i całą tę historię...

Oj, dobrze wiem, o co mu chodzi, ale nie chcę tego przyznać, bo strasznie lubię, kiedy się tak fajnie wścieka.

- Irek powiedział mi kilka tygodni temu, że w życiu nie pójdzie do wojska, bo nie chce mu się marnować czasu na takie pierdoły - dorzucam więc podle, żeby dyskusja nie wymarła.

- Irek jest beznadziejny!

Marek był w wojsku. Wprawdzie jak siedział w jednostce, to sprawiał wrażenie strasznie zmartwionego i tylko marzył o wyjściu stamtąd, ale zaraz po wyjściu na wolność zaczął twierdzić, że wojsko jednak dużo daje. Jemu faktycznie dużo dało: przestał gryma-

sić przy jedzeniu jak francuski piesek, skończył z rozczulaniem się nad sobą i chyba bardziej mnie pokochał, bo zaraz potem zaproponował mi małżeństwo.

- Sam mówiłeś, że w wojsku tylko czyści się buty, a nie ma nawet mowy o Honorze i Ojczyźnie - przypominam mu wrednie.

Marek martwi się, bo też pamięta, że tak właśnie mówił. Tyle że...

- Tyle że to nie jest tak do końca prawda, Anetka - łagodnieje. Wobec tego wpycham jego Wielkie, Patriotyczne Książki na

sam przód półki, tak by widać było je nawet z przedpokoju i postanawiam kupić mu w prezencie jakąś pięknie oprawioną biografię, której jeszcze nie ma.

Potem patrzę na niego, kiedy już leży na łóżku senny, z zamkniętymi oczami i wydaje się zupełnie inny, jakby sen przeistaczał go w kogoś, kogo nie znam.

Intryguje mnie ta zmiana, to, że bez głosu i ruchu ulatuje z niego pewna magia.

To samo tyczy się jego przedmiotów, mieszkania, ubrań. Wszystko, co go otacza i co jest dla niego ważne, ma charakterystyczny klimat, który mnie wciąga. Ale tak jest tylko wtedy, kiedy Marek jest w pobliżu.

Ubrania takie, jakie on nosi, zobaczone na innym chłopaku wydają się bezbarwne i pozbawione stylu. Kiedy Marka nie ma w domu, wszystko dosłownie krzyczy o jego obecności, ale stwarza wrażenie martwego i niepozornego.

Bez niego wszystko jest papierowe i nieważne.

Justyna mówi, że w tej sukni mam grube ręce.

- Jeśli mogę ci coś doradzić - szepcze tak, by nikt poza mną tego nie usłyszał i delikatnie nachyla się w moją stronę - to kup sobie suknię z rękawami albo chociaż na ramiączkach... Zobacz...

Przykłada ramiączko do stanika i obraca mnie w stronę lustra.

- Widzisz?

Nic nie widzę! Jest dokładnie tak samo, jak było. Co ta Justyna gada? Nigdy nie miałam grubych ramion! Trochę umięśnione, owszem, ale nie grube.

Justyna widzi moją minę i stara się złagodzić swoje słowa:

- Posłuchaj, sama mówiłaś, że godzinami obrabiasz kamień dłutem i młotkiem. Nikt, kto godzinami tak pracuje, nie będzie miał chudych ramion. Po co to uwidaczniać?

Justyna zawsze taka jest: subtelna, uprzejma, zawsze szepcząca, by czyjeś niepowołane ucho nie uchwyciło strzępka naszych rozmów, chuda jak patyk i dumna z tej chudości. Kiedyś był z niej niezły pulpet, ale potem wyjechała na studia i wychudła. Teraz myśli, że wszyscy powinni dążyć do jej figury.

- Widzisz? - pyta i ostrożnie bierze fragment koronki, by zobaczyć, czy nie ma na niej śladów brudu albo wyciągniętych nitek.

Żałuję, że wzięłam ją ze sobą. Taka szkoda, że nie ma tu Niny. Nina we wszystkim by mi doradziła, powiedziałaaby, że pięknie wyglądam w tej sukni, ściągałaby z wieszaka najbardziej ekstrawaganckie fasony i obie miałybyśmy niezłą zabawę! Wzdycham ciężko za Niną i patrzę w lustro.

Suknie ślubne dzielą się zawsze na dwa rodzaje: suknie z komisu, czyli takie, które nie mają śnieżnej bieli i jak stanie się w nich przed kościołem, to wszyscy będą widzieć, że to Suknia Z Komisu, oraz na suknie nowe, czyli takie, których cena zaczyna się od tysiąca złotych.

Ja szukam w tych od tysiąca złotych.

Suknie Od Tysiąca Złotych to suknie bardzo różnorodne.

- W tym roku modne są czerwienie - przekonuje mnie sprzedawczyni i przesuwa dłonią po dłuugim sznurze wieszaków. Na wieszakach wszystko wygląda mało ślubnie: modele barokowe, rokokowe, renesansowe, oraz tak zwane nowe linie (charakteryzujące się tym, że ich kroje sięgają o sto lat wstecz, a nie o pięćset) krzyczą czerwienią łączoną z bielą, a te najnowocześniejsze nie zawierają już w sobie ani odrobiny bieli.

- Dzisiaj panie odchodzą już od tradycyjnej bieli. Obecnie kobiety po prostu wiedzą, w jakich kolorach im do twarzy i nie zmuszają się do z góry narzuconych schematów.

- Czy ja wiem? - martwię się, patrząc na wieszaki z sukniami a la Scarlett O'Hara idąca na bal. - Chyba nie chcę uciekać od bieli.

- Ależ absolutnie nie w bieli! - wykrzykuje sprzedawczyni. - Pani taka bladziutka i te jasne włosy! Pani zginie w tej bieli!

Och, to straszne! Wszyscy spodziewają się po mnie jakiejś ekstrawagancji, czekają, że załśnię kolorami, piórami i kapeluszeniami niczym tancerka urwana z karnawału w Rio. W końcu ludzie z ASP nigdy nie wyglądają normalnie i zawsze powinni czymś zaskoczyć.

A ja zaskoczę ich normą: welonem sięgającym kostek, białym, niezbyt poszerzanym fasonem sukni pozbawionej wielkich ozdób, rozpuszczonymi włosami i delikatnym makijażem. Ten jeden jedyny raz nie będę miała krwistych ust, wampirzych czarnych powiek i gigantycznego dekoltu. Będę zwyczajną panną młodą, jakich pełno we wszystkich kościołach.

Do ślubu jeszcze tyle czasu, a ja już czuję się tak, jakbym zaraz miała pożegnać się z rodzicami. Nina mówi, że to normalne, bo zamykam przecież za sobą pewien etap życia i rozpoczynam coś zupełnie nowego.

Ninie zwierzam się więc z moich strasznych snów.

Ciągle śni mi się szkło: jest długą ścianą, poza którą nie ma już niczego. Jeśli się o nią oprę, szkło zaczyna we mnie wrastać i kłuje mnie w środku boleśnie. Niezależnie od tego, jak bardzo staram się uniknąć z nim kontaktu, nadchodzi moment, gdy nabieram go w siebie i czuję, jakie jest zimne.

Wieczorem, przed zaśnięciem, chce mi się płakać. Nie wiem, dlaczego. Justyna powiedziałaby pewnie, że to przedślubna depresja i że na głowę upadłam, skoro przeżywam coś takiego, zamiast cieszyć się tym, co będzie. Tyle że Justyna nic nie rozumie i nie wie, ile dla mnie znaczy odejście z domu.

Wiem, że po ślubie nigdy już nie wrócę do rodziców. Jako gość - owszem. Ale niejako domownik.

Nie mogę znieść, kiedy mama rozplanowuje, co zrobi w moim pokoju. Ostatnio nawet rozrysowała mi to na kartce.

- Tu będzie stolik... - tłumaczyła, machając ołówkiem nad projektem pokoju.

- Tu? Tu przecież stoi moja kanapa.

- Twoja kanapa zostanie sprzedana, albo weźmie ją ciocia Marysia. Więc będzie mnóstwo wolnego miejsca i myślę, że dobrze wyglądałby tu stolik.

Mama radzi się mnie we wszystkich sprawach. Kiedyś to ja radziłam się jej, zmuszałam ją, by jeździła ze mną do sklepów, by doradziła mi, co kupić, czekałam na jej zdanie o moich rysunkach. Teraz jest inaczej, role się odwróciły. Odkąd dostałam się na akademię, to mama zaczęła dopytywać się mnie, na jaki kolor pomalować ściany albo jaki kupić abażur. Potem prosiła mnie, bym jeździła

z nią do sklepów i doradzała, w czym jest jej ładnie. Zawsze tłumaczy, że to dlatego, iż nie umie parkować w mieście, a ja wszędzie sprytnie zaparkuję, ale wiem, że to nieprawda. Mama potrzebuje mojej rady i to z każdym rokiem coraz bardziej. To ja kupuję jej pastele do oczu, wybieram farby do włosów. Może też dlatego chce mi się płakać wieczorem: boję się, że sobie nie poradzi beze mnie.

Ojciec martwi się ślubem tak samo jak ja i wcale tego nie ukrywa. Ciągłe mówi zdania w rodzaju:

- Kto ci zrobi takiej dobrej kawy? Albo:

- Kto ci będzie pomagał przy lutowaniu?

Zawsze gani mamę, kiedy ona zaczyna przemyśliwać, co zrobić z moim pokojem, by był najbardziej funkcjonalny. Twierdzi, że nie powinno się nic ruszać w tym pokoju, żebym zawsze mogła przyjechać do nich na weekend i tam mieszkać.

Mam wrażenie, że najchętniej zachowałby ten pokój w stanie nienaruszonym.

Na uczelni wszyscy żyją moim ślubem! Dziewczyny siadają koło mnie z papierosami i wypytyują mnie, jak się z tym czuję, czy już wybrałam suknię, czy robimy kursy przedmażeńskie, czy mamy gdzie mieszkać po ślubie, gdzie się pobieramy, gdzie będzie wesele, a gdzie pojedziemy w podróż poślubną.

- Gabi wyszła za mąż i nigdy nie zrobiła dyplomu - wzdycha Zosia.

- Gabi zawsze była leserem, nie zrobiłaby dyplomu, choćby została starą panną!

Przeszywa mnie okrutnie nieprzyjemny dreszcz. Zosia ma rację: dziewczyny z rzeźby, które wyszły za mąż, nie pokończyły studiów, a jeśli pokończyły, to zniknęły raz na zawsze z artystycznego światka.

- Małżeństwo to taka czarna dziura: wsiąka się w nią i koniec. Nie ma cię dla przyjaciół, nie ma dla świata, koniec z jakąkolwiek samorealizacją - mówi Milena i patrzy na mnie jakoś podle.

Jeśli przypomina się jej teraz Lidka, to mogę się z nią zgodzić: Lidka była naszą koleżanką, właściwie można uznać, że przyjaciółką. Chodziła z nami wszędzie, planowałyśmy wspólnie zrobić wystawę prac malarskich, kombinowałyśmy, czy nie otworzyć jakiejś pracowni rzeźby, w której można by się jakoś realizować po stu-

diach. Lidka podchwytowała wszystkie nasze propozycje do tego stopnia, że w końcu to ona stawiała się motorem jakichkolwiek działań. A potem wyszła za męża za Pawła. Dla nas wyglądało to tak, jakby nagle wpadła w jakąś czarną dziurę i słuch po niej zaginął. Bo to, co z niej zostało po ślubie, nie przypominało już Lidki nawet z wyglądu. Nie dało się o niczym z nią porozmawiać - jeśli zapraszała nas do domu, to zawsze w naszych babskich rozmowach uczestniczyć musiał jej Pawełek. Ciągłe tylko słyszałyśmy, że Pawełek to, że Pawełek tamto, Pawełek jest najlepszy na świecie, a w ogóle to każdej z nas życzy takiego Pawełka... I nie było już mowy ani o pracowni po studiach, ani nawet o wystawie na studiach, ani w ogóle o studiach. Wsiąkła w gary, w patelnie, w dziecko, które nazywa się po ojcu Pawełek i którego wszystkie jak jeden mąż nie cierpimy; nawet nie zatroszczyła się o to, by chociaż ukończyć czwarty rok rzeźby.

- Ze mną tak nie będzie! - odpowiadam żarliwie.

- Dopóki nie będziesz miała dziecka!

Przez podłe słowa Mileny i Zosi i przez wspomnienie Lidki, które nagle ożyło we mnie z potworną siłą, zaczynam bardziej przykładać się do dyplomu. Obiecałam rodzicom i Markowi, że obronę się w czerwcu, na dwa tygodnie przed ślubem, ale jakoś się na to wcale a wcale nie zanoszę! Ciągłe nie mogę złapać profesora, asystent mnie olewa, nikt nie umie mi choćby doradzić porządnego kleju do szkła!

Przez sen o szklanej ścianie wymyśliłam, że zrobię szklany labirynt, ale nic a nic mi nie idzie. Kilka tygodni temu naniosiłam do pracowni całą masę szkła, z którego miał zostać zbudowany labirynt. Kupiłam też wszystkie polecane mi przez asystenta kleje i wydałam na to setki złotych. Tyle że te cholerne kleje wcale nie chcą kleić! Mimo że strasznie dużo z nimi zachodu.

- Pomóż mi jakoś - proszę asystenta, kiedy wpada do mnie do pracowni zobaczyć, jak mi leci.

- Popytaj w sklepach zoologicznych. Powiedzą ci, czym kleją akwaria.

Dobrze wiem, czym kleją akwaria. Sklepy zoologiczne przerobiłam na samym początku mojej szklanej przygody. Teraz potrzebuję fachowców.

Asystent jest beznadziejny. W ogóle nie wiem, dlaczego go przyjęli i to jeszcze do pracowni, w której potrzebny jest dobry asystent, a nie taki łajza. Nasz profesor to światowa gwiazda, ciągle gdzieś jeździ: tu go zapraszają, tam go zapraszają. W rezultacie w ogóle go nie ma u nas. Jeśli zobaczy jakąś pracę przed końcem semestru, to można czuć się zaszczyconym. Na ogół widzi je tylko na wystawie, a potem studenci dziwią się, dlaczego mają takie, a nie inne oceny.

- Jarek, doradź mi - proszę, bo widzę, że asystent już skrada się w stronę wyjścia, a jeśli teraz wyjdzie, to najszybciej zobaczą go za miesiąc. To takie upokarzające! Przecież jest asystentem i sam powinien mi tu doradzać!

Sięgam po ostateczny argument:

- Słuchaj, zależy mi na czasie. Zależy mi na czerwcu, bo pod koniec czerwca wychodzę za mąż. Pomóż mi znaleźć właściwy klej, żebym mogła to zrobić na czas!

- Wychodzisz za mąż?

Asystent zavraca szybkim truchtem. Teraz się uśmiecha zupełnie jak Milena kilka godzin temu. Oj, Boże kochany! Czyżby wszyscy uważali, że na małżeństwie kończy się artystyczna kariera?

- Doradź mi coś - powtarzam z rozpaczą.

Asystent drapie się po czuprynie i rozważa coś. Mam wielką nadzieję, że myśli nad klejem.

-1? - pytam, kiedy cisza się przeciąga.

- Hm. - Znowu ten wredny uśmieszek. - Na twoim miejscu pojechałbym do Wrocławia. Tam jest profesor, który zajmuje się szkłem. Pomoże ci.

- We Wrocławiu?

Dziwne, że asystent mówi coś takiego. Przecież gdyby to była prawda, Nina, która studiuje teraz we Wrocławiu, powiedziała mi o tym, bo moja rozmowa z profesorem oznaczałaby też spotkanie z nią.

Przez chwilę rozważam możliwość wyjazdu do Wrocławia. Bardzo bym chciała spotkać się z Niną, tym bardziej że ona niedługo wyjeżdża i wróci dopiero na mój ślub. Mogłybyśmy się pożegnać przed jej podróżą, zatrzymałabym się u niej i tych kilka dni miałybyśmy dla siebie, na przypomnienie sobie, jak to było dawniej, kiedy jeszcze studiowałyśmy razem.

Przez ułamek sekundy odzywa się we mnie coś cichego, co do tej pory spychałam głęboko, głęboko w siebie. To coś szmerze tak cicho, że mogę udać, iż to tylko złudzenie.

Ogarnia mnie strach, że faktycznie pojedę i spotkam się z Niną. I że faktycznie będzie tak, jak dawniej.

Joasia

Wyjeżdżamy o trzeciej w nocy, kiedy cała Warszawa jeszcze śpi. Jedziemy dużym wozem z wynajętym kierowcą. Z tyłu samochodu leży całe mnóstwo sprzętu muzycznego, a my siedzimy w czterech rzędach.

Kierowca włącza radio, cieszy się na mój widok:

- Nareszcie wybierasz się z nami!

Przed domem wokalistki siedzimy zmarznięci, czekając, aż wszystkie wzmacniacze zostaną jeszcze raz ułożone na tyłach wozu. Jest bardzo zimno, temperatura spadła poniżej zera, otwarte na oścież tylne drzwi jeszcze bardziej wychładzają wnętrze.

Siedzę przy zaparowanej szybie, otulona kocem. Oprócz mnie jedzie jeszcze dziewczyna gitarzysty, której nigdy wcześniej nie widziałam. Ma krótkie, ścięte jak chłopak włosy i bardzo długie rzęsy. Uśmiecha się do mnie sennie i mówi:

- Kurwa, jak mi się chce spać...

Wokalistka zmarznięta jak ja: szyję okutała wielkim niebieskim szalikiem, trzęsie się z zimna w swoim rudym płaszczu, uśmiecha się do mnie na powitanie i siada tuż za mną.

- Jezuu, jedźmy już! - prosi. - Jest tak cholernie zimno!

Nareszcie tylne drzwi zostają zamknięte i ruszamy w drogę. Karol pod kocem dotyka mojej dłoni swoją lodowatą ręką. W radiu Cidney Pollak śpiewa:

„Chomiczówka, Chomiczówka, pierwsze wino, pierwsza wódka...”. Słyszę, jak wokalistka podchwytuje jego śpiew i śpiewa za moimi plecami:

- „Chomiczówka, Chomiczówka, pierwsza dziewczyna, pierwsza lufka...”.

Zamykam oczy i czuję wielką ulgę, że wyjeżdżam z Warszawy. Czuję ulgę, że zobaczę z rana Gdańsk i że Magda przyjedzie na koncert Karola i nareszcie będziemy mogli porozmawiać.

Odpędzam od siebie złe myśli o domu, który został za nami,
O tamtym strychu i równo poukładanych pudełkach.

Odpędzam od siebie chore poczucie winy, że jestem teraz szczęśliwa, a ona leży samotnie, schowana przed ludzkim wzrokiem.

Droga jest niesamowita. Jest dokładnie taka, jak chciałam, żeby była. Muzyka gra pełną parą, za oknami wstał już dzień, gitarzysta pije piwo i ciągle coś opowiada, perkusista siedzi koło kierowcy, stopy oparł na przedniej szybie, Karol śpi, zakryty kocem.

Wokół same pola i lasy. Wszystko mijamy w zawrotnym tempie, ja zajadam się kanapkami i nie mogę oderwać oczu od ostrego jesiennego światła, które wyostrza wszystkie kolory.

- Włącz się! - woła do mnie gitarzysta, więc podchwytyję śpiew
i teraz już wszyscy śpiewamy głośno:

- „Sunday morning the rain has falling...!”.

Perkusista wybija rytm na sztywnym pokrowcu gitary, dziewczyna gitarzysty irytująco papla za moimi plecami:

-Popatrz, Arek, jaki piękny dom... Popatrz, Arek, stadnina koni...

Karol budzi się, kiedy mijamy tamtą stadninę. Przeciera oczy i widzę, jak zaczyna się uśmiechać, wpatrzony w szybę. A za szybą konie biegają luźno po dużej zagrodzie. Ja też się uśmiecham, bo to naprawdę piękny widok. Dotykam dłonią szyby i mówię z niedowierzaniem:

- Takie rzeczy można widzieć tylko po drodze... Wokalistka klęka na siedzeniu, opiera się o szybę i woła do nas:

- Widzieliście? Jakie piękne konie!

Wokalistka nazywa się Karolina. Jest chuda i drobna, ma długie proste włosy farbowane na czarno i ogromne błękitne oczy. Tylko u jednej osoby widziałam tak niebieskie oczy, u Magdy. Tyle że jej mają bardziej rozmarzony wyraz i wydają się bardzo błyszczące, jakby Magda przed chwilą płakała. A Karoliny są jasne i matowe, ciągle uśmiechnięte.

Karolina ubiera się zawsze w czerń, bo uważa, że w czerni wygląda szczuplej. Lubie patrzeć, jak szykuje się na występ w garderobie. Wszystko ma przygotowane po prostu genialnie: wozi ze sobą wielki kufer kosmetyków, ma kilka wersji stroju na scenę i zawsze dba o najmniejsze szczegóły.

Teraz też bardzo dokładnie maluje paznokcie na ognistą czerwień, spryskuje się perfumami i związuje włosy w kite, żeby rozpocząć robienie makijażu. Zawsze powtarza, że jak będzie już znana, to też nie będzie chciała, żeby jakaś kosmetyczka robiła jej makijaż: „Wolę sama to robić!”.

Pałac papierosa, przyglądam się, jak grubo nakłada na twarz i na dekolt fluid i zaczyna rozcierać go kolistymi ruchami. Potem sięga po puder w kamieniu.

- Przyszło dużo ludzi - zwraca się do mnie. - Nie sądziłam, że jesteśmy tutaj tak znani.

Magdy jeszcze nie ma. Powiedziała, że jak przyjdzie, to puści mi sygnał na komórkę, więc sięgam do torebki, żeby sprawdzić, czy przypadkiem w ogólnym hałasie nie przegapiłam go.

- Denerwujesz się przed koncertem? - pytam nieuważnie, bardziej skupiona na komórce.

Uśmiecha się do lustra i zaczyna malować brwi.

- Zawsze jest mi z nerwów niedobrze...

Przyglądam się jej przez chwilę chłodno. Myślę o tym, że Daria uwielbiała koncerty, muzykę, i marzyła, żeby być artystką. Przypominam ją sobie, jak w krótkich spodniach i w kwiecistej koszuli tańczy po kuchni, trzymając przy ustach dłoń zaciśniętą w pięść i udając, że to mikrofon. Tańczy radośnie, trzepie głową i przechyla się do przodu.

Ja w tym wspomnieniu siedzę na wysokim stołku w kuchni i śmieję się do łez.

Jestem jedyną widownią całego spektaklu, więc klaszczę w dłonie i zachłystuję się śmiechem, kiedy Daria rozmija się z głosem Axla Rose i słyszę fałszywe brzmienie, kiedy piskliwie wykrzykuje:

- „Take me down to the paradise city, take me down!”.

Daria zawsze zakochiwała się w muzykach, którzy mieli długie włosy i ubierali się w skórzane spodnie. Zawieszała ściany w swoim pokoju ich plakatami, cały dzień katowała w magnetofonie jeden kawałek, który aktualnie był na topie, kupowała w kiosku wszystkie kolorowe gazety, w których jej ukochany mógł się pojawić, a jeśli faktycznie go tam znalazła, to kładła się wtedy na dywanie i podpierając głowę rękami, wpatrywała się w jego zdjęcie, wzdychając raz po raz.

Czasami z Basią podsłuchiwałyśmy jej rozmowy. Dzwoniła najczęściej do Izy, swojej najlepszej koleżanki, i godzinami opowiadała jej o swoich uczuciach:
- Jest cudowny! Ma takie piękne rude włosy... Och, a jak śpiewa „Don't cry”, to normalnie nie mogę wytrzymać... tak? Ja też myślę, że ma najpiękniejszy głos na świecie...!

Oczywiście najbardziej lubiłyśmy podsłuchiwać, kiedy Iza była u niej i kiedy razem siadały w pokoju Darii i wymyślały różne historie związane z muzykami. Kiedyś podsłuchałyśmy ich rozmowę o pocałunkach. Daria mówiła:

- On musi trzymać ją jedną ręką za tył głowy, a drugą kładzie na jej piersi.

Basia delikatnie uchyliła drzwi ich pokoju, tak, by nie usłyszały. Ja wsunęłam oko w szparę i zobaczyłam na wprost Izę z przetuszczonymi włosami, już wówczas ze sporą nadwagą, gryzącą nerwowo palec:

- Nie, ja widziałam, że drugą ręką trzyma ją pod plecy. Daria stała tyłem do nas, prezentując układ rąk męczyzny na ciele kobiety.

- Przecież widziałam! - zezłościła się. - Widziałam, że kładł rękę na jej piersi!

Iza niecierpliwie machnęła ręką.

- No, ale co dalej? Co będzie, jeśli już tak zrobi? Co powinnam wtedy robić ja?

- Ty musisz rozchylić usta.

- Jak? - Iza próbnie rozchyliła usta, a Basia stłumiła chichot, wciśnięta w szparę koło mnie.

- Lekko, zmysłowo. Nie możesz rozdziawiać paszczy na całą szerokość, masz lekko rozchylić.,.

Iza wciąż nie wiedziała, jak to zrobić, więc Daria podeszła do niej i sama rozchyliła jej usta.

- Tak ma być! -1 co wtedy?

-1 wtedy on włoży ci język do środka.

Iza momentalnie zamknęła usta, przerażona, a ja wybuchłam głośnym śmiechem.

Daria odwróciła się z groźnym wyrazem twarzy, więc rzuciłyśmy się do ucieczki.

- Dogonię cię, wstrętna gówniario! - krzyczała za mną, więc

zaczęłam biegać po wszystkich pokojach, wykrzykując na całe gardło:

- Mamo! Mamo! Daria uczy Iżę całowania...!

Magda wygląda dokładnie tak samo, jak kiedy widziałam ją ostatni raz. Ma nawet na sobie ten sam długi niebieski kozuch, który kupiła w Warszawie, kiedy przyjechała do mnie i Karola na weekend. Na powitanie całuje mnie w policzek i przytula do siebie. Mówi:

- Wszędzie wiszą plakaty koncertowe! Już myślałam, że w ogóle nie uda mi się wejść, tylu tam stoi ludzi...!

Patrząc na nią, ze zdziwieniem uświadamiam sobie, że bardzo mi jej jednak brakuje w Warszawie. Przyglądam się jej włosom - takim samym od dzieciństwa, naturalnie złocistym, pokreconym, sięgającym połowy pleców. Przesuwam wzrokiem po jej ubraniu, po bladej twarzy z rumieńcami.

- Chodź do garderoby... - zachęcam, prowadząc ją za sobą przez tłum ludzi.

Ochroniarzom pokazuję identyfikator i wpuszczają nas za kulisy. Nie idziemy jednak do Karoliny ani do reszty zespołu. Prowadzę ją do pustego pokoju, w którym będziemy mogły porozmawiać.

Na naszym podwórku jedyna Aneta miała kolorowy telewizor i wszystkie chodziłyśmy do niej na dobranocki w kolorze. Rozsiadałyśmy się na kanapie nakrytej żółtą kapą i z rozchyłonymi ustami wpatrywałyśmy się w ekran telewizora. Wydawało mi się, że nie ma nic bardziej fascynującego niż oglądanie kolorowej telewizji. Wszystko wyglądało wtedy niesamowicie, nawet spiker. A najbardziej niesamowicie wyglądały w kolorze popisy łyżwiarskie.

Kiedy oglądałam je razem z Daria u nas w domu, wpatrywałyśmy się w mieszaninę różnych szarości - od bieli po czerń, i z utęsknieniem słuchałyśmy, jak komentator mówi: - „Aleksandra Klimowa ma na sobie złocistą suknię z czerwonym haftem...” albo: „Yoko, którą możemy podziwiać w błękitnej sukience...”. I obie wzdychałyśmy ciężko, bo każda usiłowała sobie wyobrazić, jak to niesamowicie musi wyglądać w kolorze.

Aneta jedyna wiedziała. Potem na podwórku, stojąc w swojej brązowej kurtce i z włosami zaplecionymi w krótkie cienkie warkocze, opowiadała z wyższością:

- Było cu-dow-nie! Wy nie widziałyście tych kolorowych świateł. Całe lodowisko miało wszystkie kolory tęczy!

Strasznie jej zazdrościłyśmy kolorowego telewizora. I oczywiście starałyśmy się ze wszystkich sił być dla niej miłe, żeby się przypadkiem na nas nie obraziła, żeby tylko zaprosiła nas do siebie.

Pamiętam, że strasznie nie lubiłam wtedy Anety. Wydawała mi się zarozumiała i nadęta. I potwornie denerwowało mnie, że ciągle jest chora i że moja mama za każdym razem zmusza mnie, żebym poszła do niej z lekcjami. A najbardziej wkurzała mnie, kiedy czegoś się nie nauczyła i potem w szkole mówiła nauczycielce, że to przeze mnie, bo podałam jej złe zadanie domowe.

Kiedys tak się na nią wkurzyłam, że podniosłam z ziemi pierwszy lepszy kamień i cisnęłam w nią. Kamień okazał się nie taki znowu mały i Aneta, jak nim oberwała, strasznie zaczęła krzyczeć i płakać. W ułamku sekundy zobaczyłam krwawą smugę na jej czole i przerażone oczy Magdy. Zaraz też pomyślałam, że mam przesrane, bo Aneta na pewno przez najbliższy miesiąc nie zaprosi mnie do siebie na kolorową telewizję.

I faktycznie. Wszystkie dziewczyny zostały zaproszone na Delfina Urna w kolorze, a ja jedna stałam pod drabinkami na podwórku i patrzyłam, jak zgodnie idą w stronę bloku Anety. Było mi wtedy tak potwornie przykro, że zaczęłam płakać. Aneta widziała to, ale tylko się odwróciła i przyspieszyła kroku. Basia w ogóle nie zareagowała. Za to Magda podbiegła do mnie i powiedziała szeptem:

- Nic się nie martw, ja obejrzę i zapamiętam dla ciebie wszystkie kolory, żeby potem ci wszystko opowiedzieć...

Minęło tyle lat, a ja wciąż jestem wdzięczna Magdzie za to, co wtedy powiedziała. I za to, że następnego dnia przyniosła mi kilka rysunków Delfina Urna pokolorowanych przez siebie tak, jak to było w bajce.

Teraz śmieję się, pijąc grzane piwo i wciąż się jej przyglądam. Czekam, żeby zaczęła mówić. Chcę, żeby opowiedziała mi o swoim życiu, o jakichś wernisażach, o ludziach, których nie znam, a których ona zna. Chcę, żeby mówiła mi o swoim Jacku i o tym, co planują w przyszłości.

Nie chcę, żebyśmy mówiły o mnie.

Jej życie jest takie proste i szczęśliwe. Nie ma w nim strachu. Nie ma miejsca na nieprzespane noce, pokręcone sny i wspo-

mnienia, od których chciałaby uciec. W jej życiu jest sam spokój! Ma stare mieszkanie pełne pamiątek, męża aktora, zarabia, malując obrazy, i wydaje mi się bardzo szczęśliwa. Wydaje mi się, że w jej życiu nie zdarzyło się nic, co mogłoby ją naprawdę mocno zboleć.

Magda nie mówi mi tego, co chcę usłyszeć. Pyta o Basię, pyta o Karola, krąży wokół pytań o mnie. Patrzy na swoje dłonie i delikatnie odwraca je spodem do góry. Pyta: - Co byś zrobiła, gdybyś wiedziała, że gdzieś na świecie żyje ktoś dokładnie taki jak ty?

Nie wiem, skąd jej to przyszło do głowy.

- Czemu pytasz mnie o coś takiego? Spotkałaś kogoś?

Kręci głową, nagle mocniej zaczerwieniona na twarzy i jakaś zmieszana.

- Ale powiedz... - prosi. - Gdyby tak było, to co byś zrobiła? Nie podoba mi się ta rozmowa i nie wiem, czy chcę ją kontynuować. Odpowiadam niechętnie:

- Oczywiście spotkałabym się z tym kimś.

Teraz się uśmiecha, jej palec kreśli jakieś linie na blacie stołu.

- Zawsze niepotrzebnie stwarzam sobie różne historie.

Nie wiem, czy niepotrzebnie. Ja lubię jej historie, ostatecznie to na nich wybudowałam sobie stabilny pomost, który oddzielił mnie od tego, co stało się piętnaście lat temu.

Za plecami Magdy słyszę jakiś hałas i już wiem, że zespół wchodzi zaraz na scenę. To oznacza, że nasza rozmowa będzie skończona, a nie chcę tego.

Na dworze jest ciepła, jesienna noc. Chyba jednak bardzo stęskniłam się za Gdańskiem, bo teraz nie mogę się napatrzeć na te krzywizny dachów, na rozświetloną Długą, na odrestaurowane fasady kamienic.

Idziemy obok siebie powolnym krokiem w stronę rzeki. Nawet nie muszę mówić Magdzie, że to tam chcę iść, bo przecież jak się tu spotykamy, jest to nasza stała trasa.

Już z daleka wyczuwam zapach wody. Przymykam oczy i wciągam go głęboko.

Kiedyś myślałam, że każda rzeka pachnie tak samo, ale to nie jest prawda. Motława pachnie glonami, statkami i portem. Nigdzie indziej nie czulam takiego zapachu.

Magda wsuwa mi rękę pod ramię, jak za dawnych czasów. Wiem, że chce mnie spytać teraz o Darię i niemal słyszę, jak nabiera niepewnie powietrza, by wypuścić je w cichym:

- Czy myślałaś już, jak rozliczyć się z przeszłością? Marszczę brwi, czując rozlewający się we mnie ziąb, którego tak nienawidzę.

- Napiszę o niej - zaczynam stanowczo, z determinacją. - Dowiem się...

Magda zatrzymuje się, zaskoczona, i patrzy na mnie szeroko rozwartymi oczami.

- Dobry Boże, Asia, nie rób tego! Teraz patrzę na nią niemal ze złością.

Widmo tamtego wieczoru pojawia się w mojej głowie na chwilę. Przez ułamek sekundy widzę rozchylone drzwi mojego mieszkania, wydłużony cień na schodach, twarz opierającą się o futrynę drzwi.

- Po co to robisz? - pyta szeptem Magda. - Nie rozgrzebuj tego, Asia!

Cień na schodach wydłuża się, usta rozciągają się w krzywym uśmiechu.

Słyszę mój własny głos, który wydaje się obcy i nieprzyjemny:

- Tamtego wieczoru coś się stało. Coś złego. I muszę wiedzieć, co to było. Muszę, rozumiesz?

Magda

Mateusz napisał do mnie list.

Natrafiałem w Internecie na zdjęcia Pani obrazów. Zaskoczyła mnie zbieżność moich własnych myśli z tym, co Panią interesuje. Jestem fotografem. Od kilku już lat obserwuję teatralną scenę. Sądziłem, że jestem osamotniony w tej fascynacji, a jednak Pani prace uświadomiły mi, że tak nie jest.

Chciałbym spotkać się z Panią i porozmawiać, jeśli byłaby taka możliwość. Pod koniec marca będę miał prestiżową wystawę w modnej galerii warszawskiej. Byłoby świetnie, gdyby zechciała Pani pokazać na tej wystawie również kilka swoich obrazów.

Pozdrawiam serdecznie

Mateusz Orpel

Od momentu, gdy zaczęłam wspinaczkę po tych krętych schodach, opanowało mnie dziwne wrażenie *déjà vu*.

Przesuwając dłoń po poręczy, starałam się uchwycić strzęp jakiegoś wspomnienia, które nie dawało mi spokoju. Czy byłam tu kiedyś? Ile już razy wchodziłam po tych stopniach na górę? Ile razy widziałam tę właśnie klatkę schodową?

Uniosłam głowę, by zobaczyć płataninę schodów i barierek. Opanował mnie jakiś niewytłumaczalny strach, że zaraz coś się stanie. Wir schodów i pięter, czyjaś dłoń wysoko na barierce, odgłos moich kroków zwielokrotniony przez echo.

Mateusza widziałam wtedy po raz pierwszy w życiu. Wydał mi się blady i niewyspany, a jego mieszkanie, połączone z atelier fotograficznym - zbyt duże i zbyt zabałaganione, żebym mogła czuć się tam dobrze.

Kiedy robił mi kawę w aneksie kuchennym, przyglądałam się zaskoczona jego szczupłej sylwetce, ciemnym, niedbale ściętym włosom, dwudniowemu zarostowi na twarzy.

- Zaraz pokażę ci zdjęcia - powiedział, siadając naprzeciwko mnie w nowoczesnym fotelu z czarnej skóry. Ponieważ usiadł plecami do okna, jego sylwetkę prześwietliło słoneczne światło i musiałam mrużyć oczy, żeby na niego patrzeć.

- Palisz? -Nie.

Smuga dymu z papierosa uniosła się nad jego głowę i rozplynęła na boki. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że z drugiego pokoju dobiegają dźwięki muzyki: sentymentalny ton trąbki i miękkie brzmienie pianina.

Znowu ogarnęło mnie uczucie *déjà vu*: to duszne mieszkanie, słoneczne światło, stara kamienica, muzyka, smuga dymu i Mateusz naprzeciwko mnie, ciemna sylwetka na tle światła.

- Kiedy zobaczyłem twoje obrazy, od razu pomyślałem, że muszę cię jakoś namówić na tę wystawę. Pomyślałem: Nieważne, czy będzie chciała czy nie, ale muszę to zrobić, bo nie mogę przepuścić takiej okazji... Twoje obrazy, to, jak postrzegasz teatr...

Patrzyłam na jego dłoń z papierosem unoszącą się w geście gestykulacji, na smugę dymu zataczającą kręgi, spróbowałam dostrzec pod światło jego twarz.

- Magda... to jest zupełnie tak, jakbyś zamieściła w tych obra-

zach moje widzenie teatru. Nie umiem malować, więc nigdy bym tego tak nie zrobił. Mogę tylko fotografią oddać to, co ty robisz tak świetnie z pamięci! Zaraz pokażę ci zdjęcia.

Kiedy wyszedł do drugiego pokoju, zaczęłam spacerować po atelier i próbowałam zdobyć jakąś wiedzę o nim. Przesuwałam spojrzeniem po fotografiach dziewczyn, dotykałam ręcznie robionej ramki, w której zostało umieszczone zdjęcie zatłoczonej londyńskiej ulicy, mój wzrok przykuły duże kamienie leżące w różnych częściach pokoju: niektóre były wyszlifowane do gładkości, tak że uwidoczniło się całe piękno ich żył i różnobarwnych pokładów, inne chropowate, wręcz odstrasające swoją ostrością.

Moja dłoń zawędrowała do chropowatej części kamienia i szybko się wycofała. Wzrok padł na zdjęcie twarzy jakiegoś aktora w peruce na głowie i makijażu kłowna.

- Skąd masz dostęp do teatru? - zapytał Mateusz, kiedy przeglądałam jego zdjęcia. Oczywiście było, że to, co maluję, i to, co on fotografuje, to teatr poza teatrem, coś, do czego aktorzy nie dopuszczają ludzi z zewnątrz.

- Mój mąż jest aktorem.

Zauważyłam jego pospieszne spojrzenie na moją ślubną obrączkę, on podchwycił mój wzrok szukający fotografii kłowna.

- Ja mam przyjaciela, który pracuje w teatrze. Czasami pozwala mi wejść za kulisy z aparatem fotograficznym... wie, jak bardzo kocham teatr!

Jego bliskość drażniła mnie: ramię przy moim ramieniu, nieświadomy dotyk palców przy przekładaniu zdjęć, ciepło emanujące z jego ciała.

Z bliska zaczęłam dostrzegać w nim jakiś ulotny urok, który wydał mi się równie znajomy jak mieszkanie, zdjęcia i kamienica.

Mateusz nie miał ładnej twarzy, ale ciekawą: duże zielone oczy, szczupły ostry nos i wydatne usta.

Zamiast patrzeć na zdjęcia, przesuwałam wzrokiem po jego ramionach, wyławiałam spod ubrań szczupłą, ale ładnie zbudowaną sylwetkę, przyglądałam się miejscu, gdzie ciemne włosy kończyły się nierówną krawędzią, odsłaniając kark.

Zlustrowałam spojrzeniem jego palce u rąk. *Jeśli kształt paznokci jest zbliżony do podkówki, oznacza to, że mamy do czynienia z osobą inteligentną, ambitną, wesołą, otwartą na ludzi...*

Nie mogłam dostrzec wnętrza dłoni Mateusza przy przekładaniu zdjęć, ale z kształtu jego palców wyczytałam, że realizuje w dobry sposób swoje plany zawodowe, że przywiązuje wagę do religii, duchowości i ideałów, że nie jest zbyt dobry w podtrzymywaniu rodzinnych tradycji, ale ma pozytywny stosunek do przyjaciół, a jego życie duchowe zależne jest od innych ludzi.

- Nie słuchasz mnie, prawda? Podniosłam na niego wzrok, zmieszana.

- Przepraszam. Patrzyłam na twoje dłonie.

- Na dłonie? - Uniósł je, nareszcie odwracając wnętrzem do góry. - Dlaczego? Przez ułamek chwili, zanim je opuścił, dostrzegłam liczne linie pokrywające wypukłość wzgórza przy kciuku. Te linie oznaczały strach, wymówki i kompleksy. Miałam wielką ochotę odwrócić jego dłoń tak, by zobaczyć, jakie i ile związków miał w życiu. Moje spojrzenie odnotowało liczne kreski i wysepki odbiegające od linii serca: momenty zatrzymania się w celu szukania wewnątrz siebie odpowiedzi na problemy w związkach, rozstania...

- Zobaczyłam twoją bliznę - powiedziałam cicho. Odruchowo cofnął dłoń w głąb rękawa.

- To nic takiego. To się stało kiedyś przy szlifowaniu kamienia. Skinęłam głową i sięgnęłam po pierwszą z brzegu fotografię.

Zanim tu przyjechałam, zajrzałam na jego stronę w Internecie. Chciałam się przygotować na to spotkanie, zobaczyć, co on tworzy i dlaczego uważa, że robimy podobne rzeczy.

Strona Mateusza okazała się bardzo profesjonalna i ciekawa. Najpierw weszłam w linki z wiadomościami o nim: dowiedziałam się, że kończył Akademię Sztuk Pięknych, wydział fotografii, że obecnie mieszka i tworzy w Gdańsku i że ma na swoim koncie wiele nagród oraz całe mnóstwo wystaw.

Z narastającym zdziwieniem czytałam długą listę miejsc, w których odbyły się jego wernisaże. Były tam właściwie wszystkie miasta Polski; co dziwniejsze, okazało się, że Mateusz wystawiał

również w Berlinie i w Paryżu i że współdziałała z jakąś londyńską grupą fotografów przy tworzeniu „Pejzaży miast”.

Kiedy jednak znalazłam jego zdjęcia, poczułam się tak, jakby ktoś zazartował sobie ze mnie.

Aż za dobrze pamiętałam własne słowa napisane w dzienniku kilka miesięcy wcześniej: *Tak trudno jest znaleźć ludzi, którzy dzieliliby ze mną fascynację sceną.* Mateusz dzielił moją fascynację. I robił dokładnie to, co ja bym robiła, gdybym miała do dyspozycji aparat fotograficzny i gdyby interesowało mnie robienie zdjęć. Ukazywał teatr kameralnie, dbając, by w każdym ujęciu skupiać wzrok widza tylko na jednej postaci lub na jednym elemencie.

Fotografował aktorów w przebieralniach, ich dłonie, kiedy gestykulowali, mówiąc. Skupiał się na wrażeniu sztuczności i ruchu, jakby w teatralnej sztuce widział dokładnie to, co ja.

Najbardziej spodobały mi się zdjęcia, w których on sam tworzył wielki spektakl - ten spektakl zaczynał się za kulisami, w atmosferze nerwowego pośpiechu, gdy aktorzy szykują się, by wyjść na scenę, gdy przez kotary spoglądają na publiczność, a ich gesty i twarze są o wiele żywsze i dużo ważniejsze niż na deskach sceny.

Kilka tygodni po pierwszym spotkaniu zaczęliśmy rozmawiać przez Gadu-Gadu.

Zapytałam go:

Czy jest epoka, którą lubisz jakoś szczególnie?

Mateusz nie odpisywał przez chwilę i już myślałam, że nie ma go przy komputerze, kiedy przyszła odpowiedź:

Nie wiem, co dokładnie masz na myśli, ale chyba dziewiętnasty wiek. Podobają mi się ubiory tamtych ludzi i ta cała otoczka wokół artystów. A tobie?

Mnie też - odpisałam. - Zawsze czułam jakąś szczególną nostalgię do Paryża, do impresjonistów, do tej całej francuskiej bohemy. Tyle o nich czytałam... Zawsze myślałam, że tak będzie wyglądać moje życie, jeśli zostanę artystką.

To znaczy jak? - zapytał.

Ze będę tworzyła do utraty tchu i że kiedyś wyjdę za jakiegoś francuskiego artystę.

W jego wiadomości pojawił się uśmiech, a potem napłynęły słowa:

Dlaczego zawsze Paryż? Dlaczego wszyscy artyści chcieliby mieszkać w Paryżu? Wtedy zaczęłam się śmiać.

Paryż w moich marzeniach był enklawą sztuki dawnej. Nie zmieniał się mimo upływu lat. Nigdy do niego nie pojechałam, więc zawsze mogłam marzyć, że wygląda jak w osiemnastym i dziewiętnastym wieku.

W moich marzeniach widziałam te wszystkie piękne miejsca, sycące moją wyobraźnię: Sacré Coeur, Louvre, Place Pigalle, Moulin Rouge, Montparnasse, Montmartre...

Lubiłam powtarzać francuskie słowa, bo niesamowicie podobało mi się ich brzmienie. Nie było szorstkie, jak w polskim języku. Ani zbyt miękkie, jak w angielskim. Nie szeleściło różnymi sz, cz, ś jak w języku Hiszpanii. Było gładkie, melodyjne, trudne i dlatego piękne.

Znasz francuski, Magda?

Nie. I nigdy się go nie uczyłam.

Skoro tak lubisz ten język...?:))

Uśmiechnęłam się, odgarniając sobie włosy z twarzy.

Jakoś nigdy nie było okazji.

Ale w Paryżu byłaś?

Też nie.

Niemal czułam, jak Mateusz uśmiecha się przed swoim komputerem i przez moment przypomniał mi się jego uśmiech. Był bardzo miły i zupełnie zmieniał jego poważną twarz.

Przeczytałam kolejne słowa na ekranie:

Nie rozumiem... Kochasz Paryż, ale nigdy tam nie pojechałaś. Lubisz francuskie słowa, ale nie uczyłaś się ich... dlaczego tak? Nie było okazji.

Przecież nu pewno w liceum organizowano wam wycieczki do Paryża Tak, to prawda. Organizowano, i to wiele wycieczek, ale na żadną nie pojechałam. Ale dlaczego?

Żałowałam, że nie rozmawiamy chociażby przez telefon ~ byłoby o tyle łatwiej. Nie umiałam jeszcze pisać na tyle szybko, żeby przelewać bez problemu swoje myśli na klawiaturę. Pisałam dość wolno, robiąc przy tym mnóstwo błędów i czasami kilka sekund szukając konkretnej litery. Teraz też zajęło mi chwilę, nim przesłałam mu odpowiedź:

Nie chciałam jechać na wycieczkę do Paryża i ganiać jak pies gończy: teraz Luwr, proszę państwa, mamy trzy godziny, więc proponujemy pójść do sali tej i tej... wieczorem wieża Eiffla, kupujemy bilety, szybko, szybko... winda czeka... to są paryskie kawiarnie, ale wy nie jesteście pełnoletni, więc jedziemy do Disneylandu... potem cmentarz i obowiązkowe groby Morrisona i Chopina, Może uda się zdążyć do Sary Bernhardt...

Mateusz przestał mi roześmianego emotiona, a potem spytał:

Więc jeszcze chcesz pojechać kiedyś do Paryża?

Zamyśliłam się. To było dobre pytanie.

W Paryżu było wszystko, o czym marzyłam: mój wymarzony malarz, akademie, kafejki z absyntem, kościoły z dzwonami

O miękkim brzmieniu, było wielkie malarstwo i wielka rzeźba. Pod nazwą Paryż kryła się prawdziwa miłość, prawdziwa zdrada, prawdziwe twórcze życie i prawdziwa sztuka.

Jeśli miałabym pojechać do Paryża, to nie na wycieczkę i nie na wczasy. Nie chciałabym też pojechać do żadnych znajomych w Paryżu, ani nawet na całe wakacje.

Nie rozumiem. Więc czego byś chciała?

Chciałabym zamieszkać w Paryżu. Na całe życie.

Wstydziałam się dodać, że zawsze miałam dziwne uczucie, że życie, które tu wiodę, to jakaś atrapa, teatr, cień życia, a prawdziwe życie toczy się właśnie w Paryżu.

Mateusz wahał się długą chwilę, zanim zapytał:

Więc dlaczego nie wyprowadzicie się do Paryża?

Kiedyś zapytałam o to Jacka. Zapytałam: „Dlaczego nie moglibyśmy po prostu tak zrobić? Spakować się, pojechać tam, wynająć jakieś mieszkanie i zacząć układać sobie tam życie?”

Nie dopowiedziałam, ale myślałam o tym, że klepiąc w Paryżu taką samą biedę jak w Gdyni, mając taki sam grzyb na ścianach

i odpadający strop w suficie, ale mając to w Paryżu, czułabym się

O niebo szczęśliwsza, niż mając to wszystko w Polsce.

Jacek nie pokochałby Paryża, byłam tego pewna. Jacek lubił schematy, drobne przyjemności, przywiązywał się do miejsc i ludzi.

I nie pragnął niczego ponad to, co już miał.

Zresztą nie pasowałby do Paryża, pomyślałam z rozbawieniem. Co bym z nim zrobiła, gdybym spotkała tego swojego malarza? Przecież miłość w Paryżu też miałaby inny wymiar, zupełnie różny od tego, który już znam.

Wiesz?... - napisał Mateusz - ja dość często bywam w Paryżu. Dziwię się, że dla Ciebie Paryż to jakiś szczyt wielkiej góry.. Przecież on tak naprawdę jest na wyciągnięcie ręki.

Nie dla mnie - odpisałam.

Po długiej chwili, podczas której zrobiłam sobie kawę i wróciłam do komputera, znalazłam kolejne pytanie:

Ale powiedz mi, dlaczego akurat Paryż? Czy to przez książki, o których pisałaś, czy przez jakiś film?

Moja szkoła średnia znajdowała się w centrum Gdyni. Jedyną osobą z podstawówki, która poszła ze mną do tej szkoły, była Joasia. Aneta dostała się do liceum plastycznego, a Basia poszła do najbardziej wziętej wówczas szkoły, która słynęła z bardzo dobrze postawionego angielskiego i była marzeniem większości uczniów. Joasia i ja znalazłyśmy się w różnych klasach: ja wybrałam profil humanistyczny, a Joasia rozszerzoną biologię i chemię.

Widywałyśmy się wówczas na korytarzach szkolnych i w autobusie jadącym do naszej dzielnicy. Może właśnie dzięki temu po kilku latach bez kontaktu znowu zaczęłyśmy więcej ze sobą rozmawiać.

Nasz kontakt urwał się, kiedy byłyśmy w szóstej klasie. Zresztą urwał się nie tylko nasz, lecz kontakt Joasi z wszystkimi w ogóle koleżankami.

W tamtym czasie w jej domu wydarzyła się jakaś wielka tragedia, która rzuciła cień na kolejne lata jej życia. Nikt z nas nie wiedział dokładnie, co się stało. Dzieci w szkole mówiły, że siostra Joasi uciekła z domu. Bardzo wiele było wtedy plotek na ten temat: jakaś dziewczyna twierdziła, że Daria uciekła ze swoim chłopakiem, ktoś inny upierał się, że zaczęła brać narkotyki i dlatego uciekła. Niektórzy podobno widywali ją w różnych częściach Polski i donosili o tym jej rodzinie.

Moi rodzice znali zupełnie inną historię, wcale nie optymistyczną. Twierdzili, że Daria nie żyje. Ktoś porwał ją i albo wywiózł z Polski, albo zamordował i ukrył zwłoki.

Wtedy nie wiedziałam, co naprawdę wydarzyło się w domu Joasi i przez jakie piekło musieli przechodzić jej rodzice oraz ona sama. Nie miałam do niej jednak żalu, kiedy odsunęła się od nas wszystkich.

Dużo później dowiedziałam się, że Joasia zniknęła z naszego życia głównie dlatego, że rodzice przenieśli ją do jakiejś podstawówki w Sopocie i że to właśnie tam ukończyła szkołę.

Położenie naszego liceum ogólnokształcącego było komfortowe - miałyśmy blisko na Bulwar Nadmorski, na Skwer Kościuszki i do wszystkich możliwych sklepów. Z czasem zaczął wciągać mnie coraz bardziej świat Joasi. Wydawała mi się zupełnie obca i ta obcość zmuszała mnie, żeby poznawać ją od początku, krok po kroku. Lubiłam obserwować ją, kiedy marzyła o czymś głośno: przymykała oczy, a na jej usta wypływał pogodny uśmiech. Czasami splatała ręce z tyłu, zupełnie jak jej tata. A czasami przypominała mi swoją siostrę: w podobny sposób zabierała się do jedzenia, zupełnie jak tamta gestykulowała i śmiała się głośno dokładnie tak samo. Oczywiście zdawałam sobie sprawę z tego, jak bardzo wyróżniamy się na tle innych dziewcząt z naszej szkoły. Nie byłam też nieświadoma chichotów dobiegających zza naszych pleców.

Łączyło nas upodobanie do niemodnych ubrań i długich włosów. Wszystkie dziewczęta wokół nas ścinały się na krótko, nosiły dżinsy i sportowe obuwie, a my z uporem przychodziłyśmy ubrane w długie spódnice albo w kwieciste sukienki, w spodnie z kantem i bluzki z ery hipisów.

Strasznie to w nas lubiłam i może właśnie dlatego czułam się z Joasią tak dobrze. Podobało mi się, że nie jest hałaśliwa, że mówi zawsze spokojnie i cicho, że nie wystaje za rogiem szkoły z papierosem w ustach i że nie myśli o imprezach tylko pod kątem wypicia kilku piw.

Dziewczyny w szkole myślały chyba, że jesteśmy strasznie religijne i nieśmiałe. To dlatego nabijały się z nas i ciągle o nas szeptały.

Nic nie wiedziały o naszym intymnym świecie.

Oczywiście że paliłyśmy papierosy! Ale były to wąskie i długie papierosy, które wkładałyśmy najpierw do ustnika podkradzonego mojej mamie.

Kiedy jej rodzice wyjeżdżali, przygotowywałyśmy sobie prawdziwe wieczory!

Były wypełnione szczegółami - srebrnymi tacami z przedwojennej zastawy mojej babci, eleganckimi popielniczkami, be-bopem i nastrojem czegoś starego.

Nie wiem, skąd u mnie wzięło się uwielbienie dla wszystkich starych bibelotów, ale wiem na pewno, że Joasia przez tamte dziwne lata naszej zażyłej przyjaźni podzielała tę fascynację.

Razem malowałyśmy się w łazience jej rodziców. Znalazłyśmy kilka magazynów przedwojennych i robiłyśmy sobie makijaże na wzór tamtych modelek. Ja przynosiłam do Joasi sukienki z młodości mojej babci i godzinami je przymierzałyśmy. Pamiętam, że to były bardzo zmysłowe ubrania i wówczas zastanawiałam się, dlaczego właściwie wyszły z mody. Te wszystkie czarne pasy do pończoch, te podwiązki, halki na wąskich ramiączkach, sukienki podkreślające figurę i buty na wysokich obcasach, zapinane na kostce...

Joasia czasami mówiła z nostalgią:

- Gdybyśmy miały pieniądze, mogłybyśmy wypożyczyć z teatru suknie nawiązujące do średniowiecza i pojechać na działkę moich rodziców!

Pomysł wydawał mi się niesamowicie czarowny, tak jak i cała otoczka mu towarzysząca.

Działka rodziców Joasi znajdowała się pod Gdańskiem i była mieszkalnym domem, więc mogłybyśmy spędzić tam kilka dni. Joasia mówiła, że niedaleko znajduje się stadnina koni, którą prowadzi jej znajomy. Pomysł nabierał rozmachu, kiedy ubrane w przedwojenne stroje paliłyśmy długie papierosy, zaśłuchane w be-bop.

Ponieważ zawsze starałyśmy się, aby nasze wieczory były niesamowite, często rozmawiałyśmy o duchach i o parapsychologii. To Joasia pierwsza zaproponowała, żebyśmy zrobiły sobie tarczę i spróbowały wywołać ducha.

Ona też pierwsza przeczytała hitową wówczas książkę Alana Moody'ego „Życie przed życiem” i znalazła w księgarni drugi, mniej popularny tom tej książki „Życie po życiu”.

Tak dokładnie pamiętam, kiedy pierwszy raz wzięłam ją do ręki. Była mała, miała błyszczącą czarną okładkę z jakimś eterycznym rysunkiem. Trzymałam ją w rękach jak coś nieprawdopodobnie cennego, ponieważ Joasia powiedziała mi wcześniej coś bardzo ważnego. Coś, co zmieniło wszystko.

Powiedziała:

- Z tyłu jest taki konkretny przepis na domową regresję hipnotyczną.

Jeszcze wtedy nie miałam pojęcia, co to jest regresja hipnotyczna i jak bardzo może odmienić moje życie. Joasia wyjaśniła mi, że to pewien rodzaj hipnozy, który pomaga sięgnąć pamięcią wstecz.

- Jak bardzo wstecz? - zapytałam, zaskoczona.

- Bardzo - odpowiedziała. - Do twoich poprzednich wcieleń.

Nie rozumiałam jej uśmiechu i nie byłam pewna, czy chcę spróbować tego, o czym mówiła. Joasia wiedziała o tym i dlatego tak dziwnie się uśmiechała. Dlatego też uspokajająco powiedziała, że na pewno nic z tego nie wyjdzie.

- Moi rodzice wyjeżdżają w przyszłym miesiącu do ciotki. Mogłybyśmy... - zaczęła i urwała, patrząc na mnie z pytaniem w oczach.

Bałam się i coś we mnie szeptało, że Joasia nie ma racji. Innym ludziom może nie udaje się zahipnotyzować w taki sposób, ale miałam w sobie jakąś irracjonalną pewność, że nam się uda.

Odpowiedziałam niepewnie:

- Jeśli chcesz, to zahipnotyzuję cię wtedy.

Kiedy jednak nadszedł tamten wieczór, stało się oczywiste, że to ja będę hipnotyzowana.

Basia

Nie widziałam go od kilku dni. Kiedy wieczorem łączę z Kapciem za balkonami, nie widzę też światła w jego oknach. Od prawie dwóch tygodni ma żaluzje - granatowe i tak szczelne, że nie ma najmniejszych szans, bym mogła go jeszcze podejrzeć.

- Gdzieś wyjechali? - pytam podstępnie Iwonę. Iwony największym hobby jest życie sąsiadów, więc powinna wiedzieć, co się dzieje z parą z parteru. Pytam tak, by Iwona pomyślała, że to zwykła ciekawość, ale ona zaraz mruży oczy, jakby już wszystkiego się domyślała.

- A po co ci oni?

Wzruszam ramionami, zapalam papierosa.

- O Chryste, nie możesz odpowiedzieć normalnie? Wyjechali? Kręci głową.

- Ona chyba wyjechała... On nie.

Moja przyjaciółka Joasia wraca do Warszawy z końcem września i od razu wszystko nabiera niezłego tempa! Teraz dopiero zaczyna być fajnie, tym bardziej że Joasia w kilka dni po przyjeździe dzwoni do mnie z dobrymi wieściami:

- Mam dla ciebie pracę... Tak na razie, zanim znajdziesz coś fajniejszego!

Dwa dni później jedziemy aleją Jana Pawła II do wielkiego, wypasionego salonu obuwniczego. Joasia mówi, że szefowa to jej znajoma i że nie będzie żadnych problemów. Podobno jest cholernie bogata, srająco uprzejma - Aśka robiła jej chatę w zeszłym roku.

Sklep jest ogromny i wygląda niesamowicie. Jezu! Do tej pory nie miałam wiele wspólnego z takimi sklepami. Teraz płaczę wzrokiem dookoła i jestem zakręcona jak młynek od wgapienia się w każdy jeden but! I ja mam tu pracować?

- Jezu... - mówię szeptem do Aśki, a Asia przytakuje:

- Niezłe, prawda?

Przy szefowej i przy ekspedientkach zgrywamy się oczywiście na damy: proszę, przepraszam, ależ oczywiście, nie, nie, to bardzo miło itp. Takie tam gadki, które zawsze trzeba zapodawać, szukając pracy. Joasia jest w tym lepsza, bo od kilku już lat rozmawia z eleganckimi pannami o sztuce, o tkaninach na ich okna i o meblach. Teraz też siedzi bardzo odprężona, z uśmiechem przyklejonym do twarzy, na paznokciach wymalowała sobie jakieś wzorki, ubrała się w najelegantszy swój płaszcz i mówi głosem cichym, ale i stanowczym.

Moja nowa szefowa uśmiecha się miło, biorąc moje CV do ręki.

-Pani ma wyższe wykształcenie... - stwierdza, oglądając dokładnie mój życiorys: - Czy ta praca nie jest dla pani zbyt... - Szuka właściwego słowa, ale przerywam jej szybko, bo dobrze wiem, do czego zmierza:

- Nie, właśnie takiej pracy szukam. Potrzebuję odpocząć po studiach od wszelkich papierów i...

I wszelkiego gówna - kończę już w myśli.

Zaczynam od poniedziałku. Słońce świeci cudownie, z drzew spadają czerwone liście.

W salonie dziewczyny wprowadzają mnie w niuanse pracy sprzedawcy, pokazują najnowsze modele, każą zapoznać się z cenami.

Mówią, że przez kolejne dni będę przyglądać się ich pracy, aż zaczną być na tyle oblatana w towarze, żeby przyjmować klientów.

Całkiem fajne są te laski, naprawdę mile i wcale nie patrzą na mnie złym okiem, że jestem znajomą znajomej szefowej i że dostaję niezłą kasę już w pierwszych dniach stażu.

Na zapleczu częstuję je papierosami i nawet staram się z nimi zaprzyjaźnić!

- Zawsze chciałam pracować w takim salonie - wyznaję, kiedy chichoczymy jak małolaty nad popielniczką i papierosami; szefowej nie ma i klientów też zero.

Patryk mówi, że szczęście jest jak bryłka lodu, którą trzeba zatrzasnąć w zamrażalniku, jeśli się chce mieć je na własność. Myślę więc sobie, że może ja właśnie będę szczęśliwa dzięki tej pracy? Może przestaniemy się wreszcie kłócić z Patrykiem, zrobi się znowu fajnie, będziemy tęsknić do siebie i skończy się cały ten bajzel. Może jeszcze wszystko się poukłada?

Mojego sąsiada widzę przez szybę wystawową w późne popołudnie któregoś z pierwszych dni października. Ma na sobie brązową katanę, na głowie żółtą czapkę, a pod pachą dźwiga coś szczelnie zapakowanego - oczywiście to coś jest wąskie i prostokątne. Wchodzi do jakiegoś sklepu po drugiej stronie ulicy. Wychodzi kilka minut później. Już nie ma pakunku pod pachą. Poprawia żółtą czapkę na głowie i przebiega ulicę, sprytnie lawirując między stojącymi w korku samochodami. Jest teraz tak blisko mnie, że gdyby podniósł głowę, nasze spojrzenia by się spotkały. Ale on nie patrzy, mija moją szybę wystawową, nawet nie odwracając głowy w jej kierunku, i znika mi z oczu.

Wieczorem idę więc pod tamten sklep, w którym zostawił pakunek i rozplaszczam się na szybie wystawowej. W środku pozapalane są światła i jak na dłoni widzę długie rzędy obrazów.

- Jasny gwint! - szepczę zaskoczona i zaczynam się śmiać głośno, z niedowierzaniem.

Teraz, kiedy już tu stoję, to w sumie wydaje mi się oczywiste, że mój sąsiad musi być malarzem. Przecież nawet wygląda jak malarz! I pachnie jak malarz, tą całą terpentyną czy jak się nazywa to świństwo...

Jak fajjiiie, że jest malarzem! - myślę i nie wiem, dlaczego, ale to, że on faktycznie jest artystą, dodaje mu uroku i wydaje mi się jakoś strasznie nęcące.

Pukam do jego drzwi i odruchowo poprawiam włosy. Nikt nie otwiera, więc jeszcze raz pukam. Zza drzwi słyszę jazz. Znowu pukam, ale nikt się nie kwapi, by mi otworzyć. A przecież na mur beton ktoś jest w środku!

- Dobra, jasne... - mruczę pod nosem, zniechęcona, i wracam na schody.

Wtedy rozlega się za mną kobiecy głos:

- W czym mogę ci pomóc, sąsiadko?

Odwracam się. Patrzę na nią, mrugając oczami. W życiu bym się jej tu nie spodziewała! Przecież nawet nie było jej jeepa na podjeździe! A teraz stoi w drzwiach, z jakąś czerwoną chustą na głowie, z papierochem w ręce, w krótkich spodenkach i kusej bluzce, odsłaniającej ponad połowę jej małych piersi.

Patrzę na nią tak zdziwiona, że jeszcze chwila i ona wybuchnie śmiechem. Patrzę, jaka jest chuda. Jezuuu! - myślę kompletnie tracąc pewność siebie. Jak jakaś anorektyczka!

- Pukałaś? - pyta, zaciągając się papierosem.

Kompletnie nie wiem, co powiedzieć. Teraz to wszystko, co powiem, jest bez sensu!

W życiu się tak nie zbłaźniłam! Dobrze wiem, że robię się czerwona jak burak i burczę jak jakaś idiotka:

- Pukałam, bo.... -Bo?

-Bo usłyszałam tę muzykę... - wyduszam z siebie w końcu. - Jest niezła.

Dobrze wiem, jak brzmią moje słowa i niemal podziwiam ją, że nie pękła jeszcze ze śmiechu. Ja na pewno bym pękła!

- To muzyka Sebastiana - odpowiada spokojnie, jakby wcale nie widziała mojej kompromitacji. - Jak wróci, to powiem mu, żeby do ciebie zajrzał i pożyczył ci ją. Ja nie mam pojęcia, co to takiego... Wiesz, te wszystkie płyty, które on tu trzyma, nie mają okładek, nie są opisane.

Kiwam głową - dobra, ok - i jak najszybciej chcę się stamtąd zmyć.

- Na którym mieszkasz piętrze? - woła za mną.

- On wie - odpowiadani jeszcze bardziej idiotycznie, bo przecież wcale nie mam pewności, czy Sebastian wie, gdzie mieszkam, i sama nie wiem, po co tak głupio powiedziałam!

Wieczorem ja, Kapeć i Patryk przemierzamy trawnik za balkonami naszego bloku. Kapeć obwąchuje każde ocalałe po lecie źdźbło trawy, Patryk ciągle mi opowiada o swojej ostatniej rozmowie z szefem, ja wymachuję z nudów smyczą i staram się słuchać.

Jedno okno mojego sąsiada jest uchylone i słyszę jakieś uniesione głosy. Patryk ciągle coś gada i gada, a ja kompletnie przestaję go słuchać. Chciałabym, żeby się zamknął, to może usłyszałabym, co to za awantura.

Bo tam rozgrywa się jakaś awantura! Słyszę głos tej chudej dziewczyny: wrzeszczy i wrzeszczy, padają straszliwe przekleństwa. Potem coś rozbija się o ścianę.

Patryk momentalnie milknie i oboje zadzieramy głowy w stronę tamtego okna.

Teraz już wyraźnie słyszymy dobiegające ze środka wrzaski i jakąś kotłowaną.

Dziewczyna płacze, klnie i rzuca czymś po mieszkaniu. On wrzeszczy na nią, żeby się uspokoiła.

Niespodziewanie koło nas przelatuje jakiś przedmiot. Patryk odskakuje akurat na czas, żeby nie zostać uderzony tym czymś. Oboje patrzymy na siebie zaskoczeni, Kapeć kładzie po sobie uszy i zmyka w pobliskie krzaki. Patryk podnosi przedmiot z ziemi i obraca niepewnie w palcach.

- To popielniczka - mówi zaskoczony.

- Mosiężna - dorzucam i odwracam się w stronę okna. Widzę Iwonę na balkonie; na pewno słyszała całą awanturę lepiej niż my, bo mieszka nad Sebastianem. Iwona kiwa nam ręką, wychyla się przez barierkę i nasłuchuje.

- Jezu, chodźmy stąd. - Patryk jest wyraźnie zdegustowany. - Chodź, Baśka, przecież jak ci kretyni wyrzucą jakiś mebel, to jeszcze nam spadnie na głowy!

Ja nie mogę się pohamować i śmieję się głośno. Pod ciężkim wzrokiem Patryka zakrywam usta rękami, żeby zdusić chichot, ale to się nie udaje.

W ich mieszkaniu zapada cisza. Na tle rolety zarysowuje się wysoki cień, który może być Sebastianem, ale nie mam pewności.

Patryk nie czeka na dalszy rozwój wydarzeń, woła Kapcia, wścieka się, że Kapeć nie biegnie do niego od razu, potem bierze mnie za łokieć i prowadzi w stronę ścieżki między krzakami.

- Spadajmy stąd... mogli rozbić mi głowę! Jeszcze raz się zaczną tak awanturować, to wzywam policję!

Z rana ktoś puka do moich drzwi, więc zakładam szlafrok i idę otworzyć.

Jest sobota, Patryk jeszcze śpi w drugim pokoju, ja zaczynam pracę dopiero o jedenastej. Idąc korytarzem, rzucając okiem w lustro i widzę, jak strasznie wyglądam. Jak własna karykatura: rozkurzone włosy, piżama porozpinana z przodu i te śmieszne kapcie, które dostałam od Magdy - kapcie z głowami uśmiechniętych kotów.

- Iwona, to ty? - wołam, odsuwając zasuwę. Jasne, że to Iwona, bo to jej pora: zawsze przychodzi o dziewiątej na kawę do mnie i plotkuje o wszystkich sąsiadach. Teraz pewnie chce mi naplotkować o wczorajszej awanturze.

Otwieram i staję oko w oko z Sebastianem.

- O nie! - wyrywa mi się na głos, a moje serce momentalnie zaczyna bić trzy razy za głośno i za nerwowo. ~ Tylko nie ty i nie teraz!

Patrzy na mnie najpierw zaskoczony, a potem zaczyna się śmiać. Ja pospiesznie oglądam się za siebie. Pewnie powinnam wpuścić go do środka, ale w środku jest straszny bałagan i w dodatku Patryk zaraz mu coś dosra na temat tamtej popielniczki. Poza tym w życiu nie wyglądałam gorzej!

- Nie mogę cię wpuścić - mówię szybko. - Straszny mamy bałagan.

Sebastian puszcza słowa mimo uszu, z zaciekawieniem zerka na moje kapcie.

- Fajne... - Z rozbawieniem wskazuje ręką na uśmiechnięte koty. Mimo woli poruszam stopami, więc wygląda to tak, jakby koty naszyte na moje kapcie kiwały głowami. Zaczynamy się śmiać.

- To prezent. Zawsze dostaję takie głupie prezenty!

- Bardzo fajny prezent.

- Moja koleżanka ma takie głupie pomysły. Nigdy nie dostałam od niej nic normalnego.

Opieram głowę o framugę drzwi, podnoszę na niego wzrok. Pierwszy raz widzę go z tak bliska. I bardzo mi się podoba. Wyglą-

da, jakby gdzieś się wybierał ma na głowie tę samą żółtą czapkę, którą widziałam u niego na ulicy. Podobają mi się kolory jego ubrań: rudy sweter z golfem, sprane dżinsy, brązowa, trochę wytarta kurtka. Podoba mi się jego zarost: trochę rudawy, pasujący do brązowych włosów wystających spod czapki. Podobają mi się też jego oczy: ciemne, zielone, ładne.

Tak bardzo mi się podoba, że pewnie od razu to po mnie widać.

Sebastian opiera rękę na klamce w moich drzwiach.

- Przyniosłem ci muzykę.

Pachnie tak ładnie, że aż mi dech zapiera i naprawdę żałuję, że tak beznadziejnie muszę wyglądać akurat w takim momencie!

- Nina mówiła, że podobał ci się ten utwór. - Podaje mi kompakt. - To fajna muza, Oscar Peterson.

-Nina... - powtarzam za nim. Zupełnie już zapomniałam o moim spotkaniu z jego dziewczyną. Więc nazywa się Nina? Dziwne, że w ogóle wzięła sobie tak do serca moje głupie gadanie o muzyce i powiedziała Sebastianowi o tym.

- Trzymaj jak długo chcesz.

Wciąż mu się przyglądam. Jest fajny, nie sądziłam, że okaże się aż tak fajny! I głównie mnie obchodzi jakaś popielniczka wylatująca z jego okna, nawet jeśli była mosięzna i mogła trafić Patryka prosto w skroń.

Z głębi mojego mieszkania, jak na zawołanie, dobiega głos Patryka:

- Po co stoisz w tych drzwiach?! Zimno leci! Zaproś Iwonę do środka!

Nie mogę się powstrzymać i wybucham głośniejszym śmiechem. Sebastian zatrzymuje się kilka stopni niżej, z rozbawieniem pyta:

- To mówiłaś mi już, kiedy wpadniesz na kawę, żeby oddać mi kompakt?

Wierzyć mi się nie chce, że mogłam się mu spodobać i że proponuje mi kawę.

Przechyliłam na bok głowę, odpowiadam wpatrzona w niego:

- Jasne, że przyjdę. Jeszcze dam ci znać, kiedy.

W myślach dodaję, że przyjdę, kiedy jego Nina wyjedzie. I mam jakieś dziwne wrażenie, że Sebastian też wie, że przyjdę dopiero wtedy. I chyba, podobnie jak ja, nie chciałby, żebym przyszła, kiedy ona tu jest.

Aneta

Sześć miesięcy przed;

Zaklepać urlop w pracy, dokonać rezerwacji na podróż poślubną, sporządzić listę wymarzonych prezentów i jeśli uznamy, że nikt z rodziny czy przyjaciół nie poczuje się urażony, „puścić ją w obieg”.

Zabrać się do przygotowania niezbędnych dokumentów. Czas na garnitur dla Pana Młodego. Warto też pomyśleć o dodatkach - jakie buty? Krawat czy mucha, a może fular?

Nina śni mi się w nocy. Jest za szklaną ścianą, tą samą, której lękam się w moich snach. Wokół jest ciemno, toteż raczej wyczuwam, niż dostrzegam jej obecność. Przez ułamek sekundy, kiedy płomień zapalniczki rozświetla jej twarz, widzę, że wokół niej leży całe mnóstwo walizek. Niektóre są stare, zupełnie jak na filmach z lat czterdziestych, inne nowiutkie i modne. Zauważam plecak z mnóstwem sprzączek, torebki Niny oraz kilka skórzanych neseserów.

Z rana zabieram się rączo do malowania: maluję mój sen.

Maluję Ninę otoczoną walizkami. Ubieram ją w jakieś bezkształtne ciemne wdzianko, które rozplywa się w ciemnościach, skupiam się na twarzy: na patrzących żywo oczach i bladych ustach. Chcę, by była piękna, tak jak w rzeczywistości, ale w trakcie malowania coś mi nie wychodzi i Niny twarz odkształca się, by w końcu zacząć przypominać twarz potwora.

Kilka lat wcześniej Nina wznosiła w górę kieliszek szampana i krzyczała, że pije za radość życia. Ja stałam zmarznięta w dole, z butlą szampana, z czapką głęboko wciśniętą na uszy.

Nina stała na barierce mostu Świętokrzyskiego w Warszawie. Była pierwsza w nocy, po moście przesuwiał się sznur samochodów, niektóre z nich trąbiły na nas głośno, a Nina stała na wysokości, z rozkrzyżowanymi ramionami, w białym płaszczku, który z łopotem unosił się za jej plecami.

Było okrutnie zimno i dał straszny wiatr. Śmiała się, patrząc na mnie, i krzyczała:
- Za całą radość życia! Za życie! Za całe jego piękno!

I obie piłyśmy szampana.

To chyba właśnie wtedy na niebie zaczęły pojawiać się pióropusze sztucznych ogni. Ktoś zawołał za moimi plecami, że mamy już Nowy Rok. Stałam na wąskim chodniku, tuż obok mnie ze świstem przejeżdżały jeden za drugim samochody, jacyś ludzie wychylali się z okien i krzyczeli coś do nas, a ja patrzyłam na nią.

Patrzyłam, jaka jest niesamowita z tymi rudymi, ognistymi włosami, szarpanymi przez wiatr. Z zaczerwienioną od mrozu twarzą, w tym jasnym płaszczu.

- Och, Nina, musisz stamtąd zejść! - zawołałam wbrew sobie, bo przecież tak naprawdę cała ta sceneria podobała mi się coraz bardziej i nareszcie zaczynałam rozumieć, po co Nina zorganizowała ją w taki sposób. Wcale nie chciałam, żeby schodziła. Chciałam, żeby wciąż tam stała, żeby podskakiwała radośnie na tej wysokości, popychana wiatrem, a nad jej głową żeby wciąż rozbłyskiwały sztuczne ognie. Niebo było kolorowe od nich.

Nina uniosła głowę i wpatrywała się w nic. Zobaczyłam, że porusza ustami i z tego ruchu wyczytałam słowa:

- Boże, jakie to piękne...

- Teraz modne są albumy ze zdjęciami - informuje mnie Lidka, kiedy wpadam do niej znienacka. To już dwa i pół roku od ich ślubu, ale ponoć zakład fotograficzny, w którym zrobili sobie zdjęcia, wciąż istnieje i wciąż ma promocyjne ceny.

- Pokażę ci mój album!

Lidka drepcze do okazałej półki i zdejmuje z niej ogromny, oprawiony w skórę album z napisem *Dzień ślubu*. Album jest strasznie gruby. Ale jego rozmiar to nic w porównaniu z zawartością!

- Jezus Maria! - wyrywa mi się głośno.

- Prawda, że piękne?

- Tak, przepiękne!

Moje przerażenie rośnie z każdym kolejnym zdjęciem. Oto Lidka - ubrana w strojną kieckę z puszystym welonem, siedzi w dorożce zaprzęgniętej w białe rumaki. Paweł powozi.

Kartka przełożona - widzę Lidkę w wiejskim plenerze: pełno tu kurek i królików, widzę nawet kilka baranów. Lidka uśmiechnięta,

rumiana; siedzi na kocu z koszem pełnym gigantycznych borowików. Paweł siedzi u jej stóp i przygrywa na harfie.

Matko Święta! - mam ochotę powiedzieć, ale ścina mnie nastrój kolejnego zdjęcia: Lidka w zamglonej scenografii potężnego zamczyska - ustawiona frontalnie, za nią ciężkie zasłony (takie jak te, z których Scarlett O'Hara uszyła sobie kieckę). Paweł ze świecznikiem siedmioramiennym w dłoni kłania się jej uniżenie.

Widzę też Pawła i Lidkę w intymnej sytuacji - znowu wieś, tym razem stóg siana i szopa jak z bajek dla dzieci, Lidka na drabince, jakaś taka rozmemłana, ale wciąż uśmiechnięta pełnym garniturem zębów, Paweł na najniższym stopniu, zgryza z niej podwiązkę.

Potem widzę nogę Lidki - już bez podwiązki - a kury i owce przemykają za nimi, pogodnie i wypasione - Paweł ssie jej palce u stopy.

- I to wszystko robione w tym jednym zakładzie? - upewniam się.

- Tak, zaraz dam ci ich wizytówkę.

W skrupulatnym świecie Lidki i Pawełka nawet dwa i pół roku po ślubie wszystko jest na swoim miejscu: wizytówki zakładu fotograficznego, zaproszenia, moja odmowa uczestnictwa w balu weselnym, telefon orkiestry i menu.

Nie mogę nie patrzeć na Lidkę i Pawła wśród krówek i świnek w chlewiku.

- To bardzo fajne studio - zachwała Lidka, nieświadoma moich podłych myśli. -

Zaklep je sobie, bo potem może być już ostro oblegane.

- Oj, tak zrobię - zapewniam ją i truchleję na widok zdjęcia, gdzie Lidka i Paweł (uśmiechnięci od ucha do ucha) biegną przez las (jak z bajki o Jasiu, Małgosi i Straszonym Lesie), zbierają po drodze grzyby, a wielki czarny wilk przygląda się im zza krzaka.

W kwaciarni piękna dziewczyna o rudych włosach i nienagannym makijażu informuje mnie, że każda wiązanka dopasowywana jest do charakteru człowieka.

- Może się okazać, że pani wcale nie pasują róże - mówi, uśmiechając się.

Wiem, dlaczego tak się uśmiecha. To uśmiech kogoś, kto zaraz poda mi kosmiczną cenę.

Zastanawia mnie, jakie kwiaty do mnie pasują i wedle jakich zasad ta miła pani chce mi dobrać wiązanek. Nie zna mnie przecież na tyle, by cokolwiek wiedzieć o moim charakterze. Aj, gdybym wiedziała, ubrałabym się w jakieś typowe dla mnie ciuchy, a nie w ten długi płaszcz i szalik pożyczony od mamy.

- Irysy? - zastanawia się, obrzucając mnie spojrzeniem.

- Co znaczą irysy? - chcę wiedzieć, bo jeszcze potem się okaże, że irysy oznaczają małych ludzi o podłym charakterze i ktoś, kto zna się na takich niuansach, odczyta to i umrze ze śmiechu.

- To kwiaty dla pięknych ludzi.

Hm, jeśli to ma być komplement, to się jej udało!

Dzisiaj jeden z najważniejszych dni, bo w pracowni ma być profesor i ponoć chce porozmawiać ze mną o postępach na dyplomie.

O jakich postępach? - myślę w hysterii. - Przecież ja nie zrobiłam żadnych postępów! Budzę się załamana, zdenerwowana, z żołądkiem osadzonym gdzieś w okolicach gardła.

W łazience jakaś awantura, zepsuł się zlew czy coś takiego. Ojciec złorzeczy wszystkim uszczelkom, woła w moim kierunku, żebym pod żadnym pozorem nie odkręcała wody, bo zaleję cały dom.

- Cudownie! Cudownie! - wkurzam się, wciąż zaspana i zmarznięta, siedząc na łóżku. - Mam się nie myć czy jak?

Mama radzi umyć się nad wanną, bo tam można odkręcić wodę.

W kuchni zimno i nieprzyjemnie. Kulę się w szlafroku, nie mogę patrzeć na jedzenie ani na parzącą się dla mnie kawę. Żołądek mam tak ściśnięty, że w ogóle nie mam szans cokolwiek przełknąć.

Nina zawsze powtarza, że jak trzeba odbyć jakąś ważną rozmowę, to powinno się dobrze wygłądać. To ponoć dodaje otuchy i rozmówca lepiej na człowieka patrzy.

W kraciastej spódnicy, pomarańczowych rajstopach i butach na szpili wkraczam więc do łazienki, by umyć kły i spryskać się perfumami.

- Dlaczego ty nic nie jesz? - woła mama z kuchni, więc z paszczą pełną pasty odkrzykuję, że jest mi źle i niedobrze przez mojego podłego profesora i beznadziejnego asystenta. - Porozmawiaj z nimi, niech ci coś doradzą!

Mama nie rozumie, że nikt mi nic nie doradzi, bo wszystko i wszyscy sprzysięgli się przeciwko mnie.

- Powinnaś była jechać do Wrocławia!

- Pojadę do Wrocławia w swoim czasie! - odkrzykuję, ale ponieważ przy okazji o mało nie dławię się pastą do zębów, pospiesznie płuczę usta. Potem czuję, że mam mokre nogi od ud w dół.

-Jasna cholera! - wrzeszczę, w pośpiechu zakręcając kran. - Niech to szlag!

Wycieram wodę z podłogi i pędzę ubrać się w coś innego. Nie mam już innych butów na szpilach, więc spódnica nie wchodzi w grę. Nic to, założę spodnie, jedne mam dość eleganckie.

- Może jednak pojechałabyś jeszcze do Wrocławia i zrobiła ten dyplom? - woła mama z kuchni, więc idę się z nią wyklócać, że pojadę do Wrocławia, ale za jakiś czas. Nie chcę mówić jej prawdy: że panicznie boję się jechać do Niny. Tak bardzo się boję, że wolę już spotkać się z podłym profesorem i wysłuchać jego obelg, niż faktycznie wybrać się do Wrocławia!

- Nie możesz przekładać dyplomu na wrzesień!

Z irytacji podjadam ser i okazuje się, że mój żołądek wcale nie jest tak ściśnięty, jak myślałam. Palcem wybieram ze ścianek *śloika*. resztki nutelli.

- Nie mam pieniędzy! - odkrzykuję kłamliwie. Potem zerkam na zegarek, sprawdzam rozkład autobusów, wołam do mamy: - No to pa!

Pędzę umyć ręce po nutelli i czuję, że razem z zalewającą mnie spod zlewu kaskadą wody trafia mnie szlag.

Rozmowę z profesorem mam już z głowy. Nie pojechałam na uczelnie i w sumie to wcale się tym tak bardzo nie martwię.

Na Świętojańską zapuszczam się w deszczowe przedpołudnie w poszukiwaniu butów na ślub.

Przetrząsam sklepy po kolei, coraz bardziej zrozpaczona, bo wszystko, co dotyczy ślubu ma podwojoną albo potrojoną cenę, jakby co najmniej wszyscy producenci chcieli wycyckać panny młode z wszystkich oszczędności.

Normalna suknia wieczorowa jest o połowę tańsza niż suknia wieczorowa biała, mogąca uchodzić za ślubną. Wiązanka kwiatów (nawet najoryginalniejszych) jest dwa razy tańsza niż ta sama wią-

zanka zamawiana na ślub. Buty kremowe i czerwone są tańsze od butów białych, a buty białe i jeszcze dodatkowo ślubne są najdroższe na świecie!

- Kup czerwone - śmieje się kobiecie głos za moimi plecami. - Gdzie na wiosnę pójdziesz w białych?

Odwracam się ze zgrozą i myślę, że to już mój koniec, bo stoję oko w oko z Martą. Marta nie ma faceta i nigdy tak naprawdę nie miała. Nie to, by był to jakiś wyznacznik dla mnie w postrzeganiu kobiet, ale w wypadku Marty jest to bardzo ważna kwestia.

Marta chce mieć faceta i stara się tak bardzo, że wszyscy faceci przy niej czują się jak potencjalni kandydaci, co przyprawia ich o lęki, więc pierzchają, gdzie pieprz rośnie. Marta jednak nie widzi tego, bo jest jak pijawka.

Przez większą część swojego życia wpijała się w Magdę: „Madzia, powróż mi na Andrzejka... zobaczmy, czy warto się z nim umawiać”. Albo: „Madzia, powróż mi, czy z Bartkiem jest możliwy romans?”. Madzia musiała wróżyć jej na wszystkich facetów, którzy powiedzieli Marcie cześć albo uśmiechnęli się do niej, albo nieopatrznie umówili się z nią na spacer.

Najgorsze jednak nadciągnęło wraz z kablami stałego łącza, którymi okablowano nasze bloki. Jeden z kabli trafił w ręce Marty i to był początek końca! „Madzia, powróż mi na Wielgusa! Madzia powróż mi na Nica, Madzia powróż mi na WybierzMnie!”. Ja nie umiałam wróżyć, wobec czego bez końca musiałam wysłuchiwać, co na randce czatowej powiedział jej jakiś Zły Pies, co ona odpowiedziała Złemu Psu, jaki wybrała sobie pseudonim na randce wieczornej, ilu chłopaków do niej w ogóle zagadało, jaka okazała się zabawna, elokwentna i przebiegła, jak ją tam wszyscy lubią i jak to ja powinnam też czasem sobie poczatować, bo nie wiem, co tracę.

Patrząc w twarz Marty, wiem, ile straciłam, że nie widziałam jej od kilku miesięcy. Teraz pewnie ona będzie chciała to nadrobić, wyciągając mnie do pubu, restauracji albo do domu, a co gorsza, może przyjść jej do głowy streszczenie mi tego, co wydarzyło się przez te wszystkie miesiące!

Przechodzą mnie dreszcze zgrozy, bo może Marta zachowuje sobie w jakimś internetowym archiwum wszystkie przepro-

wadzone rozmowy i zaraz zaprosi mnie na ich odczytywanie. Albo zacznijcie sobie rościć prawa do bycia moim gościem weselnym!

- Na co ci białe buty wiosną? - pyta, nieświadoma moich podłych myśli. - Przecież kup sobie, dziewczyno, jakieś kozaki. Najlepiej w brązach albo w czerwieni... teraz takie nosi się kolory!

Włosy stają mi na głowie, bo już wiem, że nie mogę powiedzieć Marcie, że wychodzę za męża. Marta strasznie się obrazi, że nie zaprosiłam jej na wesele! O rany, był przecież taki czas, gdy nieopatrznie powiedziałam do Marty i reszty dziewczyn: „Wszystkie chciałabym mieć was na moim weselu!”.

Boże, jakże to okrutne, że słowa niewinnie wymówione w przeszłości nabierają naraz straszliwego wymiaru i wracają trwogą! Czuję, jak robi mi się niedobrze, bo przecież był czas, że Marta i ja (obie pijane jak beły), siedząc w pubie, przysięgałyśmy sobie, że będziemy przyjaciółkami na zawsze i że Marta będzie moją drużną, a ja będę drużną Marty

- Ojoj... - wymyka mi się na głos i kompletnie nie wiem, co powiedzieć. Marta nie słyszy mojego jęku, nawet nie patrzy na mnie. Zerka na zegarek i oznajmia:

- Zdażymy wypić sobie jakieś piwko. Mam czas do dwudziestej! Z piwkiem w rękę i Martę naprzeciwko czuję się podle. Jestem kłamliwą osobą o nieczystym sercu! Mój pijacki głos sprzed lat powraca do mnie echem: „Będiesz moją drużną!”. A razem z nim pojawia się zmęczony głos mojej mamy: „Trzeba wysłać zaproszenia tak, żeby przyjechały tylko w delegacji po dwie osoby z każdej rodziny. Inaczej nie damy sobie rady finansowo... Pomyśl, może mogłabyś zrezygnować z Asi? Albo Niny?”.

Nie chcę myśleć, że zamiast Joasi na moim weselu pojawi się Marta. A już na pewno nie zamiast Niny!

- Marta! Aneta! - słyszę wesoły głos i za chwilę do naszego stolika podchodzi Jacek we własnej osobie. Okazuje się, że siedzi z kolegą kilka stolików dalej i że wprawdzie nie przysiadzie się do nas, ale chciałby spytać...

- Jak idą ci przygotowania do ślubu? - Tak pyta, a ja mam ochotę zerwać się na równe nogi, udusić go, i dusząc, kłamać Marcie, że to jakaś pomyłka.

- Bierzesz ślub? - pyta Marta i rozciąga usta w promiennym uśmiechu. - Czemu nie mówiłaś?

Nic nie mówiłam, bo nie mam pieniędzy, żeby jej szanowny tyłek mógł spocząć na obszytym czerwonym aksamitem hotelowym krześle w sali weselnej!

- Jeszcze nie wysyłałam zaproszeń - słyszę swój kłamliwy głos i widzę zdziwienie na twarzy Jacka, bo zaproszenie przyszło do niego i Magdy już z miesiąc temu. Staram się nie myśleć, że on mnie może zaraz w jakiś sposób zdradzić. W ogóle staram się nie myśleć. Mówię łamiącym się głosem:

- Będę wysyłać w tym tygodniu.

I widzę w oczach Marty radość, bo - nie wiem, jak mogłam wcześniej nie wpaść na to - przecież takie weselisko pełne kuzynów, rozwiedzionych wujków, szwagrów i zięciów jest dla Marty świetną okazją na wyhaczenie faceta!

- Kiedy masz ślub? - pyta Marta i wyciąga notatnik z kalendarzem, by sobie wszystko zapisać.

- Dwudziestego ósmego czerwca - odpowiadam.

Wierzę, że Marta zaraz zmartwi się i powie: O cholera, wyjeżdżam wtedy! Modłę się ojej zmartwioną minę, klnę na Jacka, który już chyba połapał się w swoim nietakcie, bo nerwowo pociera ręką czoło, i mam ochotę rozplakać się, kiedy Marta wpisuje w notatniku datę i mówi sama do siebie:

- Och, to już najwyższy czas poszukać sobie kiecki wieczorowej!

W salonie sukien ślubnych mierzę przy mamie upatrzoną suknię. Jest ciężka i długa, zupełnie taka, jak w minionych epokach. Czuję na plecach plecenia gorsetu, w lustrze wyglądam zupełnie jak nie ja: och, tyle we mnie nagle wdzięku i uroku! Biel okala mnie, stwarzając wrażenie jakiejś ponadczasowości i czystości, sprawia, że rysy mojej twarzy tracą ostrość, a jasne włosy wydają się wręcz złociste!

„Biel to Bóg” - powiedziała kiedyś Nina i te słowa zapadły mi głęboko w pamięć.

Od tamtej pory wydaje mi się oczywiste, że ślub to jedna z tych nielicznych okazji, kiedy można ubrać się na biało.

Wieczorem piszę do Niny mejla. Piszę, że muszę do niej przyjechać i skontaktować się z tamtym profesorem od szkła.

Joasia

Kiedy Daria zniknęła, w pierwszej chwili wszyscy myśleliśmy, że to żart.

Pamiętam, że mama powiedziała najpierw ze śmiechem:

- Nie mogę uwierzyć, że zrobiła nam taki idiotyczny żart! A kilka godzin później już z lękiem:

- Jak ją znajdę, to dostanie porządne lanie.

Dla mnie od początku było oczywiste, że jej zniknięcie nie ma nic wspólnego z żartami. Daria nie żartowałaby w ten sposób. I myślę, że rodzice też o tym wiedzieli.

Oszukiwali się myślami o żartach i pomysłami na to, gdzie Daria może być.

Oszukiwali się tym, bo wiedzieli, jak długi musi minąć czas, nim policja rozpocznie poszukiwania. I chociaż wiedzieli od razu, że sami jej nie znajdą wcześniej, bali się powiedzieć to na głos.

Karol z rana pali papierosa w łóżku i patrzy w okno.

Od dwóch już dni sypie śnieg i powoli nakrywa Warszawę swoją białą czapą.

Zawsze, kiedy jest taka mglista, zimna i nieprzyjemna pogoda, Karol zaczyna mieć objawy depresji: nie chce mu się wstać z łóżka, a jeśli już wstanie, to krąży po mieszkaniu bez celu, zamyśla się, pali dużo papierosów, przeszkadzają mu głośne dźwięki. Przeszkadza mu nawet muzyka.

Teraz też leży bez ruchu, zamyślony. Widzę, jak druga jego dłoń, ta, która nie trzyma papierosa, odruchowo porusza się na kołdrze. Karol nie zauważa tego, nie zauważa nawet, że się obudziłam. Zamyka oczy i pali w milczeniu.

Kiedy potem robię mu w kuchni śniadanie, przychodzi tam za mną i opiera się o parapet.

- Nie umiem cię rozgryźć - mówi.

Odwracam się do niego z upiornym wrażeniem, że zaraz zaczniemy balansować na cienkiej linii.

- O czym mówisz?

Stoi na tle okna w białym podkoszulku i ciemnozielonych spodniach od pizamy, włosy zakrywają mu część twarzy i nawet nie widzę jego oczu.

Odpowiada po chwili:

- Nie umiem do ciebie dotrzeć. Jesteśmy tu, a ja mam wrażenie, że wcale cię nie ma.

Że wcale mnie nie ma... Marszczę brwi, wracam do robienia śniadania, zaparzam kawę, ze wszystkich sił staram się ukryć przed nim mój spanikowany wzrok.

- Dziwne rzeczy mówisz...

Ale on nie daje się tak łatwo zbyć. Wciąż stoi przy oknie i wciąż na mnie patrzy.

Wyjaśnia po chwili:

- Czasami przeraża mnie ta cisza między nami. Nie wiem wtedy, co myślisz, co czujesz... - Milknie, by po chwili podjąć: - Są chwile, kiedy ogarnia mnie pewność, że nic o tobie nie wiem.

Tak dobrze wiem, o czym mówi. Takie chwile zdarzają się ostatnio coraz częściej: moje odchodzenie w przeszłość, samotne wieczory na strychu, uczucie, że go tracę. I jego wrażenie, że traci mnie.

Wiem, jak mogłabym go zatrzymać. Wiem, że powinnam powiedzieć mu o Darii i poprosić, żeby mi pomógł. Może nawet powinnam pójść do jakiegoś dobrego psychologa, który potrafiłby poradzić sobie z moim problemem.

Wiem też, że jeśli dłużej zostanę sama z tym wszystkim, to stanie się coś złego. Nie wiem, co, ale coś się stanie - czuję to.

Kiedy Daria zniknęła, rodzice posłali mnie do psychologa szkolnego. Doradził im to nasz lekarz rodzinny, a ponieważ w tamtych czasach nie rozpowszechniły się jeszcze prywatne gabinety psychologiczne, lekarka przyjmująca w szkole wydawała się fachową pomocą.

Pamiętam, że kazała mi robić różne dziwne rzeczy: zamykać oczy i opisywać gabinet, w którym byliśmy, albo z zamkniętymi oczami rozkładać ręce na boki. Kazała mi też dużo rysować i odgadywać, co miał na myśli autor rysunków, które wyjęła ze swojej teczki.

Dziwne, że tak mało pytała mnie o Darię. Właściwie to zapytała o nią konkretniej tylko raz, bo była ciekawa, co naprawdę się stało. Nigdy natomiast nie spytała o moje uczucia, nie chciała wiedzieć, czy noszę w sobie jakieś poczucie winy, czy Daria mi się śni i jakie to wszystko ma właściwie znaczenie. Na zakończenie naszych spotkań doradziła mi, żebym zapomniała o Darii i o wszystkim, co było z nią związane.

Policjant, który przyjechał do naszego domu, cały czas sugerował, że Daria mogła uciec.

- Nie wie pani, gdzie mogłaby przebywać pani córka, gdyby chciała uciec z domu? - pytał.

Moi rodzice patrzyli na niego przerażeni, zdruzgotani, i ze wszystkich sił starali się nie krzyczeć, nie panikować i nie unosić się gniewem.

Mama chciała współpracować z policją, więc odpowiadała na wszystkie pytania - nawet na te najbardziej niewiarygodne i oburzające.

- Czy jest jakieś miejsce, do którego córka mogłaby tęsknić? Albo miejsce, w którym czuje się bezpiecznie?

Daria czuła się bezpiecznie w domu. Lubiła tu przesiadywać, lubiła fotel stojący pod oknem i uwielbiała spędzać na nim długie godziny, czytając książki i przekładając nogi przez poręcz.

- Czy Daria kłóciła się ostatnio z koleżankami?

Daria pokłóciła się z Izą w ostatnich dniach. Zabrały mnie na lody do osiedlowej cukierni i kiedy wracałyśmy do domu, zaczęły się strasznie na siebie wydzierać.

Daria marzyła, że latem pojedą do Taize i od kilku miesięcy wrzucała wszystkie pieniądze do świnki. Iza przez cały czas kłamała, że też zbiera i że powiadomiła o wszystkim rodziców.

A potem, pod tą cukiernią, oznajmiła, że jedzie na całe lato na wieś do babci.

Daria była tak wściekła, że gdyby nie miała rąk zajętych lodami, to pewnie rzuciłaby się na Izę z pazurami. Rozumiałam jej złość: była wiosna i za miesiąc miały się rozpocząć zapisy na wyjazd. A Iza wycięła jej taki numer!

Daria tak się obraziła, że w ogóle nie chciała z Izą rozmawiać. Powiedziała jej, że jest głupia i że nikt jej w szkole nie lubi. I że nie ma już przychodzić do nas, bo nikt i tak jej nie wpuści do środka.

To się działo na trzy dni przed zniknięciem Darii, ale rodzice o tym nie wiedzieli.

- Córka nie ma problemów z przyjaciółmi - mówiła moja mama, a ja patrzyłam na nią w napięciu. - Jest bardzo lubiana w szkole i nigdy nie narzekała na nikogo ze swojego otoczenia.

- A jak nazywa się najbliższa przyjaciółka Darii?

- Iza... Iza Sobczyk.

Iza Sobczyk była wysoka i rozwinięta jak na swój wiek. Niestety, przy dużych piersiach miała również duże biodra i jeszcze szersze uda. Daria czasami żartowała sobie z niej: „Twoimi udźcami można by wykarmić całą jedną rodzinę z krajów afrykańskich!”.

Nosiła długie włosy, które starała się myć jak najrzadziej, bo wyczytała w jakimś piśmie, że włosy należy notorycznie przetruszczać, żeby wydłużyć ich późniejszy czas świeżości czy podobną głupotę. Włosy wisiały jej więc koło twarzy w wytłuszczonych petłach i przy nałanej, pełnej buzi sprawiały strasznie nieestetyczne wrażenie.

Z tego, co wiedziałam od Darii, Iza nie miała żadnych przyjaciółek poza Darią. Nie była w ogóle lubiana w klasie, a chłopcy notorycznie się z niej nabijali.

Daria bardzo dbała o interesy Izy: nie pozwalała dziewczynom jej obgadywać, zabierała ją ze sobą na wszystkie imprezy, na które sama była zaproszona, namawiała na różne diety. Przez jakiś czas biegały razem po osiedlu, ale Izie szybko się to znudziło i zaczęła zasłaniać się problemami z kolanem. Potem Daria przeszła na dietę razem z Izą. Jej samej dieta nie była potrzebna, ale Iza nie potrafiła zdobyć się na żadną dyscyplinę i Daria chciała w ten sposób ją wspierać. Niestety, okazało się, że Daria wytrzymała na diecie pięć dni i schudła cztery kilo, przez co zaczęła mieć problemy ze zdrowiem, a Iza wytrzymała na diecie raptem dzień i już następnego w tajemnicy objadała się batonikami i kanapkami.

Latem poprzedzającym zniknięcie Darii wyjechałyśmy we cztery na biwak pod namioty: ja, Basia, Iza i Daria. Pojechałyśmy na Hel, rozbiłyśmy dwa namioty w ogrodzie u jakichś ludzi - za zgodę trzeba im było zapłacić - i przez kolejne dni starałyśmy się ze wszystkich sił fajnie organizować sobie czas.

Wyjazd okazał się strasznie nudny. Od rana w złych humorach, szłyśmy ulicą, kopiąc przed sobą plażową piłkę, do najbliższego wejścia na plażę. Do wieczora smażyłyśmy się na słońcu, a po powrocie grałyśmy w karty albo szłyśmy trzy kilometry dalej na ulubione lody.

Największe awantury tyczyły się plaży: Iza i ja chciałyśmy leżeć od strony zatoki, gdzie nie wiał tak silny wiatr, można było pożyczać kajaki i rowery wodne i gdzie było płytko wiele metrów w głąb morza; wielką frajdę sprawiało mi wylegiwanie się w wodzie po kolana dwieście metrów od plaży.

Daria i Jasia oczywiście wolały otwarte morze, zimny wiatr („Przynajmniej nie czujemy się wtedy jak na rozgrzanej patelni”), wielkie fale, przez które kochały skakać, i głęboką wodę, w której można było pływać i nurkować.

Najczęściej więc robiłyśmy losowanie i szłyśmy tam, gdzie chciały osoby wygrywające.

Jasne, że czasami było bardzo fajnie nad otwartym morzem: słońce lepiej opalało i faktycznie bywały tam niesamowicie duże fale. W tych właśnie falach spędziłam kilka najfajniejszych godzin w moim życiu. Krzyczałyśmy histerycznie, kiedy fale zbliżały się do nas, a potem czułyśmy, jak morze odrywa nas od dna i rzuca do przodu, w stronę plaży. Czasami udawało nam się przeskakiwać fale, innym razem po prostu bawiłyśmy się nimi.

Zawsze jednak, kiedy szłyśmy nad zatokę, trzymałam się z Izą, a Daria nagle zaczynała być w dobrej, choć naburmuszonej komitywie z Basią. Nic mnie to jednak już wtedy nie obchodziło, rzucałam się na gorący piach, zagłębiałam w nim ręce i czułam, jak moje ciało robi się coraz cięższe i cięższe, jak ciąży w głąb ziemi i jak słońce cudownie przesuwa się po mojej pachnącej olejkiem do opalania skórze. Potem razem z Izą brałyśmy sobie rower wodny i w kostiumach kąpielowych wypływałyśmy na środek zatoki. Powietrze wydawało się nieruchome, na niebie nie było ani jednej chmury, ja pedałowalam, a Iza przeciągała się i sennie układała do opalania.

Czasami na takich rejsach mówiła mi różne rzeczy, które były tajemnicą. Raz powiedziała, że Daria zakochała się w jakimś wczasowiczu, który przyjechał na wakacje do Gdyni.

- Kto to taki? - spytałam zaskoczona. Daria nic nie mówiła mi o żadnym wczasowiczu, śmiała się ze wszystkich chłopaków, którzy byli nią zainteresowani, i kiedyś stwierdziła, że „nuży ją męskie towarzystwo”.

Iza popatrzyła w stronę brzegu, jakby chciała się upewnić, że Daria jej nie usłyszy. Z odległości, w jakiej się znajdowałyśmy, widziałam Darię na kolorowym ręczniku, leżącą obok smagłej Basi. Widziałam też, jak Basia usypuje górę z piasku i jak Daria smaruje się po raz setny kremem.

- Kto to taki? - powtórzyłam.

Iza siedziała przede mną jak kwoka na grzędzie: czerwona od słońca, napęczniała od upału, z włosami skręconymi w jakąś śmieszna kitkę na środku głowy i z ustami wybłyszczoneymi poziomkowym błyszczkiem.

- Nie powinnam ci mówić - odrzekła, bełtając ręką wodę.

- Ale powiedz....

- To chłopak z Krakowa.

- Jak ma na imię?

- Daria mnie zabije, jeśli ci powiem.

Imię nie było tak ważne, jak fakt, że Daria miała chłopaka. Ściszyłam głos:

- Całowali się? Zakryła ręką uśmiech.

- Tak.

Oczy momentalnie mi się rozszerzyły.

- Jak to? Daria umie się całować? Iza skinęła głową z uznaniem: umie.

- I co jeszcze robili?

- On trzymał jej rękę na kolanie.

- Na kolanie?! -Tak.

- I wtedy się całowali? -Tak.

Znowu spojrzenie na ład i Iza podjęła szeptem:

- Ale Daria go okłamuje.

- W czym?

- Kłamie, że ma siedemnaście lat.

- Siedemnaście?! Przecież dopiero zaczyna piętnaście!

- Ale on myśli, że siedemnaście.

Ta uwaga tak mnie zszokowała, że nie wiedziałam, co powiedzieć, i długą chwilę siedziałam z rozdziawionymi ustami. W końcu zmusiłam się, żeby zadać najważniejsze pytanie:

- A ile on ma lat?

Iza z powagą pokręciła głową.

- Jest stary? - podsunęłam z lękiem.

Tym razem uśmiechnęła się lekko, świadoma, jak jej odpowiedź mnie zaskoczy.

- On zdaje maturę w tym roku.

Tamta rozmowa przypomina mi się kawałek po kawałku, kiedy oglądam w sklepie z firanami woale na okna mojej klientki. Moje palce macają materiał, myśli jednak już uleciały w przestrzeń i krążą wokół tamtego upalnego lata, tamtego roweru wodnego i bezchmurnego nieba.

Warszawa wciąż tonie w śniegu i w narastającym chłdzie. Ja tego nie czuję. Czuję ciepło tamtego słońca, dziecinny głos Izy powraca do mnie jak echo, nabierając jakiegoś strasznego znaczenia: „Chłopak z Krakowa...”.

Chłopak z Krakowa. Wczasowicz, który przyjechał do Gdyni.

Po zniknięciu Darii miałam taki chaos w głowie i byłam na tyle nierozsądna, że nie powtórzyłam policji ani rodzicom niczego z naszych tajemnic. Nawet nie wspomniałam o tamtym wczasowiczu, a przecież wiedziałam, że Daria korespondowała z nim przez cały rok i że planowali spotkać się w kolejne wakacje. Tamten chłopak musiał mieć skończone osiemnaście lat, skoro był w czwartej klasie. Nie ma nic dziwnego w tym, że spodobała mu się Daria: była taka wysoka i ładna. I nikt nie powiedziałby, że ma dopiero piętnaście lat - wyglądała na siedemnaście. Zresztą, w rozmowie też nie od razu można było wyczuć jej wiek. Przez ostatnie lata bardzo dużo czytała i to nie tylko książki dziecinne. Uwielbiała „Anię z Zielonego Wzgórza” i wszystkie trzy „Emilki”, ale w ostatnim roku przeczytała „Przeminęło z wiatrem” i zaczęła „Na wschód od Edenu”.

Tamten chłopak na pewno nie poznał się na jej wieku...

Nieruchomieję, a w mojej głowie zaczyna brzęczeć dziwna i niepokojąca myśl. Z początku staram się ją odrzucić, ale myśl narasta i narasta, aż staje się nie do zniesienia: A jeśli ten chłopak wiedział, że Daria ma piętnaście lat, i liczył na jej naiwność?

Jeśli maczał palce w jej zniknięciu?

Czuję na sobie zaciekawiony wzrok sprzedawczyni, więc puszczam woal, odsuwam się od tego stoiska i wchodzę w szpaler firan. Teraz jestem otoczona najróżniejszymi odcieniami bieli, od tiulów i organzy po biały aksamit i ciężkie tkaniny, których nigdy nie powiesiłabym sobie w domu.

W tym szpalerze jest klaustrofobicznie ciasno. A ja całe życie bałam się małych pomieszczeń i ciasnych miejsc. Teraz też czuję, że lada chwila dopadnie mnie panika: zaczyna się w końcówkach pal-

ców i w gardle, a potem przejmuje powoli nade mną kontrolę. Czuję, jak palą mnie policzki, jak mój oddech robi się cięższy, jak narasta złudzenie, że wszystkie półki i tkaniny przybliżają się do mnie.

Zamykam oczy. Karol zawsze w takich momentach mówi: „Zaczynij liczyć”.

Kiedy poznałam go w windzie, która utknęła między dziesiątym a jedenastym piętrem warszawskiego biurowca, powiedział: „Zaczynij liczyć chmury”. Byłam tak spanikowana, że jeszcze chwila, a zaczęłabym skrobać paznokciami ściany.

Spytałam histerycznie: „Jakie chmury? Przecież tu nie ma okna!”. A on odpowiedział, że muszę sobie je wyobrazić.

Teraz robię właśnie tak, jak wtedy. Jeśli wtedy pomogło, to teraz też powinno.

Zamykam oczy i przywołuję w pamięci najpiękniejsze obrazy chmur, jakie kiedykolwiek widziałam.

I widzę je, jak suną po niebieskim niebie: groźne, nabrzmiałe, przybierają rozmaite kształty, dzielą się w trakcie swojej podróży, a ja liczę je wszystkie i czuję, jak mój oddech się uspokaja.

Basia

Przez cały tydzień nie ma okazji, żeby oddać mu kompakt. Muza jest genialna, zajebista po prostu! Chciałabym pożyczyć coś jeszcze, ale na parkingu stoi wóz chudej Niny. Stoi tam już od niedzieli i nic nie zapowiada, że Nina kiedykolwiek się stąd wyniesie. A ja nie chcę na nią wpaść za nic w świecie.

Obgryzam ołówkę, siedząc na balkonie, i staram się pisać. Nic mi nie idzie.

Wszystkie myśli mam tak nim zajęte, że każdy zapisany wers nieodmiennie trąci banałem. A ja nienawidzę pisać takie rzeczy, bo to straszna żenada.

Kiwam się na krzesełku, opieram stopy o barierkę balkonu, mrużę się do słońca i piszę:

Tyle ciepła w twoich oczach

Tyle słów, które chcę ci powiedzieć...

- Cholera jasna! - wkurzam się, kreślę te dwa idiotyczne zdania i sięgam po paczkę papierosów.

Iwona wychodzi na swój balkon i opiera się o pręty, tuż przy stojaku na jakąś długą i ohydną roślinę, którą zasadziła ponoć już dwa lata temu i ciągle czeka na jej rozrost.

- Co piszesz? - pyta.

Zakrywam kartki ręką i mrużę się do słońca.

- Takie tam pierdoły. -Ale co?-naciska.

Wkurza mnie, że wyszła i tak się dopytuje. Teraz to na pewno już nic nie napiszę, a przecież niecodziennie jest sobota, żeby mi miała wreszcie czas na wiersze.

Iwona nic sobie nie robi z mojej nadaśanej miny, wyciąga rękę do słońca.

- Żebyś ty słyszała, jaką ta mała z parteru robiła awanturę! Patrę na nią z zaciekawieniem, nawet Kapeć u moich stóp unosi głowę i też patrzy na Iwonę.

- Co ty gadasz? Kiedy to było? Przecież to już kawał czasu! Iwona kręci głową, zadowolona, że może mi tu zapodawać takie wypasione rewelacje.

- Wczoraj... Was nie było, a ona... - Ścisza głos, wychyla się za balkon i sprawdza, czy w mieszkaniu Sebastiana nie ma przypadkiem otwartych okien. Zaraz cofa się na swoje miejsce, bardzo zadowolona. - Chyba ich nie ma... Boże, Baśka! Jak ta dziewczucha klęła!

Słyszałam, i to nieraz, jak Iwona bluzgała, kiedy jej eksmąż zabierał córkę na weekend i zostawała sama w domu. Teraz chce mi się śmiać, że Iwona tak się przejmuje czyimiś bluzgami. Zaraz też wyobrażam ją sobie rozklejoną na podłodze, pewnie ze szklanką przy uchu, jak słucha krzyków Niny.

- Nina - informuję ją. - Tak się nazywa.

- Nina? Jakaś Rosjanka?

Wzruszam ramionami i czekam, aż opowie mi wreszcie o tamtej awanturze.

Strzepuję popiół z papierosa do mosiężnej popielniczki, którą któreś z nich - Sebastian albo Nina - wyrzuciło na trawę i uśmiecham się.

Wiele bym dała, by wiedzieć, o co są te wszystkie awantury na parterze i co ciągle trzyma tych dwoje razem, skoro potrafią tak się zachowywać względem siebie.

W nocy Kapeć kuli się w nogach tóżka. Ja otwieram oczy i nie mam pojęcia, co mnie obudziło, ale wiem, że to było coś dziwnego, bo serce bije mi jak szalone.

Rozglądam się po pokoju, zerkam na śpiącego Patryka. Wtedy zaczynam słyszeć wściekłe słowa na dole, pode mną. W całej kamienicy jest tak wielka cisza, że gdyby ci dwoje nawet szeptali, brzmiałoby to jak wrzask.

Nina płacze. Płacze głośno, histerycznie, potem zaczyna krzyczeć coś, co brzmi jak „Widzisz?!“ powtarzane bez końca i bez opamiętania.

Siadam na łóżku rozbudzona, pocieram oczy. Patryk budzi się kilka minut po mnie i chwilę leży nieruchomo, nasłuchując. Potem, kiedy Nina znowu zaczyna płakać, syczy wściekle:

- Kurwa mać! Przecież jest noc.,.!

W ciemności wpatruję się w okno i słucham tamtych krzyków. On też coś krzyczy. Chyba na nią. I padają wściekłe przekleństwa. Patryk zrywa się z łóżka.

- Dzwonię po policję! Dość tego!

Jest zły jak osa i dobrze wiem, że nawet nie ma sensu tłumaczyć mu teraz, żeby dał sobie na luz i nie wydzwaniał na policję. Jeśli ktoś chce nadebrać Patrykowi na odcisk, to tylko w taki sposób: nie dając mu spać. Sen jest dla niego wielkim sacrum, to coś, co Patryk dopieszcza w najmniejszych szczegółach, i chyba nie ma takich spraw, dla których mógłby poświęcić swój sen.

W milczeniu patrzę, jak siada na krawędzi łóżka i pociera skronie rękoma. Na dole Nina wrzeszczy coś niewyraźnie, brzmi jak: „Dobrze wiem! Nie kłam!“. Kapeć wychyla się spod kołdry, ja perswaduję cicho:

- Daj im spokój. Mają problemy.

Wtedy Patryk zrywa się z łóżka, jakby dostał porządnego kopa, i zaraz pędzi do telefonu.

- Każdy ma pieprzone problemy i nikt nie robi z tego cyrku po nocach!

Na dole Nina już nie krzyczy. On krzyczy. Wyraźnie słyszę, jak wkurza się na nią: „Co ty zrobiłaś? Co ty zrobiłaś, idiotko?!“. Nina płacze. A ja kładę się z powrotem na poduszki.

Ciężko mi wyobrazić sobie jej łzy. Ciężko mi wyobrazić sobie coś, co może ją ranić. Albo coś, co doprowadzają do złości. Wy-

gląda na taką wyluzowaną. A on na takiego mitego. Co sprawia, że tam na dole męczą się ze sobą jak ostatni potępieńcy? Że Patryk syczy, czekając na połączenie z policją:

- Wywalą ich z tego mieszkania! Cholerni lokatorzy!

Zanim przyjeżdża policja, nasze okno rozświetlają ostre błyski niebieskiego światła. Jest piętnaście po trzeciej, Iwona przysłała do nas kilka minut temu i obie sterczymy teraz w kuchni senne, roz-memłane, w szlafrokach.

-To karetka - mówi Iwona, więc wyjmuję papierosa z ust i podchodzę do okna.

Na zewnątrz jest zimno i ciemno. Sygnały świetlne karetki gasną i widzę sanitariuszy, którzy wychodzą na zewnątrz.

- Chryste, a co tam się stało? - mówię szeptem, jakby każde głośniejsze słowo miało zbyt mocno rozerwać ciszę. Mimo że mówię tak cicho, Patryk zwabiony albo dźwiękiem moich słów, albo jakimś przecuciem wchodzi do kuchni i zaraz dopytuje się ostro:

-1 co? Przyjechali?

- Karetka...

Teraz we trójkę rozplaszczamy się na szybie. Słyszymy kroki na klatce schodowej, ściszone głosy, pukanie do drzwi. I może właśnie przez mnogość tych dźwięków uświadamiam sobie, że przez ostatnich dwadzieścia minut na dole było zupełnie cicho. Może nawet zbyt cicho.

- Co ten skurwiel jej zrobił? - Patryk marszczy brwi, nagle przejęty rolą sąsiada. - Co to za gnój! - dodaje. - Ty wiesz, Iwona, że wyrzucił przez okno mosiężną popielniczkę i uderzył mnie w głowę?

Iwona rozchyła usta z przejęcia, a ja wzruszam ramionami, nagle poirytowana.

- Co ty gadasz? Wcale cię nie uderzył!

A zresztą gdyby nawet uderzył, to może wyszłoby to Patrykowi na zdrowie. I skąd niby Patryk wie, że to Sebastian rzucił? Ostatecznie to bardziej podobne do niej. Patryk nie zwraca uwagi na moje słowa, nawet przyjaźnie obejmuje mnie ramieniem i opiera czoło o szybę. Teraz wszyscy patrzymy, jak sanitariusze wyprowadzają przed klatkę drobną postać. Idzie, podpierana przez nich, ale chyba nie jest z nią najlepiej. Sebastiana nie ma obok, w ogóle nie ma go w zasięgu wzroku.

- Pobil ją, drań - mówi Patryk. Mówi jakoś dziwnie, jakby taka myśl sprawiała mu przyjemność. Kiedy na niego zerkam, ma wyraz zafascynowania na twarzy i wydaje mi się, że uśmiecha się jakoś dziwnie.

Jest niedziela, Patryk odsypia nocne przejścia, a ja robię dla nas obiad. Bezmyślnie siekam kurczaka: jedno uderzenie noża - i moje myśli zatrzymują się na tym, co stało się w nocy. Drugie - i zastanawiam się, czy Sebastian jest teraz u siebie.

Trzecie - i wydaje mi się absurdalne, by ją uderzył. Czwarte - i przypominam sobie, że jeszcze nie oddałam mu kompaktu.

Chciałabym rzucić kurczaka w cholere, wytrzeć ręce i tak jak jestem - w skarpetkach i zwykłych podomowych ciuchach - zbiec schodami piętro w dół, zapukać do jego drzwi i po prostu go zobaczyć.

Kroję kurczaka coraz bardziej zamyślona. Radio za moimi plecami gra największe hity, odruchowo nuceę razem z Kasią Kowalską: „Wszystkim nam brakuje szczęścia. Masz to, na co godzisz się. Każda droga jest łatwiejsza, gdy wiesz, co dobre jest...”. Co dla mnie jest dobre? Na co właściwie się godzę?

Mrugam oczami i zamieram z kawałkiem kurczaka w ręce. Powoli odwracam się do radia i marszcząc brwi, słucham, jak Kasia powtarza refren utworu:

„Wszystkim nam brakuje szczęścia...”.

Jeszcze chwila, a poczuję tak potworną potrzebę, by rzucić ten nóż, tego kurczaka, tego faceta i to życie i faktycznie zbiec w skarpetkach po schodach, że nie będę umiała się powstrzymać.

Zamykam oczy, a kiedy je otwieram, mój wzrok pada na zegar. Jest jeszcze tyle czasu do drugiej. Tyle czasu, nim Patryk obudzi się i zapyta niewinnie, czy obiad gotowy i zaraz stwierdzi, że umiera z głodu.

Tyle czasu...

Tyle czasu, że nie wiem, co tu jeszcze robię.

Pukam do jego drzwi i przyciskam do siebie kompakt ze wszystkich sił. Nie wiem, dlaczego tak strasznie się zdenerwowałam. Trzęsą mi się ręce, mam sucho w ustach. Pukam jeszcze raz i z jeszcze większymi nerwami nasłuchuję jego kroków. Kiedy otwiera mi drzwi, mówię po prostu:

- Przyniosłam twój kompakt. To taka piękna muzyka...

I nic nie obchodzi mnie jego zdziwione spojrzenie, przesuujące się po moich różowych skarpetkach w jeże. Nic mnie nie obchodzi, że mam włosy związane w niedbałą kite, że nie umalowałam się i że na ramieniu mam wielką krostę. Nic mnie to nie obchodzi, bo on uśmiecha się do mnie ciepło i pyta, czy wejdę na kawę. Idę za nim krok w krok. Z podziwem patrzę na ściany przemalowane w ciepłe kolory, na meble, których wcześniej tu nie było. Zmienił mieszkanie zupełnie. Kiedy mieszkała tu Agata, wszystko było brązowe i tak standardowe, że niedobrze się robiło od tych wszystkich drewn i smętnych dywanów. Teraz jest tu kolorowo. I co dziwne, od razu dobrze czuję się w tych wszystkich ciepłych barwach. Zaraz też żałuję, że Patryk urządził nasze mieszkanie w jakieś blade kremy i nudne beże. Przecież tak fajnie jest stać przy czerwonej ścianie! I tak fajnie pod stopami mieć żółty dywan!

- Wszystko pozmieniałeś...

Na dywanie leżą w równych rzędach książki. Tak jak się spodziewałam, prawie wszystkie tyczą się sztuki. Widzę różne fajne albumy, niektóre widziałam już kiedyś u Magdy albo u Anety, więc podejrzewam, że to pewnie jakieś najważniejsze lektury dla artystów.

Uśmiecham się, dotykając przelotnie grubego tomiszca opisanego tajemniczą nazwą „Andy”, a potem siadam w pomarańczowym fotelu i czekam, aż Sebastian zrobi nam kawę. Kompakt wciąż trzymam w rękach, zresztą zupełnie już o nim zapomniałam.

Dostrzegam sztalugę stojącą pod oknem i jakiś duży obraz. Nie mam pojęcia, co przedstawia, ale podoba mi się. To pewnie jakaś abstrakcja, jak te wszystkie współczesne obrazy.

- To twój obraz?! - wołam, wychylając się w stronę kuchni.

-Tak! - odkrzykuje, więc przekrzywiam głowę i próbuję rozgryźć szare i białe kwadraty, niektóre duże, inne małe. Wszystkie na pewno są ułożone w jakimś zaplanowanym porządku. Moje spojrzenie przesuwa się po pędzlach i ubrudzonych kolorami szmatkach. Z zaciekawieniem przyglądam się dużej palecie, na której lśnią tłusto wyciśnięte niedawno farby. Nie znam się na tym, ale podoba mi się mała trójkątna szpachla, której Sebastian chyba używa do nakładania farb.

Kiedy wraca do pokoju, nic nie mówię o obrazie, bo nie chcę palnąć jakiejś głupoty. W końcu wcale się na tym nie znam. I pamiętam, jak Aneta rozdarła się kiedyś na mnie, gdy spytałam, co przedstawianej rysunek, bo sama nic w nim nie widziałam.

- Ukrzyżowanie - mówi Sebastian, więc kiwam głową i wciąż milczę.

- To? - pytam po chwili, bo dopiero teraz dociera do mnie, że to chyba miał być tytuł obrazu.

W pokoju jest tylko jeden fotel, więc ja siadam na nim, a Sebastian na szerokim parapecie. Teraz, kiedy już tak siedzimy, kompletnie nie wiem, co powiedzieć. To głupie. Potrzebowałam jego towarzystwa, a wcale nie chcę rozmawiać. Tak jakby wystarczyło mi, że on tu jest, że na niego patrzę.

- Twój obraz... - odzywam się w końcu, bo nie ma nic głupszego, niż siedzieć we dwoje w milczeniu. - Wiesz, on jest trochę jak ta muzyka, którą mi pożyczyłeś.

Moja głupia uwaga przełamuje jakąś niewidoczną tamę i nagle oboje zaczynamy mówić. Tak, jakbyśmy się znali od lat. Już nie ma w pokoju ciszy i ja przestaję czuć się idiotycznie. Teraz robi się fajnie. Nawet bardzo fajnie.

Patryk jest wściekły jak nigdy, kiedy wracam.

- Gdzie ty byłaś, do cholery? - pyta. Jest naprawdę wściekły, a ja nie mam pojęcia, o co się tak wścieka. Źle mu się spało czy co? Przecież jeszcze nie ma nawet trzynastej!

- Co się drzesz! - odpowiadam. Może i dobrze, że Patryk jest wściekły, bo przynajmniej nie widzi moich rumieńców i radości. Już nie przypominam depresyjnej kury domowej, tylko zadowoloną kobietę.

- Czy ty w ogóle myślisz?!

Zawsze wkurza mnie, kiedy tak mówi. To jego „Czy ty w ogóle myślisz?” wychodzi mi bokiem. Nie wiem, skąd u niego przekonanie, że jak skończył prawo i pracuje w warszawskiej kancelarii prawniczej, to pożarł wszystkie rozumy i ja z moim wykształceniem mogę mu pięty lizać.

- Nie napinaj się tak - odpowiadam i odstawiam na cokół dziesięć pożyczonych kompaktów.

Patryk ignoruje moje uwagi, bierze mnie pod iokiec i prowadzi do kuchni.

- Myślenie nie boli, wiesz? - syczy mi nad uchem, a palcem wskazuje sufit i tapetę. Mrugam oczami, zaskoczona. Zupełnie mi z głowy wyleciało, że przecież gotowałam ziemniaki na sałatkę! O Jezuuu, faktycznie dałam plamę!

Patrzę na pokrojonego kurczaka, potem na wydymające się firanki i w końcu moje spojrzenie przesuwają się po osmalonej ścianie. No, nie wygląda to za dobrze.

- Obudziłem się w kłębach dymu! - wrzeszczy Patryk. - W kuchni było czarno! Mogłaś nas spalić! Czy ty w ogóle myślisz?!

Dobrze, że nie pyta znowu, gdzie byłam, bo teraz stwierdzenie, że poszłam do sąsiada, którego w nocy szczał policją, nie zabrzmiałoby za dobrze.

- Nie rób tragedii - przerywam jego wrzaski, bo chociaż kuchnia wygląda tragicznie, wcale się tym nie przejmuję. - Mogę to pomalować.

- Pomalować?! - Patryk jest zły jak osa. - Jak? W paski? W kratkę?!

Teraz już drze się na całe gardło, bo przecież te ściany robili mu jacyś styliści i pewnie nie spytał ich o numer farby i z jakiej firmy. Wzdycham ciężko, kątem oka patrzę na Kapcia siedzącego w przedpokoju i patrzącego tęsknie w stronę drzwi.

Patryk też go zauważa.

- A ten twój głupi pies nawet mnie nie obudził! Co ty za bydlę wzięłaś?! Psy mają jakiś instynkt! A ten? Nic!

Teraz trafia mnie szlag i mój dobry nastrój ulatuje w sekundę.

- Odwal się od mojego psa!

Wsuwam stopy w buty i wołam Kapcia do siebie. Patryka złość chyba opada, patrzy na mnie zdziwiony jak jeszcze nigdy.

- Gdzie ty idziesz?

Już w drzwiach odwracam się, by syknąć:

- Z psem na spacer!

- A obiad? - pyta kompletnie zmieszany. Zatrząskuję drzwi i już na klatce schodowej mruczę:

- Wsadź go sobie w tyłek, baranie!

Milcząca niedziela dobiega końca. Pod wieczór idę do Joasi na kolację, bo do Patryka wciąż się nie odzywam. Patryk oczywiście stara się jak może naprawić swój wybuch: patrzy na mnie tęsknie, przeprasza i wypytuje mnie o różne rzeczy, nawet głaszcze Kacpia po uszach i coś do niego mówi, co tak naprawdę ma być przeznaczone dla moich uszu.

Tyle że mnie nic to nie obchodzi. U Joasi wypijam dwa piwa, razem oglądamy drugą Bridget Jones, razem śmiejemy się przez łyżki na ostatniej scenie i kiedy od niej wychodzę, czuję się jakoś dziwnie.

W filmie była taka scena, kiedy samotna Bridget stoi w oknie swojej kamienicy. Kamera oddala się od niej i pokazuje inne okna mieszkań. W każdym znajduje się jakaś para albo cała rodzina: tańczą, całują się, oglądają razem telewizję. Kamera odjeżdża jeszcze dalej i pokazuje całe miasto, w którym nie ma żadnych samotnych okien.

Teraz właśnie tak się czuję. Jakby całe miasto było szczęśliwe, a ja jedna wcale nie cieszę się, że wracam do domu. Pod nosem nucę ponuro piosenkę Kaśki Kowalskiej: - „Wszystkim nam brakuje szczęścia...”.

Przed kamienicą zatrzymuję się i odruchowo patrzę w okno Sebastiana.

Są oboje. Ona siedzi w fotelu, on na poręczu. Są wtuleni w siebie, obejmują się ciasno, tak, jakby zaraz ktoś miał ich na siłę rozłączać. Sebastian gładzi ją po włosach, ona przesuwa dłońmi po jego plecach.

Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego na żywo. Stoję jak wmurowana, bo po raz pierwszy dociera do mnie, że tych dwoje łączy coś naprawdę wielkiego. Coś, czego ja nigdy nie doświadczyłam i czego nawet nie potrafię sobie wyobrazić.

Pocieram ręką oczy, bo zaczynają mi łzawić i jest mi tak potwornie - uświadamiam sobie, że dla takiego jednego momentu, jaki oni przeżywają, może warto poświęcić nawet całe życie. Zagryzam usta i płaczę bezgłośnie także dlatego, że gdybym wstrzymała oddech, usłyszałabym wydobywające się z ich mieszkania dźwięki mojego ukochanego jazzu.

Magda

Kiedy byłam małą, na moim osiedlu bardzo często pojawiali się Cyganie.

Przychodzili w kilkusobowych grupach, w których na ogół przeważały kobiety.

Wędrowali od domu do domu, namawiając mieszkańców na wróżby albo prosząc o wsparcie - czy to w postaci pieniędzy, czy to w postaci ubrań.

Moja babcia wierzyła, że znają magię i potrafią jej użyć. Kiedy widziała, jak zbliżają się chodnikiem do naszego wieżowca, żegnała się znakiem krzyża i jeśli byłam w pobliżu, obronnie kładła rękę na moim ramieniu albo głowie.

Raz opowiedziała mi dziwną historię. Kiedy była jeszcze małą, przyszli Cyganie i prosili jej mamę o ubrania. Tata wyrzucił ich za drzwi, a wówczas jedna z Cygank rzuciła na nich klątwę: ktoś w tym domu miał zachorować tak, że żaden lekarz mu nie pomoże. Kilka lat później mama mojej babci położyła się do łóżka, by nigdy już z niego nie wstać - może był to zwyczajny zbieg okoliczności, a może jednak zadziałała klątwa?

Babcia, mimo lęku, uwielbiała cygańską muzykę. W domu znajdowało się wiele płyt, a nawet całych albumów z romansami. Babcia tłumaczyła mi utwór po utworze, a ja byłam strasznie zaskoczona, bo to, co słyszałam, miało sens i dotyczyło naprawdę ważnych spraw, w przeciwieństwie do tekstów współczesnych piosenek. To były całe długie historie o życiu, o miłości, o nienawiści i o śmierci. Czasami pytałam moją babcie, jak to możliwe, że ci Cyganie potrafią pisać takie piękne słowa, a jednocześnie są tacy okrutni i bezwzględni -jak choćby względem mojej prababci.

Babcia odpowiadała, że tak to już jest z ludźmi.

- Popatrz na zdjęcia najpiękniejszych miejsc. Ludzie budują wysokie, piękne kościoły i pałace, od których nie można oderwać oczu. A jednocześnie jest w ludziach tyle zła, potrafią niszczyć, zabijać i nienawidzić!

Babcia zasiała we mnie lęk przed Cyganami. Kiedy ich później widziałam, zawsze ogarniała mnie przemożna chęć ucieczki. Długo nie uświadamiałam sobie, jak mocno mam zakorzeniony w sobie ten strach.

Kiedyś, już na czwartym roku studiów, pojechałam z Anetą do Kazimierza nad Wisłą. Można tam było sprzedawać w weekendy

swoje obrazy bez opłacania się za miejsce i za sam handel. Jeździłyśmy tam z Anetą przez całe wakacje, sprzedałyśmy wiele naszych prac.

Do Kazimierza przyjeżdżali różni bogaci ludzie, niemal cała śmietanka towarzyska - aktorzy, politycy, biznesmeni. W Warszawie panowała wówczas moda na Kazimierz. Modne było również kupowanie obrazów od nieznanych malarzy handlujących nimi na rynku. Przez tych kilka weekendów udało nam się zebrać całe mnóstwo autografów i zrobić sobie zdjęcia z wieloma sławnymi ludźmi.

Cyganki zjawily się w Kazimierzu pod koniec lata, kiedy wieczory robiły się już chłodne, a słońce nie prażyło tak intensywnie nawet za dnia.

Stojąc w wydekoltowanej bluzce przy naszym stoisku, odchylałam twarz do słońca i miałam zamknięte oczy. Nagle Aneta powiedziała:

-Patrz...

Pamiętam je dokładnie. Było ich sześć; trzy mogły mieć tyle lat co ja, pozostałe były dużo starsze. Ubrane na czarno - w swoich długich sukienkach wyglądały w to słoneczne popołudnie jak stado przerośniętych kruków.

Miałam wrażenie, że z ich nadejściem wokół nas pociemniało. Obserwowałam, jak suną przez rynek. Nie rozmawiały ze sobą, ale szły zgodnie, rozglądając się na boki. W pewnym momencie jedna z nich spojrzała mi prosto w oczy, a ja pospiesznie opuściłam wzrok i stałam bez ruchu, czekając, aż odejdą.

Wieczorem w pubie powiedziałam Anecie:

- Boję się Cyganów. Nie podoba mi się, że przyjechali tutaj, i jeśli zostaną na dłużej, chciałabym wrócić do domu.

Aneta nie rozumiała mojego strachu.

- Czego się boisz? Przecież to tylko włóczędzy!

Marszcząc brwi, streściłam jej to, co mi babcia mówiła w dzieciństwie:

- Niektórzy pochodzą ze starych szczepów, potrafią stosować magię, wróżą z rąk i z oczu. Mogą rzucać klątwy.

Dokładnie pamiętam, że Aneta odchyliła się na krześle, sondując mnie rozbawionym spojrzeniem. Po chwili powiedziała lekceważąco:

- Och, co ty wygadujesz? Przecież oni nie mają pojęcia o magii, to zwykli oszuści. W dzisiejszych czasach nie potrafią już kompletnie nic, nawet tańczyć!

Cyganki zostały w Kazimierzu na dłużej. Przez resztę weekendu obserwowałam z lękiem i fascynacją, jak zaczepiają na ulicach ludzi. Od ich wciąż czarnych szat robiło się ciemno, ciasnym kręgiem otaczały kobietę, której chciały powróżzyć, natrętnie łapały za torebkę, dotykały ubrań.

Czasami siadały na ławce i wachlowały się gazetami.

Po całym dniu obserwowania ich potrafiłam szybciej niż one wytypować osobę, która zapłaci im za wróżbę. Najczęściej ofiarami stawały się samotne kobiety, które przyjeżdżały do Kazimierza bez mężczyzn, kontemplowały obrazy na rynku, a potem wspinały się na wzgórze, żeby zobaczyć z bliska trzy krzyże wzniesione tam na pamiątkę ofiar zarazy. Przyjeżdżały z rana, a wieczorem statek zabierał je z nabrzeża na drugą stronę rzeki. One jedne wierzyły w każdą wróżbę i dawały się naciągać na spore sumy. Reszta zaczepianych opędzała się od czarnych szat jak od natrętnych owadów.

Nasz pokój w Kazimierzu był cały niebieski: niebieska szafa, niebieski dywan, niebieskie okiennice, niebieska kapa na łóżku.

Podobało nam się lustro wiszące na ścianie, ponieważ wyglądało zupełnie jak te weneckie, za którymi ktoś stoi i podgląda nieświadome tego osoby. Lustro wisiało dokładnie nad naszym łóżkiem i wiele razy wieczorami snułyśmy na jego temat niesamowite historie. Aneta zawsze twierdziła, że po drugiej stronie na pewno tkwi właścicielka willi, której nigdy nie widziałyśmy.

- Jest sparaliżowana i nie może się poruszać. Więc nas podgląda... - szeptała w ciemności.

Właścicielka gdzieś nad nami puszczała smutną piosenkę, a mnie nagle ogarnęły złe przeczucia i poprosiłam:

- Wyjedźmy stąd, Anetka. Wyjedźmy jutro z rana, proszę.

Z rana, kiedy szłyśmy na przystanek PKS z plecakami i nie-sprzedanymi obrazami, Cyganki zaszły nam drogę i zaczęły robić dokładnie to, co zwykle robią z potencjalnymi klientami: dotykały nas, Anetę za łokieć prowadziły już na bok, jedna tasowała w rę-

kach karty i namawiała mnie, żebym je przełożyła, inna odwracała mi dłoń spodem do góry, żeby zobaczyć znajdujące się na niej linie.

Byłam tak wystraszona, że nie wiedziałam, co robić. Drażnił mnie ich dotyk, bliskość, te wpatrzone we mnie natrętnie oczy. Widziałam, że Aneta śmieje się i przekłada karty. Widziałam, że wyciąga pieniądze, i słyszałam, jak jedna ze starszych Cyganki mówi do niej:

- Cyganka prawdę ci powie...

Bałam się, że jeśli odmówię, to Cyganki rzucają na odchodnym klątwę. Bałam się tak bardzo własnej sugestii, że pozwoliłam im oglądać moje dłonie i nawet przełożyłam karty, które mi podały. W nerwowym skupieniu czekałam też, aż usłyszę jakieś słowa o mojej przyszłości, ale tak się nie stało.

Kobieta, która trzymała moją dłoń, przesunęła tylko szorstkim palcem po jej wnętrzu i zaraz puściła. Musiała zauważyć coś, co jej się nie spodobało, bo powiedziała coś do reszty w swoim języku

i wtedy wszystkie się odwróciły do mnie. Przestały jazgotać, przestały nagabywać Anetę - nagle znalazłam się w centrum ich uwagi.

Wciąż trzymałam uniesioną rękę; widziałam, że ta, która mnie dotykała, wciąż na nią patrzy.

- Oj, daj im pieniądze, to się odczepią - powiedziała Aneta, a wtedy jedna z Cyganki zaczęła na nią krzyczeć.

Pieniądze miałam w plecaku, więc chwilę mi zajęło, nim je wygrzebałam. Nie miałam pojęcia, ile powinnam im dać. Jak na złość w portmonetce nie mogłam znaleźć żadnych drobnych i w końcu musiałam dać im dziesięć złotych.

Cyganki wzięły pieniądze i znowu zaczęły jazgotać, tyle że, ta, która mi chciała wróżyć, już nie zwracała na mnie uwagi. Po chwili wszystkie odeszły w stronę rynku, szeleszcząc spódnicami.

Po powrocie z Kazimierza kupiłam sobie kilka książek o wróżeniu z ręki. Wciąż prześladowało mnie spojrzenie tamtej Cyganki i jej palec, który zatrzymał się na małej linii pod serdecznym palcem. Przede wszystkim więc szukałam w książkach tej właśnie linii.

Tylko że jej tam nie było. Tak jak nie było jej na rękach znanych mi ludzi. Miały minąć dwa lata, nim trafiłam na nią w Internecie i nareszcie dowiedziałam się, co Cyganka wyczytała z mojej dłoni.

Odkąd zaczęłam zgłębiać chiromancję, wciąż zaskakuje mnie, jak wiele można wyczytać z dionii. Ludzie nie mają pojęcia, że ich ręce to wizytówki, które wprawnemu oku mogą opowiedzieć całą historię ich życia, od lęków i marzeń po bliską przyszłość, a nawet po śmierć.

Pamiętam, że wypróbowałam moje umiejętności najpierw na Anecie. Położyłam na stole obie jej dłonie, spodem do góry i pokazałam, jak bardzo różnią się linie na ręce prawej i na lewej.

- Prawa ręka jest ręką pokazową - tłumaczyłam. - Mówi tylko o tym, jaka jesteś w oczach innych. To na lewej ręce rozpoczyna się historia obejmująca przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Wróżby z rąk są trudne. Wystarczy małe odchylenie linii albo bliskość innej, by całkowicie zmienić wróżbę. Ważne jest wszystko: kształt palców, kształt paznokci, nawet sama płytko paznokcia.

Kiedy nauczyłam się już jako tako odczytywać dłonie, sprawiało mi wiele radości obserwowanie ludzi w kolejce SKM albo w bankach czy sklepach. Wystarczył rzut oka, bym wiedziała, z jakim typem człowieka mam do czynienia: czy jest to miła, uczciwa osoba, czy też ktoś, kogo należałoby unikać.

Linie zmieniają się z biegiem czasu. Na moich własnych dłoniach obserwowałam te zmiany; patrzyłam, jak wydłużają się niektóre z linii, jak pojawiają się biegnące od nich małe kreseczki, jak z czasem te kreseczki tworzą wysepki.

I ciągle nie miałam pojęcia, co oznacza linia, której poza swoją dłonią nie znalazłam u nikogo.

Dwa lata po wydarzeniach w Kazimierzu, kiedy byłam już mężatką, znalazłam jej opis; tak mnie on zaskoczył, że potrzebowałam kilku chwil, żeby go zrozumieć.

- Mam dar - powiedziałam szeptem, wpatrzona w ekran komputera.

W tekście, który znajdował się przede mną, wyraźnie było napisane, że mam niezwykle, rzadki dar.

Dar albo przekleństwo - powiedziałyby moja babcia, gdyby zobaczyła to, co ja.

Dla mnie jednak zdecydowanie to był dar, bo przez całe swoje życie czułam, że go posiadam, ale nie potrafiłam z niego korzystać.

Przecież było tyle nocy, które przeleżałam, wpatrując się w ciemność z nadzieją, że kiedyś coś w niej zobaczę. I tyle myśli, które kierowałam w pustkę w nadziei na odpowiedź.

Tyle snów, które zaskakiwały mnie wyrazistością i zawartą w nich prawdą.
Tyle już razy zaskakiwało mnie, że wiem coś, czego wiedzieć żadnym sposobem nie mogłam. Tyle dziwnych rzeczy.

A teraz nagle miałam to przed sobą na ekranie komputera wypisane niebieską czcionką na białym tle. Tekst nazywał to „zdolnościami mediumicznymi”, darem, który trafia się nielicznym.

Osoba posiadająca taką linię potrafi widzieć dalej i więcej niż inni ludzie.

Aneta

Pięć miesięcy wcześniej należy zamówić zaproszenia - wybrać wzór i zlecić druk.

Warto pomyśleć o wizytówkach na stole weselnym oraz o kartkach z podziękowaniami za udział w uroczystości.

Rozstrzygnijcie kwestię transportu dla pary młodych i dla gości. Koniecznie dokonajcie rezerwacji!

Rozwiążcie problem noclegu dla przyjezdnych gości.

Kupcie obrączki i oddajcie je do grawerowania inicjałów wybranka serca oraz daty ślubu.

Ninę poznałam na pogrzebie naszego profesora w Warszawie.

Miała na głowie kapelusze z szerokim rondem - duży i czarny - dokładnie taki, jak w scenach pogrzebu w amerykańskich filmach o bogatych ludziach. Na zimnym wietrze próbowała zapalić papierosa, osłaniając zapalniczkę dłonią. Pamiętam jej czerwone, długie pazury.

1 suknię, którą miała wtedy na sobie, kompletnie niestosowną. To była krótka kiecka, oblepiała całą jej sylwetkę, nie pozostawiając miejsca dla wyobraźni.

Włożyła też buty na bardzo wysokich obcasach i rajstopy z grubym czarnym szwem przebiegającym przez łydkę.

Była chuda jak patyk. Ale przy tej chudości niesamowicie atrakcyjna. Wszyscy się na nią gapili. Jeden chłopak normalnie spadł z roweru, kiedy mijał ją wąską dróżką przy kaplicy. A śpiewacy, którzy w otwartych drzwiach odśpiewywali wszystkie pieśni, jakie kiedykolwiek stworzyła ludzkość na okoliczność pogrzebu, wciąż patrzyli w jej kierunku.

Nina wiedziała, że patrzą. To dla facetów malowała usta na krwistą czerwień. To dla nich nosiła takie opięte sukienki i tak niewygodne buty. Dużo później powiedziała mi:

- Muszę czuć się atrakcyjna. Jeśli tak nie jest, czuję się, jakbym umierała.

Pamiętam, że dreptała koło mnie w kondukcje, w tłumie studentów, rodziny profesora oraz innych profesorów.

To był bardzo ładny pogrzeb. Samotny trębacz grał smutną melodię między grobami, ludzie płakali cicho w chusteczki, z drzew spadały jesienne różnobarwne liście; wiatr rozwiał mi włosy upina-ne pieczołowicie w kok z rana, a Nina w pewnym momencie, już nad grobem, szturchnęła mnie w ramię i wciągając głęboko powietrze, powiedziała szeptem:

- Cudowne, prawda?

Pół roku później tańczyłyśmy między regałami w hipermarkecie do puszczonej z głośników muzyki. Nina, biorąc obrót i ściągając z półki wielki słoik czekolady, powiedziała wesoło:

- Trzeba wyrwać się stąd na kilka dni! Chciałabym pomalować coś w plenerze!

Mogłybyśmy pojechać jutro, prawda?

Z rana przyjechała po mnie pod kamienicę, w której wynajmowałam mieszkanie. Uginając się pod ciężarem wielkiej walizki zawierającej kilka pędzli i wszystkie moje farby, dźwigając pod pachą kilka blejtramów (nigdy nie wiadomo, który format się przyda), truchtałam w stronę jej samochodu.

Słyszałam dobiegającą ze środka wesołą muzykę. Nina miała otwarte okno i wyglądała jak te wszystkie gwiazdy kina Hollywood: biała chusta na głowie, duże okulary przeciwsłoneczne, biała sukienka.

- Wzięłam wszystkie moje ciuchy! - cieszyła się jak dziecko.

Z łatwością mogłam sobie wyobrazić, jak upycha do plecaka wszystkie sukienki, spodnie i spódnice, na które trafiła jej ręka. Nina nigdy nie miała głowy do pakowania się. Jadąc gdziekolwiek, nawet na weekend, zabierała wszystko, co miała w zasięgu wzroku.

Słońce świeciło mocno i cudownie, po obu stronach szerokiej trasy widziałam żółte pola i odległe, zielone lasy. Niebo było czyste, niebieskie, w powietrzu unosił się zapach trawy zmieszany z wonią spalin. Wyciągnęłam stopy, oparłam je na przedniej szybie i razem

z Niną wrzeszczałam, że będziemy się świetnie bawić, że będziemy malować i że wrócimy opalone, szczęśliwe i pełne optymizmu.

Potem, kiedy już pola i lasy ukryły się w ciemności, a samochody jadące z naprzeciwka oświetlały nas mocno reflektorami, włożyłam ciepły sweter i oparłam głowę o boczną szybę. W myślach odczytywałam napisy na mijanych tabliczkach, z zaciekawieniem przyglądałam się tirówkom spacerującym poboczem. Słuchałam, jak Nina śpiewa razem z kasetą:

- „Crazy, I' m crazy for filling...”.

I wierzyłam jej, kiedy tak śpiewała. Śpiewała szczerze. Była szalona, nieprzewidywalna. Dokładna odwrotność mnie.

Tamten wyjazd był cudowny. Pamiętam, jak gniołłam na kolanach mapę, usiłując rozeznaczyć się w trasie, którą mamy do pokonania. Pamiętam upał na zewnątrz, opuszczone na maksa szyby i ciężkie, aż duszne od upału powietrze.

Co kilka godzin zjeżdżałyśmy z trasy. Nina ściągała wtedy buty i spacerowała na bosaka w trawie. Czasami kładła się na masce samochodu, rozkładała ręce i wołała, że jest wspaniale.

Kilka razy zjechałyśmy nad jakieś małe jezioro i brodziłyśmy w wodzie.

Mam zdjęcia z tego wyjazdu: moja stopa celująca w niebo, w tle spokojna tafla jeziora. Roześmiana twarz Niny za kierownicą, jej rude rozwiane włosy i dłonie z mocno umalowanymi paznokciami, które każdego wieczoru pieczołowicie ścierała i malowała na nowo.

Podczas tego wyjazdu Nina opowiadała mi o sobie. Pijąc piwo w przydrożnym barze i obgryzając lakier z paznokci, rzucała najpierw zdawkowe uwagi w rodzaju:

- Wiesz, jak byłam mała, to największą przyjemnością sprawiało mi czekanie, aż spadnie śnieg.

Potem rozwijała nieco temat:

- Kłękłam na kanapie przy oknie i oparta łokciami o parapet wpatrywałam się w niebo. Zaczynał sypać śnieg. Najpierw kilka pojedynczych płatków, a potem było tak, jakby tam w górze ktoś wysypał cały ogromny puchar hostii!

Śmiała się do wspomnień i jej twarz przybierała wtedy pogodny wyraz, który strasznie lubiłam.

- Gdybys wiedziała, ile godzin potrafiłam przesiedzieć wpatrzona w sypiący śnieg! Kiedy tak mówiła, ja przypominałam sobie migawki z mojego dzieciństwa: Basię zjeżdżającą ze stromej góry i krzyczącą, że to już jej koniec, nieprzyjemny chłód topiącego się na mojej skórze śniegu, kiedy wpadł mi za kołnierz. Albo te wszystkie chwile, kiedy z rodzicami celebrowaliśmy ubieranie choinki: tata zakładał sznury lampek i zawsze okazywało się, że któraś nie działa. Wtedy trzeba było sprawdzać wszystkie po kolei, co zabierało strasznie dużo czasu. Potem mama zakładała łańcuchy, a ja mogłam wreszcie przystąpić do wieszania bombek.

Któregoś dnia, chyba już w Puławach, Nina powiedziała mi, że jej rodzice byli z pochodzenia Rosjanami. Przyszła na świat w Paryżu. Rodzice wyemigrowali tam w latach siedemdziesiątych i od tamtej pory ani razu nie pojechali już do Rosji.

- Tęsknili za językiem i za całą tą rosyjską obyczajowością, ale nie mieli odwagi wrócić.

Nie rozumiałam, dlaczego. Czasy tak bardzo się zmieniły, że właściwie w każdej chwili mogliby wrócić do Rosji. Zresztą mogliby pojechać tam tylko po to, żeby zobaczyć Rosję, a potem wrócić do Francji.

- Ja też nigdy nie byłam w Rosji. Urodziłam się w Paryżu, a potem przyjechałam do Polski i tu już zostałam.

Tego również nie mogłam zrozumieć.

- Oj, nie rozumiem... Dlaczego nie zdawałaś we Francji na akademię sztuk pięknych?

Machnęła lekceważąco ręką, a potem powiedziała bez żalu:

- Rodzice nie mieli czasu się mną zajmować. W Paryżu pracowali bardzo ciężko, więc odesłali mnie do Polski do babci.

We Francji spędzała głównie wakacje. Oczywiście opowiadała mi o nich. O spacerach po Paryżu, które odbywała w samotności, o tym, jak poznawała francuski język, o rosyjskich wieczorach organizowanych niedaleko Montmartre'u, gdzie tańczono przy bałajce i pito wódkę. Opowiedziała mi też o czarnoskórym Mounde, który był pierwszym facetem w jej życiu.

- Wynajmował mały pokój na poddaszu przy jednym z paryskich zaułków.

Prowadziły do niego bardzo wysokie schody, a z okna widać było szpiczaste dachy innych kamienic. Miał żo-

nę i dwuletniego synka, którzy mieszkali w Anglii. On był malarzem...

Uśmiechała się, a ja cała zamieniałam się w słuch. To był zupełnie inny świat niż mój, tak od niego różny, że to, co mi opowiadała, równie dobrze mogłoby należeć do fabuły jakiejś książki albo scenariusza filmowego. Obrazy, które budowała swymi opowieściami, były takie plastyczne, choć zarazem banalne, że kiedy już zamilkła, miałam je w głowie.

Wyobrażałam ją sobie wdrapującą się po schodach do Mounde, Mounde w jasnym szlafroku i z pędzlem w ręce otwierającego jej drzwi, ich namiętny seks w małym pokoju na poddaszu, z widokiem na szpiczaste dachy Paryża.

- Miałam czternaście lat, kiedy pierwszy raz z nim byłam! Moje oczy rozwarły się ze zgrozy. Wolałam nie wiedzieć, ile miała lat, kiedy była z nim po raz ostatni.

- Mounde malował dobre obrazy. Zawsze miałam słabość do malarzy, szczególnie tych utalentowanych, więc może dlatego Mounde tak mnie pociągał. Malował głównie rozebrane kobiety, oczywiście malował też mnie!

Ta wzmianka też mnie fascynowała. Ja miałam dwadzieścia jeden lat, kiedy pierwszy raz znalazłam się w łóżku należącym do faceta. Tym facetem był Marek. Zaczynałam głowić się nad tym, ilu facetów miała Nina i jaki właściwie był jej stosunek do seksu. Zaczęła współżycie od żonkosia, wiele lat od niej starszego i czarnego. Co było dalej?

Wyobrażałam sobie Mounde stojącego przy sztaludze i Ninę leniwie rozpartą na kanapie w jego pokoju, nagą, z papierosem w smukłych palcach.

- Później dowiedziałam się, że malował nie tylko mnie. - Zaczęła się śmiać, jakby to było coś bardzo zabawnego. - Znalazłam obrazy innych kobiet. To nie były modelki. To były jego dziewczyny. Wszystkie nas miał, będąc żonatym człowiekiem!

- Wtedy go rzuciłaś?

- A skąd! - Przysłoniła ręką usta, a jej oczy zmrużyły się jak u kocicy. - Wtedy starałam się go rozkochać w sobie tak, żeby był tylko mój i nie chciał już nikogo więcej.

Dobry Boże! - pomyślałam ze zgrozą. W czasie, gdy Nina robiła wszystko, co mogła, żeby utrzymać przy sobie żonkosia, ja cho-

dziłam na lody i ciastka z Magdą i Basią, czytałam z wielkim przejęciem „Córke kapitana okrętu” i z rodzicami dreptałam co niedziela na mszę.

- Udało ci się, Nina? Rozkochałaś go w sobie?

Przestała się uśmiechać i położyła dłonie płasko na kolanach.

- Wiesz, Sebastian jest trochę do niego podobny - powiedziała, ignorując moje pytania. - Maluje podobne rzeczy. I tak samo jak Mounde nie przywiązuje się do ludzi.

Puławy miały być naszym punktem docelowym. Nina ciągle mi o nich opowiadała. Nigdy jeszcze tam nie była, ale uważała, że Arkadia Izabeli Czartoryskiej to prawdziwy raj.

- Wyobraź to sobie! - mówiła z wielkim przejęciem w głosie. - Dawniej było to miejsce, do którego przyjeżdżali ludzie z całej Europy. W Polsce nie miało sobie równych. Ogrody projektowane według grubych angielskich periodyków, a pałacyk to miniatura Wersalu!

Na drodze do Puław ciągle coś psuło się w samochodzie i Nina, w duchocie wstającego dnia, kilka razy z instrukcją obsługi w rękę zaglądała jeepowi pod maskę. Jakoś jednak udało nam się dojechać na miejsce.

W Puławach wysiadłyśmy z samochodu przed opuszczonym, zarośniętym parkiem i ze zdumieniem odczytałyśmy napis: *Park Izabeli Czartoryskiej*.

- To okropne! - powiedziała Nina i popchnęła skrzypiącą, zardzewiałą furtkę.

Ja człapałam za nią, czując, jak mój dobry humor opada z każdym krokiem. Puławy i Arkadia były celem naszej podróży, a tu coś takiego! Ze zgrozą przesuwiałam spojrzeniem po rozrośniętych krzakach, po nieprzycinanej trawie. W gąszczu różnych krzaczko-rów dostrzegłam zrujnowaną altanę z greckimi kolumnami i poczułam, jak serce mi pęka. Nina stała koło mnie zszokowana, nawet zdjęła okulary przeciwsłoneczne.

- Och, nie! - jęknęła, kręcąc głową.

Tu na pewno siedzieli malarze - pomyślałam. Musieli tu siedzieć i obserwować, jak słońce wschodzi i zachodzi za najpiękniejszymi ogrodami północnej Europy. Stąd widać też było pałacyk.

Jeszcze przypominal swoim wyglądem Wersal, ale nawet z takiej odległości mogłam odczytać napisy" informujące, że stał się filią uniwersytetu.

- Jak można było tak zapaść taki piękny zabytek! - wściekała się Nina, zapalając papierosa. Obeszliśmy cały park. Rzeźby były poniszczone, a na tyłach budynku znalazłyśmy piękną budowlę, w której ktoś deskami zabił okna. Liście ścieliły się na jej schodach jak dywan, z gzymsu spoglądały na nas poniszczone przez czas rzeźbione aniołki.

- Niech to szlag trafi!

Nina usiadła na liściach na drugim stopniu. Pierwszy raz widziałam ją tak rozgoryczoną, i przyszło mi do głowy, że w Ninie wszystko ma jakiś większy wymiar - nawet jej żal.

- To co teraz robimy? - zapytałam już w samochodzie. Stało się oczywiste, że nie pomalujemy puławskich parków. Co gorsza, jeszcze nic nie namalowałyśmy. Nina przeglądała atlas samochodowy i wodziła palcem po mapie. W jej głosie wyczułam coś dziwnego, jakieś niesamowite podniecenie, nie było w nim już ani odrobiny żalu, kiedy powiedziała:

- Zajeżdżamy już tak daleko...

Zmrużyłam oczy przed słońcem, napiłam się zimnego piwa wyjętego z przenośnej lodówki i odchyliłam głowę na oparcie fotela. Słyszałam, jak Nina pomrukuje coraz bardziej zadowolona:

- Dałyśmy sobie tydzień na ten wyjazd... Tydzień, a jest dopiero drugi dzień.

- Więc? - spytałam, przeczuwając, że w jej głowie kłębi się jakiś straszliwy pomysł.

- Więc myślę, że możemy pojechać dalej.

Jej „dalej” zabrzmiało jakoś dziwnie odległe, aż rozchyliłam powieki i popatrzyłam na nią uważniej. Jej twarz promieniała, oczy świeciły radością, która wygnała ze mnie resztki senności.

- Dokąd, Nina?

Wciąż się uśmiechała i patrzyła na mnie wyczekująco. Opuściłam więc wzrok na jej dłoń celującą w jakieś miejsce na mapie i oprzytomniałam do reszty.

- Ty chyba żartujesz! - wykrzyknęłam.

Ale ona nie żartowała. Złapała mnie za rękę i powiedziała błagalnie:

- Zgódź się, proszę, proszę, proszę!
 - Nie mamy na to pieniędzy! - Rozpaczliwie szukałam w głowie argumentów i nie umiałam ich *znaleźć*. Właściwie nie było powodu, dla którego miałybyśmy tam nie pojechać. I nagle uświadomiłam sobie, że cieszę się na to. I to strasznie!
- Ostatkiem rozsądku bąknęłam:
- Twój samochód nawala.
 - Zostawimy go przy granicy i pojedziemy stopem.
 - Stopem?
 - Stopem. Tak będzie taniej. Tak byłoby taniej, faktycznie.
- Pomysł podobał mi się coraz bardziej, aż poczułam, że czerwienieję z radości.
- Ojej, Nina! Jak opowiem to Markowi, to padnie! Roześmiała się głośno.
 - Tak dawno tam nie byłam! Moi rodzice padną, jak mnie zobaczą!

Joasia

Pod numerem Izy Sobczyk zgłasza się jakaś młoda kobieta i informuje, że kupiła to mieszkanie kilka lat temu od państwa Sobczyków. Mówi, że zapisała sobie ich nowy numer i że bym zadzwoniła wieczorem, to mi go poda.

Karol spaceruje ze mną po Starym Mieście. Z nieba spadają na nas płatki śniegu. Trzymamy się za ręce i idziemy w milczeniu, które wypełnia nie tylko przestrzeń dzielącą nas, ale też mnie całą.

Nie wiem, od kiedy między nami zapadła taka wielka cisza. Chyba zaczynam się gubić, mam wrażenie, że gdzieś po drodze coś straciłam, że przeoczyłam coś ważnego. Już nie ma we mnie żadnego spokoju, tylko same nerwy i strach.

Zatrzymujemy się na Rynku Starego Miasta. Tłum ludzi otacza zwartym kręgiem grupę francuskich tancerzy. Karol łapie mnie mocniej za rękę, prowadzi przez tłum do miejsca, z którego możemy widzieć cały spektakl.

Dziewczyna tańczy z płonąca pochodnią, wokół niej wiruje kilku tancerzy przebranych w kostiumy z commedii delFarte. Płomienie buchają w ciemną noc, z głośników sączy się dziwna, mroczna muzyka.

Ludzie śmieją się głośno. Karol wrzuca pieniądze do rozłożonych na ziemi futerałów na skrzypce i puszcza swoją dłoń. Muzyka narasta, płomień zatacza duże kręgi.

A mnie nagle bez dotyku Karola ogarnia potworny strach, z którym nie umiem walczyć. Nabieram głęboko powietrza. Twarze ludzi wydają mi się jakiegoś przeskalowane, szpetne. Muzyka zbyt głośna i zbyt mroczna. Mam też wrażenie, że jestem zbyt lekka, tak lekka, że najmniejszy powiew wiatru mógłby mnie unieść w górę.

- Udało się pani znaleźć ten numer? - pytam, przysłaniając dłonią słuchawkę. Nie chcę, żeby Karol usłyszał moje słowa i pytał mnie potem o tę rozmowę. Przyglądam mu się w napięciu przez uchylone drzwi. Akurat czyści struny gitary, śpiewając sobie z muzyką z telewizora.

Przemykam oczy i kiedy tamta kobieta szuka numeru, przez szelest przewracanych przez nią kartek dociera do mnie piosenka, którą nuci Karol. Bezwolnie powtarzam za nim: „I wanna grow up to be a politician” - i już dokładnie wiem, skąd znam ten numer. To stary kawałek, z czasów mojego dzieciństwa. Grał go zespół The Berds i Daria zawsze, kiedy słyszała go w radiu, podkreślała je na cały regulator i śpiewała razem z wokalistą. Przez ułamek sekundy przypominam sobie jej koliste ruchy bioder i kraciastą koszulę, kiedy tańczyła po całym mieszkaniu i śpiewała schrypniętym głosem: „I wanna grow up to be a politician!”.

Zaraz też przypominam sobie jej pełen dumy głos, kiedy tańcząc, podchodziła do mnie i pytała: „Wiesz, co to znaczy?”.

Pytała specjalnie z wyższością, bo od dwóch lat chodziła na kurs angielskiego, a ja miałam angielski tylko w szkole i byłam na etapie dowiadywania się, że lampa stoi na stole, a pod stołem leży kot. Daria uśmiechała się z politowaniem, kiedy widziała, jak brnę mozolnie przez angielski, potykając się na każdym nowym słówku. Jej nauka sprawiała przyjemność i przychodziła bardzo łatwo. Czasami mówiła, że to dlatego, że ma czas na uczenie i jest mądrzejsza, a ja tylko ganiam z moimi durnymi koleżankami po krzakach i wygaduję jakieś głupstwa.

„To znaczy, że jak dorosnę, to chcę być politykiem!”.

Pamiętam, że zespół za jej plecami śpiewa! radośnie refren piosenki, a ja spytałam kompletnie zdziwiona: „Ty naprawdę chcesz być politykiem?”.

Daria zaczęła się śmiać i zaraz wyjaśniła, że owszem, chce, ale tylko po to, żeby zamknąć w więzieniach wszystkich głupich ludzi.

„Tak głupich jak ty i twoje koleżanki. A w szczególności Magda!”.

Państwo Sobczykowie wyprowadzili się do Gdańska na Osowę. Kiedy do nich dzwonię, w pierwszej chwili nie mogą sobie skojarzyć, kim jestem.

-- Moja siostra przyjaźniła się z państwa córką - tłumaczę z niechęcią. Dopiero kiedy wypowiadam imię Darii, pani Sobczyk odblokowuje się pamięć i wykrzykuje:

- O mój Boże! Asia, to ty?! Co słyhać u twoich rodziców? Wiem, że chciałyby spytać, czy wyjaśniła się sprawa z Darią.

Nawet w pewnym momencie zaczyna formułować takie pytanie, ale wtedy przerywam jej chłodno pytaniem o Izę. Dowiaduję się, że Iza wyszła za mąż, wyjechała z miasta i obecnie pracuje w biurze podróży.

- Mieszka teraz w Warszawie - dodaje pani Sobczyk. Wobec tego proszę o jej numer telefonu.

- Ja też mieszkam w Warszawie - mówię - więc może się z nią spotkam.

Pani Sobczyk pyta niepewnie, już bez euforii w głosie: -1 powspominacie stare czasy?

Przesuwam dłonią po ustach i odpowiadam z wymuszonym uśmiechem:

- Tak, właśnie. Powspominamy stare czasy.

Karol wieczorem siada na łóżku koło mnie i delikatnie dotyka moich pleców.

- Porozmawiaj ze mną, Asia.

Odwracam do niego twarz. Nie ma sensu kłamać, że nic się nie dzieje. Karol nie zasłużył sobie na takie zwykłe, banalne kłamstwa.

Czuję, jak jego dłoń przesuwa się po moim karku i dotyka ramienia.

- Słyszałem twoją rozmowę... Nie mówiłaś, że masz siostrę.

Wtedy podnoszę na niego wzrok. Jest bardzo zmartwiony, patrzy na mnie niepewnie, zupełnie jak nie on. Jak sięgnę pamięcią wstecz, nie odnajdę w moich wspomnieniach Karola tak smutnego. Przecież jeszcze kilka tygodni temu, kiedy grał koncert w Gdańsku, miał w sobie tyle radości!

Przychodzi mi do głowy głupia myśl, że może Karol ma w sobie wciąż tę samą radość, ale pozwala się jej ujawniać tylko, kiedy mnie nie ma. Kiedy gra na scenie albo po koncercie pije piwo w zatłoczonych klubach i rozdaje autografy rozchichotanym maślakom.

Marszczę brwi, bo przypominam sobie Darię z Izą czekające na autograf jakiegoś znanego gitarzysty. One też miały w oczach taką samą radość, jak dziewczyny podchodzące do Karola. I nawet tak samo chichotały. Daria dodatkowo jeszcze trzepotała grubo utuszowanymi rzęsami i mówiła z figlarnym uśmiechem: „Czy mógłby pan napisać coś bardziej osobistego?”.

Z zamyślenia wyrывa mnie odgłos zamykanych drzwi. Po Karolu zostało tylko wgniecenie w pościeli. Słyszę jego kroki na schodach, potem szelest ścielonego łóżka na dole i głos spikera w telewizji.

- Twój telefon kompletnie mnie zaskoczył! - mówi Iza, kiedy siada naprzeciwko mnie na krześle i odgarnia z twarzy niechlujne jasne włosy. - Byłam zupełnie zaskoczona! Pomyślałam: To ona tu mieszka? I pomyślałam, że zobaczę się z tobą! Iza wygląda dokładnie tak, jak w dzieciństwie. Przybyło jej tylko kilka kilogramów i rozjaśniła włosy. Dziwne, że mimo dość dobrego makijażu i ładnego czerwonego golfu wygląda tak samo niechlujnie, jak kiedyś. Nie wiem, na czym to polega. Przyglądam się jej tłustej cerze, którą niby tuszuje jasnym pudrem. Przesuwam spojrzenie na kilkucentymetrowe odrosty włosów, na odpryśnięty na paznokciach lakier. Dopiero teraz zauważam, że nosi okulary w drucianych oprawkach, które kompletnie jej nie pasują.

Na krótki moment ogarnia mnie przedziwne uczucie, że czas zaczyna się cofać, że wskazówki zegarów wirują i wirują, by osadzić mnie w gdyńskiej ciastkarni, naprzeciwko Izy, piętnaście lat temu. Niemal czekam, aż za moimi plecami rozlegnie się głos Darii: „A ja poproszę tę dorodną bajaderkę!”. Iza powinna teraz powiedzieć: „Nie wiesz, że bajaderki robione są ze wszystkich najohyd-

Niejszych odpadów?". A Daria odpowiedziałaby bez mrugnięcia okiem: „I właśnie to mnie w nich kręci!”.

Uświadamiam sobie, że Iza mówi już od dłuższego czasu. Próbuję skupić się na jej słowach, wychwytyuję ogólny sens. Chyba streszcza mi swoje życie rodzinne, opowiada o mężu i o dzieciach.

Lustruję ją chłodnym spojrzeniem i czekam, aż cała przeszłość uporządkuje się i będę mogła zadać nareszcie swoje pytania.

Iza mówi i mówi. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek w przeszłości tak wiele mówiła. Najczęściej słuchała Darii i teraz, z perspektywy czasu zaczynam sobie uświadamiać, że Daria chyba w dużym stopniu miała wpływ na jej decyzje i na sposób bycia.

Przeszywa mnie jakiś nieprzyjemny dreszcz, którego kompletnie nie rozumiem. Wiąże się z nim przeświadczenie, że z perspektywy czasu powinnam też wiedzieć coś więcej.

Co więcej? - myślę, a po tamtym dreszczu pojawia się następny i odbiera mi chęć sięgnięcia po filiżankę kawy.

Czuję delikatne mrowienie w plecach, uśmiech na mojej twarzy zastyga.

Jak na filmie, w którym ktoś wyłączył fonię, przyglądam się Izie. Mam świadomość rozmów wokół nas, dociera do mnie muzyka sącząca się z baru, ale Iza pozostaje niema, chociaż porusza ustami.

Przechylam na bok głowę, nagle świadoma, że coś niedobrego zaczyna się ze mną dziać. Wszędzie we mnie jest strach, którego pochodzenia nie znam. Wypełnia moje stopy, czyniąc je ciężkimi jak z ołowiu, wypełnia moje dłonie, dmucha mi zimnym powietrzem na kark i delikatnie stroszy włoski pokrywające ciało.

Marszczę brwi i czuję, jak drżą mi kąciki ust, jak robi mi się zimno i w jednej sekundzie gdzieś na moich plecach pojawia się powolna kropla potu, która spływa wzdłuż kręgosłupa.

W mojej głowie pojawia się mroczna projekcja obrazów. Widzę wydłużający się cień na klatce schodowej, uchylone drzwi mojego mieszkania, twarz opartą o futrynę drzwi, usta rozciągające się w krzywym uśmiechu, dłoni unoszących się do góry w geście pożegnania.

Czuję, jak drżą mi nogi i ręce, jak moje serce bije za szybko i za głośno, unikam wzroku Izy, bąkam niemal histerycznie: - Przepraszam cię na chwilę...

Pod drzwiami toalety zatrzymuję się i jak w złym śnie jeszcze raz odwracam za siebie.

Iza siedzi przy stoliku, plecami do mnie. Je ciastko, kiwa nogą założoną na nogę i odruchowo skręca sobie kosmyk włosów na palcu.

Bezwolnie przyciskam dłonie do ust, wpatruję się w jej zgarbione plecy, jak echo powraca do mnie głos Darii: „Wyprostuj się, bo chodzisz jak pogarbieniec!”

W łazience zapalam papierosa i zaciągam się nim nerwowo. Nie spalę całego, bo Iza zirytuje się, czekając na mnie. Tylko pół, dla uspokojenia nerwów. Ale moje nerwy nie chcą się uspokoić.

Kiedy widziałam Darię ostatni raz, stała w drzwiach wejściowych do naszego mieszkania i opierała czoło o framugę.

Pamiętam, że miała na sobie krótkie spodenki, w których chodziła po domu, i skarpetki w czerwone kotki. Nie założyła kapci. Tak dokładnie, niemal precyzyjnie potrafiłabym po tylu latach odtworzyć w pamięci dźwięk jej kroków:

charakterystyczne szuranie stóp po podłodze, ciche i bardziej przypominające tarcie szmatką śliskiej powierzchni, niż faktyczne kroki.

Tamtego popołudnia powiedziała:

„Wolałabym jechać z wami”.

A mama zaczęła się wahać, czy faktycznie nie powinna jej zabrać.

„Zmierz jeszcze temperaturę - zaproponowała i zaraz, jeszcze zanim podała jej termometr, pospiesznie przyłożyła dłoń do jej czoła. - Jest ciepłe... nie możesz jechać”.

Nie mieliśmy wtedy samochodu. Tata kupił nasz pierwszy wóz dwa lata później, a w czasie, gdy była jeszcze z nami Daria, wciąż rozmawialiśmy o tym. Daria marzyła o samochodzie. Całymi godzinami potrafiła leżeć z zamkniętymi oczami na swojej kanapie i mówić zdania w rodzaju: „Gdybyśmy mieli samochód, teraz jechalibyśmy na Hel...”. Albo: „Gdybyśmy mieli samochód, pojechalibyśmy do babci na wieś na cały weekend....”.

Najbardziej oczywiście lubiła przypominać o samochodzie, kiedy dźwigaliśmy ciężkie siatki ze sklepu albo kiedy w strugach deszczu przemierzałyśmy z mamą Świętojańską w poszukiwaniu jakiejś konkretnej rzeczy. Mama wdychała wtedy ciężko i pewnie myślała o paradoksie, który sprawił, że w czasie największego zapotrzebowania

naszej rodziny na samochód my faktycznie jeździmy autobusami, prosimy ciocię Elę, żeby zabrała nas nad jezioro latem i nie możemy rodzinnie pojechać sobie na przykład do Gdańska na kilka godzin.

„Gdybyśmy mieli samochód, to byś pojechała” - powiedziałam tamtego popołudnia, obserwując, jak Daria strzepuje termometr i wsuwa go sobie pod pachę z miną świadczącą o tym, że przegra tę walkę, bo na termometrze na pewno będzie około trzydziestu ośmiu stopni.

„Ale nie mamy samochodu, więc przestańcie!” - zirytowała się mama.

Pamiętam, że przystanęła przy lustrze i zaczęła skrupulatnie oglądać swoją czarną spódnicę, czy przypadkiem nie oblaźła białymi kłakami. Zawsze, kiedy miałyśmy odwiedzić ciocię Rysię, dwa razy bardziej przykładała się do ubioru, kilka razy kontrolowała makijaż i wkładała buty na wysokim obcasie.

Ciocia Rysia mieszkała w Oliwie i trzeba było jechać do niej kilka przystanków kolejką SKM, a potem jeszcze iść prawie dwa kilometry szerokim deptakiem. Mama nie cierpiała tego spaceru. Zawsze myślałam, że to przez te buty. Dopiero wiele lat później dowiedziałam się, że nie cierpiała go głównie dlatego, że już wówczas zaczęła chorować i dwukilometrowy spacer był dla niej zbyt męczący.

Ja i Daria za to zawsze lubiłyśmy iść tym deptakiem. Daria liczyła wtedy latarnie uliczne i za każdym razem podawała inną końcową liczbę. Ja wpatrywałam się w okna wieżowców i liczyłam ludzi, którzy byli akurat w oknach.

„Chciałabym jechać z wami” - powtórzyła Daria z termometrem pod pachą.

„Daj termometr...”.

Na termometrze było trzydzieści osiem stopni i dwie kreski. „Nie pojedziesz, nie możesz... Zaraz ci dam polopirynę i masz się wygrzać”.

Patrzyłam, jak Daria posłusznie kładzie się pod koc w dużym pokoju i z książką w ręku patrzy na nas nieszczęśliwym wzrokiem. „Przywiezicie mi trochę ciasta?”.

„Przywieziemy” - zapewniłam ją. Naprawdę było mi jej żal, bo miała taki nieszczęśliwy wyraz twarzy, kiedy leżała, patrząc na nas, szykujące się do wyjścia.

„Tata też jedzie?”.

„Tak, ale nie będziemy długo. O dziewiątej jesteśmy z powrotem. Zamknij za nami drzwi i nikomu nie otwieraj”.

Daria odprowadziła nas do drzwi, oparła policzek o futrynę i powiedziała z nieszczerym uśmiechem:

„Na pewno będzie coś smacznego. Ciotka zawsze robi dobre rzeczy”.

Jakiś impuls albo może przecucie czegoś złego sprawiło, że już na klatce schodowej, idąc za tatą w dół, odwróciłam się.

Stała w drzwiach i patrzyła za nami. Postawiła jedną stopę na drugiej, westchnęła głęboko i machnęła mi ręką, mrużąc pod nosem: „Nie zapomnij o cieście dla mnie!”.

- Już myślałam, że się utopiłaś! - mówi ze śmiechem Iza, kiedy wracam do stolika.

- Musiałam zapalić...

Sonduję ją wzrokiem. Teraz już nie podoba mi się w niej nic. Wydaje mi się, że porusza się sztucznie, że skręcając wciąż loki na palcu, usiłuje ukryć zdenerwowanie, że unika mojego spojrzenia.

Czy tak było zawsze?

Iza unikała wzroku Darii pod koniec ich przyjaźni. Unikała go, bo Daria zawsze potrafiła powiedzieć jej coś przykrego. Przed koleżankami ją kryła i brała pod ochronny parasol, ale w ciszy mieszkania nie ważyła już tak bardzo słów.

- Ty nic nie potrafisz! - mrużęła z niezadowoleniem i uważnie taksowała Izę swoim twardym spojrzeniem. - Ty nic nie umiesz robić. Dlaczego masz zaplamioną bluzkę? Dlaczego nie chcesz schudnąć? Ty nawet nie potrafisz zjeść ciastka tak, żeby nie nakruszyć!

Czasami Iza wybuchwała płaczem, a Daria wtedy powtarzała słowa naszej mamy:

- Łzy są dla ludzi słabych! Nie bądź takim mazgajem! Niekiedy Iza wybiegała od nas. Kilka razy zdarzyło się, że pani

Sobczyk przyszła do naszego domu i ściszym głosem mówiła coś do moich rodziców. Pamiętam moją mamę po takich rozmowach: wyglądała na zdenerwowaną, nerwowo poprawiała guziki swojego niebieskiego swetra, czasem opierała głowę o ramię mojego taty i mówiła z niedowierzaniem:

- W kogo ona się wdała? Dlaczego to robi?

Daria uważała, że jest podobna do ciotki Marylki. Znalazła jej stare zdjęcie w albumie ze zdjęciami rodzinnymi i przyniosła do mnie do pokoju.

- Zobacz, wyglądam zupełnie jak ona.

Ciotka Marylka była bardzo piękną kobietą, tańczyła w zespole Mazowsze, do którego przyjmowano najładniejsze tancerki i wszyscy w rodzinie zachwycali się jej urodą. Daria dowiedziała się, że zginęła na rok przed moim przyjściem na świat w wypadku samochodowym.

Daria miała na jej punkcie prawdziwą obsesję. Potrafiła godzinami wypytywać rodziców o ciotkę, powiesiła sobie jej zdjęcia na ścianie w pokoju. Szczególnie fascynowała ją tamta śmierć.

- Ale jak zmarła? - dopytywała się dość natrętnie. Mama odpowiadała:

- Zginęła w tamtym samochodzie, mówiłam ci już to sto razy. Ale Darii to nie wystarczało. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej.

- Ale na miejscu? Czy żyła, jak wieźli ją do szpitala? Na co konkretnie zmarła?

- W wypadku, przecież mówię.

- Tak, ale w wypadku też ludzie umierają na coś. Ktoś umiera, bo mu pęknie czaszka albo wypadnie przez przednią szybę...

Temat Darii wywołuje w Izie zmieszanie, które mnie niepokoi.

- Pamiętasz tamto lato, kiedy wyjechałyśmy na Hel i chodziłyśmy na plażę od strony zatoki?

Nie mogę oderwać od niej oczu. Moje spojrzenie przesuwają się po jej dłoni pocierającej czoło, zauważam, że mruży oczy i zbyt szybko wpycha do ust kawałek sernika.

Zaczynam mówić pospiesznie, cichym głosem:

- Daria i Basia zostały na kocu, a my odpłynęłyśmy rowerem wodnym dość daleko. Powiedziałaś mi wtedy, że Daria ma chłopaka...

Unosi brwi, trochę zaskoczona, a trochę zła, że wyciągam z przeszłości takie rzeczy.

Najwyraźniej nie myślała o tym od lat i teraz dosłownie widzę, jak jej myśli przedzierają się przez grubą warstwę kurzu, by odgrzebać wszystko to, o czym mówię. Prostuje się na krześle.

- No i co?

- Pamiętasz go? Umiesz go opisać albo podać mi jego imię?

Jest wyraźnie zirytowana, pociera ręką nos.

- Po co ci to? Co ty robisz?

- Układam to! -Poco?

- Mam do tego prawo.

- Teraz? Po latach?

Stanowczość w moim głosie i moja złość sprawiają, że Iza zamyśla się i szuka tamtego chłopaka w pamięci. Chmurzy się i krzywi, dokańcza sernik, a potem szuka czegoś w torebce.

- Wiesz co? Tak myślałam, że będziesz mnie pytać o coś takiego - mówi w końcu. - Nie jestem głupia, wiedziałam od razu, że czegoś ode mnie chcesz.

Nie odrywam od niej spojrzenia, odpowiadam zimno:

- A co ty byś robiła na moim miejscu?

Teraz Iza zachowuje się zupełnie jak Basia. Jeszcze chwila, a powie mi, że nic ją to nie obchodzi i że powinnam się leczyć psychiatrycznie. Nawet czekam na te słowa, ale zamiast nich Iza wyrzuca z siebie zirytowane:

- Przyjeżdżał do klatki D. Był chyba z Krakowa albo z okolic Krakowa.

- Do klatki D? Do kogo? Wstaje i rzuca mi coś na stół.

- Weź sobie. Nie chcę tego i nie mam ochoty mieć z tym nic wspólnego. A przyjeżdżał na jedenaste piętro, do tej rodziny z tą małą dziewczyną, którą kiedyś zepchnęłaś z drabinek i jej mama zrobiła ci dziką awanturę. Na pewno pamiętasz... Wychodzi bardzo szybko. Mija długa chwila, nim przenoszę wzrok z zamkniętych drzwi kawiarni, za którymi zniknęła, na to, co rzuciła mi na stół.

To pocztówka z kilkoma znaczkami i bardzo dużymi stemplami. Na pierwszej stronie znajduje się panorama nadmorskich terenów. Napis nad zdjęciem informuje, że patrzę na Saint-Tropez. Z mieszanymi uczuciami odwracam kartkę i widzę ładnie wypisane imię i nazwisko Izy z jej adresem gdyńskim. Obok nie ma żadnego napisu. Kompletnie nic. Żadnych standardowych pozdrowień. Żadnych wyjaśnień. Nawet nie ma podpisu.

I może właśnie dlatego czuję, że robi mi się duszno; upuszczam kartkę i zakrywam dłońmi usta, żeby nie wydarł się z nich krzyk.

Basia

Wciąż nie mogę uwierzyć w to, że wylali mnie z pracy!

Znowu siedzę więc w domu, robię śniadanka i kanapeczki dla Patryka, prasuję mu jego wypasione drogie koszule, piję kawę z Iwoną i pół poranka jeżdżę na szmacie po wszystkich parkietach.

Joasia zadzwoniła do mnie zaraz po awanturze, strasznie zmartwiona.

- Może mogłabym to jakoś odkręcić?

- Niby jak? - warknęłam w odpowiedzi. Joasia nic już nie mogła odkręcić. Zresztą i tak już po ptakach, bo przecież wychodząc z pracy, zasyczałam w stronę szefowej, że moja noga więcej tu nie postanie. W życiu się tam nie pojawię!

Wylali mnie przez jakieś głupie pomówienia. Tłumaczyłam to Joasi, a ona była jeszcze bardziej zmartwiona i ciągle powtarzała: „Jak one mogły?”.

Mogły, mogły. Od początku wiedziałam, że będą wściekłe o to, że przyszłam do tej roboty po znajomości i że mam taki dobry układ z szefową. Wkurzało je, że mam najwyższą pensję, chociaż jestem dopiero na stażu. Były tak srajaco uprzejme, że od razu mogłam się domyślić, że coś knują.

No i wymyśliły!

- Przecież ty w życiu niczego byś nie ukradła! - zawołała Joasia przez telefon, kiedy zadzwoniłam do niej, wkurzona, idąc do tramwaju i wycierając łzy w rękaw kurtki. - Jak one mogły!

Nie wiem, jak mogły. Widocznie mogły. Ludzie mogą robić takie rzeczy i co gorsza, robią je.

Co z tego, że szefowa nie uwierzyła w te ich durne kręctwa? Kiedy tylko usłyszałam, co się święci, tak się wściekłam, że sama rzuciłam tę robotę w cholere!

Teraz więc mam znowu masę wolnego czasu, mogę wraz z Kapciem zwiedzać Warszawę, mogę pisać wiersze i powoli umierać z nudów.

Z Kapciem na smyczy idziemy długim chodnikiem w stronę centrum.

Dzisiaj zelżał wiatr, zrobiło się trochę cieplej, nawet słońce wyjrzało zza chmur.

Rozpinam więc płaszcz i poluzowuję szalik.

Kapeć ma nową smycz. Kupiłam mu za moją pierwszą wypłatę. Mogę wysunąć jej tyle, że Kapeć prawie znika mi z oczu. Ale wystarczy, że wcisnę odpowiedni przycisk, i smycz się chowa, więc Kapeć wraca w zasięg mojego wzroku.

Idziemy chodnikiem, Kapeć wącha wszystkie kubły na śmieci i obsikuje latarnie. Ja oglądam witryny sklepowe i szukam jakichś ogłoszeń. Na drzwiach małej kafejki widzę napis: *Potrzebna kelnerka! Wiadomość w lokalu.*

Waham się chwilę, a potem wołam na Kapcia i tłumaczę mu, że ma się stąd nie ruszać, a ja zaraz wrócę.

W środku są ładne stoliki z niebieskimi blatami, czerwono-żółte lampki na każdym stoliku, sztuczny kominek i mnóstwo obrazów na ścianach. Zupełnie jakbym weszła do jakiejś galerii, a nie do kafejki! Pewnie tak jest lepiej, bo ludzie mogą siedzieć sobie przy stolikach i oglądać wszystkie te obrazy. Ostatecznie na kawę wcale nie chadza się tylko z partnerem albo z koleżanką. Na kawę często chodzi się samemu i wtedy fajnie jest pić, patrzeć na ściany i zamiast rozmyślać o własnych problemach, myśleć nad obrazami.

Opieram się o blat i czekam, aż ktoś się pojawi. W kawiarni pusto, tylko jakaś samotna baba siedzi tyłem do wnętrza i wpatruje się w miasto za witryną.

Prawdziwa samotność w stolicy - myślę rozbawiona i zaraz zaczynam układać sobie w głowie jakieś słowa do tej samotności. W końcu to fajny temat na wiersz.

Jakaś dziewczyna w niebieskim fartuszkach wychodzi z zaplecza i patrzy na mnie pytająco.

- Coś podać?

Macham ręką w stronę drzwi:

- Interesuje mnie to ogłoszenie. Było napisane, że wiadomość w środku.

Z Gdyni dzwoni do mnie Aneta.

- Basia, nie mam twojego adresu w Warszawie, a chciałam ci coś wysłać.

- Co wysłać?

Aneta śmieje się i wyjaśnia po chwili:

- No wiesz, zaproszenie.

- Zaproszenie? Na co?

Teraz i ja się śmieję, bo przecież jak mogłam zapomnieć, że Aneta bierze ślub!

- O Jezuuu! - wołam i idę do drzwi ze słuchawką w dłoni, bo słyszę, że ktoś puka. -- Naprawdę? Wysyłasz mi takie zaproszenie na weselisko? Nie tylko do kościoła? Aneta, rozbawiona zupełnie jak ja, tłumaczy:

- Tak, no jak bym mogła nie zaprosić cię na wesele? Przecież musisz być! Ty i Magda, i Aśka!

Otwieram drzwi i staję oko w oko z Sebastianem. Mrugam oczami, kompletnie zaskoczona, przysłaniam ręką słuchawkę i otwieram szerzej, żeby wszedł.

W naszym babskim gronie wszystkie plotki zawsze rozchodziły się w tempie ekspresowym, więc nie dziwi mnie, że Aneta pyta:

- A jak z twoją pracą? Słyszałam, że zrobili ci straszne świństwo...

Nie chcę przy Sebastianie wywnętrzać się w kwestii rzekomej kradzieży. Skracam więc rozmowę, a Sebastiana wołam do kuchni. Do Anety mówię przepraszająco:

- Słuchaj, ktoś przyszedł. Muszę kończyć.

Wcale nie cieszy mnie wizyta Sebastiana. Po tym, jak zobaczyłam go z Niną wtulonych w siebie, już nie mam takiej wielkiej ochoty go podrywać. I nic mnie nie obchodzi, że wygląda niesamowicie atrakcyjnie w tej swojej wyświechtanej kurtce i spranych džinsach. 1 że moje serce zaraz zaczyna szybciej bić, i że nie mogę oderwać od niego oczu. Staram się ignorować leż fakt, że jak go zobaczyłam, to od razu zaczęłam się uśmiechać i jakoś mi zobojętniało, że za godzinę wraca Patryk, a ja nie zrobiłam jeszcze obiadu i w ogóle mam sporo dzisiaj rzeczy na głowie.

- Pomóż mi wieszac na mieście ulotki - mówi Sebastian; uśmiecha się i wygląda teraz tak cudownie, że najchętniej wypełzłabym za nim na miasto, na klatkę schodową, nawet wpełzłabym do Wisły, gdyby takie było jego pragnienie!

Ulotki są bardzo małe. To właściwie naklejki, a nie ulotki. Na każdej jest jakiś obraz Sebastiana przedstawiający ludzi w mieście albo po prostu miasto. Do każdego takiego obrazu dołożony jest jakiś zabawny komentarz wyszydzający zachowania warszawiaków. Jest też kilka odnośników do polityki. I właśnie przez te od-

nośniki dochodzę do wniosku, że może Sebastian zamierza zrobić coś nielegalnego, rozklejając to w różnych miejscach.

- Czy to legalne? - dopytuję się dość natrętnie.

- A skąd. To cholernie nielegalne. Trzeba uważać.

W tramwaju dzwonię pod numer pizzerii z ulotki, którą wręczyła mi jakaś panna przy zejściu do podziemnego tunelu. Zamawiam pizzę na mój adres na godzinę piątą. Mam ochotę parsknąć śmiechem, jak sobie wyobrażę szok Patryka, kiedy wróci do domu i zobaczy, że mnie nie ma, że nie ma też co gorsza obiadu dla niego. A potem rozlegnie się dzwonek do drzwi i jakiś człowiek wręczy mu pizzę, żądając za nią zapłaty.

Kapcia zabraliśmy ze sobą. Teraz Sebastian głaszcze go z namaszczeniem i mówi, że to świetny pies.

- Wyobrażasz sobie? Ze schroniska - informuję go radośnie i czuję się dumna, że trafił mi się właśnie Kapeć, a nie jakiś wypieczony, wyczesany, idiotyczny pies, który bardziej nadawałby się na okładkę pisma niż na spacer po Warszawie.

Rozklejamy naklejki na murach, na sklepach, na przystankach autobusowych - wszędzie tam, gdzie ludzie stoją, czekając na coś. Wtedy jest szansa, że to zobaczą.

- Właściwie po co to robisz? - chcę wiedzieć.

W sumie to sama nie wiem, czy chcę wiedzieć. Po prostu lubię go pytać o różne rzeczy, bo Sebastian wtedy spogląda na mnie przez chwilę, i to w taki sposób, że aż miękną mi nogi!

Teraz rozkleja naklejki na murze, na którym widnieje ogromny napis: *Zakaz plakatowania*. Stoi tyłem do mnie, więc przypatruję się jego brązowej kurtce, gęstym kasztanowym włosom, które zebrał w kity. Przypatruję się mu tak pilnie, że nie zauważam patrolu straży miejskiej i dopiero kiedy on już zauważa nas, wołam:

- O rany, patrol!

Sebastian bierze Kaptia pod pachę, mnie łapie za zmarzniętą dłoń i biegniemy do najbliższej bramy. Słyszymy za sobą wołanie patrolu, Sebastian wybucha głośnym śmiechem, stawia Kaptia na ziemi i wciąż trzymając mnie za rękę, prowadzi na jakieś stare podwórko.

Jezuuu, wygląda tu zupełnie jak w filmach o odbudowie Warszawy! Normalny koszmar: kamienice z wybitymi szybami, jakieś dzieciaki okropnie zaniedbane biegające wokół piaskownicy, odpadający z murów tynk.

- Kurwa co to jest? - pytam wstrząśnięta.

- Warto by wrócić tu z aparatem fotograficznym - mówi Sebastian, tak samo zaskoczony jak ja.

Idziemy środkiem podwórka, żeby przypadkiem nikt nam nie wylał jakichś pomyj na głowy, Kapeć skulony biegnie koło nas, Sebastian trzyma go na smyczy. Wciąż też trzyma mnie za rękę, chyba bezwiednie. Ma ciepłą dłoń i kiedy mnie tak trzyma, mam głupie wrażenie, że delikatnie pociera palcami moją skórę. Podoba mi się ten dotyk.

Przystajemy w jakiejś bramie, opieramy się o ścianę i nasłuchujemy, czy patrol nie nadchodzi. To znaczy ja nasłuchuję, a Sebastian przygląda mi się z uwagą i kiedy w końcu na niego zerkam, uśmiecha się do mnie.

- Przepraszam, że wpakowałem cię w coś takiego.

Widzę, że bawi go ta cała sytuacja i jakoś nie mogę się przyzwyczaić do tej myśli, bo gdyby na jego miejscu był Patryk, to już by pewnie dostał zawału i w chwili obecnej ścieliłby się trupem u moich stóp, złorzecząc na odchodnym wszystkim ulotkom i patrolom.

- Po co to robisz? - pytam.

Z bliska wyczuwam od niego tamte ładne perfumy, które poczułam za pierwszym razem, jak mijaliśmy się na klatce schodowej. Zauważam też, ile ma piegów. I chce mi się śmiać, bo zaraz przypominam sobie, jak Magda w dzieciństwie opowiadała mi, że piegi spadają z nieba razem ze słońcem. Osiadają na skórze i już nie można się ich pozbyć. Pamiętam, że przez te jej opowieści latem chodziłam zakwefiona po szyję, żeby przypadkiem nie spadła na mnie jakaś nieproszona garść piegów. W dzieciństwie nabijałam się też z rudego chłopca, który był w mojej klasie, właśnie dlatego, że miał piegi. Uważałam, że to obrzydliwe.

Ale to nie jest obrzydliwe, myślę teraz, patrząc na Sebastiana. Piegi dodają mu koloru i uroku. Chociaż nie jest rudy, jego cera jest właśnie taka jasna i piegowata jak u tamtego małego rudzielca. I bardzo mi się to podoba.

- Lubię obserwować miasto - zaczyna tłumaczyć. - Obserwuję miasto i robię prace na ten temat. Jediną możliwą sceną dla tego typu prac jest właśnie miasto. Dlatego rozklejam to, co maluję.

Odwraca twarz w moim kierunku, więc pochylam głowę, żeby nie zacząć się czerwienić. Tak bardzo mi się podoba, że jeśli by po-

patrzył na mnie jeszcze chwilę, rzuciłabym się na niego i zaczęłabym go całować. Zresztą cudownie byłoby pocałować się z nim tutaj, w tej bramie!

- Chodź - mówi po chwili. - Patrol chyba się tu nie zapuszcza. Możemy wiać.

Jeszcze świeci słońce, więc namawia mnie, żebyśmy zeszli na brzeg rzeki:

- Chodź, chodź... Nie widziałaś, jak tam jest fajnie!

Kupujemy piwo w sklepie, ja wyłączam komórkę, na którą biedny Patryk dzwoni już trzeci raz; Kapeć pospiesznie przebiera łapkami, kiedy przebiegamy ulicę.

Nad Wisłą pachnie podgniłą wodą i wilgocią. Siadamy na zimnej ziemi, którą Sebastian wcześniej nakrył swoją torbą z ulotkami, specjalnie dla mnie.

- Siadaj, proszę. Ty nie możesz zmarznąć.

- A ty?

Kuca koło mnie i wyjmuję z kieszeni paczkę papierosów.

- Widziałem kiedyś, że palisz, Basiu.

Częstuję się papierosem, on mi podpala, razem patrzymy, jak Kapeć biega, zadowolony, wokół nas i obwąchuje wszystkie papierki i puszki po piwie. Nie słychać tu hałasów miasta, woda chlupocze uspokajająco; gdybym przymknęła oczy, mogłabym sobie wyobrazić, że wcale nie jestem w Warszawie, tylko w Gdańsku albo gdziekolwiek indziej.

- Co robisz w Warszawie? - zagaja Sebastian, patrząc na mnie zmrużonymi oczami.

- Nudzę się. Nic nie robię.

- Pracujesz gdzieś? Albo może jeszcze się uczysz? Chichoczę nad absurdalnością pomysłu, że miałabym się jeszcze uczyć.

- Od poniedziałku będę pracować. W kafejce. Taka blisko naszej kamienicy - tłumaczę bardzo zadowolona, że dostałam tę pracę, i nie muszę mówić

Sebastianowi, że prasuję koszule i całe dnie zapierniczam na szmacie po parkietach.

- Fajnie. - Sebastian kiwa głową z wyraźnym uznaniem, zaciąga się papierosem. -

To fajna knajpka, wisi tam kilka moich obrazów.

Ja też ją lubię, od pierwszej chwili. Wiem też, kto jest właścicielem: taki stary dziadek. Jego wnuczka pierwszego dnia wyjaśniała mi, na czym polegałaby moja praca i ile będę za nią dostawać. Strasznie mili ludzie. Od razu ich polubiłam.

- Musisz powiedzieć mi, które obrazy są twoje! Kręci głową, rozbawiony.

- Głupio mi. To nie są zbyt wartościowe obrazy. Nawet nie wiem, czy chcę, żebyś wiedziała, które to... Teraz dopiero będę malować dla nich fajny obraz. Taką kobietę w sukience.

Mogę się założyć, że do kobiety w długiej sukience będzie pozować mu Nina. Mimo to mówię:

- Już się nie mogę doczekać.

Już się nie mogę doczekać? - myślę zaraz, skonfundowana. Boże, co ja pieprzę!

Niby dlaczego miałabym się nie móc doczekać tego obrazu?

Śmieję się z własnej głupoty i zaraz wyjaśniam:

- Fajnie, że są tam twoje obrazy. I tak je znajdę. Na pewno się podpisałeś.

Sebastian wrzuca do wody kilka kamieni, starając się puścić z nich kaczki. Ale wcale mu to nie wychodzi. Stoi więc na tle wody w tej swojej brązowej kurtce i spranych džinsach i mówi do mnie:

- Sam ci pokażę. Wpadnę tam jutro albo pojutrze.

Patryk w mieszkaniu bardzo dokładnie czyści Kapciowi łapki, żeby mu przypadkiem nie pobrudził dywanów albo kanap. Na mnie prawie w ogóle nie patrzy, tylko czeka, aż się jakoś wytłumaczę. Siadam więc na kanapie i zapalam papierosa. Zaraz też słyszę:

- Uzgadnialiśmy, że nie będziesz palić w mieszkaniu.

Przewracam oczami i naprawdę ze wszystkich sił się hamuję, żeby mu czegoś nie burknąć. Ale nie robię tego, bo w sumie to jest mi głupio, że ostatnio tak bardzo nie możemy się dogadać i że ciągle tylko narastają nasze nieporozumienia. Przecież jak dalej tak będzie, to Patryk powie, żebym się stąd wynosiła. I co wtedy?

- Nie złość się - mówię, a Patryk zerka na mnie ponuro znad tylnych łap Kapcia. -

Byłam nad Wisłą z Kapciem. Chciałam trochę połązić.

Wiem, że mogłabym go udobruchać, gdybym powiedziała, że już znalazłam sobie nową pracę i to tak blisko domu, że mogę wy-

skakiwać z niej, by wyjść z Kapciem na dwór. Uchyłam usta, żeby to powiedzieć, ale Patryk przerywa mi:

- Byłaś z tym pedałem z parteru.

- Skąd wiesz?

- Widziałem was, jak wracaliście.

- Oj tam! - mrużę i wyciągam nogi na pufę. - Spotkałam go w drodze z tramwaju! Dopiero po chwili dochodzi do mnie, co Patryk powiedział.

- Dlaczego tak go nazywasz?

- Bo tak wygląda.

- Wcale nie!

Moja obrona jest zbyt szybka, i Patryk patrzy na mnie znowu ponuro.

- To po cholere go bronisz?

W jego głosie nie ma wyrzutu, tylko sam strach. Marszczę brwi i patrzę na niego po raz pierwszy od dawna z uwagą. I po raz pierwszy też przychodzi mi do głowy, że Patryk wcale nie chce mnie stracić. Może nawet wcale nie rozczarował się mną tak bardzo, jak ja rozczarowałam się nim.

Magda

Sen zaczął się nagle, kiedy leżałam na łóżku, ze stopami na podłodze i z książką w ręku. Po prostu w jakimś momencie uświadomiłam sobie, że jestem w stanie robić różne dziwne rzeczy: kiedy opuściłam dłonie, przesunęły się bez problemów przez materię łóżka, nawet jej nie czując. Macając ręką, natrafiłam na ścianę i bez trudu sięgnęłam poza nią, w ciemność.

Moje ciało wydało mi się dziwnie porozciągane, nie przypominało już nawet ciała, tylko bezkształtną powłokę. Słyszałam całą sobą, tak jakbym cała składała się tylko ze zmysłu słuchu: słyszałam tupot myszy w piwnicy, miauczenie kota na podwórku, oddech sąsiadki za ścianą.

Czarne ptaki przysiadły na parapecie okna i patrzyły na mnie wielkimi, wylupiastymi oczami.

Rozsunęłam ręce i uniosłam się ponad moje ciało. Kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam siebie w długiej czarnej koszuli nocnej,

moje pokręcone włosy rozsypane na poduszce, nogi ze stopami wsuniętymi w niebieskie laczki.

Wtedy sen zmienił się: leżałam na kanapie nakryta czyimś ciałem, czułam ciepło skóry tej drugiej osoby, moje dłonie zagłębiały się żarłocznie w ciemnych włosach, usta wręcz rozpaczliwie szukały drugich ust.

Czułam, jak jego ciało wdziera się w moje, zaczęłam się śmiać z radości i z podniecenia, ciasno oplatałam go nogami, moje paznokcie przesuwwały się po jego skórze.

Uchyliłam oczy. Nasze spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę. Wystarczająco długą, bym rozpoznała twarz Mateusza.

Przysunął usta do mojego ucha i wyszeptał:

- Nie śpij...

Nie widziałam go od prawie dwóch miesięcy. Przemknęło mi przez myśl, że to niedużo, ale zdążyłam zapomnieć, jak wygląda, i zaskoczyło mnie, że wygląda aż tak dobrze. Chyba zapamiętałam go mniej ciekawego. Zresztą, może to mój sen nadał mu tyle uroku.

Spojrzeniem odnotowałam, że włosy zdążyły mu trochę urosnąć i sięgają ramion, że gdzieś zniknęły charakterystyczne dla niego cienie pod oczami, że jego twarz nie jest już taka blada, jak poprzednio.

- Witaj - powiedziałam i stanęłam przed nim bez ruchu, wpatrzona w niego i zaskoczona własnymi emocjami.

To był dziwny moment.

Pamiętam ludzi przesuwających się za jego plecami, pamiętam czarno-białe fotografie miast na jednej ze ścian, tuż za jego prawym ramieniem, i pamiętam, że on też musiał wyczuć ten moment, bo nie powiedział już nic i tylko na mnie patrzył. Uświadomiłam sobie, że chyba się w nim zakochuję.

- Nie mogę długo zostać - powiedziałam więc zmieszana, mijając go.

Dopiero teraz zauważyłam, że w galerii jest głośno: ludzie rozmawiali wesoło, śmiali się, dyskutowali o czymś zaciekle. W tle grała muzyka, chyba nawet ta sama, którą słyszałam u Mateusza w atelier.

Przeniosłam wzrok na fotografie miast. Dostrzegłam fragment jakiejś ulicy odbity w kałuży, zdjęcia tłumu ludzi, wysokie wieże kościołów w Barcelonie. Udało mi się rozpoznać Paryż: ciężkie bu-

dynki, policjant kierujący ruchem ulicznym, dzieciaki przebiegające przez zakorkowaną ulicę.

- Nie wychodź jeszcze, Magda. Chodź ze mną na piwo... pokażę ci fotografie teatru w Pradze.

W jego głosie wyczułam jakąś łagodność.

Odwróciłam do niego twarz, z koszmarnym poczuciem wielkiej nieuczciwości.

Rozlał się we mnie obcy ziąb. Zobaczyłam, że Mateusz uśmiecha się teraz jakoś inaczej, cieplej, jakby zdał sobie sprawę z tego, że ta propozycja ma jakiś większy wymiar.

Wracając do domu, wciąż czułam w sobie to samo zimno. Było tak, jakby przyłgnęło do mnie i miało już nigdy nie odejść. Było czymś obcym i nowym.

Czymś, z czym miałam nauczyć się żyć.

Siedząc na sztywnym plastikowym siedzeniu kolejki SKM wpatrywałam się w szybę. W wagonie paliły się światła, więc w szybie widziałam tylko odbicie swojej twarzy i migawkowy krajobraz gdzieś w tle.

Próbowałam zrozumieć, co właściwie się stało. Zimno rozlewało się po mnie.

Myślałam o tym, że Gdańsk wyglądał dzisiaj jakoś wyjątkowo pięknie z tymi kamienicami o finezyjnych czerwonych dachach odcinających się ostro od granatu nieba. Z pozapalnymi latarniami na Długiej, z ludźmi spacerującymi w rozpiętych płaszczach, delektującymi się ciepłym wiatrem.

Myślałam o Mateuszu. O pubie, w którym byliśmy.

Myślałam o tym, że śmiałam się cały wieczór i to z taką radością, jakbym faktycznie była bardzo szczęśliwa.

I że ani razu nie pomyślałam o Jacku.

Jacka poznałam na balu przebierańców cztery lata wcześniej.

Prawdziwy bal przebierańców! - grzmiały nagłówki naszej studenckiej gazetki. Te same tytuły widniały na plakatach rozklejanych w obu budynkach akademickich, z tym że dołączone zostały do nich grafiki masek weneckich i strojnych sukienek.

Pomysł został przyjęty z wielkim zadowoleniem i studenci zabrali się do organizowania sobie kreacji na tę jedną jedyną noc. W akademiku ASP maszyny do szycia były tylko w trzech pokojach, a co gorsza, szycić umiały tylko dwie dziewczyny, więc ustawiła się do nich bardzo długa kolejka.

Akademia na okazję balu przebierańców została kompletnie przemieniona. Chyba większość studentów pracowała nad dekoracjami: ściany przyozdobiono gniesioną bibułą, na której namalowane były roztańczone sylwetki, wszędzie też poprzypinano złociste maski. DJ puszczał strasznie dziwną muzykę: raz jakieś gotyckie utwory poprzerabiane przez punkową grupę, raz barokowe melodie grane na klawikordzie. Ludzie wokół nas tańczyli, śmiali się i pili całymi litrami trunki. Jacek był już niezłe wcięty, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Stał w grupce aktorów, którzy przychodzili na niemal wszystkie nasze imprezy, i śmiał się głośno. Pamiętam, że miał na sobie bardzo piękny kostium z żabotem. I pamiętam, jak bardzo spodobał mi się w tym kostiumie.

Stałam z kieliszkiem wina w ręce, wpatrywałam się w niego, a w głowie dźwięczała mi dziwna myśl, że już go gdzieś widziałam.

Gdzie to mogło być? - myślałam, z uwagą taksując spojrzeniem jego jasne włosy, ostry profil i smukłą sylwetkę. Dziewczyny koło mnie chichotały radośnie; Aneta podpaliła sobie papierosa i prezentowała nam, jak powinna palić elegancka kobieta, DJ zawołał, że teraz następuje białe tango i że panie proszą panów, a ja zupełnie nagle zostawiłam moje koleżanki, podeszłam do Jacka i spytałam głosem nabrzmiałym z nerwów:

- Mogę prosić cię do tańca?

Pamiętam, jak Jacek odwrócił się zaskoczony, a jego koledzy zaczęli się śmiać.

- Mówisz do mnie? - spytał.

Stałam przed nim bez ruchu, z kieliszkiem wina w ręce, ubrana w długą czerwoną sukienkę, którą wypożyczyłam z teatru na bal, i czułam, jak mocno bije mi serce.

- Zatańczysz ze mną? - powtórzyłam, tym razem zmuszając się do uśmiechu.

Wpatrywałam się w niego z taką determinacją, że mimo iż był już mocno wstawiony, wyczuł to. Skłonił się mi szarmancko i wyciągnął do mnie rękę.

- Czy my się znamy? - spytałam już w tańcu, oparta na jego ramieniu, wyczuwając w jego oddechu woń papierosów i wódki.

Pokręcił głową, a ja momentalnie uświadomiłam sobie, skąd go znam.

- Grałeś w sobotę w przedstawieniu! Zaczął się śmiać.

- O czym mówisz?

Teraz byłam już niemal pewna. Oczywiście, grał w sobotę w teatrze w Gdyni. Siedziałam w czwartym rzędzie i zapamiętałam go, bo miał na sobie ten sam kostium. Poszukałam w pamięci i zaraz udało mi się otoczyć go reflektorami, innymi aktorami, scenografią. Grał jedną z głównych ról - bardzo podobał mi się jego głos. Był niski, łagodny, właśnie taki, jak lubię.

Właściwie to od pierwszej chwili wydawało mi się oczywiste, że zostanie moim mężem.

Pamiętam, jak oglądałam jego dłonie po raz pierwszy. Były duże, szerokie, twarde, a wszystko, co na nich znajdowałam, opowiadało historię, która mogła stanowić dopełnienie tego, co zawierały moje dłonie.

- Dlaczego to robisz? - zapytał mnie kilka tygodni później, gdy znowu dokładnie studiowałam linie wewnątrz jego dłoni.

Leżeliśmy wtedy owinięci w koc na łóżku w mieszkaniu jego ciotki. Miałam wrażenie jakiejś nieskończonej ciągłości, jakbym żyła tylko od jednego spotkania z nim do drugiego, a czas między tymi spotkaniami wypełniały rzeczy zastępcze.

- Czytam z twoich dłoni - odpowiedziałam szeptem. I faktycznie tak właśnie robiłam. Wyczytywałam jego przyszłość i porównywałam ją z moją. Z wyjątkiem jednej wielkiej podróży, którą znajdowałam u siebie, jego przyszłość pokrywała się z moją.

-1 co tam widzisz? - spytał, przyciągając mnie do siebie, żeby podzielić się ze mną swoim ciepłem.

Uśmiechnęłam się z rozbawieniem, dotykając długiej linii, na której odnajdowałam siebie.

- Oj, widzę, że jesteś mi przeznaczony.

Jacek prawdopodobnie nigdy nie uwierzył w to, że mam taki dziwny dar.

Dla niego ciemność była ciemnością, brakiem światła i niczym więcej. Nie dostrzegał dziwnych rzeczy wypełniających nasze noce. Nie dostrzegał znaków, które widziałam ja.

Teatr był dla niego sceną, punktem zwrotnym w jego życiu, punktem, którego zawsze już chciał się trzymać. Cieszył się, że

w tak dużym stopniu podzielałam tę fascynację. Kiedy widział moje obrazy i rzeźbiarskie cykle ciężkich betonowych kotar, mówił, że jest w tym jakaś magia, ale tak naprawdę nie rozumiał jej.

- Jeśli ci powiem, że byłam kiedyś aktorem?

Kiedy zadawałam mu takie pytania, patrzył na mnie, marszcząc brwi, i szukał jakiegoś uniku. Nie wierzył w to, co przydarzyło mi się kilka lat wcześniej.

- Całe nasze życie jest rodzajem gry - odpowiadał, żeby ukryć zmieszanie.

Jego niewiedza martwiła mnie, ale też była nauczka, że nie powinnam dzielić się ze wszystkimi moim spojrzeniem na życie.

Większość ludzi sny traktuje podobnie jak Jacek. Tak jak on traktuje życie i podobnie myśli o śmierci. Boją się nieznanego i unikają go.

Jacek widział wielokrotnie, jak wpatruję się w ciemność gęstniejącą w nogach naszego łóżka. Albo jak zamyślam się, dotykając cudzych przedmiotów. Musiał widzieć strach w moim oczach, kiedy dotykałam czegoś, co okazywało się nośnikiem przeszłości. Kiedyś powiedziałam mu, że każdy przedmiot przechowuje wspomnienie swojego poprzedniego właściciela.

- To tak, jakby człowiek zostawiał na nim odciski palców. Nie dodałam, że dla mnie te odciski są czasami czytelne. Zdarzało mi się natykać na przedmioty, które chciały mi coś

przekazać. Brałam je do ręki i czułam się tak, jakbym dotykała nie kawałka zimnego metalu, ale jakbym dotykała drugiego ciała.

Któregoś razu powiedziałam Jackowi, że w moim umyśle czasami pojawiają się ciężkie, rzeźbione drzwi.

- Jeśli do nich podejść, usłyszę coś lub poczuję - mówiłam, a Jacek patrzył na mnie z lękiem; bał się, że to, co mówię, może okazać się prawdą. - Czasami jest tak, że naciskam kławkę. Po drugiej stronie znajdują się obrazy. To są bardzo plastyczne obrazy z czyjegoś życia.

- Potrafisz je czytać? - zapytał.

Tak, potrafiłam je czytać. Co gorsza, w moim umyśle rodziły się też obrazy wcale niewywotane dotykaniem cudzych przedmiotów. To były obrazy z mojego życia i miały się dopiero zmaterializować. Jacek wiedział o nich, ale nigdy o nie nie pytał. Nigdy, z wyjątkiem jednego razu.

Pamiętam, namalowałam obraz, który prześladował mnie w snach przez kilka poprzednich nocy. Namalowałam siebie - samotną, otoczoną wysokimi budynkami.

- To twoje przeczucie? - zapytał. Nigdy nie mówił „wizja” albo „przyszłość”.

Zawsze „prieczucie”.

- Chyba tak - odpowiedziałam, wpatrując się w obraz. - To jakieś duże miasto, w którym będę sama.

- Gdzie wtedy będę ja?

Pamiętam, że odwróciłam się do niego zmartwiona, świadoma, że jego nie ma w moich „prieczuciach”. Jacek to wyczuł i chyba po raz pierwszy naprawdę się zaniepokoił.

- Zawsze sprawdza się to, co sobie roisz?

Powoli pokręciłam głową, mówiąc z udawanym przekonaniem:

- Nie musi się sprawdzić.

Aneta

Cztery miesiące wcześniej należy koniecznie ustalić wszystkie szczegóły przyjęcia weselnego - menu, alkohol, nakrycie, dekoracje. Podzielić zadania, zanotować terminy ich wykonania, ewentualnie wynająć kogoś do pomocy.

Zarezerwować wizytę u fryzjera, make-up, tnanikiur. Najlepiej zacząć też regularne wizyty u kosmetyczki, w solarium i na masażach.

Nina czeka na mnie na peronie. Zerkam na nią z okna pociągu i wydaje mi się, że wygląda dokładnie tak samo, jak kiedy widziałam ją ostatni raz. Nie ma znaczenia, że ścięła włosy, przefarbowała je i ma na sobie jakiś długi do kostek fioletowy kożuch. Jest dokładnie taka, jaka była zawsze. Nawet pachnie tak samo.

Kiedy przyciska mnie do siebie, wszystkie moje złe myśli nagromadzone w pociągu cichną. Jest tylko ona, jej głos, jej postać w tym śmiesznym kożuchu i wrażenie, że czas stanął w miejscu i od zeszłego roku nie posunął się ani na krok.

- Wrocław ci się spodoba - mówi, kiedy jedziemy tramwajem w stronę jej stacji.

Tramwaj przyhamowuje raptownie, przyspiesza, trzeszczy i rzuca na boki. Za oknami widzę pocztówkowe ujęcie wrocławskiego rynku, stare kamienice, tłumy ludzi. Nina na tle

tego obrazu wydaje się kolorowa i pełna życia. Wszystko w niej kipi radością, czarne oczy przewiercają mnie na wylot i szukają we mnie jakiejś nowości, dłonie w ogromnych rękawicach z jednym palcem unoszą się raz po raz dla podkreślenia słów, usta rozciągają się w uśmiechu.

Nina mieszka w trzypokojowym mieszkaniu z łazienką. Oprócz niej mieszkają tu jeszcze dwie osoby: chłopak, który kocha się w niej na zabój, i śmieszna mała dziewczyna z biustem Pameli Anderson. Z chłopakiem zostaję sama w kuchni, kiedy Nina truchta do sklepu po kawę.

- Jest niesamowita - mówi, patrząc za nią.

Nina wraca z kawą, macha nią od progu, zdejmuje pospiesznie rękawice i jeszcze w czapce na głowie, pędzi do lodówki.

- Zrobiłam dla ciebie mnóstwo sałatek! Całą noc je siekałam, ale chyba się udały... Na pewno jesteś głodna.

Pochłaniam sałatki w jej pokoju. Wszystko tu jest do bólu znajome: pudełka, które pamiętam z akademika w Warszawie, ciuchy, bałagan, rysunki rzucone w kąt pokoju. Zadziwia mnie, że wszędzie tam, gdzie Nina mieszka, jest dokładnie tak samo. Zawsze, jak kot, znaczy swój teren: na lodówce maluje czerwono-czarne pasy, na ścianach wiesza ogromny obraz przedstawiający Ukrzyżowanie, na półkach stoją dokładnie te same fotografie, przemalowuje rolety w oknach na pomarańczowo, układa na kanapach i lustrach żółte tkaniny, kupione w lumpeksach całej Polski.

Na fotografiach jestem ja i ona: na jednej skaczymy radośnie na tle panoramy morza, na drugiej przyciskamy twarze do obiektywu.

Patrzę na te fotografie z mieszanymi uczuciami. Na zdjęciach wyglądam na szaloną i pełną wigoru, a przecież w ogóle taka nie jestem. To Nina taką mnie widzi.

Wyzwała we mnie szaleństwo, które po jej wyjeździe cichnie i do którego ja sama nie mam dostępu.

- Och, wiem, że nie nadażam za nią - zwierzyłam się kiedyś Magdzie. - Ciągle kuśtykam, gdy ona biegnie. Gdyby została dłużej, obróciłaby moje życie w koszmar, bo ona tego nie widzi i ciągle zmusza mnie do biegu.

Dziwi mnie, że Nina wozi ze sobą te zdjęcia i że są dla niej takie ważne. Ostatecznie otaczają tak wielu ludzi. Otaczają ją bardziej

szalone osoby. Osoby, które nie są niczym ani nikim zobowiązane i mogą łatwo podchwytwać jej pomysły.

Osoby, które mogą z nią jechać tak daleko, jak będzie chciała.

Współlokatorka z biustem Pameli Anderson kładzie się brzuchem na dywanie i rozkłada przed nami gruby miesięcznik zatytułowany „Modny Ślub”.

- Popatrz - mówi, i śliniąc palec o długim różowym paznokciu, zaczyna poszukiwania. - Zaraz ci znajdę.

Moim oczom ukazuje się wielki napis *Czas ucieka*, a pod nim w równej kolumnie wymienione jest co, kiedy i gdzie powinno się zrobić przed ślubem.

- O! Mam! Ile ci zostało? - pyta współlokatorka Niny i przekłada przez ramię złocisty warkocz.

- Cztery miesiące. Szybkie spojrzenie w tekst.

- Więc pewnie masz już zamówioną kieckę, kościół, salę weselną, świadków, miejsce na wieczór panieński, wybranego fotografa i DJ albo orkiestrę... Tak? Kręcę głową, bo właściwie to nie mam nic z tego załatwione. Byliśmy ostatnio z Markiem na Świętojańskiej i zachwycaliśmy się starym, chyba najstarszym kościołkiem, jaki tam stoi. Jest niewiele większy niż małe kaplice, w oknach ma przepiękne grube witraże jakby z małych kolorowych kamieni, a w środku miejsca akurat tyle, że można by wypełnić ławki gośćmi. Zawsze przerażały mnie duże kościoły nieważne, ilu gości zaprosisz, i tak wydaje się, że na mszy ślubnej nie ma prawie nikogo.

- Jest taki kościółek... - zaczynam, ale ona przerywa mi:

- Zaklepany?

- Jeszcze nie, ale...

-To już po ptakach. Dwa miesiące temu powinnaś była to zrobić.

Nie chce mi się wierzyć, że aż dwa miesiące temu. Zabieram jej gazetę i sama na nią patrzę. O Matko Święta, dziewczyna ma rację! Dwa miesiące temu powinniśmy byli załatwić kościół!

Na uczelni Nina pokazuje mi swoje prace. Rzeźbi teraz głównie twarze kobiet.

Wyglądają zupełnie jak manekiny i są śnieżnobiałe.

Nina maluje im usta na krwistą czerwień, zestawia te głowy obok siebie tak blisko, że stanowią jedną chóralną całość.

- Mam potrzebę wypowiedziania się na temat kobiecości - tłumaczy, delikatnie rozsuwając głowy, żebym mogła się im przyjrzeć.

Te głowy jakoś mnie niepokoją. Tyle w nich zimna i wyrachowania. Oczy patrzą obojętnie, nieomal martwo; twarze wydają mi się dziwnie znajome i przez to jeszcze bardziej niepokojące.

- To moja twarz - odzywa się Nina za moimi plecami. - Odlewałam siebie.

Profesor polecony przez mojego asystenta ściska mi rękę i prowadzi do swojego gabinetu bardzo radośnie.

Ależ, ależ! - wykrzykuje. - Już prawie absolwentka! No coś takiego, żeby w takiej kruszynie było tyle siły do rzeźbienia!

Chce mi się śmiać, ale tylko uśmiecham się grzecznie, siadam we wskazanym miejscu i czuję, jak krew mnie zalewa, kiedy profesor informuje mnie, zaparzając kawę:

- Nie wiem, jak mogę pani pomóc. Ja sam nie zajmuję się szkłem. Nie bezpośrednio... Jest taki profesor w Krakowie, który od wielu lat tworzy w tym materiale. Pani nie chciała do niego pojechać?

Zaczyna być dokładnie tak, jak było kiedyś.

Bierzemy prysznic, malujemy oczy, Nina układa mi włosy w odjechaną nowoczesną fryzurę, pijamy czerwone wino, dzwoniemy do znajomych i umawiamy się w klubie na dziewiątą. Oczywiście, że na dziewiątą nie zdążymy, bo zawsze się wszędzie spóźniamy, więc dziwię się znajomym Niny, że w ogóle chcą na nas czekać.

Nina z papierosem w ustach, w samej bieliźnie, tuszuje rzęsy, potem szuka po całym pokoju pończoch, kabaretek i w końcu cwałuje do swojej współlokatorki, krzycząc:

- Pam? Nie widziałaś moich pończoch?

W pokoju panuje taki bałagan, że wcale się nie dziwię, że Nina nic tu nie może znaleźć. Ja nie wiem, czego szukać, więc nie szukam. Moje oko zauważa pod ścianą jakieś kłębowisko czegoś, co wygląda na rajstopy, skarpetki i pończochy, ale nigdzie nie widzę nic czarnego, więc to pewnie nie to.

Nina z tego kłębowiska wyciąga czerwone kabaretki i wsuwa na nogi:

- Cholera, mam tu taki bałagan... Kiedyś to wszystko posprzątam i nie będę musiała niczego szukać!

Dobrze obie wiemy, że Nina nigdy tego nie posprząta. Sama kiedyś powiedziała, że nie ma serca do mieszkań wypożyczanych na rok lub na semestr. Nie chce się jej tam ani sprzątać, ani nawet przesiadywać dłużej niż to konieczne. „Jak będę miała wreszcie własny dom, to wszystko w tym domu będzie takie, jak być powinno”.

Nina nie ma i pewnie nie będzie miała własnego domu. Nie wyobrażam sobie, jakie miasto mogłoby zafascynować ją na tyle mocno, by chciała tam osiaść i zbudować coś stałego. Faceta, który miałby sprowadzić ją do kuchni, do garów, do porządków i do dzieci, w ogóle nie potrafię sobie nawet nakreślić w wyobraźni.

Biedny Sebastian, myślę z rozbawieniem. Nina nigdy nawet nie ugotowała mu porządnego obiadu!

Patrzę na nią, jak naciąga na siebie opiętą do bólu czarną sukienkę. Jest taka chuda i drobna, że mogłabym chyba policzyć wszystkie kostki w jej ciele.

- Zapniesz? - prosi i odwraca się do mnie plecami, unosząc włosy rękoma.

W sukience, w czerwonych kabaretkach i z ognistymi włosami wygląda bardzo atrakcyjnie, jak zawsze.

Niechętnie patrzę na siebie w lustrze: jestem niższa od niej o pół głowy i na pewno szersza. Nie potrafię też ubrać się tak atrakcyjnie, a ciuchy, które ze sobą zabrałam, nie wyglądają dobrze przy Niny kiece. Nawet ekstrawagancka fryzura nic a nic tu nie pomoże.

W klubie jest tłoczno i gwarno. Już dokładnie przypominam sobie, jak to było zawsze: Nina bryluje w towarzystwie, a wszystkie inne dziewczyny tylko słuchają i milczą, podczas gdy chłopcy wpatrują się w nią z zachwytem. Gdybym nie miała Marka, pewnie by mi to przeszkadzało.

Obserwuję ją, jak zapalając kolejnego papierosa, zachęca nas do tańca. Ponieważ żadna dziewczyna nie chce się ruszyć, sama idzie na parkiet i z parkietu kiwa do mnie.

Kręcę głową: nie, ja tylko popatrzę.

Więc patrzę.

Nina tonie w sztucznej mgłę, prześwietlają ją od tyłu kolorowe reflektory, wokół niej poruszają się tańczące sylwetki innych dziewczyn-

czyn. Widzę, jak rozciąga usta w uśmiechu, jak smuga dymu z papierosa unosi się tuż przy jej ozdobionych bransoletkami dłoniach, jak intensywny jest kolor jej włosów. Patrzę na nią z podziwem, bo tańczy lekko, naturalnie, bez żadnych wyuczonych gestów. Wokół niej zaczynają zbierać się chłopcy. Nina śmieje się, coraz bardziej rozbawiona, coraz lżejsza.

Popijam kolejne piwo i przymykam oczy. Mogę sobie wyobrazić, że Nina znika, że unosi się ponad parkiet i już jej nie ma.

W nocy omawiamy mój wieczór panieński. Nina zapaliła świece wokół łóżka, zrobiła nam spaghetti i teraz siedzi z miską makaronu na kolorowej kołdrze, podjadając.

Nie wiem, gdzie ma się odbyć wieczór panieński. Nina nie wie, czy na nim będzie, bo ze swojej podróży wróci przed samym ślubem.

- Chciałabym, żebyś była moim świadkiem - wyduszam w końcu z siebie to, po co właściwie tu przyjechałam. Czuję, jak twarz mi płonie z nerwów, bo przecież to takie ważne słowa, ślub bierze się tylko raz w życiu i ten jeden jedyny raz trzeba dobrze dobrać ludzi, którzy mają ci towarzyszyć.

- Co musi robić świadek? - pyta Nina, zajądając się makaronem.

- Podpisywać papiery i podawać mi bukiet w odpowiednim momencie na mszy.

Musi też iść do spowiedzi i po mszy zająć się prezentami.

Przygląda mi się, jakby rozważała ciężar tego, co mówię. Zaczynam bać się, że mi odmówi, że nie dostrzeże tego, jakie to dla mnie ważne. W końcu nieraz ignorowała różne ważne rzeczy. Joasia mówiła, że nie powinnam brać jej na świadka, bo jest nieodpowiedzialna. „Wyjeżdża tak daleko! - tłumaczyła mi. - Znasz ją. Jak będzie tam fajnie, to wcale nie przyjedzie na twoje wesele. Oleje je, przecież zawsze kieruje się tylko egoistycznymi zachciankami...”.

Joasia nie powiedziała tego, ale wiem, że chciała powiedzieć, że nie powinnam brać Niny na świadka też z innego względu - bo mnie przyćmi swoją urodą i kiecką, a przecież to mój dzień, jeden jedyny w życiu i wszyscy powinni patrzeć na mnie, a nie na nią.

- Będiesz moim świadkiem? - pytam cicho, kiedy cisza przeciąga się niebezpiecznie, a Nina je makaron i nawet na mnie nie patrzy.

- Jasne - odpowiada po kolejnej długiej ciszy i uśmiecha się do mnie. - Tylko musisz mi powiedzieć, kiedy mam ci podawać ten bukiet na mszy.

Mój pociąg odjeżdża za cztery godziny. Chcę już się w nim znaleźć, a jednocześnie wiem, że kiedy już usiądę w ciepłym przedziale, znowu będzie mi towarzyszyć wrażenie, że wszystko robię źle.

Wiem, że rodzina zasypie mnie nowymi informacjami o ślubie, że Marek będzie na mnie czekał, że dziewczyny zezłoszczą się

O Ninę i jak charty zaczną ganiać po całym Trójmieście, byle tylko wyhaczyć dla siebie kiecki efektowniejsze niż potencjalne kiecki Niny, wiem, że Milena wpadnie w szał odchudzania się z powodu Niny, wiem, że Justyna już nie pójdzie ze mną wybierać sukienek i wiem, że tak naprawdę to ja cieszę się na to wszystko. Tyle że...

- Chciałabym pojechać z tobą - mówię, a Nina podnosi na mnie raptownie wzrok. Patrzy uważnie, nieomal ze zgrozą.

- Dokąd?

Dobrze wie, dokąd. Tam, gdzie ona jedzie, w jej Wielką Podróż.

- Tak bym chciała pojechać z tobą - powtarzam i myślę o naszej podróży do Paryża, o wszystkim, co stało się w jej trakcie

1 o tamtym dramacie, który odsunął nas od siebie.

Nina porusza ustami, jakby chciała sformułować jakieś pytanie, i wiem, że też myśli o Paryżu.

Przełykam głośno ślinę i chcę powiedzieć jej szczerze, że gdyby teraz poprosiła mnie, żebym pojechała z nią, to zapomniałabym

o wszystkim tamtym. Zapomniałabym o Paryżu i pojechała z nią tam, gdzie chce.

Przecież tak naprawdę to zostawiłabym dla niej Marka i wszystkich, żeby tylko jeszcze raz przeżyć tamto wielkie szaleństwo, poczuć się tak niesamowicie wolna i mieć przed sobą tę Wielką Podróż, która może okazać się tak fascynująca, że Nina z niej już nie wróci.

Poproś mnie o to... - myślę z lękiem, wpatrzona w nią. Poproś mnie, a pojedę...

Chcę, żeby mnie poprosiła. Tak bardzo tego chcę, że czuję, że zaraz się rozplacę, kiedy Nina wstaje z łóżka, podchodzi do okna

i stojąc na tle zasłon, wciąż milczy.

Na peron oczywiście wbiegamy spóźnione, na tyle spóźnione, że nie zdążymy już o niczym porozmawiać. Konduktor przymierza się do gwizdu, kiedy wpadam w pierwsze otwarte drzwi.

Nina, zdyszana po biegu, macha mi z peronu i woła z żalem:

- Czemu nawet na pieprzony pociąg musimy się spóźniać? Przecież tak nie można! Wybucham śmiechem i odmachuję jej, bo pociąg rusza z szarpnięciem, które przewraca mnie na jakiegoś mężczyznę. W ostatniej chwili prostuję się w oknie i uśmiecham do Niny. Oddala się coraz szybciej i szybciej, a ja znowu zaczynam odczuwać jej brak, z którym połączone jest jakieś dziwne uczucie ulgi.

Basia

Sebastian trzyma mnie za rękę. Razem wspinamy się po drabinie. Właściwie to dlatego złapał mnie za rękę, żebym przypadkiem nie spadła na ostatnim stopniu. On jest już na dachu i pomaga mi pokonać ostatnie metry.

- W nowoczesnych blokach nie potrzeba drabiny, żeby wejść na dach - mówi, pochylając się do mnie.

Jasna cholera, strasznie się zastałam w ostatnich latach, skoro nie mogę sama wejść! Co za obciach! Ale z drugiej strony to tak przynajmniej jest fajniej. Kiedy unoszę głowę, widzę jego twarz nade mną. A kiedy jest mi ciężko, on mocniej łapie mnie za rękę i pomaga.

Na dachu jest wilgotno po wczorajszym deszczu. Wilgotno i chłodno. W sumie dobrze, że Sebastian wpadł na to, by wziąć koc. Inaczej pewnie byśmy tam pozamarzali.

Sebastian pomaga mi rozłożyć koc.

- To jak w tej piosence Perfectu: „Gdzieś na dach wyniosła koc i dostałem to, com chciałem...”.

Śmieję się głośno.

- Jesteś zboczony! Jak tak można?!

Żartobliwie uderzam go ręką, a on śmieje się i patrzy gdzieś poza mnie.

- Basia... popatrz.

Razem podchodzimy do krawędzi dachu. Teraz w dole widzę chodniki, balkony, okna. Widzę też dachy innych budynków, z bli-

ska oglądam kominy; jeślibym popatrzyła w lewo, zobaczyłabym też fragment Wisły. Na razie wszystko tonie w szarym świetle wieczoru. Jeszcze nie w czerni nocy, ale też już nie w świetle dnia. Dziwna pora. Jeśli popatrzę dalej, zobaczę miejsca wciąż jeszcze zalane światłem słonecznym. My pogrążeni jesteśmy w półmroku.

- Poczekamy trochę, a potem wszystko się zacznie - tłumaczy on i siada na kocu. Ja siadam obok niego, opatulamy się ciepło, żeby nie zmarznąć. Myślę sobie, że cudownie będzie przychodzić tu latem. Będziemy kłaść się na dachu i opalać. To jest lepsze niż opalanie na balkonie. Szkoda tylko, że Kapcia nie uda się tu wciągnąć. Na pewno miałby niezłą frajdę!

Sebastian zabrał ze sobą gazetę, w której znalazł artykuł o spodziewanym deszczu meteorytów i teraz przegląda go jeszcze raz.

- Najważniejsze, żeby nie było chmur.

Oczywiście chmury zaczynają się zbierać z zachodzeniem słońca. Im głębiej ono idzie za horyzont, tym więcej chmur na niebie. Sebastian mówi, że nie będzie z nich deszczu. Niewielkie to pocieszenie. Przecież wcale nie zobaczymy meteorów! A już tak romantycznie to sobie wymyśliłam: ja i on na dachu, otuleni jednym kocem, niebo pełne spadających gwiazd, on pyta, czy mam jakieś życzenie, ja odpowiadam, że mam i że on jest tym życzeniem. Potem całujemy się i w końcu rzucamy na koc. Robi się zupełnie ciemno. Nie widać nieba, ale i tak jest niesamowicie! Patrzymy na zapalające się w oknach światła. Teraz jest niemal tak, jakbyśmy mieli podglądać innych ludzi.

Widzę kobietę w kuchni i dziewczynę na kanapie w jednej z kamienic. Widzę też chłopaka nad stosem książek, tuż przy oknie. Przesuwam wzrokiem dalej i przyglądam się starszej kobiecie siedzącej na łóżku. Oglądam też wnętrza mieszkań. Sebastian mówi, że podoba mu się mieszkanie na trzecim piętrze:

- Ma taki ciepły klimat. I super lustro.

Mieszkanie na trzecim piętrze jest bardzo klimaciarskie, zrobione w dawnym stylu. Lustro, o którym myśli Sebastian, znajduje się na ścianie na wprost okna. Jest odjazdowe - podłużne, z witrażem dookoła. W ogóle w całym mieszkaniu pełno jest obrazów i witraży. Zajębiście to wygląda!

-Jak się tu wprowadziłem, od razu, pierwszej nocy, przyszedłem na ten dach. Strasznie mi się podobała ta dzielnica. Podoba-

ly mi się te nierówne dachy i śmieszne, powykręcane gzymsy. Warszawa jest strasznie fajnym miejscem do obserwowania.

W sumie to odkąd go widuję, mnie też zaczyna się podobać ta cała Warszawa. A najbardziej to podoba mi się ta chwila, kiedy siedzimy tutaj na dachu, obserwujemy tamte wszystkie okna i możemy sobie rozmawiać. Z Patrykiem nigdy tak nie gadałam. Zawsze wydawało mi się, że tak gada się tylko z dziewczynami.

- Na początku wcale nie lubiłam Warszawy - odpowiadam po namyśle. - Czułam się tu beznadziejnie! Nikogo nie znałam, nic mi się nie układało.

- Ale już się układa, prawda?

Nie patrzę na niego, ale dobrze wiem, że on teraz patrzy na mnie. I jestem w stanie bardzo dokładnie wyobrazić sobie, jak wygląda w tej chwili: wiatr rozwiewa mu kasztanowe włosy, w półmroku nie widać piegów, ale za to błyszczą mu oczy, ma też pewnie trochę rozchylone usta, bo zawsze tak robi, kiedy słucha uważnie albo kiedy chce o coś zapytać i nie jest pewien, czy to dobry pomysł.

- Czyja wiem? - mówię więc zgodnie z prawdą. Mogłabym powiedzieć, że się układa, bo mam pracę i na razie przestaliśmy się kłócić z Patrykiem. Tyle że to nic nie zmienia, boja teraz spotykam się z Sebastianem.

- Jest!

Sebastian wskazuje niebo, ale nim zdążę popatrzeć w tamtym kierunku, nic już nie widać.

Jednak na niewielkim obszarze pojawiły się gwiazdy, więc jeśli będę tam patrzeć, na pewno zobaczę jakąś spadającą. Postanawiam wymyślić sobie zawczasu życzenie. Chcę być szczęśliwa, myślę stanowczo i czekam. A potem, kiedy jedna z gwiazd spada, pospiesznie powtarzam to sobie dwa razy.

Najprzyjemniejsze godziny okazują się godzinami mojej pracy. Do kawiarni mało kto przychodzi, mam więc kupę wolnego czasu i najczęściej sadowię się przy najfajniejszym stoliku i patrzę na obrazy na ścianach. Czasami obserwuję ludzi na ulicy, ale najczęściej wgapiam się w obrazy.

Są niesamowite. Każdy inny. Obadałam już obrazy Sebastiana i muszę przyznać, że dziwne jest to całe jego malarstwo. Mało co można w nim zobaczyć. Jeden obraz to jakieś dziwne coś i za chole-

rę nie wiem, co. A drugi to akt kobiety. Ta kobieta też nie jest zbyt wyrazista i właściwie to dopiero po przeczytaniu, że to akt, zaczęłam cokolwiek tam widzieć. No, ale teraz już się opatrzyłam na tyle, że faktycznie widzę tam kobietę. Pewnie to Nina, bo jest bardzo chuda. Leży nago, zwinięta w pozycję embrionalną, i ma czerwone włosy - bardzo długie, okalają ją całą i jeszcze spływają na podłogę. To chyba bardzo smutny obraz, bo cały jest niebiesko-zielonka-wy - jedynym ciepłym elementem są właśnie te czerwone włosy. Pamiętam, że był czas, gdy Magda malowała w takiej tonacji obrazu. Potem powiedziała mi, że miała największego doła w życiu. Ciekawe, czy Sebastian też ma doła? I ciekawe, czy to z powodu Niny?

W pracy parzę sobie zawsze cappuccino i muszę przyznać, że teraz to moja ulubiona kawa. Ostatnio zrobiłam ją Iwonie. Nie mogła wyjść z podziwu.

- O rany, co za kawa! - zawołała i zaraz zaczęła mnie wypytywać, jak się coś takiego robi.

Patrykowi nie smakuje. Powiedział, że w ogóle nie czuć tu kawy i że jest za słodka. Ale Asia uznała ją za wyśmienitą, a jej gust smakowy jest znacznie lepszy niż Patryka.

Po południu parzę cappuccino dla Sebastiana. Wpada do mnie czasami, kiedy idzie gdzieś w sprawie swoich obrazów. Czasami nie wpada, tylko macha mi z ulicy, jak mija kafejkę. Dzisiaj jednak do mnie zajrzał i teraz siedzi przy ścianie pod pięknym obrazem, na którym są namalowane dwie rozbujane przez fale łodzie.

- Dobrze - mówi, kiedy pytam go, jak mu smakuje cappuccino. - Trochę słodkie, ale dobre.

Siadam przy jego stoliku: razem przeglądamy pocztówki, które ktoś zostawił tu w zeszły poniedziałek i które wciąż trzymam w nadziei, że się po nie zgłosi. To stare pocztówki. Magdzie na pewno by się spodobały, bo są na nich przedwojenne modelki. Przybierają różne dziwne pozy, niektóre zsuwają ramiączka staników, inne prezentują nogi. Wszystkie ładne i wymuskane, w ogóle nie przypominają dzisiejszych bab z erotycznych czasopism. Ktoś musiał zbierać je latami, a teraz zostawił tutaj i wcale się po nie nie zgłasza.

- Chyba będę potrzebować twojej pomocy - mówi Sebastian, przeglądając pocztówki. - Mówiłem ci kiedyś o obrazie do tej kawiarni...

Tak, mówił, Kiwam więc głową.

- Chciałbym go namalować, ale ciężko mi bez modelki. Może mogłabyś... - zaczyna, ale widzi moje przerażenie i zaraz urywa.

Kręcę głową.

- A dlaczego Nina ci nie pozuje?

Temat Niny chyba jest dla niego męczący, bo zaraz wraca do oglądania pocztówek. Dopiero po chwili tłumaczy:

- Nina wyjechała do Wrocławia, a za kilka tygodni jedzie do Portugalii. Nie będzie jej tu dość długo. Nie zdążę jej namalować.

Skrzętnie kryję przed nim uśmiech zadowolenia. A więc wredna małpa wyjeżdża do ciepłych krajów. Bardzo dobrze, nie może być lepiej!

Pozuję mu bardzo ochoczo w środy do południa i w piątki. Patrykowi nic nie mówię, Iwone też wolę nie wspominać. Kapciowi za to opowiadam wszystko ze szczegółami po każdym takim posiedzeniu.

W sumie to pozowanie jest nudne. Nic się nie robi. Ja po prostu stoję na tle okien, a Sebastian mnie maluje. Teraz nareszcie jednak widzę, na czym polega malowanie.

Najpierw Sebastian robi tonę szkiców, okrążając mnie z każdej strony. A jak już się zdecyduje na jakiś szkic, to wtedy dopiero ustawia sztalugę i wielkie płótno.

Oczywiście mówi, że mi nie pokaże, zanim nie skończy. Po każdym więc malowaniu zakrywa płótno jakąś tkaniną i nie pozwala mi się do niego w ogóle zbliżyć.

Kiedy robię sobie przerwy, bo jestem już zmęczona od tego całego pozowania, palimy papierosy, pijemy cappuccino i gadamy. Ostatnio zagadnęłam go o Ninę.

- Co ona robi?

- Jest rzeźbiarką. Studiuje we Wrocławiu, już piąty rok. Właściwie powinna kończyć studia w tym roku, ale wymyśliła sobie wyjazd na zagraniczną uczelnię.

Dzisiaj też go o nią pytam, ale inaczej:

- Co jej jest? Widziałam, jak zabierało ją pogotowie jakiś czas temu.

Sebastian rzuca mi dziwne spojrzenie, trochę jakby niepewne. Nie wiem, czemu zawsze tak głupio reaguje, kiedy go o nią pytam, ostatecznie nie robię tego często.

- Nina, Nina... - mruczy pod nosem i zabiera się do malowania. Rozmowa chyba jest skończona, więc niechętnie wracam na swoje miejsce i patrzę przez okno. Jednak to jeszcze nie koniec. Słyszę, że Sebastian nabiera głęboko powietrza i przeczuwam, że zaraz coś powie. Tak też się dzieje.

- Nina jest chora.

Odwracam się do niego, zaskoczona. -Na co?

Boję się, że będzie mi coś kręcił. Może nie wie, że słyszę ich awantury u siebie w mieszkaniu.

- Ma dużo problemów ze sobą - wyjaśnia. - Wiele się na to składa.

Nie rozumiem, dlaczego nie powie mi wprost, na co Nina jest chora. Może faktycznie coś kręci, żeby nie powiedzieć mi prawdy.

Sebastian wyciska na swoją paletę czerwień i brąz i maluje w milczeniu. W kompletnej ciszy mijają minuty. Potem dzwoni komórka, a kiedy odbiera, jego głos robi się tak cholernie radosny, że dobrze wiem, kto dzwoni.

- Gdzie jesteś? - pyta. Odwraca się do mnie plecami i stara się nie pobrudzić komórki umazanymi od farb rękami. - Nie mów! Naprawdę? Jedziesz tu?

Mrużę oczy i czuję, jak mój dobry humor opada. Więc potwo-rzyca wraca z Wrocławia! Cudownie! Pewnie za dobrze mi się tu układało!

Przewiercam niemal na wylot pomarańczowy sweter Sebastiana, z niedowierzaniem słucham, jak mówi radośnie:

- Jasne, że jestem. Gdzie miałbym być? Tak się cieszę, że jedziesz...

Urywa, by po chwili podjąć ciszej:

- Kochanie, będę tu. Nic się nie martw. Będzie fajnie, dobrze, że się zdecydowałaś!

Kończy rozmowę i dopiero po chwili odwraca się do mnie. Jezuuu, ale się zmienił podczas tej chwili gadki z nią: błyszczą mu oczy, jest dosłownie rozpromieniony.

Odkłada pędzle i przepaszająco uśmiecha się do mnie.

- Przepraszam cię. Możemy dokończyć w piątek?

Jasne! Nina wraca, więc mogę sobie już pójść? Mierzę go zimnym spojrzeniem, w końcu kiwam głową i zbieram się do wyjścia.

- W piątek nie mogę - informuję go na odchodnym. Nie chcę, żeby myślał, że jestem na każde jego zawołanie.

Nie patrzę na niego, ale wiem, że się zmartwił. Wiem też, że zależy mu na czasie. Ostatecznie czeka na pieniądze za obraz i to bardzo.

Mam świadomość tego, że wciąż stoi w drzwiach, kiedy ja wspinam się schodami. I nic mnie to nie obchodzi. Niech stoi.

- Basia! - woła za mną w końcu. - To daj mi znać, kiedy będziesz mogła!

Nina przyjechała. Widziałam ją, jak wysiadła z tego swojego jeepa pod wieczór.

Taszczyła jakieś wielkie walizki, ubrała się, jakby wracała z pogrzebu - cała na czarno. Nawet ma teraz nową fryzurę i nowy kolor włosów - ciemne bordo ścięte niemal na zapałkę. Przez to krótkie ścięcie wygląda jakoś chudo i nieciekawie.

Może zresztą za mocno się maluje pod takie krótkie włosy.

Z rana, kiedy idę do pracy, widzę Ninę, jak sunie do sklepu. Oczywiście pali papierocha, ma kilometrowe obcasy i gdybym nie była już tak oblatana z jej wyglądem, pomyślałabym, że w opitolo-nych spodniach i skórzanej kurtce wybiera się raczej na jakiś rockowy koncert, a nie do warzywniaka.

Chcę coś zmienić. Jeszcze nie wiem co, ale na pewno wiem, że nie wyjdę ze sklepu z niczym!

Są tu różne ładne szminki, jakieś wypasione cienie do powiek. Na półce stoją też farby do włosów. Przyglądam się sobie w lustrze przy ladzie i mrużę oczy. Może farba nie byłaby takim głupim pomysłem?

Śmiać mi się chce, jak pomyślę o reakcji znajomych! W życiu nie farbowałam włosów! Chyba wszyscy by padli trupem, jakbym nagle wyskoczyła w jakimś blondzie albo rudości! Ha! Aż mi się wierzyć nie chce, że naprawdę zaraz kupię sobie farbę!

Z farbą do włosów nadciągam w stronę Joasi. Joasia wszystko mi pięknie nałoży i pewnie jeszcze się ucieszy, że zrobiłam się taka kobieca!

Tyle że Aśka wcale się nie cieszy na mój widok. Otwiera mi drzwi ponuro, gapi się na moją farbę, jakbym zrobiła jej jakieś wielkie świństwo tym, że ją tu przyniosłam, i pyta niechętnie, czy jestem pewna, że chcę mieć czarne włosy.

- „Czerń granatu” - czytam nagłówek. - Co? Myślisz, że źle? Mam wrażenie, że głównie ją obchodzi, czy źle, czy dobrze. Po prostu jej się nie chce robić mi tych włosów, bo ma jakiegoś cholernego doła. Aśka wiecznie ma doła; odkąd sięgam pamięcią, to jak tylko Karol zabiera nogi za próg, ona zaraz albo wyklada się do łóżka i śpi, albo siedzi jak śnięta ryba.

- Przestań się dołować, dziewczyno! - fukam na nią. - Odbiło ci? Gdzie Karol? Asia puszcza moje pytanie mimo uszu, mówi tylko głosem bardziej już poirytowanym niż zdoiwany:

- Będziesz wyglądać blado w takiej czerni. Może ci zrobić od razu hennę na brwiach i rzęsach?

Hennę? Czy ja wiem?

- Jak już się przemieniać, to na całego! - uśmiecham się i wręczam jej farbę. ~ Zrób ze mnie bóstwo!

Z henną na brwiach i z mokrymi czarnymi włosami wyglądam dziwnie. Prawie jak nie ja.

- Dla kogo to robisz? - pyta Aśka, susząc mi kłaki. - Dla Patryka?

- Tam zaraz dla kogoś! - wkurzam się. - Dla siebie! Czemu zaraz myślisz, że dla kogoś?

Wzrusza ramionami, zwiększa w suszarce obroty i teraz w ogóle nie słyszę, co mówi.

Potem, kiedy już jadę do domu, zauważam, że chłopcy zaczynają na mnie patrzeć. Pewnie dziwnie wyglądam z tą białą twarzą i czarnymi włosami.

W domu Patryk czyta gazetę, kiedy wchodzę, i mruży z niezadowoleniem:

- Mogłabyś czasem wysłać mi jakiegoś esemesa, jeśli po pracy gdzieś sobie idziesz.

- Byłam u Joasi, co się wkurzasz?

- Nie wkurzam się, tylko zrobiłem dla nas kolację... - Unosi głowę i widzi mnie. Mruga oczami, zaskoczony. - Co ty zrobiłaś? Poprawiam fryzurę, uśmiecham się.

- Podoba ci się?

- Nawet bardzo!

Zrywa się z kanapy i podchodzi do mnie szybko.

- Baśka, jak ty ładnie wyglądasz! - mówi, a potem zupełnie jak za dawnych czasów bierze mnie na ręce i przyciska do siebie.

Z rana, przed pracą, wychodzę z Kapciem na dwór. Spacerujemy za balkonami, Kapeć przymierza się do zjedzenia jakiejś starej wędzonki, która jest tak obrzydliwa, że jeśli on ją zje, to ja chyba zacznę wymiotować.

Na parterze otwiera się okno i staje w nim Nina. Przeciąga się sennie, zapala papierosa, potem dostrzega mnie i uśmiecha się jakoś dziwnie.

- Witaj, sąsiadko!

- Cześć... - mruczę w odpowiedzi. Nie wiem, dlaczego mnie zagaduje, ale wcale mi się to nie podoba. Nie mam ochoty zaznajamiać się z nią. W ogóle Nina strasznie mnie wnerwia swoim wyglądem i wszystkim, co robi i mówi. Teraz też uśmiecha się jakoś podle, aż nie mam ochoty na nią patrzeć.

Wołam Kapcia, ale Kapeć obwąchuje tamtą wędzonkę, a to oznacza, że teraz koźmi nie udałoby mi się go odciągnąć.

- Kapeć, do kurwy nędzy! - wołam jeszcze raz i nawet tupię nogą. Kapeć rzuca na mnie spojrzenie, ale dalej wacha w najlepsze. Nawet ogon podniósł do góry, co jest u niego oznaką radości.

Czuję, że Nina na mnie patrzy. Po chwili mówi:

- Chyba masz dużo wolnego czasu.

Staram się nie zwracać na nią uwagi, ale nie potrafię.

- O co ci chodzi?

Rzucam jej złe spojrzenie i widzę, że już się wcale nie uśmiecha. Patrzy na mnie zimno, jak kobieta przymierzająca się do walki o faceta. Tak też się dzieje. Syczy:

- Skoro masz tyle wolnego czasu, to może powinnaś poświęcić go swojemu facetowi i jamnikowi. Na pewno tęsknią za tobą, kiedy spędzasz godziny w moim mieszkaniu!

Mrugam oczami, nagle strasznie zdenerwowana. Zaczynam rozumieć, co Sebastian miał na myśli, kiedy powiedział, że Nina ma problemy ze sobą. Staje się dla mnie oczywiste, że ma problemy z głową.

- Odpieprz się - mówię lodowato i znowu wołam Kapcia.

- To ty się odpieprz. - Głos Niny tnie powietrze jak nóż. - Odpieprz się od mojego życia, od mojego faceta i od tego mieszkania!

Podchodzę pospiesznie do Kapcia i zakładam mu obrozę. Słyszę, jak Nina dodaje cicho:

- Posłuchaj mnie, sąsiadko. To jest moje życie i długo na nie pracowałam. Teraz wyjeżdżam, ale nie życzę sobie, byś pod moją

nieobecność przychodziła tu. Sebastian jest dla mnie ważny. Bardzo ważny. I jak już skończy obraz, do którego mu pozujesz, to nie chcę, żeby twoja noga więcej powstała w moim domu. Słyszysz?!

Odwracam się do niej poczerwieniała na twarzy, z trudem hamuję nerwy.

- Sebastian wie o naszej rozmowie? Moje pytanie zaskoczyło ją, kręci głową.

- Nie, i mam nadzieję, że mu nie powiesz.

- Oczywiście że powiem!

Mierzymy się spojrzeniami. Ja rejteruję pierwsza; ciągnę za smycz i pospiesznie wracam do domu.

Magda

Zmarł mój wujek i ciocia poprosiła, żebym pomogła jej segregować pamiątki po nim.

Mieszkała w Sopocie, w przepięknym domu, w odległej od gwaru i ruchu dzielnicy starych domów. Bardzo lubiłam klimat tego miejsca: uwielbiałam patrzeć, jak dzikie wino żłobi ściany budynku, jak splata się z bluszczem w okolicach okien, jak popołudniami światło wydobywa z elewacji domu dawną ostrość, jak przez ułamek sekundy, tuż przed zachodem słońca, ożywia płaskorzeźby na murze i przywraca im właściwy charakter.

Cisza willi rozbudzała we mnie jakieś przyczajone, niesprecyzowane marzenia. Lubiałam rozglądać się po wnętrzu, znajdować w nim to, co wcześniej uchodziło mojej uwadze: przedwojenne lalki, porcelanowe fdiżanki o wymyślnym wzorze, rysunki czyichś twarzy, zasuszone kwiaty. Wszędzie znajdowałam też winylowe płyty, stare książki i fotografie.

Ciocia lubiła włączać wieczorami płyty i śpiewać z nimi. „Przetańczyć chcę z tobą całą noc” było jej ulubionym nagraniem. Czasem wspinałam się po stromych schodach i podpatrywałam ją, jak tańczy z zamkniętymi oczami po pokoju i śpiewa razem z płytą: „Przetańczyć z tobą chcę całą noc i nie opuszczę cię już na krok...”. Wiedziałam, że tańcząc i śpiewając, myśli o swoim zmarłym mężu i domyślałam się, że ta piosenka na pewno była kiedyś dla nich obojga bardzo ważna, skoro nawet teraz wyciska jej z oczu łzy.

Wujek przyśnił mi się tamtej nocy. Śniłam, że stoi nieruchomo w drzwiach pokoju, w którym spałam. Nie patrzył na mnie. Miał zamknięte oczy i dłonie złożone jak do modlitwy. Uświadomiłam sobie, że tak właśnie wyglądał, kiedy widziałam go ostatni raz, w kaplicy przed pogrzebem, wystawionego w trumnie.

W wielkiej ciszy, która trwała przez cały mój sen, zapytałam go:

-Jak tam jest?

- Cicho - odpowiedział.

Z rana, przy śniadaniu, ciotka zaczęła opowiadać mi o tym, jak dawniej wyglądał Sopot.

Jedząc świeży chleb z dżemem, słuchałam, jak mówiła, że na Monte Cassino trzeba było ubierać się elegancko, ponieważ był to deptak niezwykle, pełen artystów, polityków i ludzi z wyższych sfer. Śmiejąc się, wspominała bale, w których uczestniczyła, opowiadała o przebudowie Sopotu, o restauracjach, które za jej czasów świeciły triumfy.

Pijąc kawę i patrząc w jej spokojną twarz, czułam, jak wewnątrz mnie rozlewa się dziwna tęsknota za tamtym wszystkim, o czym opowiadała.

- W nocy śnił mi się wujek - przerwałam ciszę, która zapadła po ostatnim jej zdaniu.

Uniosła głowę i popatrzyła na mnie, mrużąc oczy.

- Coś mówił¹?

- Powiedział tylko, że tam jest cicho.

Westchnęła głęboko i popatrzyła w stronę okna. Usłyszałam, jak mówi, bardziej do siebie niż do mnie:

- Zawsze chciał, żeby tam było głośno. Dlaczego musi być w takiej ciszy?

Może dlatego, że w takiej ciszy każda myśl ma większy wymiar, pomyślałam. Na głos powiedziałam:

- Ciociu, to mi się tylko śniło, nie powinnaś brać sobie tego do serca.

Potarła palcami skronie i popatrzyła na mnie.

- Ty wiesz, że masz bardzo dziwne sny, Magda. Zawsze miałaś. Pamiętam, jak w dzieciństwie śniło ci się coś i... - Urwała, a ja niepewnie sięgnęłam po imbryk z kawą. Dobrze wiedziałam, że ciocia mówi o tym, że moje sny się sprawdzają. I to prawie wszystkie.

Poczułam narastający niepokój, gdy dodała:

- Pamiętasz, jak śniłaś, że tamta dziewczynka szuka kogoś po omacku? Śniłaś to kilka nocy z rzędu, a potem okazało się, że faktycznie zaginęła jej siostra... Jak ona miała na imię? Maria? Kasia?

- Daria - podpowiedziałam cicho, upijając łyk kawy. Tamten sen przypomniiał mi się przez chwilę w całej swojej ostrości: Joasia błędząca w ciemności, jej dłonie macające ściany i brak jakichkolwiek słów. Zamrugałam oczami, chcąc strzepnąć spod powiek tamten obraz i łączące się z nim okropne wrażenie czegoś złego. Dziesięć lat wcześniej Joasia zapaliła papierosa osadzonego w długim ustniku i uśmiechnęła się mocno uszmińkowanymi ustami.

- Jak będziesz gotowa, to powiedz!

Stałam przy fotelu, wsuwając stopy w niewygodne buty mojej babci: czarne, wąskie, na wysokim obcasie. Uniosłam do góry spódnicę i poprawiłam podwiązki, a potem opuściłam ją i popatrzyłam w lustro. Z lustra spoglądała na mnie wysoka dziewczyna wyjęta z czasopisma wydawanego w okresie międzywojennym. Poprawiłam włosy i jeszcze raz umalowałam usta.

- Jesteś pewna? - spytała Joasia, kiedy układałam się na sofie w dużym pokoju.

- Jestem....

Było mi zimno w stopy i ramiona; poprosiłam ją, żeby zamknęła balkon.

- Tak będzie lepiej, przynajmniej odetniemy się od tego całego hałasu...

Za balkonami naszego bloku jakieś dzieciaki z krzykiem obiegały trzepak, grupa dziewczyn grała w gumę, wykrzykując głośno jakieś wyliczanki, chłopcy nawoływali się przez balkon.

- W takim hałasie to się w życiu nie uda! - powiedziałam. Patrzyłam, jak Joasia zamyka balkon i przez chwilę stoi nieruchomo, rozchylając palcami firankę. Nie odwracając się do mnie, powiedziała:

- Kilka lat temu to my biegałyśmy wokół tego trzepaka... Przypomniłam sobie, jak zwisałyśmy z niego całymi minutami,

podnosząc się tylko dla zaczerpnięcia tchu. Powrócił do mnie głosik Basi, cienki i piskliwy: „Kto wytrzyma dłużej?”.

Mimo że balkon został zamknięty, do pokoju wciąż przebijały się głosy dziewczynek: - Raz, dwa, trzy... będziesz nią ty!

- To się nie uda... - powtórzyłam.

Joasia pozastaniała okna i usiadła w fotelu przy sofie.

- Po prostu zamknij oczy i odpręż się... Ja włączę nagrywanie... Zamknęłam oczy, ale wówczas usłyszałam śmiech dziewczynek i mimo woli też zaczęłam się śmiać.

- To śmieszne. Nie dam rady się skupić...

Starłam się nie myśleć o książce w dłoniach Joasi. Wydawało mi się, że jest za wcześnie, żeby w ogóle cokolwiek zaczynać. Było dopiero po siódmej, dzieciaki wciąż biegały po podwórku, letnie słońce dopiero chyliło się ku zachodowi.

Myślałam, że może gdyby się ściemniło na dworze, gdyby te dzieci poszły na jakiś film do domów...

Czy one nie oglądają już dobranocek? - zastanawiałam się, nabierając głęboko powietrza. Nie mogłam skupić się na słowach Joasi wyczytującej monotennie, jakie mięśnie powinnam teraz odprężyć i jak mam oddechać.

- Czy czujesz jak twoje powieki się rozluźniają? Rozluźniają... rozluźniają...?

Miałam ochotę się roześmiać. Moje powieki wcale się nie rozluźniały, za to doskonale słyszałam zza okna kolejną wyliczankę: Ene due rabe...

Co te dzieci tam robią? - pomyślałam. Przecież jeśli się gra w gumę, to po prostu gra się w gumę. Skąd więc te wyliczanki? Zastanowiłam się, czy wyliczanki nie pochodzą przypadkiem z ust dziewczynek obiegających trzepak. Zaraz też przypomniałam sobie pulsujące skronie i strach, kiedy Basia zaczęła mnie kołysać w przód i w tył, a ja wisiałam na trzepaku głową w dół, zaczepiona jedynie skrzyżowanymi nogami.

- Widać ci majtki! Kto to powiedział?

Spróbowałam otworzyć oczy, ale były takie ciężkie. Joasia monotennie czytała instrukcje, dziewczynki za balkonami śmiały się głośno, jedna z nich zawołała:

- Szukam!

W takim hałasie nie mogłam dalej leżeć bez ruchu. Wszystko mnie uwierało:

niewygodne buty, podwiązki, stanik. Otworzyłam oczy i powiedziałam z niechęcią:

-Trzeba dać temu spokój. To do niczego nie prowadzi. Albo

zaczniemy to później, albo innym razem... Jak mam leżeć w skupieniu, skoro one tam ciągle śpiewają?

Joasia patrzyła na mnie z fotela, wciąż z książką rozłożoną na kolanach. Patrzyła długo i w milczeniu, aż poczułam się nieswojo. Opuściłam stopy na dywan i poprawiłam spódnice.

- Przepraszam cię, ale to dzisiaj się nie uda...

Moje spojrzenie przesunęło się po zasłonach i ze zdziwieniem zauważyłam, że nie przebija się przez nie dzienne światło. Najwyraźniej słońce zdążyło zajść, kiedy tak leżałam, usiłując poddać się hipnozie.

Nagle uświadomiłam też sobie, że nie słyszę głosów dzieci z podwórka.

- Już poszły? - spytałam; przemknęło mi przez myśl, że mogłybyśmy teraz w skupieniu przeprowadzić całą regresję.

Podniosłam wzrok na Joasię i zobaczyłam, że jest wystraszona: szeroko rozwarte oczy, uchylone usta, pobladłe policzki. Poruszyła ustami, jakby chciała coś powiedzieć, a ja zmarszczyłam brwi, nagle przerażona tak samo jak ona.

- Udało się... - powiedziała cicho i przytknęła dłonie do ust.

- Mój Boże, udało się!

- Ale co? - spytałam, czując, że do oczu napływają mi łzy strachu. Joasia zerwała się z fotela i podała mi dyktafon. Z bliska zobaczyłam, jak drżą jej ręce i jaka jest zdenerwowana. Powtórzyła:

- Dobry Boże, udało się... Mam tu wszystko. Nie wiem, co to jest. Ale mam to tu! Powoli przesunęłam dłonią po ustach. Chciałam wytłumaczyć jej, że przecież wcale nie zahipnotyzowała mnie, że nawet nic nie powiedziałam, ale ona już przewijała kasetę i powtarzała w kółko:

- Udało się... udało się...

Dokładnie sześć lat minęło od chwili, gdy przebierałyśmy się z Joasią w jej mieszkaniu w przedwojenne sukienki. Sześć lat minęło od momentu, gdy w duszne sobotnie popołudnie Joasia zahipnotyzowała mnie.

Tamten wieczór i wszystko, co wydarzyło się w związku z nim, był ostatnim wieczorem naszego przebierania się, robienia uroczystych kolacji i palenia papierosów przez długi ustnik. Z perspektywy czasu wiem też, że był to koniec naszej zażyłej przyjaźni.

Kasetę nagraną przez Joasię wałkowałam już tyle czasu, że niemal zupełnie ją starłam. Mój głos na niej rwał się i zacinał, czasami nabierał też jakiejś nowej, obcej barwy.

Najbardziej nurtowały mnie fragmenty, na których zaczynałam mówić po francusku. Nie znam francuskiego, nie potrafię powiedzieć w tym języku nawet jednego zdania, a jednak właśnie na kasecie mówię głównie w tym języku i to z wprawą.

Przez całe lata zastanawiałam się, co znaczą francuskie słowa wypowiedane przeze mnie w tak emocjonalny sposób. Dopiero kiedy dzięki Anecie poznałam Ninę, ośmieliłam się dać jej kasetę i poprosiłam o przetłumaczenie wszystkiego.

- To dziwne - powiedziała Nina po odsłuchaniu dużych fragmentów. Przesłuchiwała taśmę u mnie w domu. Za oknami mieszkania zapadał zmierzch i ostatnie promienie popołudniowego słońca kładły się szerokimi plamami na jej sukience i chudych ramionach. Słuchała w skupieniu, paląc papierosa i co jakiś czas opierając go o rant popielniczki.

Nie mówiłam jej wcześniej, o czym będzie nagranie. Nie wspomniałam ani słowa o regresji hipnotycznej. Puściłam jej tylko francuskie fragmenty i z napięciem obserwowałam jej twarz.

- To jakiś fragment powieści? - spytała w końcu. Odpowiedziałam niepewnie:

- Chyba tak. Nie wiem... Znalazłam to i ciekawa jestem... Sięgnęła po resztkę swojego papierosa i chwilę paliła go w milczeniu.

- Nie wszystko zrozumiałam. Albo mój francuski jest zbyt słaby, albo osoba, którą masz tu nagraną, mówi w jakiejś gwarze francuskiej, którą nie do końca rozumiem...

- Odchyliła się na oparcie kanapy i popatrzyła na mnie uważnie. - Pewne słowa... pewna gramatyka ma tu bardzo dawne brzmienie...

Odwróciłam od niej wzrok.

- O czym to opowieść?

- O teatrze.

Popatrzyłam na swoje palce, nagle wyciszona i uspokojona. Nina podjęła po chwili:

- Osoba opowiada, że mieszka w Paryżu. Bardzo dokładnie opisuje swoją dzielnicę, zresztą dość ubogą. Wydaje się, że to mężczyzna. Mieszka z przyjacielem w jakimś wynajętym mieszkaniu.

Nie powodzi im się dobrze, powiedziałabym, że właściwie żyją w biedzie... Przymknęłam oczy i marzyłam ze wszystkich sił, że pod powiekami pojawią się obrazy, o których opowiadała Nina. Wtedy wypowiedane słowa nabrałyby realnego wymiaru.

W milczeniu słuchałam, jak Nina opowiada:

- Bohater opowiadania jest aktorem. Wydaje mi się, że to ktoś urodzony w trochę wyższej sferze, ale chyba porzucił rodzinę, żeby żyć w Paryżu jak nędzarz. Kocha teatr. Tylko to go obchodzi. Pracuje w jakimś śmiesznym teatrze, ale nie zarabia tam wiele... ledwie starcza im na życie. Mieszka z przyjacielem, który też jest aktorem, ale pracuje jeszcze przy dekoracjach do przedstawień teatralnych.

Paryż, bieda, mieszkanie pochłaniające wszystkie pieniądze, przyjaciel malarz - wszystko to było tak podobne do mnie, że aż niemożliwe, żebym sama tej historii nie wymyśliła.

- Jest tu opis sztuki teatralnej, w której gra ten chłopak. To dziwna sztuka, jakaś zagmatwana fabuła, dużo w niej politycznych nawiązań.

- Czy są jakieś daty?

- Jedna. Ale nie wiem, do czego się odnosi. Tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty drugi. Powtarzana jest dwa razy, ale narrator nie odnosi jej do niczego. Wiesz, nie mówi zdań w rodzaju: To data moich urodzin...

- A czy jest coś o śmierci? Kiwnęła głową i zapaliła papierosa.

- Tak. To dziwna opowieść o śmierci, bardzo chaotyczna. Ten człowiek rzucił się z balkonu. Opisuje, że w mieszkaniu jest ogień, że jego przyjaciel leży na ulicy martwy. Mówi też o spalonym teatrze i jakiejś kobiecie, która bardzo ciężko przeżyje jego śmierć. Coś mówił o tym, że ich mieszkanie znajdowało się na samej górze, chyba na poddaszu. Całkiem możliwe, że ogień odciął im drogę schodami i że jego przyjaciel skoczył pierwszy, dlatego leży na tej ulicy. To bardzo nieskładna opowieść. Dziwna.

Skinęłam głową, coraz bardziej zamyślona. Światło popołudnia przerodziło się w wieczorny mrok i Nina sięgnęła po włącznik lampy. W ostrym, sztucznym świetle historia wydała mi się nieprawdopodobna, bajkowa. To nie mogła być historia z mojej przeszłości. To mógł być fragment filmu, może obejrzone w dzieciństwie sceny

z jakiegoś francuskiego dramatu. Wtedy mogłam ich nie zrozumieć i dlatego nie umiałam ich wyjaśnić pod hipnozą.

- A jakieś imię? Słyszałam, że padało tam dwa razy francuskie imię męskie.

- To było imię jego przyjaciela. Didier Perdr.

Kiedy wyszła, włączyłam jeszcze raz kasetę i słuchałam wszystkiego od początku. Słuchałam, jak mój głos nerwowo unosi się, kiedy pytam: - *Que voulez-vous faire? Je voudrais que ca se passe autrement...*

Joasia

Magda mówiła, że mam ładne dłonie i że wiele na nich widać. Pamiętam, jak położyła moją dłoń na swoich kolanach i odwróciła spodem do góry. Wodziła palcem delikatnie po liniach, komentowała wszystko tak, jakby na mojej ręce znajdowało się jakieś ukryte pismo, dla niej czytelne.

Byłyśmy już wówczas na studiach, obie na Akademii Sztuk Pięknych. Magda i Aneta znalazły się w tej samej pracowni, na wydziale rzeźby, ja poszłam na fotografię.

Kiedy ich wydział miał rysunek w budynku fotografii, zbiegałam trzy piętra w dół po stromych stopniach, wsuwałam się do ich sali, z zaciekawieniem patrzyłam, jak wszyscy rysują modelkę, razem siadałyśmy na szerokich parapetach okiennych, zapalałyśmy papierosy i rozmawiałyśmy.

Tamtego dnia, o którym myślę, Magda namówiła nas, żebyśmy urwały się z reszty zajęć, skoczyły do jej kolegi do akademika i zapaliły sobie trawę. Tak też zrobiłyśmy. Całe popołudnie przeleżałyśmy we trzy na wąskim łóżku, kompletnie naćpane i śmiejące się bez powodu.

Chyba wtedy właśnie zaczęłam przypominać sobie Darię.

To były jakieś migawki wspomnień: jej twarz skąpana w świetle, włosy przerzucone przez ramię, długie nogi oparte na jakimś krześle. Przypomniałam sobie jej śmiech i jakieś głupie zdanie, które powiedziała do mnie.

Leżąc na łóżku między Magdą i Anetą, zamarłam w bezruchu i wpatrzyłam się w sufit. Miałam wrażenie, że cały pokój faluje, od-

dala się i przybliża. Daria znowu schowała się gdzieś wewnątrz mojej głowy, tam, gdzie nigdy nie zaglądałam. Tyle że pozostawiła świadomość, że przed chwilą stało się coś ważnego.

Pamiętam, jak Magda koło mnie mówiła sennie:

-...widziałam go. Grał w przedstawieniu sobotnim jakiegoś narkomana. Siedziałam w pierwszym rzędzie i w pewnym momencie popatrzył na mnie. Dokładnie na mnie...

Moje wszystkie myśli krążyły wokół tamtego kruchego, zakurzonego wspomnienia, którego strzęp uchwyciłam i teraz starałam się rozpaczliwie je przywrócić.

Zaciągnęłam się naszym wspólnym skrzętem, a w mojej pamięci powrócił wysoki, ostry głos jakiejś kobiety: „Nauczę cię, jak wyrzucić to z pamięci...”.

Jak wyrzucić to z pamięci - powtórzyłam w myślach, a potem na głos:

- Jak wyrzucić to z pamięci.

Zaczęłam drzeć, bo uświadomiłam sobie, że znam ten głos. Przez kilka ostatnich lat, kiedy miałam wysoką gorączkę albo kiedy zapadałam w sen, słyszałam go. Był chłodny, obcy, nieprzyjemny. I zawsze łączyło się z nim wrażenie jakichś nieuchronnych zmian i czegoś niedobrego.

Leżąc na łóżku ze skrzętem w dłoni, usiłowałam przywołać go. Marszczyłam brwi, coraz bardziej zdenerwowana. Narkotyk wyostrzał mój strach i spychał kobiecy głos coraz głębiej i głębiej w zapomnienie.

Słyszałam śmiech Magdy obok siebie i senny szept Anety. A potem w jednej chwili moja pamięć wyrzuciła na wierzch dziwny obraz: bose stopy na zielonym dywanie, wydłużający się cień i szczupła sylwetka dziewczyny stojącej na tle okna, prześwietlonej przez słońce.

Od tamtego momentu Daria przypominała mi się krok po kroku. W domu sięgnęłam do starych albumów i obejrzałam ją na zdjęciach. Czułam się dokładnie tak, jakbym otwierała puszkę Pandory, bo wszystko, co znajdowałam w środku, wylewało się na mnie potokiem obrazów, słów i gestów, od których robiłam się chora.

Nie wiem, ile godzin przesiedziałam nad pamiątkami po niej. Miałam wrażenie, że wiszę gdzieś ponad czasem, niezdolna wrócić

do rzeczywistości. Nie rozumiałam, jak mogłam o niej zapomnieć. Jak w ogóle mogłam zapomnieć coś tak ważnego!

Oglądając zdjęcia, przypominałam sobie krok po kroku nasze dzieciństwo, rozmowy, zabawy. Przypominałam sobie tak wiele rzeczy. Jej zniknięcie też sobie przypomniałam. I to, jak z tatą biegaliśmy po Trójmieście, rozklejając plakaty z jej twarzą, a z nieba lał się strumieniami deszcz i wszystko niszczył.

„Pani psycholog uważała, że najśluszniej będzie, jeśli zapomnisz” - wyjaśnił mi tata, kiedy go o to zapytałam.

Znowu powrócił tamten głos: „Nauczę cię, jak wyrzucić to z pamięci” - i miałam ochotę krzyknąć, rwać na sobie ubrania i płakać na całe gardło, bo faktycznie udało mi się zapomnieć o Darii na tyle lat.

Basia wydaje się nie rozumieć, do czego dążę.

- I uważasz, że ta kartka to nie jest żart? - pyta, kiedy pokazuję jej pocztówkę od Izy. To oczywiście, że kartka nie jest żartem! Kto robiłby tak głupie żarty?

-1 jest tu data?

Data jest: 28 czerwca, trzynaście lat temu. Basia ogląda kartkę dokładnie, mruży oczy, a potem odsuwa się niepewnie na swoje miejsce.

- To głupie. Myślisz, że Daria uciekła z domu, pojechała do Saint-Tropez i wysłała stamtąd pocztówkę Izie?

Nie wiem, co myśleć. Kiedy Basia mówi o tym w ten sposób, mnie również wydaje się to głupie. Ale przecież kto wysłałby Izie taką kartkę dwa lata po zniknięciu Darii? I dlaczego nic na niej nie napisał? Ludzie piszą zawsze jakieś pozdrowienia, nawet najbardziej banalne i według wyuczonego szablonu. Piszą: „Gorące pozdrowienia z...” albo: „Pozdrowienia z pięknego...”. Tu nie ma niczego takiego. Ktoś, kto to wysłał, chciał zasugerować swoją obecność, nie ujawniając jej jednak wprost.

- Ty naprawdę sądzisz, że spieprzyła do Francji i przez trzy lata jeździła sobie po wybrzeżu, aż dojechała do Saint-Tropez i łaskawie wysłała kartkę Izie?

Mierzę ją spojrzeniem, czując, że ogarnia mnie złość. Wiem, jak idiotycznie to wszystko brzmi i nie chcę, żeby mówiła o tym w taki sposób.

- Rusz głową! - Basia kompletnie ignoruje moją złość. Wiem, o co mnie teraz spyta i jestem na nią jeszcze bardziej wściekła. Pyta: - Nigdy nie pomyślałaś, że mogło być zupełnie inaczej?

Odwracam się od niej, rozchylam palcami rolety w oknie. Zza pleców słyszę jej głos:

- Ona była bardzo ładna. Podobała się... Nigdy nie pomyślałaś, że na świecie jest wielu złych ludzi? I że takie rzeczy po prostu się dzieją?

Oczywiście że o tym myślałam, i to sto razy, ale to wydaje się zbyt proste. W mieszkaniu nie było śladu włamania. Okna były pozamykane. Drzwi też. I przecież nigdy nie znaleziono jej zwłok.

~ Mogła wpuścić do mieszkania kogoś, kogo znała... Mogło tak być, Asia, ale... kto znajomy mógł do niej przyjść o dziewiątej wieczorem i zrobić jej coś złego? Kto? Basia dobrze wie, że Daria pod koniec miała problemy z Izą Sobczyk. Przecież była świadkiem awantury, którą zrobiła pani Sobczyk, kiedy Iza przez Darię płakała.

- W ogóle tego nie mów! - W głosie Basi jest teraz sama wściekłość. - Jak możesz? Chcesz oskarżać po latach ludzi? Odbiło ci?

W mojej głowie pojawia się mglisty obraz Darii stojącej w drzwiach mieszkania, opartej policzkiem o futrynę, zaczerwienionej od gorączki, ze stopami w skarpetkach. W pamięci słyszę jej głos: „Nie zapomnijcie o cieście dla mnie!” i czuję, jak coś wewnątrz mnie każe mi się odwrócić i popatrzeć na nią po raz ostatni. Kiedy tamtego wieczoru wracaliśmy do domu, tata trzymał mnie za rękę, a mama - trochę wstawiona wypitym u ciotki winem - nuciła „Kasztany, kasztany”. Ja w drodze powrotnej policzyłam na deptaku wszystkie latarnie. Zrobiłam to dla Darii, bo było mi jej żal, że została w domu. Mój wynik pokrywał się z jednym jej wynikiem, więc byłam dumna, że chyba nareszcie będzie wiedzieć na pewno, ile latarni wyrasta z chodnika na przestrzeni dwóch kilometrów.

W papierowej torbie mieliśmy dla niej kawałki ciasta od ciotki Rysi.

Tata zadzwonił domofonem, ale nikt mu nie otworzył. W oknie paliło się światło, mama powiedziała, że Daria pewnie już śpi i wyjęła z torebki klucze.

W mieszkaniu nie od razu zorientowaliśmy się, że jej nie ma. Pozostał po niej koc i książka, którą czytała. Na podłodze leżały papierki po cukierkach, na stole stała filiżanka z letnią już herbatą.

Byliśmy pewni, że Daria śpi, więc przez pierwsze minuty nikt nawet nie zajrzał do jej pokoju. Mama w kuchni przygotowała dla niej wywar z jakichś liści na gorączkę i wręczyła mi gorący kubek, żebym jej dała wypić.

W pokoju po omacku dotarłam do łóżka i postawiłam na biurku kubek.

- Masz wypić wywar... śpisz? Nikt mi nie odpowiedział.

Nawet dzisiaj, po tylu latach, czuję zimne dreszcze na plecach, kiedy o tym myślę. Pamiętam też siebie sięgającą po włącznik lampki. I to, jak światło zalało pokój.

Pamiętam pustkę jej łóżka, rozkopaną pościel, maskotkę na poduszce. I pamiętam, jak zawołałam o wiele za cicho, by rodzice mnie usłyszeli:

- Darii nie ma tu!

Z wywarem w ręce wróciłam do kuchni. Mama wkładała ciasto do lodówki, a ja stanęłam za jej plecami i powiedziałam:

- Mamo, Darii nie ma w pokoju.

- To gdzie jest? - spytała, nawet nie odwracając się za siebie. Obeszłam więc całe mieszkanie i z każdym krokiem czułam, jak nagromadzony gdzieś w środku strach narasta i narasta, by w końcu stać się nie do wytrzymania. Wtedy krzyknęłam histerycznie:

- Jej nie ma!

I wszystko we mnie pulsowało strachem, rozpaczą i histerią, bo jakoś od razu czułam, że stało się coś bardzo niedobrego.

Odwracam się od okna i patrzę na zegarek. Dochodzi północ, pora wracać do domu. Marszczę brwi z rozdrażnieniem, bo zaraz przypomina mi się Magda i jej uśmiech, kiedy szepcze: „Godzina duchów!”.

Już w drzwiach mówię Basi o tamtym chłopcu z klasy maturalnej, który przyjeżdżał do klatki D, do dziewczynki, którą zepchnęłam kiedyś z drabinek. Basia mieszkała w klatce D, ale kompletnie nie pamięta, kto to mógł być.

- Ty naprawdę wierzysz, że ona żyje? - pyta mnie już na klatce schodowej.

Zatrzymuję się i patrzę na nią długą chwilę. Basia nie czeka, aż jej odpowiem, sama mówi szybko:

- Mnie się wydawało, że miała dobre układy z twoimi rodzicami. Myślisz, że żyłaby gdzieś przez piętnaście lat i miała wszystko w dupie? Myślisz, że nie przyjechałaby nawet na pogrzeb waszej matki? To głupie...

Kiedy Daria zniknęła, przypomniałam sobie opowieść Magdy o dziewczynce, która przeszła przez lustro i znalazła się w innym świecie. Dokładnie pamiętałam jej słowa o tym, że dziewczynka widziała w lustrze swój dawny świat, wołała do swoich rodziców, ale oni nie mogli ani jej zobaczyć, ani usłyszeć. Sądziła, że porwali ją Cyganie.

Ja w pierwszych tygodniach poszukiwań też wierzyłam, że to Cyganie zabrali Darię. Magda mówiła, że Cyganie potrafią stosować magię, więc wydawało mi się oczywiste, że potrafili sprawić, że zniknęła. Ostatecznie tylko w ten sposób mogła wydostać się z domu, nie otwierając okien i nie otwierając drzwi.

Wiele czasu spędzałam wówczas na oglądaniu luster w naszym pokoju. Myślałam: A jeśli Daria została jakoś przeciągnięta na drugą stronę? Jeśli nas widzi i tylko my nie potrafimy jej zobaczyć?

Dotykałam zimnej tafli lustra, opierałam o nią czoło. Mieliśmy wtedy w domu jedno duże lustro w złotych ramach - dokładnie takie, jak z opowieści Magdy. Siadałam więc przed nim i w skupieniu się w nie wpatrywałam. Szukałam jakiegoś pęknięcia, delikatnej różnicy między odbitym obrazem, a realnym pokojem - czegokolwiek, co powiedziałoby mi, że lustro jest zaczarowane. Co dałoby mi podstawy, by szukać w nim Darii.

-Wiem, że tam jesteś... - szeptałam, a moje palce przesuwały się po szkle. - Widzisz mnie?

Karola nie ma w mieszkaniu. Rozbieram się, potem biorę prysznic i piszę do niego sms z zapytaniem, gdzie jest.

Kiedy wychodzę z łazienki w ręczniku i z mokrymi włosami, Karol czeka na mnie w przedpokoju.

- Nie słyszałam, jak wchodziłeś... - mówię zaskoczona, ale zaraz milknę, bo uświadamiam sobie, dlaczego tak stoi i gdzie był.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - pyta jeszcze spokojnie, ale widzę, że już traci ten spokój.

Ręce ma brudne od dotykania zakurzonych przedmiotów na strychu, jego stopy zostawiają po sobie białe ślady na podłodze. W rękach trzyma kilka zdjęć, na których jestem z Darią. Trzyma też plakat z jej zdjęciem, który piętnaście lat temu wisiał na murze przy ulicy.

Kręcę głową, zamiast ulgi czuję tylko złość. Jest tak, jakby zabrał mi coś bardzo cennego, coś wstydlwego, coś, co jest tylko moje. Krzyczę wściekle:

- Dlaczego grzebałeś w moich rzeczach?! A on patrzy na mnie i powtarza:

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego, do cholery? Podbiegam do niego, wrywam mu z rąk jej zdjęcia i chcę uciec

na dół. Ale on łapie mnie za rękę tak silnie, że fotografie wypadają na podłogę. Szarpiemy się, on stara się mnie przytrzymać, ja odpycham jego rękę, a potem popycham go i uderzam na oślep.

- Jak mogłeś?! - krzyczę. Jeszcze chyba nigdy tak nie krzyczałam. Od dawna też nie czułam takiej złości. Szarpię go za włosy, on łapie mnie jeszcze mocniej, spada mi ręcznik, potem ja sama przewracam się na podłogę.

- Nie dotykaj mnie! - wrzeszczę, kiedy Karol stara się pomóc mi wstać. Zbieram jej zdjęcia trzęsącymi się rękoma, zaczynam płakać. Powtarzam: - Jak mogłeś?!

Karol siada koło mnie na podłodze, z bliska patrzy na mnie bezradnie, a potem wyciąga do mnie dłoń. Odpycham ją, syczę wściekle:

- Nie dotykaj mnie!

Jest w nim teraz sama bezradność. Jego czerwone włosy są roz-kudłane, w szarpaninie rozdarłam mu rękaw koszulki, jest wciąż zdenerwowany, chociaż stara się mówić spokojnie:

- Kim ona była? To twoja siostra, tak?

Dobrze wiem, że to ja popchnęłam go do grzebania w moich rzeczach. Milczeniem zmusiłam go, by zrobił to, co jest kompletnie do niego niepodobne: by wszedł na strych i przeszukał wszystkie te kartony, które przez ostatnie dwa lata kryłam przed jego wzrokiem. Wiem, że zrobił to, bo chciał mnie zrozumieć i jakoś ratować to wszystko, co tak łatwo wypada z moich rąk.

Wiem to, a jednak ciągle odtrącam jego rękę, jakby zrobił mi wielką krzywdę.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - szepczę przez łzy.

- Asia... - Karol zaprzestaje prób dotknięcia mnie. - Asia, opowiedz mi. Proszę... Nie patrzę na niego, nie słucham go. Nagle jestem tak strasznie załamana, jakby wszystko tamto rozegrało się na nowo. Jakbym dopiero teraz wyszła z jej pokoju, wciąż trzymając gorący kubek w rękach.

Głos Karola dochodzi jak z zaświatów:

- Chcę ci pomóc. Chcę ci pomóc, do cholery. Nie możesz tak... Chcę mu odpowiedzieć, ale nie umiem. Nagle nie ma we mnie żadnych słów, nie potrafię nawet przemóc się i popatrzeć na niego. Tak, jakbym kompletnie zasklepiła się w sobie.

- Aśka, kim jest ta dziewczyna? Co się z nią stało? Opieram się plecami o ścianę, podciągam kolana do brody i patrzę na podłogę. Powoli uspakajam się. Chcę powiedzieć mu, żeby się nie martwił. Że wszystko mu opowiem jutro rano albo jeszcze dzisiaj w nocy, ale musi mi najpierw dać trochę czasu. W myślach dotykam delikatnie jego dłoni i przeprasza ją. W myślach mówię też, że wszystko rozumiem i że dobrze się stało, że wszedł na ten strych.

- Asia?

Siedzę, wpatrując się w podłogę i tak bardzo chcę otworzyć usta i wydobyć z nich jakiegokolwiek słowa.

Mam wrażenie, że minęły już całe wieki od momentu, jak zamilkłam. Siedzę bez ruchu, czując zimno w bosych stopach, przyciskając brodę do kolan i tuląc do siebie zdjęcia.

Karol siedzi niecałe dwa metry ode mnie, ma twarz ukrytą w dłoniach i cierpi, bo nie wie, co robić.

Już dobrze, myślę, podnosząc na niego wzrok. Przejdzie mi, nic się nie martw.

Już kiedyś tak było.

Kiedyś, po zniknięciu Darii, też nie potrafiłam nic powiedzieć. Wpatrywałam się we wszystkich, ale nic nie mówiłam. Miałam za to całe mnóstwo myśli w głowie i ani jednego słowa w ustach. Lekarz pytał mnie, co się dzieje i prosił, żebym coś powiedziała. Tak samo prosili mnie rodzice. Widziałam, że się strasznie martwią, w myślach prosiłam ich, żeby się nie martwili, formułowałam słowa, rozchylałam usta, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Teraz patrzę na Karola i wiem, że jeśli się nie odezwę, to on odejdzie. Wiem to, bo widzę, że doprowadziłam go do niewidzial-

nej granicy, poza którą nie będzie umiał dłużej tu być. Chcę się odezwać. W głowie szukam sposobu, żeby powiedzieć jakiegokolwiek słowo, które mogłoby go zatrzymać. Chociażby jego imię.

„To klątwa” - powiedziałyby Magda i zaraz wymyśliłyby całą historię o tym, jak ktoś rzucił na mnie klątwę i dlatego nie mogę się odezwać. W głowie słyszę jej piskliwy głosik: „Klątwa trwa trzy dni. Trzy dni i znowu będziesz mogła mówić”. Wtedy po trzech dniach odezwałam się. Weszłam z rana do kuchni i poprosiłam o mleko.

Czy teraz będzie tak samo?

Popatrz na mnie... - myślę.

Ale on na mnie nie patrzy. A potem po prostu zrywa się z podłogi i sięga po swoją kurtkę.

Patrzę, jak ją wkłada, jak wsuwa buty na stopy, jak idzie do pokoju; przez otwarte drzwi obserwuję go, jak wrzuca do plecaka kilka najpotrzebniejszych rzeczy. Potem mija mnie szybkim krokiem w korytarzu, nie oglądając się za siebie, zbiega po schodach i wychodzi z domu.

Aneta

Na trzy miesiące wcześniej należy zaplanować sposób rozsądzenia gości przy stole i listę przekazać organizatorowi. Dokonać generalnej przymiarki strojów ślubnych - już z próbną fryzurą i makijażem.

Dzwonią do mnie z salonu sukien ślubnych i nie chcą powiedzieć, o co chodzi, tylko proszą, żebym przyjechała. Na całe szczęście przyjeżdżam samochodem. Kiedy wczapuję do salonu, ekspedientka zwraca się pospiesznie do swojej młodszej pomocnicy:

- Suknia *ladys* z zaplecza!

Pomocnica z zaplecza targa ogromny, ciężki tobiół, który swoimi rozmiarami zdecydowanie przewyższa mnie, a szerokością nie przypomina niczego.

- Pani suknia już gotowa i wyczyszczona - informuje, wpychając mi tobiół w rękę.

Nie rozumiem, dlaczego suknia jest już zapakowana i dlaczego ląduje w moich rękach. Przecież szycie takiej sukni trwa dwa miesiące, a ja zdecydowałam się na ten fason dopiero tydzień temu.

- Co mam z nią zrobić? - pytam tępo.
- Zabrać do domu. Gotowa. Nie mogę uwierzyć.
- Przecież miałam ją otrzymać w czerwcu. W domu awantura:
- Po co wzięłaś tę suknię! Przecież miały ci szyć nową! - krzyczy mama.
- Powinnaś mniej zapłacić, skoro z wieszaka! - złości się tata.
- Gdzie myją tu powiesimy? - załamuje się mama.
- Powinni trzymać ją w sklepie! - peroruje tata.
- Powiedzieli, że na zapleczu nie mają miejsca, by trzy miesiące trzymać tę suknię...
- tłumacząc nieporadnie, wciąż obładowana ogromnym tobołkiem.
- Tu też nie ma miejsca! - słyszę.

Z powodu sukni w moim domu zaczynają nadciągać liczne koleżanki, z których wszystkie chcą się do sukni przymierzyć. Nadciągają tłumnie i po trzeciej przymiarce zaczynam się zastanawiać, czy sukni jakoś nie zabezpieczyć albo co, żeby dziewczyny mi jej nie zniszczyły. Ostatecznie nie wszystkie są szczupłe - Lidka na przykład jest grubsza niż ja pięć razy, a wciska się w moją kieckę z uporem maniaka!

Jedna Magda mówi, że sukni nie przymierzy, bo to moja suknia ślubna i to ja muszę ją zainaugurować.

- Jest taka piękna! Aneta, to chyba najpiękniejsza suknia, jaką widziałam!... Gdzie będzie ślub?

To jest najgorsze. Nie udało nam się załatwić romantycznego kościółka na Świętojańskiej i w rezultacie chyba wylądujemy w mojej parafii.

- Och, jej! - mówię szczerze, z głębokim żalem. - Wyobrazisz sobie, że u nas?

Magda była ze mną na ślubie naszej sąsiadki kilka lat temu, właśnie w naszej parafii. Na pewno więc dobrze pamięta, jak stałyśmy obok siebie załamane, patrząc, że romantycznie opisywana w powieściach uroczystość zmienia się w trywialny, hurtowy spektakl, by na koniec lec nam kamieniem na sercu, gdy ministranci ruszyli w naszym kierunku z tacami na pieniądze.

- Jak byłam mała, to zawsze wyobrażałam sobie, że wezmę ślub

romantycznie w jakimś starym kościele w Paryżu albo w Rzymie... - bąkam, podłamana obrotem spraw. Chcę dodać, że w Polsce wszystko wydaje się mało bajkowe. Nawet ślub.

Magda przygląda się mojej sukience. W końcu mówi:

- Anetka, wiesz, żałuję, że nie miałam pieniędzy, by na swoim ślubie mieć taką piękną suknię i żeby pojechać w podróż poślubną... Ale powiedz, mój ślub nie był taki straszny, prawda?

Oj, teraz to kompletnie nie wiem, co odpowiedzieć. Magda na pewno nie wie, że jej ślub urósł między nami do rangi symbolu. Zawsze między sobą gadamy z dziewczynami, że to był najstraszniejszy ślub, na którym byliśmy!

Magda wyszła za Jacka w ostrą zimę. Temperatura spadła do minus dwunastu stopni; pamiętam, że stojąc na lodowatym powietrzu przed kościołem, obok Niny, konałam z zimna. Baśka nie dojechała na ślub, bo utknęła pod Gdańskiem w jakimś gigantycznym karam-bolu spowodowanym właśnie szklanką na drogach. Joasia była świadkiem; pamiętam, że wyglądała jak zamarznięty trup, bo uparła się, że na taką okazję musi włożyć jasny płaszczyk, który był chyba płaszczykiem jesiennym, a nie zimowym. Jedna Nina wyglądała, jakby zimno w ogóle się jej nie imać: paliła na mrozie papierosa i odstawiła się w tak piękną kurtkę i tak krótką spódnicę, że wszyscy gapili się na nią, a nie na Magdę. Pamiętam też, jak Nina powiedziała: - Matko święta, trzeba być strasznie zdesperowanym, żeby wybrać sobie na ślub taką porę roku. Czy luty ma dla Magdy jakieś wielkie znaczenie?

Luty nie miał dla Magdy wielkiego znaczenia. Nie wiem, co sprawiło, że w ogóle wpakowała się w taką uroczystość w najokrutniejszą zimę, jaką przeżywała Polska od dziesięciu lat, w dodatku bez pieniędzy i będąc na studiach.

-Ty nic nie wiesz... - stwierdza nagle Magda, jakby czytała w moich myślach. Patrzę na nią zakłopotana. Magda kładzie mi rękę na ramieniu i uśmiecha się smutno.

- Anetka, przecież ja byłam wtedy w ciąży!

W podróż poślubną chcemy wybrać się do Rzymu - tak na koniec wielkich kłótni wymyślił Marek. Ja wolałabym Grecję, ale Marek mówi, że Grecja go w ogóle nie kręci.

- Rzym to kawał historii, kultury i ma w sobie jakąś dostojność! - przekonuje mnie. Grecja też ma historię, i to ciekawszą i dłuższą niż Rzym, a poza tym to Grecja jest kolebką sztuki.

- Rzymianie to tacy nasi Amerykanie - oburzam się. - Podebrali Grekom bogów, podpieprzyli ich kulturę. Sami nic nie stworzyli, tylko bazowali na pięknych podwalinach cywilizacji. Tyle że umieli dobrze rozporządzać tym, co zdobyli. Nie chce mi się tłumaczyć Markowi, że Grecy byli sto razy bardziej bogaci w filozofię, kulturę i piękno. Rzymianie podbili ich i nachapali się wszystkiego, co Grecy stworzyli. Ostatecznie nawet ich rzeźby to w większości kopie greckich rzeźb.

- Strywializowali Grekom rzeźbę. Pewnie nie wiesz, że Grecy robili rzeźby dla bogów, a nie dla wystroju wnętrz. Rzymianie nie mieli tyle szacunku, i wrywając rzeźby ze świątyń, upychali je w swoich ogrodach jak nasi współcześni krasnale! Marek patrzy na mnie nieufnie. Pewnie rozważa moje mądre słowa i może nawet będzie jednak chciał jechać do Grecji.

- W lipcu w Grecji jest bardzo gorąco - informuje nas przedstawicielka jednego z biur turystycznych i klika w klawiaturę komputera. - Zaraz wydrukuję państwu nasze oferty.

Wydrukowane oferty są piękne, ale zarówno Grecja, jak i Rzym są chyba najdroższe w świecie!

- Siedmiodniowa wycieczka do Rzymu, zorganizowana, autokarowa... - wyczytuje kobieta z komputera, a ja robię się nerwowa, bo za nic w świecie nie chciałabym wylądować w Rzymie albo w Grecji na zorganizowanej wycieczce, po której jeszcze przez kilka tygodni zdejmowałabym sobie odciski ze stóp. Poza tym nie chcę jechać autokarem.

- Taniej mamy Węgry.

Kręcimy głowami: nie, na Węgry wcale nas nie ciągnie. Chcemy pojechać gdzieś dalej, gdzie jest bardziej egzotycznie.

W drugim biurze podróży młody chłopak z pamięci recytuje nam, gdzie możemy jechać. Zmądrzeliśmy już na tyle, by nie pytać o kraje, tylko podawać zakres finansowy i standard, w jakim chcemy się zmieścić.

- Turcja - informuje nas młodzieniec. - Albo Tunezja.

- Turcja albo Tunezja? - Patrzymy na siebie z Markiem.

-Ale wie pan - odzywam się niechętnie - może poszukamy miejsca, w którym nie będę drzeć ze strachu przed terrorystami?

Chłopak zsuwa okulary i patrzy na mnie uważniej. Marek też patrzy, a ja nie wiem, czy palnęłam jakąś straszną głupotę? Nie znam się na mapach, ale coś mi się wydaje, że w Tunezji ostatnio ciągle rusza się ziemia, a w Turcji nie jest zbyt bezpiecznie!

- Może coś bliżej - decyduję, zmieszana. Chłopak dobrze wie, co jest bliżej.

- Mamy bardzo dobre oferty wyjazdów do Paryża.

- Do Paryża? - podchwytuję i nagle przesywa mnie strasznie nieprzyjemny dreszcz. Słyszę swój głos, który brzmi jak nie mój, takiej nabrał ostrości: - Paryż nas nie interesuje!

- Nie? - pyta Marek, zaskoczony. - Dlaczego nie?

Mejle od Niny przychodzą niemal codziennie. Pisze: *Anetko!*

Miejsce jest cudowne: połączenie wszystkich cudownych rzeczy, a mianowicie starego miasta z nowym, wody z górami. Jest mnóstwo wąskich uliczek, wzdłuż których piętrzą się domy. Wygląda to tak, jakby domy dosłownie się zgniatały! Nawet nie umiem opisać moich wrażeń, kiedy patrzę na to wszystko! Z okna akademika widok mam całkiem niezły, mieszkamy bardzo blisko rzeki, która wiedzie wprost do oceanu. A ocean... No cóż, cudo! W życiu nie widziałam czegoś tak pięknego!

Dwa dni temu poszłam się tam poszwendać. Akurat był sztorm. Wspięłam się na skały, oczywiście tam gdzie najbardziej wiało i szumiało, i gdzie fale rozbijały się o cypel z latarnią morską.

Ależ to był widok! Ocean wirował nad moją głową, czułam się jak postać z obrazów Friedricha.

PS: Szkoda, że Cię tu nie ma!

Leżąc w łóżku, skręcam się z rozpaczy, bo aż za dobrze potrafię sobie wyobrazić Ninę na skale zalewanej przez szalejące fale oceanu. Wyobrażam też ją sobie w knajpie, gdzie teraz pije południowe wino i tańczy, omotana kolorową chustą, a wokół niej śniadzi chłopcy klaszczą i wiwatują.

Ja leżę w pustym pokoju, słucham oddechów rodziców zza ściany.

Nina łapie życie, myślę z nagłym żalem, który ściska mnie mocno, tak mocno, że nie mogę prawie złapać tchu.

O tak, Nina łapie życie i czerpie je garściami. Nina nie leżałaby teraz w łóżku, wiedząc, że dochodzi dopiero dwudziesta czwarta i że za murami jej mieszkania miasto tętni życiem, ludzie wbiegają do klubów, tańczą, cieszą się, piją, całują się i śmieją.

Och, dobrze wiem, że gdyby to ona miała wyjść za mąż, na pewno zrobiłaby to właśnie gdzieś za granicą, na dusznym powietrzu Grecji albo Turcji, na bankiecie bez dachu i rodziny, ale za to pełnym młodych ludzi, winogron i muzyki żywej orkiestry. O tak, Nina nie miałaby standardowego ślubu, prostej sukni, welonu i zwykłego kościoła. Na pewno znalazłaby jakieś stare rzymskie ruiny albo paryską kaplicę i tam brałaby ślub.

Przecież Nina tak bardzo nienawidzi stagnacji.

Kochana Anetko!

Już nie mieszkam w akademiku. Razem z Olą z Katowic (pisałam Ci o niej, prawda?) wynajęłyśmy sobie mieszkanie nad oceanem. Okazało się, że nie jest wcale drogo, a standard kawalerki obejmuje sypialnię, living room, kuchnię i łazienkę, więc REWELACJA!!!

Anetko, nie wyobrazisz sobie, jak tu jest pięknie. Ludzie są tacy piękni, że dosłownie wpadam na wszystkie przydrożne latarnie i słupy, bo nie mogę oderwać od nich oczu: ta śniada karnacja, te czarne włosy, te czarne oczy, dla których można by paść trupem. Zakochuję się w co drugim facecie!

To wszystko przekracza moje marzenia. Ten dom nad morzem i te wszystkie piękne, naprawdę przepiękne miejsca! Gdybyś mogła oglądać to razem ze mną... Anetko, całe wieczory spędzam na ganku mojego prześlicznego domku i patrzę, jak na nabrzeżu zapalają się latarnie: jedna po drugiej, całymi rzędami.

Ocean szumi, kiedy zasypiam. Słucham jego szumu godzinami, przypomina mi pomruk zwierzęcia, które zaraz poderwie się do skoku. Na razie jest przyczajony, ale ludzie na nabrzeżu mówią, że lubi pokazać, na co go stać.

PS: Zapisalam się też do teatru studenckiego i chyba będziemy wystawiać „Romea i Julię”. Może uda mi się załapać na rolę Julii:)) Chociaż na tę rolę to wszystkie dziewczyny czyhają jak harpie.

PS 2: Chodzę na lekcje tańca do Norberta - on też jest uroczy!

Trzy lata wcześniej stałyśmy z Niną na zakurzonej drodze, z tobołkami u stóp, i machałyśmy na samochody. Upał robił się nie do wytrzymania, w dodatku z północy nadciągały ogromne szare chmury i było jasne, że jeśli nie uda nam się nic złapać przez najbliższą godzinę, to będziemy tonąć w strugach deszczu.

Nina pocieszała mnie, że to jeszcze nie jest takie straszne, bo widziała za zagajnikiem jakąś knajpę i zawsze możemy się w niej schronić. Dla mnie oczywiste było, że jeśli posiedzimy w knajpie, to zrobi się ciemno i nie będziemy łapać niczego na stopa, bo nie będziemy nawet widzieć, kogo zatrzymujemy. Przerazało mnie to, że Nina jest tak okrutnie spokojna! Ja całe ostatnie dwie godziny, od momentu, kiedy stanęłyśmy na drodze, w myślach odmawiałam Zdrowaś Mario.

Dochodziła osiemnasta, na drodze unosił się straszny kurz, z daleka widziałam nadjeżdżający sznur ciężarówek, a nad nimi gromadziły się wielkie burzowe chmury. Zaczęły gnębić mnie czarne myśli: co będzie, jeśli tak staniemy za granicą i nikt nas nie weźmie? Co będzie, jeśli nie będziemy mogły wydostać się z Paryża? Przecież nie opłacimy sobie powrotu samolotem ani żadnym autokarem!

- Może lepiej pojeździmy po Polsce? - zaproponowałam bojaźliwie.

Poczułam na sobie wzrok Niny i momentalnie pożałowałam swojego pytania.

- Dlaczego tak mówisz, Aneta?

- Och, sama nie wiem. Stoimy tu tak długo...

- Zaraz coś złapiemy.

- Skąd wiesz?

Wzruszyła ramionami i podeszła na skraj drogi.

- To przez te wszystkie tobołki. Pochowajmy je za tobą i zaraz ktoś się zatrzyma.

Tak też zrobiłyśmy. Upchnęłyśmy tobołki do tyłu, żeby z daleka nie wyglądało to tak źle i Nina wyszła machać. Akurat nadjeżdżał kolejny sznur samochodów. Nina zmrużyła oczy, wyszukując auta, na którym mogłaby się skupić.

- To będzie dobre... ten mercedes... zawsze chciałam pojechać za granicę takim mercedesem!

Akurat się zatrzyma, pomyślałam z rozdrażnieniem.

Chwilę potem mercedes zamrugał do nas światłami i zjechał na pobocze. Nina promieniała:

- Cudownie! Zbieramy tobołki!

Z tobołkami podbiegłyśmy do samochodu, Nina wskoczyła na przednie siedzenie. Kierowcą okazał się młody chłopak. Powiedział, że jedzie do Niemiec w sprawach służbowych, a Nina zaraz wykrzyknęła, że to wspaniale, bo my też jedziemy w tym samym kierunku.

Ja rozsiadłam się z tyłu. Byłam już tak zmęczona całym dniem, że z trudem powstrzymywałam się, żeby nie zasnąć. Nina ciągle coś paplała radośnie, kierowca śmiał się, ona poprosiła go, żeby pogłośnił radio:

- Uwielbiam muzykę!

Akurat śpiewał Kult: „Polska płonie, a ja stoję na balkonie i patrzę, jak Polska płonie...”.

Zamknęłam oczy i przez chwilę słuchałam jeszcze głosu Niny, a potem zasnęłam. Obudziłam się, kiedy było już zupełnie ciemno. Staliśmy na granicy w potwornie długiej kolejce samochodów, na dworze upał narastał mimo mroku, Nina wachlowała się paszportem i sennie wyciągała nogi do przodu, nasz kierowca konsumował jabłko i wybijał jedną ręką rytm na kierownicy.

- Jak szybko przesuwają się te kolejkę? - spytałam sennie.

- Obudziłaś się! - ucieszyła się Nina i wychyliła za okno. - Ach, jeszcze kilka chwil i będziemy kontrolowani!

Senność sływała ze mnie, pozostawiając po sobie uczucie potwornego głodu i zmęczenia w nogach. Oparłam policzek o fotel i przymknęłam oczy. Myślałam o moich rodzicach, o Marku. Jak by się czuli, gdyby wiedzieli, że robię coś tak nieodpowiedzialnego? Co by powiedzieli, gdyby zobaczyli mnie teraz w tym samochodzie, z obcym mężczyzną, z Niną i na granicy polsko-niemieckiej?

Obejrzałam się za siebie, ale zobaczyłam tylko długi rząd samochodów czekających tak jak i my. Przeszył mnie jakiś nieprzyjemny dreszcz i pożałowałam, że się na to wszystko zgodziłam.

Straż graniczna bardzo dokładnie i długo oglądała nasze paszporty, naszemu kierowcy kazali otworzyć bagażnik. Prawie dwadzieścia minut przetrzymywali jego dowód rejestracyjny. Dochodziła pierwsza w nocy, kiedy w końcu ruszyliśmy i znaleźliśmy się za granicą.

- Może zjedziemy na jakieś żarelko? - zaproponowała Nina, która najwyraźniej była tak samo głodna jak ja.

Pół godziny później siedzieliśmy w jakimś przydrożnym barze przy stacji benzynowej. Wszyscy zamówiliśmy ten sam zestaw jedzenia, aleja nie mogłam nic zjeść. Od kilku minut dręczyła mnie straszliwa myśl, że może gdzieś w środku nocy kierowca będzie musiał nas zostawić, bo okaże się, że dojechaliśmy do jego celu podróży. Mapa została w samochodzie, więc nie mogłam nawet sprawdzić, dokąd on jedzie i jak długo jeszcze będziemy jechać razem. Jakoś nieprawdopodobna wydawała mi się myśl, że faktycznie dojedziemy do Paryża.

Kierowca myślał o tym samym.

- Koło szóstej rano będziemy na miejscu. Dalej już będziecie musiały sobie radzić.

- W porządku. - Nina kiwnęła głową. - To dobra pora... Tylko nie śpiesz się za bardzo, żebyśmy na miejscu nie wylądowały o czwartej!

- Dokąd w ogóle jedziecie?

- Do Paryża.

- Do Paryża? - W jego głosie usłyszałam niedowierzanie. Odchylił się na krześle i zaczął śmiać. - Poważnie?

Nina też się zaśmiała, ale tylko do towarzystwa.

- Oczywiście, że poważnie.

- Na długo tam jedziecie?

- Na kilka dni.

- Strasznie daleka droga!

Nad ranem, kiedy na dworze było zimno i deszczowo, pożegnałyśmy się z naszym kierowcą i objuczone tobołkami skręciłyśmy do pierwszej knajpy, jaką udało nam się znaleźć.

W knajpie wciąż jeszcze trzęsłam się z zimna. Wyjęłam z walizki sweter i włożyłam go w pośpiechu.

- Nie wierzę, że uda się nam dojechać do Paryża!

Nina akurat piła kawę. Popatrzyła na mnie tak zaskoczona, że aż mi się głupio zrobiło.

- Co ty mówisz? Oczywiście że dojedziemy! Będiesz w szoku, jak zobaczysz te pokręcone arterie uliczne, gdy będziemy wjeżdżać do Paryża! Będzie taki moment, że znajdziemy się na wzniesieniu.

Wtedy w dole zobaczysz panoramę miasta i te gigantyczne ulice. To jest niesamowity widok! Pójdziemy do moich rodziców na kawę, rozpakujemy się i wyjdziemy na miasto. Oni mieszkają w ładnej dzielnicy, dość blisko centrum. Sama zobaczysz! Zjemy śniadanie albo obiad, albo kolację... zależy, jaka będzie pora dnia... Więc zjemy na Polach Elizejskich. Tam jest strasznie drogo, ale znam jeden fajny lokal. Na zewnątrz wystawiają stoliki, więc będziemy siedzieć tak jakby na ulicy. Obok jest kino i zawsze są tak fajne gigantyczne plakaty... Będziemy jeść na Polach Elizejskich, a potem zaprowadzę cię we wszystkie najpiękniejsze miejsca, aż pokochasz Paryż tak jak ja i nie będziesz chciała z niego wyjeżdżać!

Chciałam jej wierzyć. Cudownie byłoby jeść na Polach Elizejskich i spacerować po Paryżu. Cudownie byłoby zastać jej rodziców i móc u nich przenocować.

- Ty nie chciałaś wyjechać? - spytałam.

Nina wpatrywała się w okno. Kiedy zadałam pytanie, potarła sennie oczy i dodała:

- Zobaczysz. Pokochasz Paryż. To jedyne miejsce, do którego chcę wracać.

Basia

Kiedy Sebastian przychodzi do kawiarni, zabieram się za czyszczenie brudnych filiżanek. Właściwie to nie są brudne, ale nie chcę mieć teraz wolnych rąk i rozmawiać z nim. Po spotkaniu z Niną w ogóle wszystkiego mi się odechciało, a najbardziej odechciało mi się rozmów z Sebastianem.

Zresztą teraz nagle zaczęło być fajnie z Patrykiem, więc nie ma powodu zawracać sobie głowy malarzem, który ma dziewczynę. W dodatku beznadziejną dziewczynę, która wypruła na mnie gębę dwa dni wcześniej!

- Cześć - mówi Sebastian i opiera się o blat baru. Nie patrzę na niego i tylko mruczę coś, co on może uznać za powitanie. Sebastian stoi chwilę oparty o blat i stara się mnie rozgryźć. Jeszcze nie ma pewności, czy jestem o coś zła czy zajęta. Podejmuje więc rozmowę:

- Znalazł się właściciel pocztówek? Wzruszam ramionami, bąkam:

- Nie.

- Może powinnaś napisać coś na szybie wystawowej, żeby wiedział, że ma tu po nie wejść.

- Może napiszę.

Udaje mu się nawiązać ze mną kontakt wzrokowy i chyba dopiero wtedy dostrzega, że jestem zła.

- Jesteś zajęta - mówi, prostując się. - Przeszkadzam ci.

- Nie przeszkadzasz - protestuję grzecznościowo, żeby uświadomił sobie, że jednak przeszkadza.

Uświadomił sobie. Mówi:

-Nie będę zawracał ci głowy... Chciałem tylko spytać, kiedy masz czas, żebym mógł cię malować.

Postanawiam teraz wbić szpilę jemu i Ninie. Odpowiadam chłodno, wycierając filiżanki:

- Nie mogę ci już pozować.

Tak jak przypuszczałam, jest strasznie zaskoczony. Zawsze, kiedy się denerwuje, przygryza paznokcie, i tak też robi teraz.

- Dlaczego?

- Och, wiesz, nie mam na to czasu!

Rzucam na niego szybkie spojrzenie, czy zorientował się w kłamstwie.

Zorientował się. Pyta:

- A tak naprawdę? Facet ci nie pozwala?

- Twoja dziewczyna ma z tym ciężki problem.

Nie mogę sobie odmówić popatrzenia na niego teraz. Jest tak zaskoczony i zmieszany, że aż mam ochotę roześmiać się i przerwać tę idiotyczną sytuację. Aż mi się serce kraje, że tak mu mówię i on tak się denerwuje. Obiecałam sobie jednak powiedzieć to i teraz za późno, żeby się wycofać.

Przewidziałam wszystkie jego możliwe reakcje, ale tej mi się nie udało. Sebastian wybucha śmiechem.

- Nie żartuj! - mówi, śmiejąc się głośno i szczerze. - Rozmawiała z tobą?

Teraz to ja jestem zmieszana i nie wiem, co powiedzieć. Bąkam:

- Nie nazwałabym tego rozmową. To był raczej podły monolog. Sebastian podchodzi z powrotem do baru, opiera się o niego łokciami i patrzy na mnie, wciąż rozbawiony.

- Daj spokój. Nie przejmuj się Niną.

- Jak mam się nie przejmować! - podnoszę głos. - Nie słyszałeś, co mówiła...
- Oj, z łatwością sobie wyobrażam i bardzo cię za nią przepraszam. - Znowu się śmieje. - A co mówiła?

- Same podłe rzeczy - odpowiadam zgodnie z prawdą. - Syczała do mnie jak rozwścieczona kobra. Ubliżała mi...

Czekam, że teraz Sebastian znowu się zmiesza albo zrobi mu się głupio za nią. Ale tak się nie dzieje. Moje słowa jeszcze bardziej go rozbawiają. I w jakimś momencie przechyla się przez blat, przyciąga mnie do siebie i całuje we włosy.

- Uwielbiam twoją narrację! - mówi, a potem po prostu wychodzi.

Stoję jak wmurowana, ledwie daję radę utrzymać w dłoni filiżankę. Zerkam na jedyne klienta w kafejce, starego dziadka siedzącego pod ścianą. Dziadek uśmiecha się do mnie wesoło.

- Fajny chłopak! - mówi. - Trzymaj się go!

Mrugam oczami i myślę, że to jakiś kompletny absurd. Ja chyba zwariowałam.

Teraz, kiedy jest już lepiej z Patrykiem, nagle zaczęliśmy więcej rozmawiać. I Patryk zaczął wpadać na różne pomysły, które kompletnie do niego nie pasują. Na przykład żeby zabrać mnie wieczorem do jakiegoś pubu.

- Wyjdźmy gdzieś na wieczór. Nie kiśmy się w domu - mówi, a ja sama nie wiem, czy cieszyć się, że po pół roku spędzonym w Warszawie mój luby nareszcie zaczyna mówić jak człowiek, czy raczej powiedzieć mu tak, jak on mówił mi przez ten czas nieodmiennie: „Wolę zostać w domu. Idzie dobry film w telewizji...”.

Na wyjście do knajpy trochę się szykuję. Teraz, kiedy mam czarne jak smoła włosy, czuję się zobligowana do zadbania trochę o siebie. I tak na przykład po raz pierwszy w życiu umalowałam sobie pazury u rąk. Patryk mało nie spadł z krzesła, jak to zobaczył. Wyszły wprawdzie beznadziejnie, ale na pewno następnym razem wyjdą lepiej.

Poza tym kupiłam sobie piękne kozaki zapinane na zamek aż pod kolana. W kozakach czuję się bardzo kobieca, więc żeby pokazać wszem i wobec, że mam takie kozaki, zaczęłam zakładać

sukienki i spódnice. Moja rodzina chyba padłaby na zawał, jakby mnie tak zobaczyła. Zawsze gardziłam dziewczynami w sukienkach i naśmiewałam się z nich. Sama chodziłam do tej pory w bluzach, bluzkach i spodniach. Gdybym zaprezentowała komuś moją szafę, to też pewnie by padł na zawał, bo mam w niej trzydzieści par spodni. Dopiero w zeszłym miesiącu nabyłam trzy sukienki. Trzy, bo w końcu zarabiam, to chyba mogę na siebie powydawać!

Kiedy mam na sobie sukienkę, Patryk dosłownie dostaje świra. Rzuca się na mnie, namawia na seks, ostatnio nawet przestał zasypiać od razu po wyłączeniu telewizora, tylko wyłącza telewizor i zaraz zaczyna się do mnie dobierać. Co dziwniejsze, kochamy się nawet w ciągu dnia i ja ciągle zastanawiam się, kiedy Patrykowi minie ten dziwny stan.

Teraz wkładam czarną sukienkę z długimi rozszerzającymi się rękawami i wciskam łydki w kozaki.

- Hm... - mruczy Patryk, zadowolony. - Ślicznie wyglądasz. To, że wyglądam ślicznie, słyszę z jego ust po raz setny. Dziwne.

Bardzo dziwne.

W knajpie pijemy piwo. Biedny Patryk nie zauważył, że nad barem, za jego plecami, wisi wielki telewizor i akurat leci mecz. Gdyby to zobaczył, zaraz by się zamienił ze mną na miejsca i cały czas wgapiałby się w ekran jak zaczarowany.

- Była u mnie śmieszna klientka - przypominam sobie. - Zamówiła całe mnóstwo ciastek i ani jednego nie zjadła. Siedziała przy stoliku, gapiała się na te ciastka i tylko machała łyżką w powietrzu.

- I co zrobiłaś z tymi jej ciastkami?

- Zjadłam.

- Na jej oczach?

- Nie, no co ty! Jak wyszła.

Patryk pod stołem łapie mnie za rękę.

- Mam na ciebie ochotę - mruczy. Chichoczę rozbawiona.

- To głupie. Masz na mnie ochotę, bo ubrałam się w kieckę. Jesteś strasznie pusty, jeśli tak wygląda prawda.

- Mam na ciebie ochotę, bo seksownie wyglądasz!

- W którym miejscu?

- W każdym.

Pod stołem Patryk gładzi mnie po kolanie, a ja nad jego ramieniem zerkam na mecz. Pierwszy raz od kilku miesięcy jestem w pubie i strasznie dziwnie się czuję. Już chyba zapomniałam, jak to jest chodzić do pubu.

Z westchnieniem przypominam sobie gdyński pub, wypełniony znajomymi ludźmi, szanty puszczane w głośnikach, dziewczyny tańczące na stołach.

Patryk ostatnio zachowuje się naprawdę dziwnie. Teraz też. Mówi, jakby czytał w moich myślach:

- Jak chcesz, to możemy skoczyć na jakiś weekend do Gdyni.

- No co ty? - rozpogadzam się.

- Pewnie. Poszalejemy ze znajomymi! Przecież teraz oboje zarabiamy, więc możemy zrobić coś takiego.

- O kurde! Jasne, że tak! - wykrzykuje, a w myśli dodaje: W sumie to taki Patryk wcale nie jest zły.

Ja i Nina spotykamy się przy skrzynce na listy. Nina wygrzebuje ze skrzynki całą masę zaległych listów, zupełnie jakby nigdy wcześniej nie przyszło im do głowy, że ktoś może do nich pisać. Kątem oka przyglądam się jej nieporadnym ruchom, kiedy wydobywa listy i stara się ich nie pognieść przy wyjmowaniu.

Jedna z kopert spada jej na podłogę, więc jestem na tyle łaskawa i kulturalna, że schylam się i podnoszę ją.

- Masz - mówię lodowato i dokładam jej kopertę do całej sterty innych. Kiedy to robię, mój wzrok pada na nazwisko nadawcy. Aneta Wierzcholska.

- Aneta? - wymyka mi się okrzyk pełen niedowierzania. Nina zachowuje się zupełnie tak, jakby zapomniała o naszej

„przyjemnej” rozmowie sprzed kilku dni. Kiedy podawałam jej kopertę, bąknęła nawet „dzięki”.

- Ej, skąd znasz Anetę? - pytam zaskoczona i zabieram jej kopertę. Z trudem hamuję się, żeby nie otworzyć i nie zobaczyć, co Aneta napisała. Z narastającym zdumieniem odczytuję adres Anety. Wszystko się zgadza. Na kopercie wypisana jest moja gdyńska Aneta!

- To moja przyjaciółka - tłumaczy Nina.

- Przyjaciółka? - powtarzam za nią i nie mogę w to uwierzyć.

- Przyjaciółka z Warszawy.

- Przecież mieszka w Gdyni.

- Poznałyśmy się w Warszawie.

Wciąż wpatruję się w kopertę i nie mogę tego wszystkiego poukładać w głowie.

- Co za szok! Jasny gwint!

- A ty skąd znasz Anetę? Wzruszam ramionami.

- Z podwórka. Z piaskownicy. Z jednego bloku.

Nina śmieje się i kiedy tak się śmieje, wygląda całkiem po ludzku. Nawet pogodnie. Aż też mam ochotę uśmiechnąć się razem z nią.

- Mój Boże! - wykrzykuje nagle i wciska mi te wszystkie koperty. - Nie skojarzyłam, że to ty!

Śmieje się, zasłania dłonią usta i znowu się śmieje.

- Aneta tyle mi o tobie opowiadała!

Nic z tego nie rozumiem, ale na wszelki wypadek staram się być powściągliwa i nie popadać w euforię. Nie wiem, dlaczego Nina wepchnęła mi te wszystkie koperty.

Wcale mnie to nie cieszy.

Patrzę na jej pogodną twarz i ogarnia mnie zgroza.

- Tak chciałam cię poznać! - cieszy się Nina. - Była okazja na ślubie Magdy, ale nie dojechałaś.

- Nie dojechałam, bo stałam w karambolu.

- Tak! Właśnie, w karambolu! Czekałyśmy na ciebie i ja tak się cieszyłam, że poznam cię nareszcie!

Teraz to nawet nie żałuję, że utknęłam w tamtym karambolu i nie dojechałam. Nie wiem, czy cieszyłabym się, że poznałam Ninę. Nareszcie jednak rozumiem, kim jest Nina. To ta koleżanka Anety, którą wszystkie dziewczyny przeżywały jak mrówki okres. Ciągle tylko Nina to i Nina tamto, a Nina jeszcze to... Koszmar. Niedobrze mi się robiło od samego słuchania! Aneta zresztą miała niezłego świra na punkcie Niny

- przypominam sobie. Chciała z nią jechać do Afryki na jakieś studia czy po inną cholerę. Już nie pamiętam. Ale wiem, że Aneta opowiadała mi kiedyś o podróży z Niną.

- Byłyście razem we Francji - mówię na głos, a Nina kiwa głową jak szalona, wciąż w ekstazie z mojego powodu.

- Opowiadała ci?

A komu nie opowiadała? - myślę z niechęcią. I mówię:

- Tak, coś tam wspominała.

Nina zabiera nareszcie ode mnie te wszystkie koperty i pocztówki i kieruje się do swojego mieszkania. Przy drzwiach zatrzymuje się, woła:

-Wpadnijcie do nas wieczorem na wino! Koniecznie musimy się lepiej poznać!

Jej wołanie sprawia, że stoję, jakbym wrosła w podłogę. Wszystko we mnie się buntuje, na głowie jeżą mi się włosy. Szukam pospiesznie jakiegoś argumentu, który przekonałby Ninę, że to głupi pomysł.

- U was nie ma na czym siedzieć - rzucam pospiesznie. - Macie jeden fotel.

- Och, faktycznie! - Wkłada klucz w drzwi, więc ja zaczynam wycofywać się w stronę swojego mieszkania. Już na wycieraczce dopada mnie jej głos: - To my przyjdziemy do was!

Patryk wcale nie jest zachwycony.

- Co? - pyta złowróźnie. - Ten pedał ma tu przyjść?

Ja upycham do lodówki produkty, które kupiłam w popłochu, żeby nie było żenady, jak przyjdzie Nina z Sebastianem. W końcu trzeba zrobić coś pod wino. Jakies przekąski zrobię - postanawiam.

- Przestań z tym pedałem! - wkurzam się na Patryka. - On nie jest żadnym pedałem!

- A ty przestań go bronić! - wścieka się on, momentalnie cały najeżony. - On bije swoją dziewczynę!

- Głupi jesteś. On nikogo nie bije!

Cudownie, myślę z niesmakiem. Przez głupie przyjście Niny już wraca dawny nastrój między mną a Patrykiem.

- Co ty wiesz, co on robi? Jak zabierało ją pogotowie, to ledwie na nogach stała!

- Przypominam ci, że ja wtedy byłam z nim nad Wisłą, więc jeśli ledwie stała na nogach, to chyba musiała sama się doprowadzić do takiego stanu!

- Przestań go bronić! - Patryk macha rękami, wściekły.

- A ty przestań się drzeć, bo nie wiem, o której mają przyjść. Może już stoją pod drzwiami i nas słyszą!

Milkniemy jak na zawołanie. Ja wyciągam z powrotem produkty na blat, idę po książkę „Coś na ząb”, którą dostałam od Magdy na urodziny pięć lat temu, i przeglądam, co można by zrobić na ząb do wina.

- Zrobię jajka faszerowane.

Patryk zagląda do książki, już trochę spokojniejszy.

- Pokaż, jak to wygląda.

Podsuwam mu obrazek pod nos i oboje zastanawiamy się, czy jajka będą dobre.

- Zrób lepiej przystawki z oliwkami - decyduje Patryk.

Koło ósmej jesteśmy już gotowi. Przekąski piętrzą się na talerzu, ja ubrałam fajną zieloną sukienkę i zrobiłam sobie makijaż, a Patryk od godziny przegląda wszystkie kompaktki, by znaleźć najodpowiedniejszą muzykę pod rozmowy i przekąski.

Pięć po ósmej rozlega się pukanie. Nie wiem, dlaczego jestem czerwona jak burak, ale nic to. I tak idę otworzyć. W drzwiach stoi ucieszona Iwona.

- Wpadłam do *was na film* mówi, przepychając się koło mnie. - Na jedyńce... macie włączony?

- Jaki film? - pytam głupio, idąc za nią. - Będziemy mieć gości. Iwona manipuluje przy pilocie, ale zaraz odwraca się do mnie, zaskoczona.

- Och, z Gdyni?

- Nie, z parteru.

- Z parteru? - Łapie się za głowę. - Nie mów! Przychodzi do was ta Nina i Sebastian?

- Niestety - wtrąca się Patryk, więc świdruję go wściekłym spojrzeniem.

- Ale jak to? - Iwona nie może uwierzyć. - Po co?

- Trzeba poznawać sąsiadów - odpowiadam kłamliwie, a potem dodaję szczerze: - To był pomysł Niny. Okazało się, że mamy wspólną znajomą. Strasznie się ucieszyła.

Iwona pospiesznie zbiera się do drzwi.

- To nic tu po mnie... - mówi, już naciskając kłamkę. - Nie mam ochoty z nimi tu siedzieć. Przecież to chorzy ludzie... On ją bije!

- Ha! - woła Patryk z triumfem.

Iwona naciska kłamkę w chwili, gdy rozlega się pukanie. Staje więc oko w oko z roześmianą Niną. Nina unosi do góry wino:

Domowe! - wola do mnie. - Mój tata robił! Zaczyna się straszne zamieszanie, w którym Iwona zostaje cofnięta do dużego pokoju i łąduje na pufie. Sebastian wita się pogodnie z Patrykiem, ja robię się coraz bardziej czerwona, Nina zachwyca się urządzeniem mieszkania i całym układem domu.

- W waszym pionie są takie duże przedpokoje! - woła, wciskając mi wino. Zauważa balkon i aż załamuje ręce. - Taka szkoda, że my nie mamy balkonu!

Kapeć strasznie na nią szczeka. Do Sebastiana natomiast tak radośnie się łąsi, że aż Patryk marszczy brwi i zerka na mnie złośliwie.

Kiedy w końcu siadamy przy stole i ja przynoszę zakąski, Nina znowu wciska swoje wino, ale tym razem Patrykowi.

- Gospodarz niech otwiera!

Patryk otwiera, szybko polewamy, Nina w tym czasie wypytuje Iwonę o jej córkę i twierdzi, że nie widziała tak ślicznego dziecka. Iwona cała rozplywa się w uśmiechach, a ja myślę sobie, że Nina, jak chce, to potrafi być ujmująca. Tak pewnie właśnie zakręciła się koło Sebastiana. Była na pewno miła, wesola i dopiero jak już zamieszkali razem, to pokazała kły.

Wszyscy coś mówią i robi się bardzo gwarnie. Kapeć szczeka na buty Niny i warczy przy każdym jej poruszeniu. Sebastian głaszcze go po uszach, przekonuje cicho:

- Nina jest w porządku... Nie warcz na nią...

Widzę, że Patryk całkiem dobrze czuje się w ich towarzystwie. Zaraz się rozpogadza i zaczyna nawijać z Niną. W ogóle wydaje mi się, że Nina wpadła mu w oko, a przynajmniej ją polubił. Patrzy w nią jak urzeczony, śmieje się, jak tylko ona mówi coś zabawnego, ciągle dolewa jej wina i zachęca, żeby jadła moje zakąski.

- Pyszne zakąski - zauważa Iwona, pochłaniając już trzecią. - Skąd masz przepis?

- Ach, z takiej książki... - bąkam, ale Patryk mówi już za mnie:

- „Coś na ząb”. Taki tytuł.

- „Coś na ząb”? - zaciekawia się Sebastian i zaraz przechwytyję jego wesołe spojrzenie. Mimo woli zaczynam śmiać się, nawet pokazuję mu książkę. W środku jest dedykacja Magdy:

Obyś zawsze miała coś na ząb! Dedykacja rozbawia Sebastiana jeszcze bardziej, mnie zresztą też, i oboje dosłownie pękamy ze śmiechu.

- Co takiego zabawnego? - pyta Nina.

Zauważyłam, że Nina nic nie je. Cały czas tylko pije wino, na zakąski patrzy tęsknie, ale chyba ma jakiś problem, żeby zjeść którąkolwiek. Lustruję więc wzrokiem całą jej sylwetkę i zaczynam zastanawiać się, czy Niny choroba nie polega przypadkiem na wiecznym odchudzaniu. Jest taka szczupła, że mogłabym policzyć wszystkie kości i kosteczki w jej ciele. Sebastian pewnie może podnieść ją jedną ręką!

Aneta bardzo szybko staje się tematem naszych rozmów.

- Aneta przyjeżdża do mnie wkrótce - informuje nas Nina z dumą, popijając wino i promieniejąc jakąś straszną energią. Gdybym zmrużyła oczy, mogłabym sobie wyobrazić, że Nina świeci jak neon. Nie wiem, skąd nagle tyle w niej radości, ale ta radość jest dość zaraźliwa. Ja sama zaczynam czuć się dziwnie podekscytowana.

- Tu przyjedzie?

- Nie, do Wrocławia. Ma spotkać się z jakimś profesorem od szkła!

Zaczyna przypominać sobie jakieś zdarzenia związane z Anetą i opowiada o nich.

Jest ich całkiem sporo, a Nina okazuje się mieć fajną narrację. Wszyscy śmiejemy się z każdej opowieści, bo są naprawdę dobre. Ja przyglądam się jej z dystansem i staram się zrozumieć, na czym to polega, że ludzie, którzy się z nią przyjaźnią, zaczynają jej potrzebować jak powietrza. Tak przecież jest z Anetą. To dlatego chciała jechać do Afryki, rzuciłaby pewnie Marka, gdyby musiała wybierać: Marek albo Nina. Nawet teraz nie potrafi bez niej wytrzymać i jedzie aż do Wrocławia.

Kiedy była u mnie w Warszawie? Albo kiedy odwiedziła Aśkę?

W kuchni, kiedy robię dla wszystkich kawę, przychodzi do mnie Patryk. Jest uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Oni są całkiem fajni! Kiwam głową.

- Żeś się ocknął, jak zwykle na czas. Mówiłam ci, że są fajni.

- Mówiłaś, że on jest fajny.

Uśmiecham się złośliwie.

- Bo jest.

Ale Patryk już mnie nie słyszy, tylko pędzi do dużego pokoju, bo Nina coś do niego woła.

W miejsce Patryka przychodzi Sebastian.

- Można tu palić?

- Pewnie. Dzisiaj można palić u mnie wszędzie.

Zapala sobie papierosa, podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz.

- Jedno piętro, a ile lepszy widok!

Popatruję na niego. Ma na sobie jasny podkoszulek, którego nigdy wcześniej nie widziałam, i dżinsy mniej sprane niż zazwyczaj, więc pewnie nowe. Siadam na wysokim stołku i częstuję się jego papierosami.

- Mogę ci pozować, jeśli chcesz. Odwraca się momentalnie.

- Kiedy?

W środę albo w piątek, jak zawsze. Uśmiecha się, strzepując popiół do popielniczki.

- Środa jest bliżej.

- Więc w środę.

W pokoju Nina opowiada o swoim malarstwie. Iwona i Patryk słuchają jej z rozchylonymi ustami, zamienieni w słuch. Niny głos unosi się i opada, ręce gestykują zawzięcie. Zauważa kątem oka Sebastiana i między jednym zdaniem a drugim wtrąca:

- Kochanie, podasz mi popielniczkę?

W nocy gramolimy się do łóżka. W całym mieszkaniu śmierdzi papierosami, na zegarach dochodzi druga. Mam wrażenie, że jest jakoś przesadnie cicho. Wszystko przez to, że przez ostatnie godziny był straszny gwar.

- Ona zachowuje się, jakby ćpała - mamroczę, układając poduszki i strzepując kołdrę. - Nie masz takiego wrażenia?

- Nie, dlaczego?

Patryk układa się koło mnie na łóżku, gasi światło od swojej strony.

- Cały czas mówi i zachowuje się, jakby była na jakimś speedzie.

- Nie wydaje mi się.
 - Bo patrzysz na nią jak facet na kobietę, a nie normalnie. Odwraca się do mnie z szerokim uśmiechem:
 - A jak jest normalnie?
- Kręcę głową z niezadowoleniem.
- Ja uważam, że ona ćpa.
 - Za bardzo się nią przejmujesz...
 - Widziałeś, że nic nie jadła? Cały wieczór nie jadła kompletnie nic!
 - Nieprawda, wydawało mi się, że jadła...
 - Specjalnie patrzyłam.
- Już leżę, ale Patryk przysuwa się do mnie i czuję, jak dobiera mi się do pizamy.
- Przestań - mówię bez przekonania. - Jestem zmęczona...
 - A ja wcale!
- Zaczynam chichotać, odpycham jego rękę.
- Powiedziałałam, żebyś przestał!
- Patryk śmieje się razem ze mną, nurkuje pod kołdrę i pod kołdrą woła:
- Nic mnie to nie obchodzi!

Joasia

To już trzy dni, odkąd Karol wyszedł z domu i nie skontaktował się ze mną w żaden sposób.

Pod moją nieobecność był raz w mieszkaniu i zabrał więcej swoich rzeczy. Ogarnia mnie przeświadczenie, że kiedy następnym razem wróci, zabierze całą resztę, która stanowi tu o jego obecności. I że więcej go nie zobaczę.

Odkąd Karol odszedł, wszystko robię odruchowo. Odruchowo budzę się rano, odruchowo oddycham, odruchowo jem, odruchowo ubieram się i odruchowo nakładam na twarz makijaż.

Wiem, że jeśli przestanę to wszystko robić, nie będę miała sił, żeby obudzić się z rana. Tak bardzo boję się własnej bezradności, że robię wszystko nawet odruchowo, byleby stworzyć sobie pozory normalności.

Budzę się więc każdego dnia i patrzę, jak za oknami świat budzi się do życia. Nie powinno tak być, myślę ze strachem. Nic nie powinno już być normalnie. Wczesnie rano ten sam tramwaj nie powinien podjeżdżać na przystanek pod moim domem, ptaki nie powinny latać po niebie tuż pod linią jasnych chmur, ludzie nie powinni rozmawiać w metrze, zegar nie powinien odmierzać czasu.

Nic nie powinno być normalnie. Zupełnie nic.

A jednak wszystko toczy się swoim dawnym trybem. Świat nie zmienił się ani na jotę. To tylko ja budzę się rano z tym obcym zimnem w brzuchu, które poczułam, kiedy Karol zamknął za sobą drzwi. To tylko ja płaczę pod prysznicem i opieram czoło o zielonkawe kafle łazienki. Tylko ja nie widzę sensu, by przejść przez kolejny pusty dzień.

Kiedy dzwoni telefon, w pierwszej chwili w ogóle nie chcę odebrać. Leżę zagrzebana w kocu i myślę o moim dzieciństwie. Właśnie wspominam najprzyjemniejsze chwile, które udało mi się znaleźć w pamięci. To, jak zamknęto szkołę z powodu zbyt ostrej zimy i niedogranych sal.

Telefon dzwoni, a ja jestem zawieszona gdzieś nad ulicami Gdyni, z lotu ptaka oglądam siebie i Basię pokonujące mozolnie zaspę z ogromnymi, utoczonymi ze śniegu kulami, z których miał powstać największy bałwan, jakiego widziało nasze podwórko.

Telefon znowu dzwoni, więc obraz Basi rozmywa się, a ja wyciągam rękę po słuchawkę.

- Jak się czujesz? - pyta Magda w słuchawce. To dziwne, że Magda zawsze dzwoni, kiedy potrzebuję pomocy. Kiedyś powiedziała mi żartobliwie, że wyczuwa, że jej potrzebuję.

Teraz cię nie wzywałam, myślę sennie. Jakoś wszystko dzisiaj mi się rozmywa: ta rozmowa, czas, moje myśli. Wszystko jest niespójne i jakieś przytłaczające.

- Dobrze się czuję. Właśnie spałam - kłamię. Magda wie, że kłamię. Zawsze wyczuwa takie rzeczy.

- Mogę przyjechać do ciebie?

Mrugam oczami trochę mniej senna. Przyjechać do mnie?

- Jak? Z Gdyni? - pytam głupio. Śmieje się, odpowiada po chwili:

-W sobotę będę miała wernisaż w Warszawie. Chciałabym przyjechać w piątek i jeśli to możliwe, zatrzymać się u ciebie.

Senność rozprasza się, pozostawiając w mojej głowie ostry obraz Basi ze śnieżną kulą.

Wyobrażam sobie, że Magda faktycznie przyjedzie i ledwie hamuję łzy. Teraz byle pretekst służy mi do płakania, robię się strasznym mazgajem.

- A czy mój przyjaciel będzie mógł zatrzymać się u ciebie na jedną noc? - pyta Magda i zaraz tłumaczy: - Będzie miał wernisaż razem ze mną, a nie ma tu zbyt wielu znajomych... Pomyślałam, że może...

- Oczywiście - przerywam jej. Chcę spytać, czy Jacek też przyjedzie, ale jakoś nie mam do tego głowy i w sumie mało mnie to obchodzi. Niech przyjedzie, kto chce. Po telefonie od Magdy nie potrafię już przywołać obrazów z dzieciństwa. Nie wiem dlaczego, ale ciągle chodzi mi po głowie tylko jedno zdarzenie sprzed dwóch lat. Magda była wtedy miesiąc po ślubie z Jackiem. Był początek marca, na dworze wciąż sypał śnieg i było dość mroźno.

Zadzwoniła do mnie. W krótkiej rozmowie telefonicznej powiedziała, że jest w szpitalu i spytała, czy mogłabym do niej przyjechać.

- Będziemy musieli usunąć ciążę - tłumaczył mi lekarz na korytarzu, tuż przy wejściu do sali, w której leżała. Drzwi były uchylone, widziałam jasne szerokie okna z bladymi firankami i jakąś kobietę siedzącą na łóżku, skapaną w ostrym zimowym świetle słońca.

Lekarz tłumaczył mi najprostszymi słowami, na czym polega problem Magdy. Z jego ust wypadały słowa dotyczące się zabiegu usunięcia ciąży, zatrucia organizmu oraz innych faktów, które wtedy w ogóle nie docierały do mnie. Wychyliłam się w stronę sali, przerwałam mu:

- Mogę się z nią zobaczyć?

Magda leżała przy drzwiach, jej blada, trochę opuchnięta twarz ginęła na tle jasnej pościeli. Na mój widok uśmiechnęła się słabo i pomachała mi ręką.

- To przysłowie jest prawdziwe - powiedziała.

- Jakie przysłowie?

- Zeby nie chwalić dnia przed zachodem słońca.

Dzień był piękny, słoneczny. Poza murami szpitala śnieg iskrzył się i bielił w ostrym zimowym świetle przedpołudnia, niebo było czyste, wyprane z koloru i chmur.

Magda wiedziała o tym, zamyślnym spojrzeniem celowała w okno i układała dłonie na brzuchu, jakby chciała ochronić go przed lekarzami, aparaturami do USG i całą okropną prawdą.

- To wina genetyki, prawda? - zapytała.

Przytaknęłam. Tak, to nie jest niczyja wina. Tylko genetyki. Jakieś geny w jej organizmie połączyły się w niewłaściwy sposób.

- Lekarz mówił, że za trzy miesiące możecie starać się o nowe dziecko.

Moje słowa lewitowały w przestronnej sali szpitala, rozpierzchały się w sączącym się zza okna słonecznym świetle.

- Tak, wiem.

Starałam się nie patrzeć na jej ręce, odwróciłam twarz. Wszystko wydało mi się tak bardzo nierzeczywiste: tamta kobieta skąpana w świetle, jasne firanki i gładka powierzchnia nieba rozciągnięta za oknem.

Zbyt dobrze pamiętałam o tym, że Magda kilka dni wcześniej uniosła bluzkę do góry i pokazała mi płaski jak deska brzuch.

„Widzisz? - spytała. - Już zaczyna się zaokrąglać”.

Odbieram ją z dworca. Pada deszcz, ludzie na peronie kulą się pod parasolami.

Magda macha mi już w drzwiach pociągu i śmieje się radośnie.

- Myślałam, że zamarznię! - woła do mnie. - Wyobrazisz sobie, że wysiadło ogrzewanie?!

W myślach liczę tygodnie dzielące mnie od spotkania z nią w Gdańsku. Ona nigdy się nie zmienia. Podczas gdy inni ludzie zmieniają fryzury, kolory włosów i sposób ubierania się, Magda za-

wsze wygląda tak samo. Za każdym więc razem, jak na nią patrzę, wydaje mi się, że jest nośnikiem przeszłości - mojej przeszłości. I może dlatego tak bardzo potrzebuje spotkań z nią.

- Mateusz przyjedzie jutro rano, na krótko przed wernisażem -mówi oględnie, kiedy pytam ją o tego tajemniczego kolegę, którego ściąga do mojego domu. Jedziemy moim wozem, ona z zachwytem wpatruje się w rozpościerającą się za oknami Warszawę.

- Umówiłam nas na wieczór z Basią - informuję ją.

- Tak? - Uśmiecha się i zagarnia za uszy swoje pokręcone jasne włosy. - Nie widziałam jej całe wieki!

W domu otwieram dla nas wino i wyciągam smukłe kieliszki. Oczywiście narobiłam się przy obiedzie. Odkąd odszedł Karol, w ogóle nie robię żadnych gorących posiłków, bo nie mam na to siły. Dla Magdy jednak zrobiłam i to nawet dość wykwintny: mięso na winie i do tego dwie różne sałatki.

Magda pomaga mi poustawiać to wszystko na stole, waha się przy rozkładaniu talerzy, w końcu pyta ostrożnie:

- Dla Karola też nakrywamy?

Stoję odwrócona do niej plecami i czuję, jak jakaś tama we mnie pęka. Boję się, że zaraz faktycznie pęknie, a ja zaleję się łzami. Nie chcę tego. Zamykam na chwilę oczy, a kiedy je otwieram, są suche, tylko jakoś strasznie mnie boją. Uchylam usta, żeby powiedzieć bagatelizująco, że Karol wyjechał, ale Magda wyprzedza mnie - czuję jej dłoń na moich włosach. Mówi szeptem:

- Mój Boże... Kiedy to się stało?

A ja nie wytrzymuję i zaczynam głośno płakać.

Wieczorem przychodzi Basia. Teraz, kiedy pofarbowała włosy, zaczęła też robić inne dziwne i niepodobne do niej rzeczy: maluje oczy, ubiera się w sukienki, nawet kupiła sobie ładne kozaki na obcasie. To tak niepodobne do niej, że jak ją teraz widzę, to ciągle łapię się na tym, że lustruję wzrokiem jej czarną sukienkę ze szpiczastym dekoltem i niebieskie powieki.

Siadamy na dywanie, na moich puszystych poduszkach - Basia opiera się plecami o kanapę, ja o fotel. Magda rozlewa nam do kieliszków drugie już tego dnia wino, wznosi kieliszek do góry i mówi z uśmiechem:

- To oczywiście za kobiety!

Wypijamy wszystko do dna, znowu sobie polewamy. Pijąc następny kieliszek i słuchając, jak Magda opowiada o swojej jutrzejszej wystawie, odchylam się do tyłu i lustruję je obie spod przymkniętych powiek. Tak dużo czasu minęło od chwili, gdy byłyśmy wszystkie razem. Teraz brakuje jeszcze Anety, żeby był komplet, ale i tak cud, że udało nam się zejść we trzy. Przyglądam się okrągłej twarzy Basi, jej rumieńcom, czerwonym ustom. Magda przy niej wygląda jak wyblakła fotografia. To bardzo złudne wrażenie, bo jeśli popatrzę na Magdę chociaż minutę dłużej, zauważę, że jest dużo ładniejsza od Basi.

W kuchni, kiedy wyciągam z lodówki resztki obiadowej kolacji, Basia staje za mną i pyta, czy wszystko w porządku.

- Tak, dlaczego pytasz?

Opiera się o blat stołu, wzdycha ciężko.

- Pytam, bo nie wiem, czy dać ci to, co dla ciebie mam.

Nie rozumiem, rzucam jej zdziwione spojrzenie i zabieram się do krojenia chleba.

- A co dla mnie masz?

- Nie wiem, czy wciąż chcesz odnaleźć tego chłopaka... - Urywa i przygryza dolną wargę.

Zaprzestaję krojenia i patrzę na nią, marszcząc brwi.

- Wiesz, o czym mówię - dodaje Basia po chwili. - Pytałaś mnie o kolesia, który przyjeżdżał do mojej klatki latem, w dzieciństwie. Wyobraź sobie, że zadzwoniłam do moich rodziców i spytałam o niego.

Odkładam nóż i patrzę na nią kompletnie zaskoczona. Kiwa głową.

- Ojciec przeszedł się do tej rodziny. To byli Strzyżewscy, a ten chłopak to był kuzyn czy ktoś taki. Ma na imię Michał. Mam na niego namiary.

Magda jedzie po Mateusza na dworzec, więc zostawiam jej klucze od mojego mieszkania i jadę do jednej z moich klientek. Obiecuję, że przyjadę na czas do galerii i że tam się spotkamy. Wolę nie zagłębiać się w jej znajomość z tym malarzem. Staram się też nie zauważać jej starań przed wyjściem: tego, jak wybiera ubrania, jak maluje oczy, jak myje włosy. Mówi, że to na werni-

saz, ale nie jestem głupia. Wiem, że to dla niego. I jestem na nią taka zła!
Na wernisażu jest dużo ludzi, aż muszę przepychać się między nimi. Przyjechało też wielu dziennikarzy i całe mnóstwo artystów.

W skupieniu oglądam zebrane tu rzeźby, fotografie i obrazy. Obrazy są Magdy, wszystkie je znam, nawet byłam przy powstawaniu niektórych. Przyglądam się jej teatrowi, porównuję go z teatrem z fotografii Mateusza. Podoba mi się to, co tutaj zgromadzili. Jest to spójne, konkretne, w jakiś sposób ważne. Postanawiam, że zapytam Mateusza o fotografie, jak nadarzy się okazja. Magdy stosunek do tego już znam i rozumiem, ale zaskakuje mnie, że on myśli tak podobnie.

Znajduję ich w tłumie ludzi. Magda rozmawia z jakimś dziennikarzem, zauważa mnie i macha mi ręką. Mateusz na pewno jest chłopakiem stojącym koło niej: krótkie włosy, miły uśmiech i gładko wygolone policzki.

Patrząc na niego, już wiem, że to nie jest Magdy typ. Magda nie lubi takich poukładanych facetów, więc ten na pewno nie wzbudza w niej żadnych emocji, a moje wcześniejsze przeczucia na pewno są mylne.

Nie chcę tu zostawać. Nie chcę potem iść z nimi do jakiegoś pubu i pić piwo. Zostawię im w kuchni jakąś dobrą kolację, a sama pójdę spać. Niech bawią się sami, ostatecznie nieczęsto Magda ma okazję gdzieś wyjść z obcymi ludźmi. Zawsze siedzi w domu, bo nie ma na nic pieniędzy.

- Strasznie źle się czuję - tłumaczę jej w ogólnym zgiełku. - Pojadę już do domu.
- Źle się czujesz? Pojechać z tobą?
- Nie trzeba. Chcę wcześniej położyć się spać.
- Nie poznałaś jeszcze Mateusza... -Poznam rano...

Magda wraca nad ranem. Słyszę jej ściszony głos w korytarzu, słyszę też męski głos, który na pewno należy do Mateusza. Leżę w łóżku i nasłuchuję.

Kiedy wróciłam do domu, znalazłam jego rzeczy leżące w pokoju, w którym proponowałam Magdzie, żeby spał. Zostawił je na łóżku: jasny sweter, torbę podróżną i duży zeszyt.

Zupełnie nie mam pojęcia, co mnie podkusiło, żeby zajrzeć do jego zeszytu. Może jakieś dawne wścibstwo, może przeczucie, a może potrzeba upewnienia się, że moja intuicja kompletnie zawodzi.

Uchyliłam jego zeszyt i zaczęłam oglądać szkice, które robił. A potem zobaczyłam tamte prace i dosłownie ugięły się pode mną nogi.

Prawda zaczyna się na kartkach, wsuwała w krzywe linie stawiane ołówkiem, plamy czerwonej farby i ślady gumki. Cały on.

On i ona - dopowiedziałam w myślach, bo przecież od razu zauważyłam, że wszystkie prace dosłownie krzyczą o jej obecności. Te prace, które tworzył na początku, były radosne i pełne ciepłych barw. Te późniejsze to gmatwanina linii i kontrastów. Patrząc na nie, od razu wiedziałam, jak bardzo ważna jest dla niego. I czułam się coraz bardziej zdumiona.

Widziałam próby osądzania jej: cztery nieduże wariacje rysunkowe na temat jej włosów; trzy podłużne portrety, w których stawała się niebieskim ptakiem i unosiła wysoko, za wysoko, by Mateusz mógł ją dosięgnąć; duża praca ukazująca mechaniczną lalę o długich rzęsach i białych ustach.

Na zdjęciu, które włożył do zeszytu, wyglądała niegroźnie: długie nogi, pokręcone złociste włosy, ogromne niewinne oczy i błyszczące usta. Te jej usta odnalazłam na kolejnych rysunkach, Mateusz obdarzał nimi twarze aż czarne od kresek, twarze pozbawione oczu, nosa i reszty ciała.

- Pięknie... - powiedziałam na głos i zamknęłam zeszyt. Wstałam z łóżka i spacerowałam po pokoju z narastającą złością. Przez moment przeszło mi nawet przez myśl, żeby zadzwonić do Jacka. Paradoksalnie nie zrobiłam tego tylko dlatego, że Mateusz, którego zobaczyłam na wernisażu, nie przypominał mi przecież kogoś, kto zainteresowałby Magdę.

Z rana rozumiem swój błąd. Na wernisażu wzięłam za niego jakiegoś innego faceta. W świetle dnia, w kuchni, kiedy widzę go naprawdę, czuję się tak, jakby ktoś porządnie mną potrząsnął.

To jest zdecydowanie typ Magdy. Uświadamiam to sobie w momencie, kiedy pierwszy raz na niego patrzę. Jest dokładnie taki, jakby Magda go sobie wymarzyła: te przydługie włosy, twarz, która nie jest ładna, ale ściąga na siebie uwagę, kilkudniowy zarost, sposób ubierania się, sposób zachowania, ton głosu, kiedy wita mnie:

- Cześć.

Tak dobrze znam Magdę. Tyle lat poznawałam ją, że mogę w ciągu kilku sekund ocenić, kto może ją zainteresować na chwilę, a kto na całe życie. Patrząc na Mateusza, wiem dokładnie, że to jest osoba, która może ją odebrać nawet Jackowi. Kiedy go widzę, stoi oparty o parapet w kuchni i pali papierosa. Uśmiecha się na mój widok. A potem pozostaje przy oknie i patrzy na mnie, kiedy zabieram się do przygotowywania śniadania dla naszej trójki. Nie zadaje mi żadnych głupich pytań mających podtrzymać konwersację i jestem przekonana, że Magdzie to się w nim podoba. Nie wychodzi też z kuchni. Później mówi:

- Dziękuję, że pozwoliłaś mi tu przenocować. Normalnie spałbym u mojego kolegi, ale wyjechał...

Odwracam się nieznacznie w jego kierunku, czuję na sobie jego wzrok i jest mi głupio, że znam już jego tajemnicę.

- Magda powiedziała, że jesteś jej przyjacielem-mówię, sondując go ciężkim spojrzeniem.

- Tak?

Wracam do robienia śniadania, pytam:

- Długo ją znasz?

- Właściwie nie. Byłaś wczoraj na wernisażu?

- Tak. - Marszczę brwi, podejmuję z niechęcią: - Wasze prace są podobne do siebie w pewnym sensie. Tyle że ją zajmują rekwizyty teatralne i spektakl... Ciebie chyba bardziej obchodzą drobne rzeczy, które stają się sztuką dopiero, kiedy zatrzymujesz je na klatkach filmu.

Nie jestem pewna, czy moja interpretacja idzie w dobrym kierunku. Mateusz słucha mnie uważnie.

- Właściwie tak. Zawsze tak było. Zawsze pociągały mnie proste, codzienne sprawy, i to się nie zmienia, jeśli nawet chodzi o teatr. Dużo bardziej zajmuje mnie codzienność teatralna niż gala ze

spektaklem. Podoba mi się, że z takich drobnych codziennych spraw urasta sztuka. Jestem przekonana, że jego sposób wypowiedzania myśli też odpowiada Magdzie. Uświadamiam sobie, że jakoś podświadomie szukam w nim czegoś, co mogłabym unaocznic jej, żeby powiedzieć: „On nie jest dla ciebie”.

- Magda mówiła ci, dlaczego fascynuje ją teatr?

- Pytałem ją o to, ale chyba nie wyjaśniła mi do końca. -Nie?

Chociaż to jest dobre, że nie powiedziała mu o hipnozie. Źle by było, gdyby rozmawiała o tym z Mateuszem, skoro nie prowadzi takich dialogów z Jackiem.

- Opowiesz mi? - pyta Mateusz, a ja obrzucam go zimnym spojrzeniem, jakby powiedział coś bardzo nietaktownego. Gryzę się w język, by nie spytać, czy poznał już Jacka.

Na podłodze w przedpokoju rozlegają się kroki i po chwili Magda wchodzi do kuchni. Ma na sobie długą koszulę w niebieską kratkę, która sięga jej niemal do kolan, jasne włosy opadają w rozkudłanych lokach na ramiona. Uśmiecha się na nasz widok pogodnie, dokładnie tak samo, jak uśmiechała się, kiedy była mała i ktoś zrobił jej jakąś przyjemność. Wolę nie patrzeć na Mateusza, by nie widzieć, jak łagodnieją rysy jego twarzy pod jej spojrzeniem, jak odpowiada uśmiechem na jej uśmiech.

Magda przeciąga się sennie.

- Zawsze w twoim mieszkaniu mam takie barwne sny. Kiedy podnoszę na nią spojrzenie, patrzy na niego.

- Chyba dużo wczoraj wypiliśmy - dodaje. - A ja mam taką słabą głowę.

On nie odpowiada. Gasi papierosa i odwraca się do okna.

Mateusz po śniadaniu odjeżdża do Gdańska, Magda odprowadza go na dworzec i wraca dopiero na obiad.

Po południu idziemy na spacer na Stare Miasto. Magda trzyma mnie pod rękę i kiedy spacerujemy między starymi kamienicami, żadna z nas nie rozpoczyna rozmowy. Ja zaczynam mówić dopiero, kiedy siadamy na ławce na wprost dużych plakatów informujących o wystawie fotograficznej na Zamku Królewskim. Mówię:

- On zakochał się w tobie. Wiesz o tym, prawda? I czekam, że Magda zacznie coś kłamać albo spyta: „Co ty mówisz?”.

Słońce świeci dość mocno, na niebie widzę czarne kształty lecących wysoko ptaków, nastrój jest typowo niedzielny: spacerujący ludzie, ciepły dzień, ciche rozmowy, aparaty fotograficzne na szyjach turystów. Widzę, że Magda ma zamknięte oczy. Światło słoneczne kładzie się szerokimi płaszczyznami na jej płaszczu; Magda wysuwa ręce do światła i odpowiada cicho:

- Wiem...

Coś w tonie jej głosu wprawia mnie w takie zmieszanie, że chyba pierwszy raz w życiu brakuje mi odwagi, żeby powiedzieć coś jeszcze albo żeby o coś spytać.

Pochylam głowę i czuję się nagle strasznie samotna.

W niedzielę wieczorem, kiedy Magda już odjechała do Gdyni, samotnie siadam przy oknie i patrzę, jak na niebie zbierają się ciemne chmury.

Ostatnio łapię się na tym, że odliczam codziennie rzeczy Karola leżące w moim domu i rozważam ich przydatność dla niego. Tak jakbym chciała się upewnić, że jeszcze ma po co tu wrócić.

Po Magdzie w mieszkaniu został zapach jej perfum i bukiet tulipanów, który kupiła dzisiaj rano i wstawiła do mojego wazonu. Żałuję, że już jej tu nie ma i że nie może przerwać ciszy panującej w moim domu. Żałuję, że o tak niewielu sprawach zdążyłyśmy sobie powiedzieć. Nawet nie wspomniałam jej o kartce pocztowej, którą dała mi Iza.

Teraz przypominam sobie o numerze telefonu, który zostawiła Basia. Zabieram go z półki i dzwonię.

On nie odbiera od razu. Najpierw słuchawkę trzyma jakaś kobieta.

- A skąd pani zna mojego męża? - pyta nerwowo, jakbym chciała jej go wykraść.

- Z dzieciństwa - odpowiadam, więc uspokaja się i prosi go do telefonu.

- Słucham? - słyszę męski głos. Nabieram głęboko oddechu i powoli opowiadam mu, dlaczego do niego dzwonię.

Magda

Nie pamiętam, o czym wtedy mówiłam. Chyba coś o dłoniach, może o liniach papilarnych.

Wiem na pewno, że nie patrzyłam na nasze ręce i pewnie dlatego zaskoczył mnie jego dotyk na moim nadgarstku.

Przesunął opuszką palca po mojej skórze, powoli, potem delikatnie dotknął wnętrza dłoni.

Pamiętam, że moje palce zachowały się tak, jakby nie należały do mnie, jakby czekały na ten dotyk od dawna. Jakby to było coś oczywistego.

Delikatnie, miejsce po miejscu poznawałam jego skórę, jej szorstkość, miękkie miejsca, twardość. Palcami przesunęłam po wnętrzu ręki, po zagłębieniach linii papilarnych. Dotknęłam blizny i prześledziłam jej kształt aż do miejsca, w którym kryła się w rękawie swetra. Wtedy wycofałam się do początku: jego palce, moje palce, jego dotyk, mój dotyk.

Mijały minuty, a my siedzieliśmy naprzeciwko siebie w zupełnej ciszy, wpatrzeni w nasze dłonie. Pamiętam, że w jakimś momencie przyłożyłam dłoń do jego dłoni.

Moja wydała mi się drobna, mała i jasna.

No to stało się, pomyślałam i wydało mi się oczywiste, że już nie uda nam się cofnąć poza tę chwilę.

Spletliśmy razem palce, a potem odsunęliśmy ręce od siebie i spróbowaliśmy strywializować to, co się stało. Mateusz powiedział coś w rodzaju:

- Ludzkie dłonie są zabawne.

A ja pomyślałam, że nie da się niczego tu strywializować. Że to musiało się stać. I że pójdzie jeszcze dalej.

Patrzyłam na moją obrączkę ślubną - wąską, złotą i jakoś nagle mało ważną. Kiedyś sądziłam, że jeśli doszłoby do czegoś takiego, obrączka zaciążyłaby mi na palcu, przykuła mój wzrok, sparaliżowała myśli. Ale tak się nie stało. Patrzyłam na nią obojętnie, z namysłem. Nawet nie zareagowałam, kiedy Mateusz chwilę wcześniej jej dotykał.

Na wernisżu obserwowałam, jak zabawia gości. Rozmawiał chyba ze wszystkimi ludźmi, którzy przyszli, i wyglądało na to, że wszystkich zna.

Pijac wino z kieliszka i prowadząc jakieś nieważne rozmowy ze znajomymi, wciąż łapałam się na tym, że mój wzrok szuka jego postaci, że moje uszy nastawione są na wyłapywanie jego głosu, że nie mogę się doczekać, aż znowu będę przy nim.

Pochwyciłam jego spojrzenie i pospiesznie odwróciłam twarz.

Trzeba się wycofać, pomyślałam i ta myśl wypełniła mnie strachem, obawą, że faktycznie trzeba powstrzymać to, na co tak bardzo czekam.

Zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo na niego czekam. Już tęskniłam za tym wszystkim, co jeszcze się nie wydarzyło.

- Jak mam to powstrzymać? - spytałam szeptem swoje lustrzane odbicie, kiedy w łazience malowałam usta. - Jak mam to powstrzymać, skoro pragnę tego tak mocno, jak jeszcze nigdy niczego nie pragnęłam!

Zamknęłam oczy i oparłam czoło o zimną powierzchnię lustra. Chciałam znać odpowiedzi na właściwe pytania, na takie, które powinno się sobie zadać w tak dziwnym momencie życia: Jak do tego doszło? Co ja *tu* robię? Jak mogłam na to pozwolić? Dlaczego go nie powstrzymałam?...

Wszystkie pytania wydawały mi się jednak absurdalne, bo coś we mnie podszeptywało najpierw cicho, a potem coraz głośniejsze, że przecież widocznie tak właśnie miało się stać, do tej sytuacji miałam dorastać latami i teraz powinnam umieć podjąć słuszne decyzje.

Moje obrazy na ścianach galerii wydały mi się zbyt zimne, jakby wcale nie wyszły spod mojej ręki. Teraz już nie umiałabym namalować ich w taki sposób, tak bezosobowo. Teraz kipiałyby życiem, radością, optymizmem, teraz byłyby zupełnie inne.

- To naprawdę świetne malarstwo - odezwała się jakaś kobieta koło mnie. - Pani kończyła pracownię malarstwa u jakiego profesora?

Spróbowałam otrząsnąć się z wrażenia nierealności i skupić na jej słowach.

- Nie studiowałam malarstwa. Skończyłam rzeźbę.

- Dlaczego rzeźbę?

Wzruszyłam ramionami, odeszłam kilka kroków.

- Nie wiem. Tak wyszło. Tak widocznie miało być.

Na obrazie Marca Chagalla panna młoda w rozwianym welonie unosi się nad miastem. Ma dwie twarze: jedną białą i piękną, drugą brzydką, ukrytą w cieniu. Pod jej ślubnymi pantoflami rozpościera się bajkowe miasto: krzywizny dachów, jadąca dorożka, spacerujący roześmiani ludzie. Nikt jej nie dostrzega, miasto żyje swoim życiem, a ona unosi się jak skrzydlate ziarenko dmuchawca na wietrze: w pięknej ślubnej sukni, dwulicowa i nierzeczywista.

Myślałam o tym obrazie, siedząc na parapecie pierwszego piętra w mieszkaniu Joasi. Pod moimi stopami rozciągała się warszawska Praga: szpiczaste dachy domów, czerwień cegieł starych kamienic, czubki drzew na placu z prawej strony, wysmukłe wieże neogotyckiego kościoła naprzeciwko, odległa Wisła.

Za moimi plecami był jazz: czarny, pełen trąbek, dźwięków pianina, rozrywany przez brzmienie ochrypłego głosu wokalisty.

W takich scenach powinien być jazz, pomyślałam i odchyliłam głowę do tyłu.

Nad sobą widziałam wąski gzyms domu i ciemne niebo pełne gwiazd. W bloku naprzeciwko młody chłopak spacerował po pokoju z kubkiem kawy w ręce.

Obserwowałam go z fascynacją, jaka towarzyszy takim niepowtarzalnym chwilom.

On mnie nie widział, chociaż siedziałam na parapecie. Byłam jak ta panna młoda z obrazu Chagalla.

Przesunęłam spojrzeniem dalej, na sznury kamienic, na powykręcane gzymsy, na zaokrąglone okna. Usłyszałam kroki Mateusza za moimi plecami, potem odgłos stawiania szkła na stole.

- Napijesz się?

Wróciłam do pokoju. Nie mogłam przestać myśleć o Joasi śpiącej gdzieś nad nami, przyszło mi nawet na myśl, że może powinnam ją obudzić i podzielić się z nią winem. Tak byłoby rozsądniej. Tak powinnam zrobić.

To, co powinnam zrobić, ostro kłóciło się z tym, czego chciałam. Unosząc kieliszek wina, ważyłam jego ciężar. Byłam już i tak dość pijana po wernisażu i niewiele więcej potrzebowałam, żeby stracić nad sobą kontrolę.

Powinnam ją obudzić, powtórzyłam w myślach z narastającym rozdrażnieniem. W mojej pamięci rozgrywała się projekcja

obrazow, gdy Mateusz dotknął mojej ręki. Taki prosty dotyk, a tak bardzo sycił moją wyobraźnię myślami, jak by to było dalej.

Zsunęłam z nóg niewygodne buty, wyciągnęłam czerwone wsuwki z włosów i pozwoliłam im opaść w ciężkich kaskadach na moje ramiona. Wiedziałam, że Mateusz na mnie patrzy i tak naprawdę to chciałam, żeby patrzył.

Usiadłam naprzeciwko niego w fotelu, tuż pod szerokim obrazem, który namalowałam dla Joasi wiele lat temu.

- Wierzysz w zbiegi okoliczności? - zapytałam.

Mateusz wpatrywał się przez chwile w swoje dłonie, zupełnie jak ja to miałam w zwyczaju, kiedy usiłowałam skupić się na słowach.

- Pytasz mnie zawsze o trudne rzeczy. Nie wiem, dlaczego tak dziwny temat wybraliśmy do naszych rozmów.

- Lubię z tobą rozmawiać o rzeczach trudnych.

- Dlaczego?

- Bo to są najważniejsze tematy.

Pokręcił głową i sięgnął po swój kieliszek. Powiedział po prostu:

- Są zbyt trudne, żeby mogły ułatwić nam zbliżenie.

Nie zrozumiałam. Przez długość stołu przypatrywałam się przez chwilę jego dłoniom, potem podniosłam spojrzenie na nieogolony policzek, częściowo przysłonięty nierówną płaszczyzną włosów.

- Zbliżenie do czego?

Sądziłam, że powie coś w rodzaju „do odpowiedzi” albo „do prawdy”, ale on odpowiedział bez namysłu:

- Do siebie.

Po jego słowach zapadła cisza, w której jazz wydawał się zbyt głośny i chaotyczny. Udało mi się wytrzymać jego spojrzenie, to on pierwszy odwrócił wzrok. Bawiąc się zapalniczką, powiedział:

- Przepraszam, nie powinienem tak mówić.

To był kolejny dziwny moment w moim życiu. Siedziałam jak skamieniała i czułam, jak gdzieś we mnie odzywa się przyczajona panika, że Mateusz faktycznie powiedział tamte ważne słowa i że moje myśli z wernisażu, że teraz już wszystko między nami pójdzie dalej, były prawdziwe.

Obserwowałam go w milczeniu. Był zmieszany, pewnie bardziej brakiem mojej reakcji niż własnymi słowami. Strzepnął popiół

z papierosa do popielniczki i odwróci! twarz w stronę okna. Spróbował podjąć naszą rozmowę sprzed kilku chwil:

- Pytałaś mnie o zbiegi okoliczności... A co ty myślisz o tym? Z trudem zbierałam myśli, wciąż nie mogąc opanować drżenia

w sobie. Teraz, kiedy sprawy faktycznie mogłyby pójść do przodu, zaczęłam się panicznie bać, że tak się stanie. Odpowiedziałam niepewnie:

- Ja wiem, że wszystko jest ważne. Każda najdrobniejsza rzecz. Każda przykrość, każdy śmiech, każdy człowiek, każda chwila.

Trochę wbrew sobie położyłam na stole moją dłoń. Położyłam ją blisko jego rąk, tak, by mógł jej dotknąć. Zaczęłam mówić z większym namysłem:

- Wszystko, co się dzieje, jest bardzo ważne. Gdyby ktoś zapytał mnie, czy jest coś, czego żałuję, to wiem na pewno, że nie ma takiej rzeczy. Nie może być. Bo gdybym wyeliminowała chociaż jedną rzecz ze swojej przeszłości, już nie byłabym dokładnie taka, jaka jestem...

Mateusz spojrzał na moją rękę, potem na mnie. Papieros w jego palcach spalał się już od dłuższego czasu i teraz popiół z niego spadł na podłogę, ale żadne z nas nie zareagowało.

Uświadomiłam sobie, jakie ważne jest to, o czym teraz rozmawiamy i cała ta chwila. Całkiem możliwe, że to miała być najważniejsza chwila w całym moim życiu.

-To jest dziwne uczucie, Mati... Wydaje mi się, że dosłownie każda rzecz na mojej drodze wpływa na mnie i sprawia, że mogę czuć szczęście.

Chciałam powiedzieć mu, że tak samo jest z pożegnaniami. Co z tego, że może się z nim rozminę teraz i każde z nas pójdzie w swoją stronę. Przecież nawet żal, który będę w sobie nosić, będzie mi do czegoś potrzebny; może mnie wzmocni, może dzięki niemu zacznę dostrzegać coś, co teraz uchodzi mojej uwadze.

- Wszystko dzieje się z jakiejś przyczyny. Wiem to - odezwałam się po chwili milczenia. - Wszystko ma sens, nawet to, że trafiłeś w Internecie na moje prace, że przyjechaliśmy tutaj, że zrobiliśmy tę wystawę...

Dotyk palców przesuwających się po wnętrzu mojej dłoni przypominał mi się krok po kroku i wywołał dokładnie takie same odczucia, jak wtedy w kawiarni. Może spotęgował to fakt, że teraz je-

go dłonie znowu były blisko moich i że strasznie chciałam, żeby mnie dotknęły. Wstałam z kanapy i postąpiłam kilka kroków w jego kierunku. Pomyślałam, że przecież większym grzechem względem Jacka są moje myśli niż to, co mogłabym zrobić. Nie wiem, która zdrada jest cięższa i nigdy nie zastanawiałam się nad tym problemem, ale wydało mi się oczywiste, że jeśli nawet zrezygnuję teraz z Mateusza, to wcale nie pomniejszy to mojej zdrady, bo chcąc go, już przeszłam przez próg nieuczciwości.

-Dotykaj mnie... - powiedziałam szeptem, niemal prosząco. Uchwyciłam jego spojrzenie i zobaczyłam w nim sam smutek, jakby dokładnie wiedział, że jeśli faktycznie teraz mnie dotknie, to potem już nigdy nie będzie mnie miał.

Pomyślałam, że z rana będę mogła z niego zrezygnować, ale teraz muszę go mieć, bo inaczej z powodu tej dziwnej fascynacji nim mogę zacząć robić wielkie głupstwa. Spalał mnie pociąg do niego, wrazenie, że jeśli nie będę go miała chociaż raz, to nie będę umiała wrócić do Gdyni i normalnie żyć dalej. Powtórzyłam głośniej:

- Dotykaj mnie, proszę...

Potem poczułam jego dotyk i uświadomiłam sobie, że teraz już nie ma odwołania od tego, co się dzieje. Nic nie obchodziło mnie już, że na górze śpi Joasia i że może jazz obudził ją i w każdej chwili może tu wejść. Tak samo jak nie miało znaczenia to, że Mateusza w tej chwili przepełniał smutek. Znaczenie miały tylko moje emocje i to ogromne pragnienie, które popychało mnie dalej i dalej, bez zastanawiania się nad konsekwencjami.

Zostałam z nim na kanapie w przechodnim pokoju Joasi aż do rana. Leżeliśmy przytuleni do siebie, audycja o jazzie skończyła się, teraz nadawano spokojne ballady, za oknami wciąż panował mrok.

Mateusz oglądał moje dłonie, bo chwilę wcześniej opowiedziałam mu, jak wiele mają do przekazania ludzkie ręce. Oglądał je świadomy, że nic z nich nie wyczyta, bo nie zna się na chiromancji. Robił to chyba głównie po to, żeby zająć czymś swoje ręce.

- Jak będzie rano? - zapytał.

- Nie wiem - odpowiedziałam kłamliwie, bo tak naprawdę to przecież dobrze wiedziałam, że rano odprowadzę go na pociąg, wrócę do Joasi i jutro odjadę do Gdyni, do Jacka.

Uniósł się na łokciu i popatrzył na mnie.

- Mam do ciebie prośbę, Magda.

- Jaka?

- Nie baw się mną.

Zmarszczyłam brwi, nagle strasznie zmieszana.

- Naprawdę myślisz, że się tobą bawię? - spytałam ze strachem w głosie.

Nie umiałam wyczytać niczego z jego oczu, wydało mi się po prostu, że jest strasznie zmartwiony, jakby wszystko to, co się tu stało, nie miało dla niego pozytywnego znaczenia.

- Nie wiem, co myśleć - odpowiedział po chwili, wolno. - Ty mnie nie znasz, Magda.

Nie wiesz, jakie to wszystko jest dla mnie ważne.

Delikatnie dotknęłam palcami jego ust i poczułam, jak rozlewa się we mnie strach.

- Nie bawię się tobą i nigdy nie będę tego robić.

Po powrocie do Gdyni nic już nie było tak jak dawniej. To, co lubiłam, stało się nieważne i drażniło mnie.

- Przecież to z jakimś aktorem, ja się nie nadaję! - irytowałam się, kiedy Jacek, który dostał nareszcie etat w teatrze, prosił mnie, bym ćwiczyła z nim jego rolę.

- Kogo mam poprosić? Wszyscy są zajęci... Odłożyłam scenariusz i powtórzyłam ze złością:

- Nie chcę, mam swoje zajęcia... Chcę namalować trochę nowych obrazów.

- Nowych obrazów? - Jacek wyglądał na zmartwionego. Ostatecznie zawsze ćwiczyłam z nim role, pomagałam mu zapamiętać tekst i mieliśmy przy tym dużo dobrej zabawy. Nie rozumiał, dlaczego od powrotu z Warszawy zachowuję się tak dziwnie. - Będiesz miała jeszcze jakąś wystawę?

- Może - odrzekłam zła, że mnie o to pyta.

W łazience, leżąc w wannie, patrzyłam na sufit. Pęknięcia powstałe w ostatnim roku powiększały się i rozchodziły jak pajęczyna

na boki. Zastanawiałam się, ile to by kosztowało, gdybym chciała zacząć łączyć to mieszkanie krok po kroku i doprowadzać je do porządnego stanu.

- Mógłbyś zająć się trochę sufitem w łazience, bo jeszcze kilka dni i runie nam na głowę! - zezłościłam się, kiedy Jacek wszedł do łazienki.

Jacek wszedł, bo chciał być przy mnie. Kiedy jednak popatrzył na mnie, wyczuł moją wrogość i zaczął szukać czegoś na półkach. Obserwowałam go, zanurzona w pianie, coraz bardziej zła i poirytowana. Gubiłam się, bo Jacek tracił znaczenie. W nocy przyzwyczajałam do niego dłonie tak, jakby był kimś nowym w moim życiu.

Teraz zauważałam w nim wiele wad, które wcześniej uchodziły mojej uwadze. Dni wydawały się puste. Malowałam oczy przed lustrem i zastanawiałam się, jak długo jeszcze starczy mi sił, by to wszystko ciągnąć. W lustrze już nie wyglądałam tak ładnie, jak kiedy Mateusz był przy mnie. Teraz wyglądałam na zmęczoną i niezadowoloną.

- Jak jakaś jędrza... - szepnęłam, odwracając wzrok. Makijaż był fałszem nakładającym na moją twarz maskę, więc przestałam go używać. Nie chciałam kłamać jeszcze swoim wyglądem, wystarczyło przecież, że okłamywałam Jacka.

Joasia zadzwoniła do mnie któregoś wieczoru i zapytała, czy mam jakiś kontakt z Mateuszem. Nie miałam z nim kontaktu. Zaraz po powrocie do Gdańska wyjechał do Londynu na prestiżową wystawę organizowaną przez jego grupę artystyczną i miał wrócić dopiero pod koniec miesiąca. Sama zastanawiałam się, dlaczego do mnie nie pisze.

Czy w Londynie nie ma Internetu? - myślałam zawiedziona, jednocześnie ganiąc się za każdą taką myśl i upewniając, że to, co się teraz dzieje, jest słuszne. Mimo to jednak codziennie sprawdzałam wiadomości na gg i czułam takie samo rozczarowanie, kiedy niczego od niego nie znajdowałam. W głowie nie mieściło mi się, że tak łatwo o mnie zapomniał. Wyrzucałam sobie, że nie spytałam go, czy ma kogoś.

Może ma i dlatego nie pisze, myślałam zmartwiona. Może stara się to wszystko poukładać i zapomnieć. Może tak właśnie trzeba.

Nie mógł zapomnieć - byłam tego pewna. Starłam się ściągnąć go do siebie myślami i czasami wydawało mi się, że to się udaje. Niemal go czułam: jego myśli skierowane na mnie, niepewność i żal.

- Mateusz wyjechał - odpowiedziałam Joasi zgodnie z prawdą. Usłyszałam z jej strony westchnienie przypominające westchnienie ulgi. Po chwili podjęła rozmowę:

- Posłuchaj. Chcę ci powiedzieć coś ważnego. Przeczynałam, co to może być i ogarniał mnie żal, że Joasia

faktycznie chce to powiedzieć. Usłyszałam jej chłodny głos:

- Wydaje mi się, że jeśli możesz to przerwać, to tak zrób, zanim zajdzie za daleko.

Nie wiem, jak daleko już zaszło. Nie wiem, ale jestem przekonana, że to nie jest nic błędnego.

- Proszę cię... - starałam się jej przerwać, ale mówiła dalej.

- Byłam świadkiem na twoim ślubie i nie mogę tego tak zostawić. Ty musisz wiedzieć, że jeśli masz komukolwiek dać jeszcze jakąś szansę, to tylko Jackowi. I dopiero jeśli nie będzie już nadziei z Jackiem, możesz dawać szansę Mateuszowi. Zamknęłam oczy i miałam ochotę rzucić słuchawkę, żeby tylko jej nie słyszeć.

-Wiem, że masz rację... - powiedziałam z żalem. - Wiem to, a jednak nie potrafię...

- Nie słuchasz mnie - przerwała, podnosząc głos. - Tu nie chodzi o to, czego ty teraz chcesz, a co potrafisz. Tu chodzi o przysięgę, o to, co obiecałaś Jackowi na ślubie.

Ty musisz dać mu szansę, bo on ma do tego prawo!

Nie odezwałam się, więc spytała po chwili:

- Słuchasz mnie? -Tak.

- Musisz mi to obiecać.

- Nie mogę.

- Musisz.

Poczułam się tak bardzo bezradna, że odpowiedziałam cicho, z rozpaczą:

- Nie wiem, na ile to będzie ważne, ale obiecuję ci.

Aneta

Na dwa miesiące wcześniej należy zamknąć listę gości weselnych, wręczyć mistrzowi ceremonii spis swoich oczekiwań odnośnie wesela, spotkać się z księdzem i ostatecznie ustalić datę uroczystości - to ostatni moment, by przekazać swoje dobre myśli.

Nina gdzieś zniknęła. Po prostu zniknęła! Już trzy tygodnie, jak nie daje znaku życia i nic nie zapowiada zmiany tej sytuacji.

Mama mówi, że może dziewczyny miały rację, odradzając mi Ninę.

- Nina jest niepoważna. Wiem, że ją lubisz, ale one też ją znają i wiedzą, co mówią... A jeśli nie przyjedzie na ślub?

- A jeśli faktycznie nie przyjedzie? - pytam szeptem w łazience, smarując twarz kremem. Teraz muszę dbać o siebie, bo do ślubu już tylko dwa miesiące. Wcieram kremy, masuję cellulitis, skubię brwi i raz w tygodniu nakładam na twarz ogórki. Opieram czoło o lustro i szepczę w przestrzeń:

- Gdzie jesteś, do cholery? Co robisz takiego, że nawet nie odpisujesz na moje mejle?

Mama mówi, że muszę przestać tyle jeść, bo utyję. Łatwo mamie powiedzieć. Nie ona robi dyplom, bierze ślub i jeszcze stara się nie myśleć o znikającym świadku ślubnym...

- Kazałaś uszyć sobie wąską suknię, bo miałaś schudnąć. Lepiej się dobrze przymierz, bo nie wiem, czy się w nią zmieścisz!

Mama ma rację. Nie zmieszczę się w moją suknię, jak będę dalej tak jeść. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby w ogóle szyć sobie coś z myślą o schudnięciu. Ostatecznie w chwilach nerwów nawet mój podły organizm zaczyna się buntować i zamiast zamęczać mnie brakiem apetytu, zamęcza mnie permanentnym uczuciem głodu!

- Och, wiem, wiem... od jutra się odchudzam - zapowiadam tacie i mamie, wymiatając wszystko z patelni i z lodówki. - Nic się nie martwicie... jeszcze będę chuda jak patyk.

Wykańcza mnie stres. Nie wiem, czy to przez dyplom, czy przez ślub, ale strasznie się zaczynam denerwować: w nocy mam coraz

gorsze sny, przy których szklana ściana i wrastające we mnie szkło to pikus. Mam sny o tym, że psują mi się zęby. Że się cofają w głąb moich ust. Śni mi się jakiś horror związany z szukaniem czegoś, czego wcale nie znajdę, bo nawet nie wiem, co to jest.

Wczoraj śnił mi się duży dom. To miał być mój dom i Marka. Marek radośnie oprowadzał mnie po nim, a ja byłam przerażona, bo zamiast normalnych pokoi widziałam w środku zalane wodą zatęchłe cele. Marek w ogóle tego nie dostrzegał. Radośnie otwierał mi kolejne drzwi i prezentował naszą sypialnię. Tyle że nasza sypialnia była ciemną piwnicą, w środku kołysała się żółta żarówka na sznurze, a na podłodze leżał związany psychicznie chory człowiek!

Oszaleję, jeśli te sny się nie skończą! Już jestem wykończona i zmęczona! Postanawiam zacząć chodzić do solarium. Do kosmetyczki nie pójdę, bo mnie nie stać, wszystkie syfy wyduszę sobie sama starym sposobem mojej mamy i mamy mojej mamy oraz mamy mamy mojej mamy: nałożę sobie na głowę ręcznik, posiedzę nad parującym garem i rozszerzę pory mocniej i lepiej, niż zrobiłaby to kosmetyczka.

Tylko że kiedy już mam iść do solarium, dzwoni telefon i ojciec mówi, że to do mnie.

- Jakaś pani, Aneta! Do ciebie!

Odbieram i słyszę w słuchawce jakieś obce nazwisko. Pani mówi, że dzwoni z ogłoszenia.

- Ojejku, z jakiego ogłoszenia? - pytam i zaraz przypominam sobie, że kilka miesięcy wcześniej ogłosiłam się w gazecie, że robię portrety ludzi oraz ich zwierząt. W głowie mi się nie mieści, że ta kobieta zachowała mój numer z ogłoszenia i że czekała z tym tyle czasu!

- Chodzi mi o portret - tłumaczy kobieta. - Olejny, na płótnie. Ile to będzie kosztować?

Nie wiem, czyj portret, nie wiem, czy ze zdjęcia, i ogarnia mnie panika, że wcale nie ustaliłam sobie żadnych cen za portrety.

- Pani portret?

- Nie, z koniem.

Z koniem?!

- Z jakim koniem?

- Wyścigowym. I pejzaż w tle.

Z koniem wyścigowym i pejzaż w tle?!

Czuję się tak zagubiona, że w ogóle nie wiem, co powiedzieć. Na koniu ma być kobieta czy sam koń?

- Jaki duży ten obraz? - pytam w końcu.

- Ze sto na osiemdziesiąt.

Sto na osiemdziesiąt... W myślach wyliczam wartość blejtramu i farb.

- To duży - mówię w końcu idiotycznie.

- Tylko czy ze zdjęcia byłaby możliwość takiego obrazu?

- Ze zdjęcia? - powtarzam. Pewnie, że zdjęcia byłoby najlepiej! - Ależ! -

wykrzykuję. - Ze zdjęcia, oczywiście, tak. Nie ma co męczyć modela przez wiele godzin pozowania, może być zdjęcie.

Nie rozumiem, dlaczego kobieta nie podchwytuje mojego entuzjazmu.

- Wie pani... - mówi po chwili - to nawet nie chodzi o to pozowanie, tylko o warunki...

Warunki? Warunki mam dobre, niech przyprowadzi modela, potem domaluje się konia i będzie po sprawie! W głowie zaczyna mi ćmić piękna myśl, że może dzięki temu obrazowi będę mogła zaprosić Martę na wesele!

- Ależ ja mam warunki bardzo dobre. Można przyprowadzić modela.

- Ach tak. - Kobieta milknie, kompletnie zaskoczona, potem pyta. - To jak z tą ceną?

- Konia ma być widać? - upewniam się.

Kobieta nie wie, co powiedzieć, słyszę, jak nabiera głęboko powietrza. Powtarza:

- To ma być portret.

Właśnie, portret. W myślach kadruję modela do popiersia i ze zgrozą stwierdzam, że nie bardzo wiem, gdzie tu koń i jeszcze pejzaż.

- Skoro portret, to koniowi będą wystawać tylko uszy - obwieszczam w końcu.

W słuchawce cisza.

- Chyba, że cały, to wtedy i koń się załapie.

Wciąż milczenie. W końcu słyszę niepewny głos:

- Ale przecież to ma być portret konia!

Kochana Nino!

Spaliłam się w solarium niczym wampir wystawiony na słońce. Już nie jestem biała. Nie jestem też brązowa. Jestem czerwona jak upiór i wszyscy ludzie na mnie patrzą z politowaniem! Justyna miała rację, nie powinnam brać aż dwudziestu minut. Teraz nawet nic nie zostanie z mojej opalenizny, bo na pewno zejdzie mi razem z płatami skóry. Zresztą opalenizna to pół problemu, bo prawdziwy problem zaczyna się w moim nadmiernym apetycie. Ważyłam się dzisiaj i utylam już dwa kiło. Suknia na razie jeszcze na mnie wchodzi, ale nie wiem, jak to będzie dalej...

Co porabiasz? Jak Portugalia? Nie odzywasz się. Pewnie masz tam sto rzeczy do roboty, pewnie zwiedzasz miasto i cieszysz się tymi wszystkimi pięknymi miejscami... Napisz coś, jak znajdziesz dostęp do komputera.

Aneta

Justyna drepcze ze mną na próbną fryzurę. Siadamy na krzeselkach i przeglądamy stos katalogów z fryzurami. Szczerze mówiąc, miałam cichą nadzieję, że Nina coś mi doradzi mejlem, ale najwyraźniej Nina nie jest w ogóle zainteresowana moim życiem i przesiąkła za mocno Portugalią, by w ogóle odpisać cokolwiek na moje błagalne mejle i jeszcze bardziej rozpaczliwe sms-y.

Siedzę więc z podłą, zarozumiałą Justyną na krześle ramię w ramię i przeglądamy katalogi.

- Ten kok jest piękny - mówi Justyna, więc już wiem, że kok wcale mi się nie spodoba. Żałuję, że Justyna siedzi tu ze mną i że jest tak cholernie uprzejma, by jeszcze wyszukiwać dla mnie uczesania. Chciałam zabrać Magdę, ale nie mogłam się do niej dodzwonić. Magda ma na pewno gust bardziej zbliżony do mojego. Bardziej niż Justyna. W ogóle wszyscy mają gust bardziej zbliżony do mojego niż Justyna. Justyna ma najgorszy gust na świecie!

- Co myślisz o tym koku? Kok jest smukły i piękny.

- Pasuje do dziewczicy, a nie do mnie - mówię więc brutalnie i Justyna patrzy na mnie zaszokowana.

- Anetka, a przecież na ślubie trzeba wyglądać jak dziewczyna! Może i trzeba, ale nie ma co przesadzać. Ten kok wsadziłabym na głowę jakiejś cnotce-niewydymce, a nie sobie. Zresztą wcale nie chcę koka.

-Nie chcę koka.

- Nie chcesz koka?

Wiem, w Justyny głowie się to w ogóle nie mieści. Nie mieć koka na ślubie, to jak przyjść w kaloszach do kościoła. Najchętniej pewnie wsadziłaby mi na ciało kieckę przypominającą bombonierkę, usadziłaby mi na głowie ten lizusowaty kok i jeszcze pozbawiłaby mnie makijażu. A już na pewno wysłałaby mnie na zdjęcia do tego potwornego zakładu fotograficznego, gdzie fotografowała się Lidka.

- Nie, chcę mieć włosy jakoś ładnie upięte albo rozpuszczone!

Justyna jest tak wstrząśnięta, że mam wrażenie, iż zaraz stąd wyjdzie. Rozchyła usta z niesmakiem i zaraz ścisza głos, by powiedzieć szeptem:

- Posłuchaj... przy twojej posturze...

- Przy mojej posturze?

- Tak, przy twojej posturze i przy tym kroju sukni, który sobie wybrałaś, musisz mieć koka.

Czuję się coraz bardziej zła.

- Dlaczego muszę?

Justyna teatralnie przewraca oczami, a potem delikatnie kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Posłuchaj i nie miej mi tego za złe, ale...

- Ale? - podchwytyuję złowroźnie. Justysia kręci głową z dezaprobatą.

- Masz bardzo pyzată twarz, Anetka... tylko kok trochę wyciągnie cię do góry.

A więc mam pyzată twarz i kok uczynić ma mnie piękniejszą! Z furią patrzę w lustro i staram się ignorować głosy rodziców, kiedy mijam ich w przedpokoju naszego mieszkania i dążę do łazienki.

W łazience od razu chcę wsadzić głowę pod kran, ale zaraz waham się, czy aby nie powinnam tego okropnego placka podczepio-

nego do mojej potylicy zachować dla Magdy i jednak zapytać ją o zdanie.

Mama wchodzi za mną niepewnie do łazienki.

- Kochanie, to jest ta próbna fryzura?

Odwracam się w jej stronę z miną tak potworną, że gdyby nawet fryzura była ładna, nie wywarłaby teraz żadnego efektu.

- Jesteś jej pewna? - pyta tata zza mamy. Zaczyna mi się chcieć śmiać.

- Tak, jestem jej pewna. Jestem pewna, że jej nie chcę!

Mam już pomysł na dyplom. Sama się sobie dziwię, że wcześniej na to nie wpadłam.

Wszystko dzięki temu, że sprytnie przeglądałam trochę starych zdjęć.

Były tam bardzo różne zdjęcia: mały blondas idący przez podwórko na icksowatych nogach - ja w wieku lat trzech!

Ja pijąca coś z wielkiego kubka. Pamiętam ten kubek i to, co było w środku tak, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj. To słynne kakałko z pianką, którego tak bardzo zazdrościły mi dziewczyny, że Basia aż poryczała się kiedyś ze złości. Tata zawsze wołał mnie do domu słowami: „Aneta! Kakałko z pianką!”. A dziewczyny zamierały z zazdrości i zdziwienia, bo u żadnej z nich nie pijało się czegoś takiego. Znalazłam fotografię mojej złotowłosej lalki. Ubrałam ją do zdjęcia w bardzo piękną sukienkę, ale i tak w momencie, kiedy mama chciała mnie sfotografować, na kanapę wskoczył mój pies i wywrócił lalkę majtkami do góry. Pies też załapał się na fotografię, więc przytrzymałam to zdjęcie dłużej w dłoniach, bo nagle kundel, którego miałam przy sobie przez całe dzieciństwo, któremu obcinałam wasy dla zabawy, ubierałam w koronki i plotłam dla niego wianki, zobaczony po latach wydał mi się zupełnie obcy i niepodobny do siebie.

Odłożyłam to zdjęcie na bok, poszukałam w stosie fotografii innych, na których Fifka byłaby bardziej podobna do mojej kochanej Fifki. Znalazłam ją leżącą na kanapie. Zdjęcie było kolorowe w przeciwieństwie do poprzednich, a Fifka miała na nim już ponad piętnaście lat. Wyglądała na zmęczoną: unosiła do obiektywu wychudzony stary pyszczek. Kilka miesięcy po zrobieniu tej fotografii tata zawiózł Fifkę do uspienia. Nikt nie miał do niego o to pretensji,

bo Fifka cierpiała już wtedy na liczne przerzuty raka i naprawdę źle się czuła. Tata zresztą plakat jak bóbr, kiedy ją tam wiozł, i tak naprawdę to wszyscy byliśmy mu wdzięczni, że w ogóle podjął się tego zadania.

A tu Łukasz - moja wielka pierwsza miłość. Niestety, nigdy nie odwzajemniona.

A potem nagle znalazłam fotografię mojego dawnego pokoju i to było to!

Kleję papierowe makiety pokoju całe dni, nieomal do rana. Rodzice są szczerze przerażeni, bo jeszcze nigdy nie widzieli, żebym tak mocno zajęła się jakąś pracą. Tłumaczę im, że od tego, ile zrobię i jak to zrobię, zależy moje dopuszczenie.

Pracuję więc dzień i noc, żeby tylko zdążyć.

Nie sprawdzam już wiadomości w kompie, bo nie chcę się denerwować. Och, jeśli Nina chce milczeć, to niech sobie milczy! Pod koniec tygodnia piszę jej mściwą wiadomość:

Dziękuję za zainteresowanie odnośnie mojego dopuszczenia.

Pewnie bardzo chcesz spytać, na jakim etapie jest mój dyplom, więc już Ci odpowiadam, że staram się uprosić profesora o dopuszczenie.

Teraz pewnie chcesz spytać, jak przygotowania do mojego ślubu? Bardzo dobrze, dziękuję, że pytasz.

Ja o nic nie będę pytać, bo i tak pewnie mi nie odpiszesz za bardzo zajęta miastem, sztuką i facetem:)) Pozdrawiam Aneta

Basia

Kiedy zapalam sobie papierosa, czuję na twarzy cudowne, ostre słońce. Zima zostaje za nami. Jest wspaniale. Odchylam głowę, nabieram głęboko w płuca niezdrowego warszawskiego powietrza i z dachu patrzę w dół, na ulice.

Teraz, kiedy Patryk wyjechał na firmowe szkolenie, bardzo często przychodzę na dach. Siadam sobie w pełnym słońcu na kocu, palę papierosy i patrzę na okolicę. Stąd lepiej wszystko widać. Po-

doba mi się ten widok. Podoba mi się sionce na twarzy. Czuję, że jestem szczęśliwa. Patryk wyjechał na szkolenie kilka dni wcześniej. Pomogłam mu spakować się, zrobiłam mu na drogę całe mnóstwo kanapek i obiecałam spisywać się bardzo dzielnie.

- Będiesz za mną tęsknił? - spytałam nawet wspaniałomyślnie. Patryk popatrzył na mnie, jakbym upadła na głowę.

- Przecież to tylko kilka dni.

Dobrze wiedziałam, że to kilka dni. Przecież spytałam tylko z grzeczności, bo wcale nie sądziłam, że będę za nim w ogóle tęsknić.

A jednak tęsknię. Mieszkanie jest jakieś zbyt duże, zbyt puste, zbyt ciche. W nocy jest mi zimno w stopy i żal mi, że nie mogę ich oprzeć o nogi Patryka, tak jak to zawsze robiłam.

Z rana samotnie jem śniadanie przed wyjściem do pracy. Tęsknie spoglądam na jego koszulki przygotowane do prasowania. Piszę do niego dużo sms-ów i Patryk mi bardzo ochoczo odpisuje. Iwona wpada do mnie na kawę, jak tylko widzi, że wracam do domu. Siedzi mi na tej kawie całe godziny. Opowiada jakieś pierdoły o swojej córce. W ogóle nie chce mi się tego słuchać, ale co zrobić.

Nina wyjeżdża do Portugalii. Teraz, kiedy mamy wspólną znajomą i pierwsze lody zostały przełamane, Nina zachowuje się tak, jakbyśmy były nie wiem jakimi przyjaciółkami. Przychodzi do mnie niemal codziennie, siada sobie na kanapie i nawija.

Raz przychodzi do mnie do kawiarni. Rozgląda się po wnętrzu, jakby była tam pierwszy raz.

- Fajnie tu - stwierdza na koniec i zamawia u mnie cappuccino. - Seba mówił, że robisz dobrą kawę. Zrób mi jedną.

Z kawą i z Niną naprzeciwko czuję się głupio. To fakt, że polubiłam ją już trochę.

Ale na pewno nie na tyle, żeby się z nią przyjaźnić. I wcale nie chcę, żeby tak to się skończyło, że Nina będzie uważać się za moją przyjaciółkę.

- Kiedy jedziesz? - pytam uprzejmie.

- Jutro z rana.

Dowiaduję się, że ma samolot w południe i że jest strasznie zdenerwowana przed podróżą. Nic już nie wspomina o tym, żebym nie

widowała Sebastiana pod jej nieobecność. Chyba po tym, jak zobaczyła, że mam faceta i że jestem koleżanką Anety, nie chce zachowywać się jak idiotka.

- A kiedy wracasz?

- Dopiero w sierpniu.

Nina z rana pakuje do swojego jeepa stosy walizek, jakieś obrazy, kilka pustych płócien naciągniętych na ramy. Samochód dosłownie ugina się pod ciężarem tego wszystkiego.

Sebastian pomaga jej to poupychać. W pewnym momencie przyciągają do siebie i przytula. Nina obejmuje go mocno. Z okna dobrze nie widzę, ale chyba płacze, bo wyciera oczy.

Dwa dni później Sebastian mówi, że możemy pojechać sobie gdzieś pod Warszawę, nad jakieś fajne jezioro. Chciałby porobić tam trochę szkiców, a ja mogłabym wypocząć poza Warszawą.

To ma być wyjazd na cały dzień. Jest już ciepło, więc przeglądam swoją szafę w poszukiwaniu odpowiednich ciuchów na taką przejażdżkę. Chcę ubrać się bardzo kobieco, a jednocześnie, żeby nie było żenady. W końcu to tylko zwykłe jezioro i nie ma co za bardzo się odpieprzać.

Z rana farbuję jeszcze raz włosy dla podtrzymania koloru. Ubieram się w spódnicę z hexy w jasne kwiaty, zakładam też bluzkę niby zwyczajną, a jednak tak sprytnie skonstruowaną, że ciągle jedno jej ramiączko opada w dół. Maluję tylko usta.

Głupio by było umalować oczy, jeśli potem ma mi to wszystko spłynąć na słońcu. Zabieram ze sobą koszyk pełen różnych łakoci nakupionych z rana. Wsuwam do niego też butelkę słodkiego wina i kolorowe czasopismo na wypadek, jakby się okazało, że Sebastian jest beznadziejnie nudny, gdy maluje szkice.

Nad jeziorem jest po prostu cudownie! Nie ma żadnych ludzi, tylko my. Oczywiście zabrałam też Kacpia - biega radośnie, kopie sobie różne jamki i macha ogonem.

Polana za jeziorem pełna jest białych kwiatków. Sebastian mówi, że to wiosenne kwiatki i że bardzo szybko przekwitają. Nie znam ich nawet z nazwy, ale podoba mi się, że jest tu taki słodki nastrój!

Wzięliśmy bardzo grube koce i podścielamy je jeden pod drugim. To dlatego, że od ziemi może ciągnąć zimno i potem mogą dostać wilka.

Sebastian wcale nie zabiera się do tych szkiców. Rozkłada blok i pastele koto koca, ale w ogóle po nie nie sięga. Objada się za to moimi łakociami i rozlewa nam wino do kieliszków. O niczym nie zapomniałam. Nawet kieliszki wzięłam!

- Nie będę rysował jeziora, wcale mi się nie podoba - mówi, leżąc na brzuchu i wybierając z koszyka najsmaków i tsze cukierki czekoladowe.

- Przecież chciałeś.

Ja też leżę, nawet naprzeciwko niego. I strasznie mi się podoba w tych jasnych dżinsach i fajnej bluzce z czarnym napisem *korekta*. Światło ma we włosach i na twarzy. W ogóle w tym podwarszawskim plenerze wydaje mi się jeszcze bardziej uroczy. Zresztą, może uroku dodaje mu fakt, że jego dziewczyna wyjechała, że wyjechał mój chłopak i jesteśmy zupełnie sami. Nikt nam nie będzie truł dupy, jeśli zapagniemy zostać tu do późna. Jemu nikt nie zrobi dzikiej awantury, a ja nie będę musiała tłumaczyć się przed Patrykiem,

Ramięczko spada mi, ja specjalnie go nie poprawiam, a Sebastian patrzy na mnie zmrużonymi oczami i w końcu sam mi je podciąga.

- Spadało... - wyjaśnia, a zaraz potem dodaje: - Wiesz, w każdej kulturze inne rzeczy uważa się za podniecające.

Przewracam się na plecy, podjadam kilka truskawek. Kupiłam je z rana w warzywniaku za zabójczą kwotę, ale chyba warto było. Są wielkie jak jabłka i ogień czerwone - ideał truskawki!

- Smakują jak woda... - burczę niezadowolona po pierwszym kęsie i patrzę na niego z dołu. - Jak to inne rzeczy?

- No wiesz, na przykład w kulturach arabskich jako najbardziej zmysłowe postrzegane są usta i nos. To dlatego kobiety zakrywają twarze. Dla nich chodzić z ustami na wierzchu to prawie tak, jakby u nas kobiety chodziły z odkrytymi piersiami.

Wiem, że kiedy tak leżę, Sebastian z łatwością może zaglądać w mój dekolt. Może nawet dostrzec mój nowy czerwony stanik.

-Więc... - kontynuuje Sebastian, bawiąc się jakimś źdźbłem trawy i pakując mi je we włosy - więc na przykład w Chinach za takie miejsce uważany jest kark.

- Kark? - pytam zaskoczona. - Dlaczego?

- Hm, to trudne pytanie. Nie wiem, Chińczyków po prostu kręcą kobiece karki. Może to dlatego, że znają dobrze sztukę erotyki i wiedzą, że to tam są strefy erogenne.

Nie wiedziałam, że na karku są strefy erogenne, ale Sebastian z każdą chwilą zyskuje dla mnie na atrakcyjności, bo dochodzę do wniosku, że seks z nim mógłby być naprawdę ekscytujący. I inny niż seks z Patrykiem.

- Popatrz... - Sebastian dotyka źdźbłem trawy mojego łokcia. -Gdyby kobiety dzisiaj zakrywały zawsze łokcie, mężczyźni prawdopodobnie uważaliby, że to jest właśnie najbardziej podniecająca część ciała!

Wybucham śmiechem.

- Łokieć? To potworne! Jak łokieć może podniecać? Zastanawia się chwilę nad moim pytaniem, mruży oczy jeszcze

bardziej, patrząc pod słońce na spokojną taflę jeziora, i odpowiada ze śmiechem:

- Nie wiem. Ale tak by było, gdybyście go zakrywały! Chichoczymy, potem on sięga po swój szkicownik i pastele.

- Leż tak. Narysuję cię...

Leżę bez ruchu, wpatrzona w niego, z truskawką przy ustach.

- Mogę ją zjeść? Kręci stanowczo głową.

- A skąd. Musisz ją tak trzymać, aż narysuję.

Zmierzcha już, kiedy pakujemy nasz koszyk i zbieramy się. Od strony jeziora ciągnie zimny wiatr i sprawia, że się kulę. Sebastian wspaniałomyślnie używa mi swojej kurtki i bardzo pieczołowicie mnie nią otula. Nawet zapina mi guziki. Kiedy to robi, przez chwilę nasze spojrzenia się spotykają. Ale tylko przez chwilę. Robi mi się momentalnie głupio i odwracam wzrok. On opuszcza spojrzenie na guziki i mówi, że już gotowe.

W samochodzie włączamy radio, Sebastian wrzuca wsteczny i wycofuje z piskiem opon. Chyba niespecjalnie przejmuję się tym, ile Nina dała pieniędzy za tego jeepa i że chciałaby zastać go w dobrym stanie po powrocie. Jeździ nim jak szalony, aż mi się włosy jeżą na głowie.

- Przecież to jeep - tłumaczy, kiedy podskakujemy na różnych wzniesieniach, na które normalnie nigdy bym się nie wybrała samochodem. - Jest stworzony do takiej trasy!

Warszawa wita nas rozświetlonymi witrynami sklepów, mnóstwem kolorowych plakatów i szerokimi arteriami. Trochę żałuję, że już wracamy. Strasznie jestem zmęczona, ale było tak fajnie, że w ogóle nie chce mi się nawet myśleć, że wejdę do pustego mieszkania i pozostanę w nim w ciszy. Kapeć na tylnym siedzeniu śpi w najlepsze, wykończony niemal jak ja. Sebastian też pociera oczy, wpatrzony w drogę przed nami.

Odliczam zakręty do naszej dzielnicy: jeszcze trzy, jeszcze dwa, już ostatni.

Nasz blok wynurza się jak wielkie ciemne ptaszysko. W niewielu oknach pali się światło, moje mieszkanie, tak jak i mieszkanie Sebastiana, wydaje się kompletnie wymarłe.

- No to jesteście - mówi Sebastian i sięga po swój szkicownik. - Chcesz swój portret?

Pewnie, że chcę. Bardzo fajnie wyszedł. Okazało się nawet, że Sebastian potrafi też normalnie rysować. Narysował mnie jak żywą: z włosami spływającymi na koc, z uśmiechem i tą truskawką przy ustach. Zauważyłam, że nie omieszkał też naszkicować mojego dekoltu. I opadniętego ramiączka bluzki.

- Bardzo mi się podoba ten rysunek.

Zabieram mu go i trzymam ostrożnie, żeby nie wykruszył mi się w rękach. Pastele, którymi rysował, wydają się strasznie ulotne. Jak węgiel. Odetchniesz głębiej i z mojej twarzy nie zostanie nic.

Wychodzimy z samochodu, ja biorę smycz Kapcia do ręki. Na klatce schodowej jest ciemno. Ktoś wykręcił żarówkę. Nic nie widać, więc macamy ściany w poszukiwaniu innego włącznika. Nasze ręce trafiają na siebie. We mnie momentalnie powstają dreszcze. Nie wiem, jak jest z nim, bo nie widzę go w tych ciemnościach. Nic też nie mówi.

Cofam dłoń, ale jego ręka dosięga mojej talii i przygarnia mnie do siebie. Chcę go spytać, co robi, ale on już zaczyna mnie całować.

Najpierw całujemy się samymi wargami. Tak, żeby nasycić pierwsze podniecenie. Jego dłonie wędrują w moje włosy i zagłębiają się w nich. Mruczy coś i zaczyna całować mnie głębiej. Nie mogę się opanować. Czuję w sobie tak wielkie gorąco, że jeszcze chwila i zostanie ze mnie kupka popiołu. Zarzucam mu ręce na szyję.

On obejmuje mnie ciasno i nareszcie jestem cała do niego przyciśnięta. Jest wysoki, muszę wspiąć się na palce. Oczywiście tracę równowagę, więc zaczynam się śmiać. Sebastian też się śmieje, opiera mnie dość gwałtownie o ścianę i całuje jeszcze namiętniej. Kompletnie tracę rozum! Miękną mi nogi, słyszę swój głośny oddech i pomruki, które wychodzą z moich ust. Całuję go jak szalona. Nareszcie mam go przy sobie tak blisko. I uświadamiam sobie, że nigdy jeszcze żadne pocałunki nie sprawiały mi takiej radości i nie wprawiały mnie w takie podniecenie, jak te. Jestem gotowa w ułamku sekundy. Gdyby Sebastian chciał przelecieć mnie tu i teraz, w ogóle bym nie protestowała!

- O rany... - mówię idiotycznie, kiedy u góry zapala się światło i słyszę kroki na schodach.

Sebastian odsuwa się ode mnie. Teraz widzę nareszcie jego twarz. Ma wypieki na policzkach, chyba strasznie rozkuślałam mu włosy, bo okrutnie mu teraz sterczą. Patrzy na mnie trochę nieprzytomnie, potem łapie mnie za rękę i prowadzi do drzwi swojego mieszkania.

Wiem, że powinnam teraz przystopować. Trzeba dobrze to przekalkulować i trochę się nad tym zastanowić. Tyle że nic mnie nie obchodzi jakieś kalkulowanie!

W mieszkaniu ściągam z Kapcia obrożę, żeby sobie pobiegał po pokoju. Sebastian zapala światło. Jest kompletnie rozkoja-rzony i kiedy pyta, czy chcę coś do picia, nawet na mnie nie patrzy.

- Mam jeszcze wino - przypominam sobie i podaję mu butelkę z mojego koszyka. Kątem oka obserwuję Kapcia, który obwąchuje całe mieszkanie i rozkłada się na swetrze Sebastiana, na fotelu.

Sebastian w kuchni szuka szklanek.

- Nie dorobiłem się jeszcze kieliszków... - tłumaczy. A kiedy podaje mi szklanekę, tak trzęsie mu się ręka, że niemal ją upuszcza. - Zobacz, co ze mną zrobiłaś!

Chichoczę, pomagam mu nalać wina i wypijam je jednym haustem. Sebastian coś manipuluje przy butelce, chyba chce ją zatkać korkiem. Korek nie wchodzi do środka, a ja nie mogę już dłużej wytrzymać i obejmuję go od tyłu. Kładzie ręce na moich dłoniach. Mówi:

- Czekaj, zapalę jakieś świece, włączę muzykę...

Puszczam go i dolewam sobie jeszcze wina. On w tym czasie zapala świece osadzone w długich metalicznych świecznikach, potem przekłada pospiesznie kompakty. Wrzuca jakąś fajną muzę, zbliża się do mnie, wyciąga rękę.

- Jeszcze nigdy z tobą nie tańczyłem!

Zanoszę się śmiechem, kiedy faktycznie zaczynamy tańczyć. Wcale nie tańczymy wolnego. Sebastian wykręca mną różne piruety, przechyla mnie głową niemal do podłogi i oboje pękamy przy tym ze śmiechu. Muzyka zwalnia, więc on przyciska mnie do siebie. I już wcale nie tańczymy, tylko całujemy się z jeszcze większą pasją niż tam na dole.

- Mówiłeś coś o karku... - szepczę. Odwraca mnie do siebie tyłem i puszcza moje dłonie. Czuję, jak zbiera mi włosy z ramion i unosi do góry. Jego usta muskają mnie bardzo delikatnie, niemal łaskoczą. Zaczynam rozumieć, co miał na myśli, kiedy mówił, że na karku są strefy erogenne. I nie wiem, jak mogłam sypiać tak długo z Patrykiem i nie zaznać takiej przyjemności!

Jęczę, odchylam głowę na jego ramię, rozchylam usta, żeby zagłębił w nich język. Czuję jak jego dłonie przesuwają się po moich biodrach, wargi dotykają moich. Potem kładę się na podłodze. Nie wiem, gdzie Sebastian ma łóżko i zaczynam podejrzewać, że może właśnie na dywanie śpią z Niną. Ale niespecjalnie mnie to obchodzi, bo nie mogę skupić się na żadnej normalnej myśli.

Sebastian zsuwa mi ramiączka, mówi szeptem:

- Bardzo sprytna bluzka, bardzo...

Znowu się śmieję. Nigdy nie śmiałam się tak podczas namiętnych chwil. Zawsze towarzyszyła takim uniesieniom powaga i namiętność. Ale Sebastian chyba lubi robić z tego dobrą zabawę.

Szamocze się z moim stanikiem:

- Faceci zawsze mają z tym problem... ale dam radę... Odslania moje piersi i patrzy na nie przez chwilę.

- Tak sobie je wyobrażałem...

Strasznie mi głupio, kiedy tak patrzy. Na szczęście pochyla się w końcu i zaczyna je całować. I robi to w taki sposób, że mógłby nie robić już nic więcej! Przyciskam jego głowę do siebie, miętoszę

włosy, zdzieram koszulkę. Sebastian delikatnie odsuwa mi włosy z twarzy, potem przyciąga mnie do siebie i mówi szeptem:

- Jesteś cudowna.

Kiedy jest już po wszystkim, proponuje, żebyśmy wzięli prysznic.

Co to, to nie! - myślę w panice, bo jakoś za cholerę nie potrafię wyobrazić sobie, że znajdę się z nim goła w pełnym świetle. Co innego rozbierać się przy blasku świec, a co innego wystawiać cellulitis i rozstępy na światło łazienkowe. Zresztą umarłabym chyba ze wstydu, gdybyśmy znaleźli się w tej niebieskiej kabinie prysznicowej!

- To ja pójdę pierwszy... - rejteruje, widząc moje przerażenie. Kiedy wychodzi, ja sięgam po papierosy. Wciąż leżę na dywanie, cała jestem poodgniatana, ale nic mnie to nie obchodzi. Paląc, patrzę w jasny prostokąt okna i myślę z niedowierzaniem:

Dwa orgazmy! Jasny gwint!

Z Patrykiem zdarzał mi się czasami jeden orgazm. Nigdy dwa. A tu coś takiego.

Wciąż mam na twarzy wypieki i czuję się cudownie. Najchętniej to wyciągnęłabym się teraz na jakimś wielkim łóżku i zamówiła ogromne śniadanie.

Chichoczę głośno na wspomnienie tego wszystkiego, co się wydarzyło. Rozumiem już Ninę, że tak się na mnie wydarła kiedyś przez okno. Ja też bym się tak wydarła na każdą dziewczynę, która chciałaby mi go odebrać.

Oddycham głęboko, z radością. Słyszę, jak Sebastian bierze prysznic i nie chce mi się wcale wierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę!

Magda

Basia napisała kiedyś piękny wiersz, którego fragment tamtej wiosny przypomniał mi się i pozostał w mojej głowie już na zawsze. Niestety, zapamiętałam tylko dwa wersy:

Nie kochaj mnie, a w moim sercu będzie tęsknota jakaś

Za niezbadanym i nieznanym...

Kiedy Mateusz nie pisał, wszystkie nadzieje, które z nim wiązałam i emocje, które mną targały, zaczęły się rozmywać. Łapałam

się na tym, że już nie ma go w moich myślach i że staje się wyblakłym wspomnieniem, trochę nierzeczywistym, jak wspomnienia ze snów.

Wszystko pozornie wracało do normy. Z Warszawy wróciły moje obrazy, jeździłam do Beaty opiekować się jej synem, ćwiczyłam z Jackiem role teatralne, zamalowywałam pęknięcia na ścianie i w ogóle wkładałam wiele serca w odrestaurowanie mieszkania.

W tamtym czasie zaproponowałam Jackowi wyjazd do Łeby - i pojechaliśmy tam na trzy zimne dni.

Z tamtego wyjazdu zapamiętałam długie godziny milczącego spaceru po rezerwacie przyrody, w stronę wydmy. Było chłodno, chociaż w telewizji ciągle przepowiadano poprawę pogody; od morza dął zimny wiatr, pamiętam, że miałam na sobie letnią sukienkę, sandały i niebieski sweter, a Jacek jakieś białe spodnie, bardziej pasujące do letnich upałów niż do pochmurnego nieba.

Wydmy rozpoczynały się męczącym podejściem w górę, po kostki w piachu.

Zdjęłam sandały i zaczęłam mozolną wspinaczkę. Po chwili Jacek dołączył do mnie.
- Magda?

Odrzuciłam się z sandałami w ręce i przytrzymałam włosy, żeby targane wiatrem, nie wpadały mi w oczy.

Jacek stał około metra niżej niż ja. Silne podmuchy wiatru szarpały jego ciemnym swetrem i białymi nogawkami. Patrzył na mnie zmrużonymi oczami, jakoś inaczej niż zawsze i po raz pierwszy od tygodni miałam wrażenie, że chce powiedzieć coś ważnego.

-Nie idź tak szybko... - powiedział w końcu, wycofując się z rozmowy.

Nie pamiętam dobrze naszego wyjazdu. Pamiętam, że siedząc zmarznięta w polarowej bluzie na plaży, malowałam kolaże, wykorzystując piasek, kamyki i kilka glonów, które znalazłam na brzegu morza. Pamiętam, że Jacek spacerował tuż przy linii wody powoli, z rękami w kieszeniach spodni, z pochyloną głową, zamyślony.

Pamiętam nasz pokój: duże małżeńskie łóżce, ściany obite drewnem i niebieskie firanki w oknach. Pamiętam też, że kiedy wieczorem wychodziliśmy z pokoju, niebo wydawało się tak ciężkie od gwiazd, że miałam wrażenie, iż zaraz runie na nas.

Pamiętam też, że ostatniego wieczoru Jacek powiedział:

- Myślałem, że ten wyjazd nas zbliży.

Kiedy to powiedział, siedzieliśmy na werandzie. Ja owinęłam się kocem, Jacek palił papierosa; oboje patrzyliśmy na morze.

Poczułam wtedy straszną bezradność, jakbym nie miała już dłużej sił na ukrywanie czegokolwiek.

-Jacek, posłuchaj... - zaczęłam. Patrzyłam, jak fale rozbijają się o brzeg, jak kilka osób, które spacerowały po plaży, z krzykiem i śmiechem ucieka w głąb lądu. - Wszystko się ułoży...

Beata, wychodząc z domu w oparach perfum, piękniejsza niż zwykle, zapowiedziała, że wróci późno i że Dawid ma w lodówce parówki, które mam mu odgrzać za godzinę na kolację.

- I dopilnuj, żeby zjadł.

Po jej wyjściu usiadłam w pokoju Dawida i patrzyłam, jak za oknem cała okolica powoli pogrąża się w mroku.

- Porysujmy coś dzisiaj - zaproponowałam, kiedy Dawid włączył komputer i już przymierzał się, żeby rozpocząć swoją ulubioną grę.

- Wolę grać.

- Nie możesz spędzić życia w komputerze.

- Dlaczego?

Ten scenariusz przerabialiśmy już wielokrotnie i zawsze wyglądał tak samo.

- Mama nic nie mówiła, że nie mogę grać w komputer.

- Aleja proponuję, żebyś dzisiaj nie grał, tylko porysował... Albo pobawimy się razem w piratów twoimi nowymi okrętami.

Rzucił okiem na nowe okręty, ale nie dat za wygraną.

- Mama nie mówiła, że nie mam grać.

- A ile godzin już grasz?

- Kilka. Co to za różnica?

Różnica tkwiła w tym, że kiedy ja miałam tyle lat co on, biegałam po osiedlu z Joasią, grałyśmy w gumę, robiłyśmy różne szalone rzeczy i większość czasu spędzałyśmy poza domem.

Dawid zawsze, kiedy przychodziłam do niego, siedział w domu. Słyszałam o jakichś kolegach, ale nigdy ich nie widziałam. Nie przychodzili do niego, nie wychodził do nich na dwór, nie słyszałam, by biegał po osiedlu, by w ogóle robił cokolwiek poza chodzeniem do szkoły i graniem w gry.

- Dzisiaj nie grasz, Dawid. Dzisiaj zrobimy coś innego. Dawid przyglądał mi się przez chwilę, jakby analizował, czy mówię poważnie, a potem sięgnął po słuchawkę od telefonu.

- Zadzwoń do mamy i spytam, czy mogę pograć w gry. Poczułam, że ogarnia mnie złość. Spróbowałam ją opanować, powiedziałam łagodnie:

- Nie ma sensu dzwonić do mamy. Po prostu zdaj się na mnie.

Z powagą skinął głową.

- To ja zadzwonię do mamy.

Wobec tego usiadłam na kanapie za jego plecami i patrzyłam, jak odpala grę.

Kiedy Dawid już spał, spacerowałam po mieszkaniu, dotykałam drogiego sprzętu Beaty, jej ekskluzywnych mebli, półek, na których znajdowały się kosztowne drobiazgi.

Beata kupowała bardzo wiele poradników dla kobiet. Jej półki zajmowały pozycje w rodzaju „Jak znaleźć wielkie szczęście”, „Jak przejść przez życie”, „Poradnik dla rozwódek”, „Kobiety są z Marsa a mężczyźni z Wenus” itp., itd. Czasami z nudów przeglądałam te właśnie poradniki i dowiadywałam się z nich różnych ciekawych rzeczy. Beata wkładała w nie pamiątki po swoim małżeństwie lub rzeczy, które w jej mniemaniu były niepotrzebne, a które ściągały mój wzrok. Znajdowałam tam zdjęcia jej eksmeża, który okazał się bardzo przystojnym mężczyzną, fotografie z jej młodości, wysuszone kwiaty, stare bilety do teatru, foldery z zagranicznych wycieczek.

Z tych drobnych pamiątek dowiadywałam się o Beacie więcej niż z całego urządzonego mieszkania i z trzech albumów zdjęć, które w większości poświęciła Dawidowi.

Dowiedziałam się na przykład, że Beata bardzo dobrze włada kilkoma językami, że wielokrotnie była we Francji i że pisała na swoim wydziale pracę magisterską o sztuce francuskiej.

Temat pracy magisterskiej bardzo mnie zaskoczył, więc szperając w jej rzeczach, dowiedziałam się w końcu, jaki kierunek kończyła. Kończyła romanistykę i przez dwa lata studiowała kulturo-znawstwo.

Zaskoczona tym odkryciem, zaczęłam szukać książek dotyczących się Francji, ale najwyraźniej przechowywała je albo w jakimś ukryciu, albo oddała komuś, bo niewiele znalazłam.

Udało mi się za to trafić na jej pracę magisterską i wieczorami czytałam ją sobie z prawdziwym zainteresowaniem.

Beata pisała bardzo dobrze, umiała zaciekawić, jej wiedza -rozległa i szczegółowa - pozwalała poruszać się swobodnie nie tylko na obszarze głównych nurtów rozwoju kultury francuskiej, ale także na ich obrzeżach, co owocowało często zaskakującymi dygresjami.

Tamtego wieczoru doszłam do najbardziej mnie interesującego rozdziału, dotyczącego się teatru francuskiego. Beata pisała o wpływie teatru na życie Francji, o kształtowaniu się teatru i jego roli w poszczególnych dobach historycznych.

Czytałam z wypiekami na twarzy...

I nagle trafiłam na nazwisko, które sprawiło, że niemal krzyknęłam.

Beata porównywała akurat teatry objazdowe z teatrami miejskimi, które istniały w Paryżu w osiemnastym wieku. Jako ciekawostkę wplotła obszerne fragmenty zapożyczone z francuskiej książki

O ówczesnym teatrze, a dotyczące się plac aktorów. Pomiedzy licznymi francuskimi nazwiskami w oczy uderzyło mnie znajome: Didier Perdr.

- Didier Perdr - powtórzyłam na głos, niezdolna zapanować nad emocjami. Zbyt dobrze pamiętałam głos Niny, gdy tłumaczyła mi nagranie z kasety Joasi. Zaraz też przypomniały mi się jej słowa o tym, że przyjaciel bohatera opowiadania jest aktorem i nazywa się Didier Perdr!

Z samego rana pojechałam do największej czytelnicy w Gdańsku. Miałam nadzieję znaleźć tam tłumaczenie książki, na którą powoływała się Beata i dowiedzieć się czegoś więcej o Didierze. Może nawet uda mi się znaleźć jego życiorys?

Oczywiście starałam się nie popadać w euforię. Samo nazwisko

i zgodność epoki nie były wystarczającym powodem, by uwierzyć w prawdziwość regresji hipnotycznej. Zbyt dobrze pamiętałam wywody naukowców na ten temat i ich sugestie, że w hipnozie ludzie

opowiadają zasłyszane albo przeczytane historie, uważając, że stanowiły one o ich poprzednim życiu.

Hamując ekscytację, zastanawiałam się, czy jest możliwe, że taka książka znalazła się kiedyś w moich rękach. Może działo się to, kiedy byłam mała. Może w szkole średniej. Istniała niska szansa na logiczne wyjaśnienie tej sprawy: jeśli byłam chociaż przez kilka chwil w posiadaniu kartek, na których znajdowało się nazwisko Didiera, mogło ono zapaść w moją podświadomość, która w hipnozie na jego bazie stworzyła całą historię.

Naukowcy potrafili także wytłumaczyć to, że w regresji posługiwałam się językiem francuskim. Podobno przypadków takich jak mój są tysiące! Umiejętność posługiwania się nieznanymi językami w stanie hipnozy tłumaczono niewykorzystywanymi normalnie zdolnościami umysłu. Podobno zahipnotyzowany umysł potrafi odtworzyć dokładnie zasłyszane niegdyś obszerne fragmenty obcej mowy, zachowując nawet poprawny akcent!

Udało mi się znaleźć książkę, ale niestety, w języku francuskim. Usiadłam więc przy stoliku, włączyłam lampkę i przeglądałam tekst, nerwowo szukając interesującego mnie nazwiska.

Znalazłam je na liście płac, a potem jeszcze raz, w krótkim rozdziale. Skserowałam natychmiast tę stronę i udałam się do mojej koleżanki ze studiów, Lidki.

Lidka posługiwała się francuskim raczej słabo, ale miała liczne słowniki, którymi mogłyśmy się obłóżyć i rozpocząć mozolne tłumaczenie.

- Oj, odmieniane czasowniki! - biadała. - Słabo znam czas przeszły. We francuskim ten czas ma trochę inne formy dla czasowników nieregularnych...

Nasze tłumaczenie okazało się bardzo nieudolne, ale dla moich potrzeb wystarczające.

Dowiedziałam się, że Didier Perdr był francuskim arystokratą, który porzucił rodzinę, by grać w teatrze. Autor powoływał się na niego jako przykład bezgranicznej miłości do teatru, jaką pałali Francuzi w osiemnastym wieku.

Dowiedziałam się, że miał trzech braci, którzy próbowali go wydziedziczyć, powołując się na degradację społeczną, jakiej miał ulec, przyłączając się najpierw do teatru objazdowego, a potem do paryskiego.

Potwierdzenie autentyczności postaci Didiera rozbudziło we mnie nadzieję na odnalezienie jego przyjaciela, którego podczas hipnozy uważałam za moje poprzednie wcielenie.

Lidka pomogła mi ułożyć pismo do francuskiego wydawcy z prośbą o udostępnienie kontaktu do autora. Wydawało mi się oczywiste, że jeśli dysponował tak rozległą wiedzą o przeszłości Perdra, będzie umiał pomóc mi odnaleźć jego przyjaciela.

Przez ponad miesiąc czekałam na odpowiedź z Francji. List od wydawcy przyszedł wcześniej rano. Odebrałam go z rąk listonosza i od razu pojechałam do Lidki.

- On pisze, że autor książki nie żyje od zeszłej jesieni - wydusiła z siebie Lidka po długich minutach zgłębiania tekstu.

Moja radość opadła, a wraz z nią nadzieja.

- Radzi ci, żebyś napisała do jakiegoś towarzystwa dokończyła Lidka opieszale. - Tu ci podał adres.

Skleciłyśmy od razu kolejny list, tym razem mejlowy. Odpowiedź przyszła po kilku dniach: towarzystwo dysponuje jedynie ryciną ukazującą scenę z przedstawienia, w którym występuje Didier Perdr i może mi przesłać fotografię tej ryciny.

Rycinę dostałam już następnego dnia po mojej odpowiedzi. Była bardzo dokładna.

Ukazywała grupę aktorów stojących frontalnie do widza.

Bardzo uważnie studiowałam ich twarze. Towarzystwo nie określiło, który z aktorów to Didier; najprawdopodobniej samo nie dysponowało taką wiedzą.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Sądziłam, że jakiś impuls się we mnie odezwie na jego widok, że moja pamięć wskaże mi właściwą twarz? Nic takiego się nie stało.

Aktorzy pozostawali dla mnie anonimowi mimo godzin spędzonych na wpatrywaniu się w ich oblicza.

- To dziwne - powiedziałam Joasi przez telefon. Od momentu, kiedy trafiłam na ślad Didiera, Joasia dzwoniła do mnie bardzo często, zafascynowana sprawą tak samo mocno jak ja.

- Co cię dziwi?

- To, że moja pamięć jest taka kapryśna. Ale tak jest chyba z każdym człowiekiem. Co naprawdę zaskakujące, to to, że u każdego inna epoka i inna historia wchłania się łatwiej w pamięć niż coś, co komuś innemu z kolei przychodzi łatwo. Każdy tak ma; rozumiesz, o czym mówię?

Joasia zastanawiała się przez chwilę, by w końcu przyznać mi rację:

- Tak. Dla mnie bardzo łatwo przyswajalna była wiedza tycząca się drugiej wojny światowej. Ta wiedza przychodziła mi tak prosto, jakby była dla mnie czymś, co już kiedyś znałam... Wiesz, jakbym uczyła się tego drugi raz.

- W moim wypadku tak jest z Paryżem i z osiemnastym wiekiem. O ile wyuczenie się historii Ameryki czy poznawanie wydarzeń w Austrii czy Anglii przychodzi mi z trudem, wiedza tycząca się Francji tamtych lat wydaje mi się banalnie prosta. Jest tak oczywista, jakbym poznała ją już kiedyś. I to dotyczy całej tej epoki. To jest tak, jakbym faktycznie żyła w tamtych czasach we Francji i znała już tamte wydarzenia. Tamta wiosna była czasem pisania listów. Pisałam do tak wielu osób, że prędzej czy później musiałam dostać właściwe odpowiedzi. Moje poszukiwania zaszły naprawdę daleko. Rozważałam nawet wyjazd do Paryża w celu odnalezienia teatru, w którym grał Perdr. Myślałam też o odnalezieniu jego dawnego mieszkania. Francja bardzo dba o swoje zabytkowe kamienice, więc była szansa, że mieszkanie aktora wciąż istnieje, może przerobione nie do poznania, ale wciąż w tych samych murach.

Zastanawiałam się, jak by to było, gdybym dotknęła murów tego mieszkania. Może to, czego nie umiałam dowiedzieć się z listów, stałoby się wówczas czytelne?

Odpowiedzi zaczęły napływać z końcem kwietnia. Jedno z towarzystw francuskich dysponowało portretem Perdra i obiecało mi go przesłać. Jakiś doktorant potwierdzał istnienie teatru, w którym grał Didier, i donosił, że wciąż odbywają się w jego gmachu przedstawienia teatralne!

W kolejnych listach napłynęły do mnie fotografie teatru. Przyszło też zdjęcie portretu samego Didiera.

Pamiętam dokładnie, jak je odbierałam. Byłam strasznie zdenerwowana, wpatrywałam się w mojego Outlooka i wypełniające się powoli kwadraciki.

Wiedziałam, że to jest właśnie to zdjęcie. Wiadomość była ciężka, szła do mnie przez łącza internetowe kilka najdłuższych i najbardziej męczących minut.

A potem, kiedy już ją miałam i zaczęłam otwierać, czułam się tak podekscytowana, że ledwie mogłam zebrać myśli!

Portret przedstawiał delikatną twarz młodego chłopaka. Miał wąski nos, drobne usta, duże okrągłe oczy i falujące jasne włosy.

O mój Boże! - pomyślałam niemal z paniką, wpatrzona w ekran komputera. Czy to możliwe, że patrzę na mojego przyjaciela?

Dopiero chwilę później zorientowałam się, że do zdjęcia dołączony został tekst.

Oczywiście musiałam z nim udać się znowu do Lidki, która pewnie na mój widok

załamywała już ręce. Na pocieszenie kupiłam dla niej bombonierkę czekoladek o

najbardziej wymyślnych kształtach, jakie znalazłam. Podałam jej czekoladki, do-

łączyłam do nich tekst i spytałam, czy mogłaby go przetłumaczyć. Na moje

nieszczęście Lidka miała gości i powiedziała, że zajmie się tym pod wieczór, po ich wyjeździe.

Wieczorem nie wytrzymałam i zadzwoniłam pierwsza.

- Przetłumaczyłaś już?

- Ach tak. - Lidka najwyraźniej spała, jej głos wydawał się senny i niższy niż zazwyczaj. - Przepraszam, że nie zadzwoniłam, ale wypadło mi to zupełnie z głowy.

- Nie przetłumaczyłaś?

- Ależ przetłumaczyłam, tylko zapomniałam zadzwonić... Usłyszałam szelest papierów i po chwili jej głos odezwał się znowu:

- Wiesz, to nic takiego. Piszą, że Didier żył bardzo krótko i mają na jego temat niewiele informacji. Zmarł ponoć w Paryżu, właściwie zginął w pożarze domu.

Piszą też, że mieszkał w kamienicy, która już dzisiaj nie istnieje. Została zburzona

zaraz po tamtym pożarze. Zginął w nim nie tylko sam Didier, ale też kilku innych

mieszkańców, w tym jego żona i przyjaciel z teatru, Adrian Legrant.

Aneta

Na miesiąc wcześniej należy sprawdzić, kto potwierdził uczestnictwo w weselu i na tej podstawie zweryfikować liczbę gości. Zaplanować rozsadzenie gości przy stole i listę przekazać organizatorowi.

Dokonać generalnej przymiarki strojów ślubnych - już ze ślubną fryzurą i makijażem. Skompletować walizkę, którą zabierzemy w podróż poślubną. Sprawdzić dekoracje oraz oprawę uroczystości.

Nie jestem dobrej myśli. Suknia ledwie się na mnie zapina i mama razem z tatą, sznurując gorset, urywają mi sznurówki, o których sprzedawczyni w sklepie mówiła z zadowoleniem, że „tych sznurówek to nawet królik nie przegryzie!”.

- Nie przegryzie! - krzyczę i zaczynam płakać. Stoję przed lustrem w sukni, mam na głowie próbne uczesanie sporządzone przez fryzjerkę, mama w rękach trzyma welon, a mnie po twarzy płynie Próbny Makijaż II. - Nie mogę tak iść!

- Sznurówka to nie jest dramat. Tata podwiezie suknię do zakładu i dadzą ci drugą - pociesza mnie mama.

- Nie chcę drugiej sznurówki! - histeryzuję. - Chcę moją!

Nie wiem, jak mam wyjaśnić mamie, że wcale nie wyglądam tak, jak myślałam, że będę wyglądać. Cholerne buty, które kupiłam wczoraj (białe i najdroższe w świecie, z przepięknymi „modnymi, droga pani, modnymi!” czubami) tak mnie cisną, że nie wykonam w nich nawet tańca na rozpoczęcie wesela, nie mówiąc już o katordze stania w nich w kościele i odbierania kwiatów.

Zresztą nie tylko z butami jest problem. Cała ja wyglądam jak jedno wielkie nieszczęście. Uczuliłam się na jakiś nowy płyn do zmywania makijażu i mam twarz w czerwono-białe łaty. Wyglądam jak krowa. Jak gruba krowa w łatki!

Szlocham tak rozdzierająco, że rodzice czują się kompletnie załamani.

Mam ochotę powiedzieć im, że to ja jestem załamana. Jestem, bo zamiast spędzać z nimi te ostatnie dni, ja robię okrutny dyplom, który niszczy mi paznokcie i dłonie!

Mam ochotę krzyczeć, że chcę posiedzieć z rodzicami w domu, bo to moje ostatnie tu chwile.

Płaczę, bo nie chcę stąd odchodzić, chociaż Marek tak ślicznie pomalował ściany na wybrany przeze mnie kolor „śmietanka”. I chociaż upatrzyliśmy takie prześliczne meble, o których zawsze marzyłam.

Chcę mojego pokoju, chcę mojego łóżka, chcę za rok wciąż tu być, chcę spędzić z rodzicami wakacje i święta i nie chcę zmieniać nazwiska!

Szlocham i szlocham. Słyszę, że tata gdzieś dzwoni i myślę sobie, że powinien zadzwonić po pogotowie, bo nikt ze znajomych nie jest w stanie mi pomóc. Ujmuję suknię w dłonie i człapię wielkimi krokami do swojego pokoju, wciskam się z trudem w kanapę, na co moje fiszby reagują głośnym chrobotem i płaczę jeszcze bardziej, bo Markowi suknia się nie podoba i nie będę wcale najładniejszą panną młodą!

Nie mija nawet godzina, gdy do mojego pokoju uchylają się drzwi i widzę w szparze twarz Magdy.

- Anetka, mogę wejść?

Nie wiem, co robi tu Magda, ale zaraz myślę, że może tata ją tu ściągnął.

Poszlochuję i mówię, żeby weszła, ale żeby na mnie nie patrzyła, bo jestem najbrzydszą panną młodą na świecie. Mam ochotę krzyknąć: Dlaczego nie ma tu Niny? Dlaczego mój świadek nie wspiera mnie w takich potwornych sytuacjach?! Dobrze wiem, dlaczego. Bo w swojej głupocie wybrałam sobie na świadka nieodpowiedzialną dziewczynę, która jest hen, hen, w ciepłych i ładniejszych od Polski krajach. I którą gównem obchodzi mój dyplom i mój ślub!

- Co się dzieje? - pyta Magda, autentycznie zmartwiona. - Kochanie, dlaczego tak gniesz swoją suknię?

Gniotę, bo i tak jest brzydka.

- Markowi się nie podoba! - wołam i znowu płaczę. Magda kuca przy mnie, zmusza, żebym na nią spojrzała.

- Dlaczego tak myślisz?

W odpowiedzi tylko szlocham, więc Magda szuka innego wyjścia z sytuacji: -Ijak buty? -Źle!

- Bolać cię palce? -Tak!

Widzę, że zastanawia się nad czymś, przenosi wzrok na moją twarz.

- Wiesz co? Może skoro już jesteś w sukni, to bym zrobiła ci inny makijaż i inną fryzurę.

Pociągam nosem.

- Inną?

- Uhm. Bardziej odpowiednią.

Niepewnie prostuję się i przestaje mi się chcieć płakać.

- To wszystko przez dyplom - tłumaczę niezdarnie. - To już za dwa dni, a ja mam tylko buty na paseczkach. A ma padać, wiesz, prawda?

Magda jest cierpliwa i nie widać, by moje przemyślenia wprawiały ją w zadumę. Kiwa głową.

- Tak, wiem. Ma padać i zmokną ci paseczki. Rozumiem.

- Rozumiesz? - upewniam się.

- Tak, chodź, zrobimy cię na bóstwo.

Kiedy prawie dwie godziny później mama i tata patrzą na mnie, wcale nie jestem już załamana. Może i mam dalej łaciatą twarz, ale Magda gdzieś ukryła tę łaciatność pod licznymi pudrami i wygląda to dobrze. Sznurówkę tata przywiezie jutro, więc nie mam się co martwić. Poza tym buty aż tak mnie nie cisną, a tata zanieś je do rozciągania i będzie jeszcze lepiej. Nie wspominając fryzury. Nie wiem, co Magda zrobiła z moimi włosami, ale wyglądają pięknie: kręcą się, połyskują, wydają się ciężkie i elastyczne - podobają mi się. Oczy też jakby większe.

I wcale nie utylłam aż tak bardzo. Trzy kilo to jeszcze nie tragedia. Zresztą od jutra nic nie jem.

To jakiś koszmar! Tego się nie da przeskoczyć w żaden sposób!

Marek wcale nie jest zainteresowany usadzeniem gości, a przecież takie usadzenie to najgorsza rzecz pod słońcem! Rozrysowałam sobie stoły w podkówkę - tak będą ustawione - przeliczyłam gości i miejsca i nagle okazuje się, że to wcale nie jest takie proste.

- Przy stole weselnym ma siedzieć rodzina! - obwieszcza mama, więc czuję się jeszcze bardziej zagubiona, bo jakoś mi się ta rodzina wcale nie mieści.

- Jak to rodzina? Przy weselnym stole może siedzieć osiem osób, to znaczy ja i Marek, ty i ojciec, rodzice Marka i jeszcze dwie osoby, czyli świadkowie.

- Wujkowie - sprzeciwia się mama.

Wcale nie jestem pewna, czy rodzice Marka będą wystarczająco ustępliwi, by w tej sytuacji do weselnego stołu nie brać dwójki osób

od siebie. Okazuje się, że istnieje podział na gości ważniejszych i mniej ważnych. Moje koleżanki są mniej ważne i mają siedzieć na końcu podkówki, a bardziej ważne osoby, czyli rodzina, mają być jak najbliżej.

- Druga noga podkówki będzie wyglądać tak samo - przekonuje tata. - Na pewno rodzice Marka posadzą jego kolegów na samym końcu.

Marszczę brwi nad rysunkiem.

- Zaraz, zaraz, to idiotyczne! Dlaczego młodzież ma być rozsadzona na dwa stoły?

- Ponieważ to młodzież z dwóch rodzin.

Nie chcę się z nimi na razie wyklócać, bo mam dość problemów i bez tego, ale wydaje mi się to jakieś niesprawiedliwe. Rozrysowuję młodzież na końcu jednego stołu i obliczam, ilu ich będzie. No i teraz nadchodzi najgorsze, bo przecież nie usadzę Niny obok Magdy. Nina powinna siedzieć koło mnie,

- O ile w ogóle przyjedzie - wtrąca kąśliwie tata, więc mierzę go lodowatym spojrzeniem.

- Nina powinna siedzieć przy stole prezydialnym, bo jest świadkiem! - wtrąca babcia, która przybyła do nas w odwiedziny na kilka dni, by „nacieszyć się wnusią”¹.

Nie wiem, od kiedy stół, przy którym siedzimy, nosi nazwę prezydialny, ale wygląda na to, że wszyscy w mojej rodzinie nazywali go tak już od dłuższego czasu, bo nikt nie reaguje zdziwieniem.

- Nie można tak skrzywdzić Niny i świadka Marka. Trzeba posadzić ich z nami! - oponuję.

\ Rozmowy toczą się i toczą w nieskończoność, aż zaczynam robić się nerwowa.

Kompletnie nie wiem, kto kogo ma siedzieć, nagle okazuje się, że młodzież wcale się aż tak dobrze nie zna, bo jak zaczynam ich rozsadzać, to zaraz myślę, że nie będzie im się akurat tak dobrze siedziało. Zresztą, pieprzyć to!

Mój wieczór panieński ma się odbyć najpierw u Magdy a potem mamy przenieść się do naszej ulubionej knajpki nadmorskiej. Przyjeżdżam do Magdy wcześniej, żeby pomóc jej w przygotowaniach. Nie wiem, dlaczego Magda uparła się, że zrobi dla

wszyst-

kich dziewczyn kolację. To chyba do mnie powinno należeć, ale ona tak nalegała. Z nieba leją się strugi deszczu. Kiedy wczłapuję do Magdy, zostaje po mnie gigantyczna kałuża, którą Magda ściera. Wszystko jest już przygotowane i właściwie mogę tylko usiąść i czekać, aż przyjdą dziewczyny.

- Dziewczyny z Warszawy przyjechały? - pytam z nadzieją.

- Nie przyjechały.

Dziwi mnie, że tak zaważyły sprawę, ale zaraz przypominam sobie, że nie one jedne mnie olewają w ostatnim czasie.

Myśl o Ninie sprawia, że ogarnia mnie narastający strach. Przyglądam się nerwowo plecocom Magdy, gdy układa przekąski na talerzu i przyozdabia je różnymi warzywami. Robi to tak dobrze, że nie ma sensu, żebym sama się do tego zabierała.

- Magda? - pytam w końcu głosem nabrzmiałym z nerwów. Odwraca się do mnie zaskoczona.

- Co się dzieje, Anetka? Czym ty się zamartwiasz? Nabieram głęboko powietrza i wypuszczam je ze świstem. Nie

wiem, jak powiedzieć o tym, co spędza mi sen z powiek i co sprawia, że ostatnio strasznie źle sypiam. Pocieram oczy i wyrzucam z siebie:

- Jeśli nie przyjedzie Nina... czy będziesz moim świadkiem?

Magda patrzy na mnie tak zaskoczona, że mam ochotę się roześmiać mimo ciężaru całej tej koszarnej sytuacji. W myślach klnę Ninę. No tak, myśle wściekła, tyle mi przyszło z takiego zasranego świadka, że w wieczór panieński najchętniej zakopałabym się w pościeli i płakała na całe gardło!

Magda marszczy brwi i kuca naprzeciwko mnie. Stara się nadać spokój swojemu głosowi:

- Dlaczego sądzisz, że Nina nie przyjedzie? Masz podstawy, by tak uważać?

Och, Boże! Mam tyle podstaw, żeby sądzić, że Nina nie przyjedzie, że wierzyć mi się w to nie chce! Zamykam oczy, a potem, kiedy je otwieram, czuję, że są pełne łez. Nie potrafię nad tym zapanować. Zaczynam płakać.

Magda odsuwa mi ręce od twarzy, patrzy na mnie, wciąż zaskoczona i zmartwiona.

- Ja reagowałam bardzo podobnie do ciebie przed moim ślubem. Też zamartwiałam się sprawami bez znaczenia, więc...

- To nie jest bez znaczenia! - krzyczę, szlochając i już wiem, że żadną siłą nie powstrzymam łez i gniewu, który we mnie narasta. Jestem wściekła. Jestem taka wściekła, że najchętniej kopnęłabym jakiś przedmiot albo rzuciła czymś. Nie mogę się powstrzymać, krzyczę:

- Jestem taka wściekła na nią! Jestem taka wściekła!

Magda stara się zrozumieć to, co chcę jej powiedzieć. Ale przecież nic nie zrozumie. Nie może. Nikt nie jest w stanie zrozumieć tego, co zrobiła mi Nina. I nie chodzi mi wcale o to, że zniknęła miesiąc temu z mojego życia, bo to akurat było do przewidzenia i wszyscy mnie przed tym ostrzegali. Nie chodzi też o to, że wyjechała beze mnie, bo wiem, że pewnie i tak nie pojechałabym z nią. Chodzi o wszystko inne, czego nie mogę wykrzyczeć teraz do Magdy, chociaż bardzo tego potrzebuję. Złość gromadzi się we mnie i sprawia, że płaczę coraz rozpaczliwiej, aż Magda zaczyna głaskać mnie po włosach i przytulać. Sądzi, że mnie uspokoi, ale tak się nie stanie.

- Mam jutro obronę... - mówię między jednym rozpaczliwym szlochnięciem a drugim. - Mam jutro obronę, a nie wiem, co powinnam mówić!

To nie jest prawda. Teraz już nic mnie nie obchodzi obrona. I tak się obronię, bo przecież podłemu profesorowi o dziwo bardzo podoba się mój dyplom.

Wiem, że chodzi tylko o nią. I że nigdy jej tego nie wybaczę.

Tamtej wiosny, dwa lata temu, Nina roztaczała przede mną wspaniałe wizje tego, co będzie się dziać w Paryżu. Opowiadała mi o tym całymi godzinami. Błyszczały jej wtedy oczy, głos drżał od nadmiaru emocji, dłonie czasami dotykały moich rąk.

- Wolność! To jest słowo, które kocham najbardziej! - wołała, unosząc do góry ręce, kiedy złapany na stopa czerwony sportowy wóz z otwartym dachem nabierał prędkości na autostradzie i wymijał w ekspresowym tempie sznur ciężarówek.

Krzyczała, nasz kierowca śmiał się głośno razem z nią, chociaż nie miał pojęcia, co ona krzyczy, bo nie znał polskiego. Kierowcy

mijanych ciężarówek machali do niej, niebo nad nami było czyste i niebieskie, a droga ciągnęła się aż po horyzont.

Pamiętam wiatr wywołany prędkością, który tak mocno targał moimi włosami, że kierowca musiał w końcu zamknąć dach. Wtedy Nina odwróciła się do mnie na siedzeniu i powiedziała podnieconym głosem:

- Chcę tam kiedyś wrócić!

- Ale gdzie?

- Do Paryża... Chcę tam wrócić, kiedy już skończę studia. Wynajmę jakieś mieszkanie, znajdę pracę i zostanę tam już do końca życia!

Ależ jej łatwo przychodziło planowanie takich nierzeczywistych spraw. Życ i umrzeć w Paryżu - to brzmiało romantycznie, niemal jak ostatnie słowa jakiegoś bohatera francuskiego dramatu. W ostatniej scenie w jakimś filmie ktoś powinien powiedzieć właśnie coś takiego: Chcę umrzeć w Paryżu... i cała sala kinowa zalałaby się łzami.

Dla Niny Paryż był rzeczywisty. Miała tam rodziców, miała wspomnienia o swoim Mounde, znała ulice i znała francuskie słowa. Mój francuski pozostawiał wiele do życzenia. Poza tym Marek strasznie nie lubił Francuzów. Twierdził, że chociaż jest to niewątpliwie bardzo piękny kraj, mentalność ludzi staje się tam potwornie laicka. Miałam ochotę powiedzieć to Ninie. Powiedziałam więc:

- Oj, Paryż jest pięknym miejscem, ale polityka Francji ostatnich lat jest okropna. Roześmiała się i objęła rękami oparcie swojego fotela:

- Właśnie to jest piękne, ten paradoks, który sprawia, że Francuzi wybudowali jedne z najpiękniejszych kościołów Europy, a teraz wyrzucają religię ze swojego życia, ze szkół i najchętniej usunęliby ją z konstytucji swojego kraju!

-1 to ci się podoba? Chciałybyś mieszkać w takim kraju? - spytałam z niedowierzaniem i zaraz poczułam się podle; jakbym cytowała Marka. Tak naprawdę to nic mnie nie obchodziła polityka Francji, jakaś laicyzacja tamtejszego życia i wypieranie religii ze szkół.

- Ale co z tego, skoro mają takie piękne katedry?

- To chyba jednak jest ważne.

Przestała się uśmiechać i zamyślane spojrzenie utkwilo w oknie.

- Tak myślisz?

- Myślę, że nie jest to ważne, kiedy chcesz spędzić we Francji kilka tygodni. Staje się ważne, kiedy chcesz tam spędzić resztę życia, posłać dzieci do francuskich szkół i brać udział w wyborach...

Myśl o Ninie drepczącej, by oddać swój głos na jakiegoś polityka, wydała mi się absurdalna, aż śmieszna. Jej nie obchodzili politycy. Nie byłabym zaskoczona, gdyby nie miała pojęcia, kto jest ministrem skarbu, a kto ministrem zdrowia w Polsce. I tak cud, że przy jej niechęci do telewizji i przy braku zainteresowania podstawowymi sprawami politycznymi wiedziała, kto jest u nas premierem.

Obchodziła ją tylko sztuka i jej własne szczęście. Mogłaby budować je nawet w jakimś komunistycznym kraju, byle nie bronili jej ubierać się jak chce i malować co chce. Nic ją nie obchodziły ustroje na świecie, systemy polityczne, jej znajomość historii była żenująca. Płakała tylko jak dziecko, kiedy czasami trafiała na jakąś audycję o głodzie w afrykańskich krajach albo zobaczyła w telewizji program o ucisku ludzi przez jakieś podłe władze.

Pamiętam, jak w Warszawie przybiegła do mnie kiedyś na stację zryczana jak bóbr. Nie mogła otworzyć ust, tak płakała. Stała w drzwiach mojego mieszkania i zalewała się łzami. Dopiero po kilku minutach wydusiła z siebie, że widziała w telewizji jakiś straszny program o Pol Pocie. Nie mogła znieść myśli, że pod jego władzą kobiety zjadały własne dzieci i gotowały zupę z trawy, żeby nie umrzeć z głodu.

„Och, Boże! - zanosila się szlochom. - Jak można czynić takie zło? Jak można doprowadzać ludzi do takiego okropnego stanu?!”.

Może właśnie dlatego wyjazd na wolontariat do Afryki przez długi czas był jej wielkim celem. Nie interesowało jej, na co naraża się w Afryce, bo prawdopodobnie nie miała o tym zielonego pojęcia. Interesowała ją tylko strona czysto filozoficzna takiego wyjazdu: chęć czynienia dobra. Pewnie wyobrażała sobie siebie w stroju pielęgniarki w jakimś prowizorycznym szpitalu, jak pochyla się nad umierającym Murzyniątkiem i przytyka mu do spękanych ust kubek wody. Kiedy powiedziałam jej, że w Somalii, która była ce-

lem jej wyprawy, panują różne straszne choroby, popatrzyła na mnie tak zaskoczona, że aż zrobiło mi się głupio.

- Dziwne, że mówisz coś takiego - powiedziała kilka godzin później, kiedy nasz kierowca odjechał już w swoją stronę, a my znowu stałyśmy na zapyłonej autostradzie i machałyśmy na inne samochody. Od północy wiał chłodny wiatr, pył brudził nam nogi i twarze, w powietrzu unosił się zapach benzyny i spalin. Nina założyła okulary przeciwsłoneczne i popatrzyła na mnie uważnie. - Wiesz, boja zawsze myślałam, że podzielasz moje marzenia.

Uśmiechnęła się, opuszczając dłoń, mimo że akurat nadjechał prawie pusty samochód.

Taka byłam zła na siebie o całą tę rozmowę na temat polityki Francji. Oczywiście, że podzielałam wiele marzeń Niny. Może nie było moim wielkim pragnieniem dokarmianie małych Murzyniątek o splekanych ustach, bo Marek przez ostatnie trzy lata wyczulił mnie w dużej mierze na podstawową wiedzę w zakresie polityki i gdybym miała wybrać do życia jakieś inne państwo niż Polska, to na pewno wcześniej dokładnie zbadałabym jego historię. Ale kiedy Nina tak ładnie opowiadała o wolontariacie, myślałam, że mogłabym pojechać tam z nią chociaż na jakiś czas.

- No wiesz... - patrzyła na mnie pogodnie, jakby to, o czym rozmawiałyśmy, było czymś bardzo przyjemnym - marzyłam, że na stare lata obie będziemy mieszkać w Paryżu. Że będziemy starymi, pomarszczonymi babami, ale zawsze będziemy się spotykać. Że będziemy siedzieć na tej samej ławce nad rzeką i karmić gołębice. Czułam, jak cała twarz mnie pali od jej słów. Pewnie robiłam się czerwona jak burak. Niny marzenia były takie proste: ja i ona na ławce w Paryżu, karmiące gołębice. Nie było w nich miejsca na Sebastiana ani na Marka. Pewnie nawet przez myśl nie przeszło jej, gdzie oni byliby wówczas, gdy my siedziałybyśmy na tej ławce.

- Nina, chciałabym, żeby tak było. Ale nie sądzę, żeby Markowi podobało się życie we Francji.

- Markowi? - spytała zaskoczona. - Mój Boże, a co Marek ma do tego? Miałam ochotę się roześmiać.

- Jesteśmy zaręczeni. Przecież planuję z nim ślub.

Zamrugnęła oczami, nagle kompletnie zmieszana i zaraz zaczęła się śmiać.

- Och, więc to już tak na poważnie?

- Skoro się zaręczyliśmy, to jak może nie być na poważnie? Nina nie chciała zaręczyć się z Sebastianem, chociaż był czas,

że namawiał ją na małżeństwo. Powiedziała mi kiedyś, że prawdopodobnie

Sebastian jest tylko przystankiem w jej życiu. Znaczył dla niej niemal tyle, co nic.

Lubiła go; powiedziała mi, że uwielbia z nim przebywać, ale nigdy nie powiedziała, że go kocha. Czasami miałam wrażenie, szczególnie wtedy, kiedy poznałam

Sebastiana i uświadomiłam sobie, jak bardzo jest w niej zakochany i zafascynowany nią, że Nina traktuje go jak nic normalności. Był jakimś kawałkiem normalności w jej pokręconym życiu. Mogła do niego wracać, mogła zawsze na niego liczyć, mogła powiedzieć, że ma faceta.

Objęła mnie i roześmiała się, widząc moją dziwną minę.

- Nie złość się na mnie...

- Nie złość się.

- Zrobimy tak... - Popatrzyła mi w oczy. - Skoro nie będziemy kiedyś siedzieć na tej cholernej ławce w Paryżu i skoro ty faktycznie chcesz dokonać swojego żywota u boku Marka, to zrobimy tak, że pojedziemy teraz do Paryża i będziemy się tam bawić tak, jakby to był ostatni tydzień naszego życia. Dobrze?

Mimo woli zaczęłam się uśmiechać.

- Ostatni tydzień naszego życia?

- Tak. Będziemy się bawić najlepiej jak można. Wrócimy zmęczone i nieprzytomne od ilości trunków, od papierosów i tańca. Wrócimy szczęśliwe, bo wszystko, co można powiedzieć o radości i zabawie, powiemy tam, w Paryżu. Może tak być?

Patrzyłam na nią. Oczy jej błyszczały - ona myślami już tam była. Wcale nie stała na tej zakurzonej drodze i nie widziała sznurów samochodów. Była w Paryżu.

I po raz pierwszy pomyślałam, że chciałabym faktycznie być tam z nią. Przeżyć

życie właśnie tak, jak ona to robiła, na stare lata siedzieć z nią na ławce i wspominać

wszystkie te szalone lata, które spędziłybyśmy razem. Pomyślałam, że będąc z nią,

nie czułabym braku Marka, a z Markiem zawsze odczuję brak Niny. A najgorsze

będzie to, że życie, do którego wrócę po tej wycieczce, bę-

dzie życiem, które tak naprawdę ciągle będę chciała porzucić. Bo Nina sprawiła, że wszelka przytulność, spokój i rutyna napawają mnie obrzydzeniem.

Stojąc na tamtej drodze i czując we włosach chłodny wiatr, przewidziałam jeszcze coś, co stało się faktem już kilka tygodni później. Przewidziałam, że już zawsze, gdziekolwiek będę i cokolwiek będę robić, zawsze będzie towarzyszyć mi uczucie, że to tylko namiastka czegoś większego.

Joasia

Mój tata dzwoni, żeby spytać, jak sobie radzę i czy nie chciałabym przyjechać do niego na kilka dni do Gdyni.

- Mam teraz dużo pracy, ale niedługo będą święta... - odpowiadam, zaskoczona jego propozycją.

Tata rzadko do mnie dzwoni. Po śmierci mamy strasznie się od siebie odsunęliśmy. Kiedy jeszcze żyła, była łącznikiem między nami, ale po jej pogrzebie wszystkie nici nas łączące rwały się jedna po drugiej.

Tata bardzo ciężko przeżył zniknięcie Darii i jej poszukiwania, które ciągnęły się latami.

Kiedy różni ludzie dzwoniли do nas z propozycjami zrobienia programu o Darii, który miałby pomóc w odnalezieniu jej, tata coraz bardziej zamykał się w sobie.

Wspominanie Darii, pokazywanie jej zdjęć obcym ludziom, ciągłe pytania i kompletny brak odpowiedzi wysysały z niego całą energię. Oddalał się, coraz bardziej pogrążony we wspomnieniach, coraz bardziej zamyślony.

Wiem, że w rok po zniknięciu Darii nabawił się nerwicy. Mama opowiadała mi, że budził się w nocy, bo nie mógł złapać oddechu. Czasami płakał.

Kiedy dzwoniли do nas z policji, że natrafili na jakiś ślad, popadał w przesadny optymizm. Ten optymizm prawie natychmiast zniknął, bo policja kierowała się poszlakami, które kompletnie do niczego nie prowadziły.

Ludzie z całej Polski dzwoniли do detektywa prowadzącego sprawę Darii, kiedy w telewizji puszczono w 997 program o niej. Twierdzili, że widzieli ją w Krakowie, w Poznaniu, w Białymstoku.

Kilka osób widziało ją na lotnisku albo na stacjach kolejowych. Policja nie mogła ustalić jednej wersji przebiegu zdarzeń, gubiła się pod naporem sprzecznych informacji. Musieli sprawdzać każdy trop, a każdy prowadził donikąd. Powstawało tylko coraz więcej pytań.

Tata nie radził sobie z tym. Wahania nastrojów od optymizmu po skrajny pesymizm wyczerpywały go. Kiedy jeszcze doszła choroba mamy, stało się jasne, że to właśnie on powinien skorzystać z pomocy jakiegoś specjalisty. Oczywiście nie skorzystał, bo całe życie unikał lekarzy jak ognia.

Po śmierci mamy zamknął się w sobie. W mieszkaniu, które dzieliliśmy, ja musiałam przejąć większość obowiązków. Tata zaniedbywał mnie. Całymi dniami spał albo czytał książki i gazety. Nie interesował się obiadami, rachunkami, mną. Musiałam zacząć orientować się we wszystkim. Siedziałam na podłodze z tonami rachunków i wydruków komputerowych, które dla mnie równie dobrze mogłyby być napisane po chińsku. Czytałam to wszystko od deski do deski, bo musiałam zorientować się, w którym banku trzeba płacić raty za samochód, a gdzie należy wpłacać należność za prąd.

Wtedy właśnie dowiedziałam się, jak ciężka jest nasza sytuacja finansowa. Nie tylko wszystkie oszczędności rodziców poszły na poszukiwania Darii, ale jeszcze zaciągnęli wielki kredyt, który trzeba było spłacić. Potem wzięli kolejną pożyczkę w banku, kiedy mama zachorowała.

Siedziałam więc po uszy w papierach i poznawałam je krok po kroku, żeby niczego nie przeoczyć. Wszystko musiało zostać zapłacone na czas, bo nie stać nas było na płacenie karnych odsetek.

Na drugim roku fotografii wzięłam dziekankę. Zatrudniłam się najpierw w sklepie, a potem w firmie zajmującej się wystrojem wnętrz. Dzięki tej drugiej pracy w ciągu roku nauczyłam się tak wiele o tym fachu, że zaczęłam zdobywać własnych klientów.

- Wyciągnę nas z kłopotów - obiecywałam tacie, bo chociaż nie wykazywał zainteresowania ani moją pracą, ani kredytami, ani w ogóle niczym, czułam, że zżera go strach.

Teraz mój tata mieszka w dwupokojowej kawalerce w Sopocie i nie musi w ogóle niczym się przejmować. Regularnie wysyłam mu

pieniądze, sama płacę tamte wszystkie kredyty. Obiady gotuje mu opłacona przeze mnie kobieta. Tata ma zresztą od roku przyjaciółkę, która we wszystkim mu pomaga.

- Przyjadę na święta - mówię i gryzę się w język, żeby nie powiedzieć o pocztówce od Izy. Gdybym mu powiedziała, mógłby znowu wpaść w euforię. Lepiej, jeśli nie będzie niczego wiedzieć, póki ja się nie upewnię, czy moje podejrzenia są słuszne.

- Jak chcesz, Asiu.

Robi mi się go żal i poprawiam się pospiesznie.

- Wpadnę jeszcze przed świętami. Może w przyszłym tygodniu.

- A jak twój przyjaciel? - pyta tata już pogodniej. Przekładam słuchawkę do drugiej ręki, staram się, by w moim głosie wciąż brzmiał spokój.

- Pozdrowię go od ciebie, tato.

W pociągu do Krakowa jestem niemal sama. Wagon jest słabo ogrzewany, więc siedzę z płaszczem narzuconym na ramiona.

Za kilka godzin spotkam się z Michałem i może uda mi się wreszcie trafić na jakiś konkretny ślad. Układam sobie pytania do niego. Przez telefon niewiele mu powiedziałam. O Darii nie mówiłam prawie wcale, a on nie pytał. Jeśli jest tak, jak myślę, Michał zapomniał o Darii, tak jak się zapomina o przelotnej wakacyjnej znajomości sprzed lat.

Michał okazuje się wysokim mężczyzną z chmurą ognistych włosów na głowie.

Ubiera się jak hipis, w wyświechtaną kurtkę i poszerzane dołem spodnie. Jest strasznie nerwowy, jak nie obgryza paznokci, to pali papierosy, a jak nie pali i nie obgryza, to bawi się różnymi przedmiotami, które są w zasięgu jego rąk.

- Więc jesteś siostrą Darii. - Patrzy na mnie uważnie. Pewnie nie pamięta, jak Daria wyglądała i stara się po moim wyglądzie cokolwiek sobie przypomnieć. Tyle że ja nie jestem do niej podobna i nigdy nie byłam.

Siedzimy w kawiarni na Starym Mieście. On nie zdjął kurtki, tylko ją rozpiął, czapkę trzyma na kolanach, jakby zaraz miał wstać. Kiedy podchodzi kelnerka, prosi ją o popielniczkę, a nie o kawę.

Ja zamawiam herbatę. Z narastającą odrazą przypatruję się jego obgryzionym paznokciom. Tak bardzo je wygryzł, że muszą go bo-

leć. Unoszę wzrok na jego twarz o szczupłym ostrym nosie i przesuwam spojrzeniem po ustach, które całowała Daria. Usta ma ładne. Może nawet w przeszłości był bardziej atrakcyjny, niż jest teraz.

- Koleżanka Darii powiedziała mi o tobie.

- Co powiedziała o mnie?

Staram się nie zwracać uwagi na różne detale, ale wciąż je dostrzegam. Nie mogę pochwycić jego spojrzenia, bo unika konfrontacji wzrokowej. Strasznie się denerwuje: trzepie nogą pod stołem, skubie coś w rękach, a kiedy pali papierosa, nie zwraca uwagi na popiół i najczęściej popiół spada na podłogę, kiedy on przypomina sobie o papierosie i unosi go do ust.

Zastanawiam się, czy zawsze taki był. Przekonuję się w duchu, że piętnaście lat temu był na pewno pięknym maturzystą z ognistymi włosami i namiętymi ustami.

- Powiedziała, że spotykałeś się z moją siostrą. Wiem, że pisała do ciebie listy.

- Nie mam jej listów.

- Więc nie pisała ich?

Przez ułamek sekundy udaje mi się przechwycić jego spojrzenie. Jest w nim coś niepokojącego. Same nerwy. On pospiesznie odwraca wzrok.

- Pisała, ale już ich nie mam. Gdzieś poginęły. Dlaczego mnie o to pytasz?

Postanawiam jakoś okrążyć temat i podejść go z innej strony.

- Poznaliście się na wakacjach, prawda? Przyjeżdżałeś do Strzyżewskich z mojego bloku.

Kiwa głową i zaraz zapala nowego papierosa. -1 co z tego? - pyta, patrząc na mnie z ukosa.

- Po prostu pytam.

- Przyjeżdżałem. Jakie to ma znaczenie po piętnastu latach? Zaskakuje mnie, że podał tak precyzyjnie liczbę lat dzielących

nas od tamtej chwili. Czy to możliwe, że po moim telefonie roztrząsał, kiedy miał romans z Darią i że wyliczył to sobie w latach? Ignoruję jego rozdrażnienie.

- Potem już nie przejeżdżałeś?

- Czuję się jak na przesłuchaniu - denerwuje się on. - Powiedz mi, o co chodzi, bo nic z tego nie rozumiem!

Odchylam się na krześle i zaczynam tłumaczyć:

- Interesuje mnie twoja znajomość z Darią. Czy nie możesz mi o tym opowiedzieć?
- Ona ci nie mówiła?
- Ona... - zaczynam i milknę; waham się tylko chwilę: - Ona zniknęła w maju, w rok po tym, jak się poznaliście.

Teraz patrzy na mnie. Patrzy zaskoczony i nagle dziwnie wyciszony.

- Jak to zniknęła? Gdzie? - Nawet jego głos staje się cichy i jakiś spokojniejszy.
- Nie wiem, gdzie. Usiłuję się tego dowiedzieć, dlatego przyjechałam tu.

Powtarza zszokowany:

- Jak to zniknęła? Dobrze jej szukaliście? Może związała? Kręcę głową z rozdrażnieniem.

- Dlaczego myślisz, że mogła związać?

- No przecież ludzie często uciekają...

- Pisała ci coś na ten temat? Miała takie plany?

Ale on mnie nie słyszy. Podpiera głowę na jednej ręce i patrzy gdzieś w dal. Kiedy się odzywa, w jego głosie słyszę tylko zdziwienie.

- Kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz, siedziała na schodach przy sklepie i piła colę. Wyglądała tak ładnie. Obok niej siedziała ta jej gruba koleżanka... - Kręci głową do wspomnień, zamyśla się coraz głębiej. - Była taka śliczna. Siedziała na schodach w jakichś krótkich spodniach i miała najładniejsze nogi, jakie widziałem... Zobaczyła mnie. Piła colę, słońce miała za plecami, pamiętam nawet jej pasiasty sweterek... Zobaczyła mnie i uśmiechnęła się. Tak ładnie. Tak miło...

Przypomina sobie o mojej obecności i marszczy brwi.

- Zgłosiliście to na policję?

- Oczywiście że tak. Co to za głupie pytanie?

Patrzy na mnie jakoś dziwnie, jakby czegoś nie rozumiał. Sięga po swojego papierosa i kiedy unosi go do ust, popiół spada na podłogę. Mówi z jakimś rodzajem gniewu, którego nie rozumiem:

- Nie jesteś do niej podobna. Wcale!

Z Krakowa wracam z niczym. Zaczynam podejrzewać, że Basia miała rację i że niczego nie uda mi się znaleźć po tylu latach.

Dzwonię do Basi i mówię z narastającym znużeniem:

- Ta pocztówka... Sama już nie wiem.
- Mógł ją wysiać każdy.
- Nie podpisał się.
- Ludzie robią różne dziwne rzeczy. Może chciał się podpisać, ale wrzucił ją razem z innymi kartkami kierowanymi do różnych ludzi.
- Miała znaczek.

- Co z tego? Ja też czasami kupuję kartki i najpierw naklejam na nie znaczki. A potem leżą u mnie latami na biurku i kompletnie

O nich zapominam. To mógł być przypadek, naprawdę.

Opieram głowę na dłoni, zupełnie jak Michał w kawiarni. Basia odzywa się po chwili:

- Gdyby nawet to była ona... Co byś jej powiedziała po tych wszystkich latach? Jej pytanie zaskakuje mnie. bo nigdy sama sobie go nie zadałam.

Nie wiem, co powiedziałabym Darii po latach. Może Basia ma rację. Może nie umiałabym z nią rozmawiać, bo nagle wszystko to, o czym teraz nawet nie myślę, podeszłoby mi do gardła i nie pozwoliło wypowiedzieć ani jednego słowa? Przecież jeśli faktycznie żyje, nie do pojęcia wydaje mi się to, by pozwoliła przez tyle lat rozpadać się naszej rodzinie, zaciągać kredyty, że pozwoliła mamie umrzeć w nieświadomości. Przecież to jest niemożliwe!

Siadam do komputera późną nocą, kiedy większość ludzi ,w Warszawie śpi kamiennym snem. Otwieram nowy plik Worda

i szukam w głowie właściwych słów, by rozpocząć opowieść.

W mojej głowie rodzą się różne obrazy. Pierwszy jest obraz przypominający opowieść Michała: Daria siedzi z colą w ręce. Siedzi tak na murku przed naszą podstawówką, za jej plecami jest słońce, ona macha w powietrzu długimi nogami i uśmiecha się do mnie. W innym obrazie z mojej pamięci Daria ma bandaż na stopie i pojękuje rozpaczliwie po wycięciu przez chirurga paznokcia.

W jeszcze innym klęczy w łódce i próbuje dosięgnąć tonące wiosło.

We wszystkich tych wspomnieniach Daria patrzy na mnie. Patrzy i się uśmiecha. Piszę więc:

Moja siostra była bardzo ładna. Pierwszy raz uświadomiłam to sobie, kiedy jechałyśmy autobusem z rodzicami i jakiś chłopak potknął się na schodach, wpatrzony w nią. Nie wiem, na ile zdawała sobie sprawę ze swojej urody, ale wiem, że nie była z tego powodu dumna.

Kiedy miała trzynaście lat, do naszej szkoły podstawowej przyjechali przedstawiciele niemieckiej firmy reklamowej. Szukali dziecięcych modelek do reklamowania modnych ciuchów w czasopiśmie. Kiedy zobaczyli Darię, od razu byli zdecydowani podpisać z nią kontrakt.

Daria wysłuchała ich bardzo uważnie, a potem powiedziała po prostu, że ją to nie interesuje.

Przedstawiciele naciskali na nią, prosili o adres naszych rodziców, żeby z nimi pomówić; myśleli pewnie, że w końcu uda im się ją przekabacić.

Nie znali jej na tyle, by wiedzieć, jak śmieszne są ich prośby i nalegania. Daria była bardzo uparta. Jeśli nie chciała czegoś, po prostu tego nie robiła. I nie było mowy, żeby komukolwiek udało się ją przekonać...

Kiedy w sobotę wracam od klientki, drzwi mojego mieszkania są zamknięte inaczej, niż ja to zrobiłam. Ja zamknęłam je na górny zamek i na dolny, a teraz są zamknięte tylko na dolny.

Nieruchomieję z kluczem w ręce; mija kilka chwil, nim zmuszam się do naciśnięcia klamki. Wiem, że w środku jest Karol. Wiem to, czuję to całą sobą. I tak bardzo się boję naszej rozmowy.

Powoli naciskam klamkę i wchodzę. W żadnym pokoju nie pali się światło, więc zapalam je, idąc na piętro. Zapalam w kuchni, w przedpokoju, w pokoju gościnnym i w naszej sypialni. Obchodzę cały dom, pokój po pokoju, z narastającym zdenerwowaniem.

Nie ma go. Był, zamknął inaczej drzwi, ale teraz już go nie ma. Gdybym przyszła kilka minut wcześniej, spotkałabym go tu. Gdybym tylko nie stała na czerwonym świetle tyle razy, gdybym nie po-

szła do sklepu po zakupy na kolację, gdybym nie zatrzymała się niepotrzebnie pod jakimś sklepem w centrum!

Wyrzucam sobie, że nie przyjechałam wcześniej. Jestem taka zła na siebie i jednocześnie zrozpaczona. Uświadamiam sobie, jak bardzo chciałam się z nim spotkać.

Sięgam po słuchawkę i już chcę wykręcić numer jego telefonu. Muszę z nim porozmawiać. Muszę. Nie mam siły, by dalej czekać na jakiś jego ruch!

Wykręcam numer i jednocześnie patrzę w głąb mojej sypialni. Potem słuchawka wysuwa mi się z ręki, a ja nie mam siły jej złapać. Nie mam, bo uświadamiam sobie, że w pokoju jest jakoś jaśniej niż było wczoraj i przedwczoraj.

Jaśniej i bardziej pusto.

- Tylko nie to... - szepczę i nagle brakuje mi siły, żeby zrobić chociaż krok do przodu, żeby faktycznie do niego zadzwonić, żeby zrobić cokolwiek.

Osuwając się po framudze drzwi do pozycji siedzącej, wodzę spojrzeniem po ogołoconych półkach, na których do tej pory leżały jego rzeczy. Teraz niczego tu nie ma. Zabrał wszystko.

Jak złodziej wszedł pod moją nieobecność i pozabierał to, co stanowiło tu o jego obecności.

Czas pożegnać się z Darią. Dwanaście rozdziałów o niej zamykam w pliku Worda i opisuję jej imieniem. Praca nad nimi zajęła mi dwa miesiące. To mało, powiedzialby ktoś, kto zajmuje się pisaniem. Prawdziwą powieść powinno się pisać dłużej, żeby była głębsza i wydawała się bardziej wartościowa.

Mnie pisanie o Darii szło szybko. Słowa wylewały się spod moich palców i transplantowały na ekran komputera w tempie, którego mógłby pozazdrościć mi niejeden pisarz.

Napisałam dwanaście rozdziałów, razem sto trzydzieści stron, w których nie doszłam kompletnie do niczego. Opisałam tylko ją, opisałam moją rodzinę taką, jaka była piętnaście lat temu, zanim wszystko w niej popękało, by w końcu porozdzielać nas na zawsze.

Opisałam to i wcale nie poczułam ulgi. Nie czuję jej nawet teraz. Czuję tylko, że zrobiłam coś ważnego, bo mogę teraz zawieźć ten

plik jedynej osobie, która powinna go przeczytać. I mieć nadzieję, że nie jest jeszcze za późno na wszystko.

Karol czeka na mnie w kawiarni na Chmielnej. Widzę go już przez szybę wystawową i jestem strasznie zdenerwowana. Nie wiem, jak będzie wyglądała nasza rozmowa. Nie wiem, do czego ona doprowadzi i czy uda mi się go odzyskać. Pod pachą trzymam wydruk całej powieści o Darii. Wsunęłam go w białą teczkę i opisałam jakąś nieważną nazwą, żeby nikt nie domyślił się, co to jest. Nie wydaje mi się, żebym chciała pokazać to jeszcze komuś.

- Witaj - mówię, siadając naprzeciwko niego. To już tyle czasu od momentu, kiedy siedzieliśmy razem na podłodze w przedpokoju, a ja nie mogłam zatrzymać go w żaden sposób i tylko patrzyłam, jak zbiera swoje rzeczy, żeby zniknąć z mojego życia. Minęło tyle czasu, a ja patrząc na niego, mam wrażenie, że ten czas ścisnął się w jedną chwilę i że tak naprawdę to Karol wyszedł z mojego domu pięć minut temu. Wygląda tak samo. Pachnie tak samo. Ma ten sam ostry kolor włosów. Tylko nie patrzy na mnie już tak jak kiedyś.

Zamawiam wino i w milczeniu mijają minuty. Nie wiem, jak zacząć rozmowę, gdzieś pogubiła się moja pewność siebie i zaczynam panicznie lękać się tego, co tu zostanie powiedziane.

- Jak sobie radzisz? - pytam głosem z pozoru spokojnym i miłym. Udaje mi się ukryć strach, spycham go w siebie głęboko, żeby nie wymknął się i nie zepsuł niczego. Karol opiera głowę na rękę.

- Staram się.

Nie pyta, jak ja sobie radzę, więc nad stołem zapada jakaś straszna cisza, w której nagle wszystkie moje nadzieje ulatniają się jedna po drugiej.

Uświadamiam sobie, że on nie cieszy się ze spotkania ze mną, że nie ma w nim chęci, by wrócić do tego, co było. Chyba poszedł już dalej, na tyle daleko, że cofnięcie go do mnie może okazać się naprawdę trudne. Muszę jednak spróbować.,

- Ja radzę sobie nie najlepiej - podejmuję w zaległej ciszy. Kiwa głową, wcale na mnie nie patrząc. Jego dłoń przesuwają się do popielniczki i obracają, by potem cofnąć się na poprzednie miejsce.

Siedzę naprzeciwko i przypatruję się mu z napięciem i oczekiwaniem. Wszystko w nim jest znajome tak bardzo, jakby należało do mnie. Nie potrafię czuć do niego żadnego dystansu i gdyby nie jego chłód, wyciągnęłabym teraz rękę, by położyć ją na jego dłoni, albo przesiadłabym się bliżej i położyła głowę na jego ramieniu. Ciężko mi jest siedzieć z dala i traktować go jak obcego. Głowę mam wypełnioną myślami o nim, wspomnieniami, tym wszystkim, co kiedyś było między nami i do czego chcę wrócić.

Uświadamiam sobie, jak bardzo chcę, żeby Karol wrócił ze mną do domu. Jeszcze dzisiaj, najdalej jutro, ale niech wróci i zostanie na zawsze. Nie chcę już być sama, nie mogę znieść ciszy, która wypełniła mój dom. To potworna cisza, w której każdy szept brzmi jak krzyk, a każdy mój oddech wydaje się niepotrzebny. Tak bardzo chcę, żeby wrócił. Tak mocno tego pragnę, że jeśli mi odmówi, pęknie mi serce.

- Karol... - mówię cicho, niemal szeptem. - Tak bardzo chcę, żebyś wrócił.

Czekam na jego reakcję. Przypatruję się mu z rozpaczą, bo nie widzę, by moje słowa cokolwiek w nim zmieniły. Dłoń wciąż przesuwa się po blacie, daleko od moich rąk. Oczy wpatrują się w pokal z piwem, nawet nie uniósł głowy.

Ja siedzę w milczeniu, wpatrzona w niego z niemym przerażeniem, którego nie potrafię już dłużej kryć.

- Powiedz coś - szepczę. Czuję, jak narasta we mnie krzyk i wiem, że jeśli on nie odezwie się, to faktycznie zacznę krzyczeć. Powtarzam głośniej: - Powiedz coś, proszę.

Kręci głową.

- Nie wiem, co ci powiedzieć.

Nie chciałam tego, ale zaczynam płakać i Karol nareszcie podnosi na mnie wzrok.

W głowie wciąż mam tysiące wspomnień z nim związanych i przekonanie, z jakim mówił jeszcze kilka miesięcy temu, że mnie kocha. Nie może mnie nie kochać! - myślę z rozpaczą. Nie może, bo zapewniał mnie, że to jest prawdziwa miłość. Ktoś, kto prawdziwie kocha, nie przestaje kochać tylko dlatego, że coś poszło nie tak albo że wydarzyło się coś złego.

Szukam w nim czegoś, co da mi odpowiedź. I znajduję to właśnie w jego oczach.

Patrzy na mnie z takim samym żalem, z jakim ja patrzę na niego. W jego głosie brzmi złość, kiedy mówi:

- Nie potrafię być z tobą znowu. Nie wiem, od czego miałbym zacząć, Czuję się taka bezradna, że zakrywam twarz dłońmi i po prostu płaczę. Chciałabym go poprosić, żeby do mnie wrócił choćby po to, bym nie płakała teraz tak strasznie i nie czuła się taka bezradna.

- Wróć do mnie... - powtarzam, płacząc.

- Nie mogę.

Nie wiem, ile czasu minęło, nim się trochę uspokoiłam. Mam wrażenie, że minęły całe wieki. On nie zrobił kompletnie nic, a ja po prostu płakałam z twarzą ukrytą w rękach. Teraz ocieram łzy, wyciągam z torebki lusterko i oglądam w nim moje podpuchnięte oczy. Staram się nie myśleć już o tym, co się dzieje, nie analizować tego. Wiem, że po prostu powinnam wyjść, ale to nie jest łatwe. Jeśli stąd wyjdę, już go nie zobaczę. Jeśli zostanę, to on wyjdzie. Nie wrócimy razem do domu - na to już nie ma żadnych szans.

- Pójdę już - odzywam się po długim milczeniu i wstaję. Karol nie protestuje, znowu na mnie nie patrzy, tylko w blat stołu. Wstając, ja również staram się omijać go wzrokiem. Kładę przy jego rękach teczkę z wydrukiem i wychodzę.

Kiedy otwieram drzwi kawiarni, na zewnątrz czuję w powietrzu lato. Wciągam je w siebie głęboko i staram się iść prosto chodnikiem aż do parkingu. Czuję wiatr we włosach. Jest ciepły, niemal kojący i kiedy dotyka mojej twarzy, uspokaja mnie. Odchylam do tyłu głowę i jeszcze raz nabieram głęboko powietrza. Naprawdę pachnie latem.

W samochodzie otwieram okna i waham się przed włączeniem silnika. Boję się, że może nie ma we mnie siły, by prowadzić samochód, że w takim stanie mogę zrobić komuś krzywdę.

Nie wiem, skąd mam wziąć siłę, żeby gdziekolwiek jechać, skoro nie ma miejsca, w którym chciałabym teraz być.

Nie ma i nie będzie, myślę, a przecież wiem, że zawsze mogę pojechać do Gdyni.

Rzeczy Darii pakuję w dużą paczkę i zabieram ją do samochodu. To już naprawdę będzie pożegnanie. Ostateczne.

W drodze do Gdyni dzwonię do Magdy i pytam, czy mogę się u niej zatrzymać. Nie chcę w tym stanie jechać do taty i jeszcze bar-

dziej martwić go moim żalem. To tylko mój żal i nie powinnam obarczać nim nikogo, kto nie ma na to siły.

Późną nocą zajeżdżam przed jej dom. Na górze pali się światło, jakby cały czas na mnie czekała.

Siedzę w samochodzie kilka długich chwil, a potem zabieram swój wielki karton i wspinam się po schodach do domofonu.

- Napisałam o niej książkę - mówię, kiedy już siedzimy w kuchni i Magda robi dla mnie tosty, których i tak nie zjem, bo nie czuję głodu, a myśl o jedzeniu napawa mnie obrzydzeniem.

- Będę mogła ją zobaczyć? Kręcę głową, opieram się o ścianę.

- Dałam ją Karolowi.

Magda przestaje hałasować nożem, więc pewnie teraz patrzy na mnie z nadzieją w oczach, że zapewnię ją, że w moim życiu jest już wszystko dobrze.

- W moim życiu wszystko jest nie tak, jak być powinno - mówię sennie, czując, jak zmęczenie obejmuje moje nogi, wprowadzając w nie Ciepłą odrętwiałość.

- A jak powinno być? - pyta rzeczowo i zostawia niedorobione tosty, żeby usiąść na drugim krześle i rozmawiać ze mną.

Zaczynam śmiać się śmiechem strasznym, bo wynikającym z jakiegoś ogromnego smutku.

- Mam dwadzieścia osiem lat i ogarnia mnie znużenie. Nie widzę celu, nie widzę sensu, mam wrażenie, że wszystkie moje szanse na szczęście przegapiłam już dawno, dawno temu. Teraz już nie widzę przed sobą nic.

Ciężko mi opisać słowami, jak bardzo mglista wydaje mi się moja przyszłość. Jest jak długi korytarz, w którym ktoś pogasił światła i pozamykał drzwi. Znajdują się w niej tylko małe punkciki. Tymi punkcikami są momenty z życia innych ludzi: ślub Anety, na którym mam być, przyjazd do taty, jutrzejszy dzień z Magdą. To nie jest coś, dla czego warto byłoby wstawać każdego dnia z łóżka, ubierać się, jeść i rozmawiać. Coś, na czym mogłabym się oprzeć.

- Przegapiłam wszystkie moje szanse - powtarzam sennie. - Wiesz, zawsze miłość była dla mnie rodzajem zabawy. Cieszyło mnie bycie z kimś i wydawało mi się, że takich chwil w moim życiu będzie jeszcze całe mnóstwo. Sądziłam, że mogę wybierać

w ludziach, że jest tak wiele możliwości. Ale to nie jest prawda. Tak jest w życiu tylko na pewnym etapie, a ten etap mam już za sobą.

Czuję na sobie wzrok Magdy i wiem, że martwi się teraz bardziej ode mnie.

Z nostalgią myślę o dniach, kiedy na schodach budowy opowiadała mi tysiące dziwnych historii, w które chciałam wierzyć. Z perspektywy czasu wiem, że świat, który przede mną roztaczała, był piękny, i chociaż chciała mi go przybliżyć, ja nie umiałabym w niego wejść. To był jej świat. I wiem, że takie właśnie piękne jest jej życie. Wiem, że nawet siedząc tu ze mną, nie dostrzega tego, co widzę ja: dla niej to mieszkanie jest piękne, bo jest stare i przechowuje w sobie wiele historii - nie widzi w nim ruiny, którą widzę ja. Moje rozstanie z Karolem wydaje się jej ważne i pouczające, bo sądzi, że dzięki niemu uczę się życia. Pewnie uważa, że w życiu każda chwila jest jednym paciorkiem bardzo długiego naszyjnika, który każdy człowiek dla siebie nawleka.

Nie rozumie, że pewne rzeczy po prostu dzieją się bez przyczyny i można ich tylko żałować.

- Całe życie będę miała uczucie, że jego strata jest niemal największa - mówię cicho z kwaśnym uśmiechem. - Tylko proszę, nie mów mi, że jest w tym sens. Po prostu daj mi sądzić, że nie ma sensu we wszystkim i że to jest wielkie nieszczęście.

Magda nabiera głęboko powietrza i wypuszcza je w cichym:

- Nie mogę.

Kuca koło mnie, kładzie ręce na moich kolanach.

- Posłuchaj mnie.

Sądzę, że będzie mówić o sensie i stracie Karola, ale tak nie jest. Mówi cicho, niemal szeptem, jakby bała się przerwać mój pozorny spokój:

- Ludzie związani z parapsychologią i z ezoteryką twierdzą, że istnieje coś takiego, jak „zapis Akaszy”. Zapis Akaszy to pokój, który nie ma kształtów, czasu ani ograniczeń. To miejsce, w którym każde ludzkie życie zapisane jest w najdrobniejszych szczegółach wraz ze snami, myślami i słowami, które były wypowiedane każdego dnia. W zapisie Akaszy jest cała historia ludzkości. Ty też tam jesteś i każda twoja chwila...

Myśl o zapisie Akaszy mimo ogólnego przygnębienia syci moją wyobraźnię. W myślach stwarzam ogromne wnętrza wypełnione ruchomymi obrazami z mojego życia.

- Umiesz sobie to wyobrazić? - pyta Magda wciąż szeptem.

- Chyba tak...

- Więc teraz wyobraź sobie jego rozmiary, ogrom. Tam jest nie tylko twoja historia, tam jest historia całej ludzkości i całego świata... Potrafisz to sobie wyobrazić? To jest już trudniejsze. Obrazy z mojego życia maleją i maleją, aż stają się mikroskopijne. Wokół nich rozrastają się ściany, podłoga i sufit wypełnione obrazami z życia innych ludzi. One też maleją i maleją, aż niemal znikają pod naporem kolejnych obrazów.

Zaczynam się śmiać cicho, ze znużeniem.

- To trudne, wiesz?

Magda przytakuje, a potem pyta:

- Jak wygląda twój zapis na tle pozostałych zapisów? Jak wyglądają teraz twoje gesty, słowa, twój dramat, osiągnięcia i cele?

Śmiech schodzi mi z ust i znowu zaczynam płakać. Magda powtarza z uporem:

- Jak wygląda twój zapis?

Zasłaniam twarz, odgradzam się od jej słów. Zapis mojego życia jest nieważny, a dramat, który przeżywam, śmieszny, jeśli zestawić go z tysiącem innych dramatów. I wiem, że o to jej chodzi.

- Ale to jest ważne! - upieram się, szlochając. - To jest mój dramat i moje życie! Gładzi mnie po dłoniach, więc wyrzucam z siebie wreszcie to, co najbardziej mnie boli:

- Przywiozłam jej rzeczy, mam je w kartonie. Chciałam prosić cię, żebyś się ich pozbyła.

Po moich słowach zapada cisza - ja staram się opanować szloch, a Magda milczy. Otwieram więc oczy i napotykam jej spojrzenie. Jest w nim coś dziwnego, czego jeszcze nigdy nie widziałam. Jakiś strach, jakieś postanowienie, jakaś desperacja.

- Gdzie je masz? - pyta.

- W kartonie. - Wycieram łzy wierzchem ręki. Pod jej spojrze-

niem zaczynają trząść mi się ręce i nie mam siły, żeby płakać. Przeraza mnie to, co w niej widzę.

- Chodź, pokaż mi je.

Idziemy do pokoju, w którym postawiłam karton. Magda staje przy ścianie z rękami założonymi na piersiach i patrzy na mnie strasznie, jakby zamierzała zrobić coś okropnego, czego nie jestem nawet w stanie przewidzieć. Odwracam się do niej plecami, przysuwam karton i niepewnie otwieram pokrywkę.

- Tu są wszystkie... - Głos mi się trzęsie, załamuje. - Co z nimi zrobisz?

Mija mnie bez słowa i przykłęka na podłogę.

- Dotknę ich.

Nie rozumiem. Patrzę na nią niepewnie, kompletnie zdezorientowana.

- Słucham?

- Pozwól mi... - Odpycha moje ręce i przysuwa karton do siebie.

- Co chcesz zrobić? - Wciąż nie rozumiem.

- Chcę ci pomóc. - Jak?

Zagarnia włosy do tyłu, niepewnie kładzie ręce na obudowie kartonu i zagląda do środka. W jej głosie pojawia się strach, kiedy mówi:

- Pomogę ci, jeśli się uda...

Boję się pytać o coś więcej. Siadam blisko niej, wciąż zaskoczona, i po prostu patrzę.

Magda sprawia wrażenie, jakby starała się bardzo skupić. Wyciąga ze środka różne przedmioty i układa obok siebie na podłogę. Są tu plakaty Darii, jej zdjęcia, jej zeszyt, kilka jej ubrań, zegarek, grzebień, lusterko, mała torebka, maskotka, z którą spała, długopis, jej książki. Magda przegląda to wszystko bardzo uważnie, przesuwa po przedmiotach dłońmi w taki sposób, jakby chciała poczuć je całą powierzchnią dłoni. Na jej twarzy pojawia się skupienie i niepewność.

Siedzę obok i patrzę. Niewytłumaczalny strach, który poczułam w kuchni, nabiera teraz bardziej realnego kształtu, bo zaczynam zdawać sobie sprawę z tego, czemu Magda to robi i do czego to wszystko ma prowadzić.

Jest czwarta rano, kiedy podjeżdżamy samochodem na nasze dawne osiedle. Magda prowadzi, bo ja jestem zbyt rozbita, żeby się za kierownicę. Mam też wrażenie bliskości jakiegoś strasznego nieszczęścia i czuję się kompletnie pusta.

Wysiadam z samochodu tylko dlatego, że Magda tak robi. Idę za nią krok w krok, nawet nie patrzę na boki. Jesteśmy na naszym starym osiedlu, gdzie poznałyśmy się jako dzieci i gdzie spędziłyśmy całe dzieciństwo.

Nie byłam tu od lat. W milczeniu wspinam się za Magdą w stronę drabinek, piaskownicy i trzepaka. Wypełnia mnie wielkie milczenie, którego nie potrafię przerwać. Kiedy podnoszę głowę, widzę nasz dawny wieżowiec i wiem, że nie przyjeżdżałam tu właśnie dlatego, że zbyt bolesne wydawało mi się zobaczenie tych wszystkich miejsc i zrozumienie, że przeszłość nie ma szans rozegrać się na nowo. Po latach trzepak wydaje mi się jakiś chudy i mały. Tak samo drabinki. Kiedyś bałam się wspiąć na ostatni ich stopień, a teraz jestem niemal równa z nimi. Patrzę w okna mojego dawnego mieszkania. Tak tam teraz ciemno. I w środku mieszkają inni ludzie.

Magda siada na huśtawce, odpycha się stopą i buja lekko.

- Chcesz tam iść? - pyta.

Nie wiem, czy chcę. Boję się. Wszystko, co się stało, wydaje mi się takie absurdalne i straszne. Przeraza mnie. W domu powiedziałam Magdzie, że chcę tu przyjechać i ona posłuchała mnie. Teraz jednak tracę pewność siebie i czuję jedynie strach.

- Pójdziemy tam, jeśli chcesz. - W Magdy głosie jest ciepło, którego potrzebuję, więc przytakuję i idziemy razem za blok, w stronę szerokich schodów prowadzących do stawu.

Osiedle o tej porze wygląda jakoś obco: światła latarni wydają się przymglone, senne, na ulicach nie ma samochodów, w oknach nie widzę ludzi, nie ma ich też na chodnikach. Osiedle śpi.

Wszystko wciąż wydaje mi się nierzeczywiste: nasze cienie na chodniku, nasze głośnie kroki, ciemny staw przed nami. Nawet sms od Karola, krótki i rzeczowy:

Przeczytałem twoje wspomnienia. Musimy porozmawiać

Przystajemy na brzegu. Pachnie glonami, w tafli wody odbijają się nasze sylwetki oświetlone przez uliczną latarnię. Stoimy nieruchomo obok siebie.

Do głowy przychodzi mi jakieś odległe wspomnienie, w którym Daria i ja stałyśmy w oceanarium, rozplaszczone na szybie jednego z wielkich akwarium, w którym pływały niesamowite stwory przypominające ryby tylko płetwami. Daria westchnęła wtedy:

„Tak bym chciała być rybą. Pływać i pływać bez celu w głębinie”.

„Tam jest zimno i ciemno”.

„Nie jest ciemno. Jak popatrzysz do góry, to widzisz światło”.

Wtedy przymknęłam oczy i spróbowałam to sobie wyobrazić: zimna, ciemna woda.

Wydało mi się, że tam nie może być pięknie. Powiedziałam:

„Tam jest samotno”.

A ona uśmiechnęła się jakoś smutno i kiwnęła głową. Teraz patrzę na tafelę stawu z niedowierzaniem i jeszcze nie ma we mnie ani żalu, ani krzyku. Mówię niemal obojętnie:

- Pomyśleć, że szukaliśmy jej w całej Polsce...

Czuję Magdy dłoń na mojej ręce i ten dotyk przynosi mi spokój.

Magda nie wie, kto spowodował to nieszczęście. Powiedziała mi, że to ktoś zły i że nie znał imienia Darii. Prawdopodobnie w ogóle jej nie znał. Wykorzystał jej naiwność, żeby otworzyła mu drzwi. Wcześniej obserwował ją przez niezasunięte zasłony w oknach, jak samotnie krąży po mieszkaniu, jak ogląda telewizję, jak czyta książkę. Może obserwował ją już wcześniej. Może nie znając jej imienia, znał jej nawyki. Może nawet widział tamtego wieczoru mnie i rodziców, jak szliśmy na przystanek autobusowy.

Magda mówi, że Daria jest tutaj. Nie wiem tego na pewno, ale może jest właśnie tak, jak ona twierdzi. Może Daria jest gdzieś w tym stawie, może przy samym dnie, z kamieniem, który nie pozwala jej unieść się w górę.

Nie wiem, czy nie zgłoszę tego i nie będę zabiegać o wysuszenie stawu. Może tak właśnie zrobię, by nabrać pewności.

- Nie rób tego - oponuje Magda cicho. - Ja bym tego nie robiła.

Wiem, dlaczego tak mówi. Myśli o moim ojcu, o tym, że wyjęcie z tego stawu jej szczątków pociągnie za sobą serię badań i dochodzenie, które wykaże, jak tamten człowiek odebrał jej życie i co właściwie z nią robił.

- Jeszcze nie wiem, co zrobię - odpowiadam i faktycznie nie wiem. Teraz, kiedy znam wersję Magdy, nie czuję w sobie chęci, by

Dopaść tamtego człowieka, nie czuję też już potrzeby dowiadywania się, jak odbył się cały ten dramat. Nie mogę jednak niczego teraz postanawiać, bo może jutro, za tydzień albo za rok taka potrzeba urodzi się we mnie i zmusi mnie, by podjąć ten ostatni wysiłek. Na razie wystarczają mi słowa Magdy. Wycisza mnie też myśl o głębinie, o jakiej opowiadała mi Daria.

W tej jej głębinie nie ma przecież absolutnych ciemności. Poza samotnością wszystko tam jest piękne. Wtedy, w oceanarium, nie umiałam sobie tego wyobrazić, ale teraz potrafię: Jest tam wielka cisza. To głęбина, w której nie widać dna. Ją mijają ryby, a jeśli woda odchyli jej głowę, zobaczy, jak wysoko, wysoko w górze połykuje kilka promieni światła, jak światło latarki - małe, okrągłe i długie.

Magda

Wiosna tamtego roku była piękna i ciepła, przez co bardzo ostro kontrastowała z tym, co działo się w życiu moich przyjaciółek oraz moim własnym.

Pamiętam ciepłe, ostre słońce, które wciskało się przez niedokładnie zaciągnięte zasłony do mojego pokoju i budziło mnie. Czułam je na twarzy, z rozbawieniem patrzyłam, jak przesuwają się po mojej kołdrze.

Wielką przyjemność sprawiało mi rozgarnianie zasłon na boki: najpierw lewa, potem prawa i w końcu stawałam w pełni światła, wpatrzona w pejzaż mojej dzielnicy. Okna w starych kamienicach są dużo większe niż okna w nowoczesnych domach, więc kiedy stawałam w moim oknie, czułam się niemal tak, jakbym stała na bardzo jasnym i dużym tarasie.

Czasami wychodziłam, jeszcze w koszuli nocnej, na balkon, opierałam się o barierkę i wchłaniałam w siebie zapach kwitnącego tuż przy moim balkonie bzu. Jeśli dość daleko udało mi się wyciągnąć rękę, potrafiłam zerwać kilka jego kwiatów. Wąchałam je albo obrywałam powoli z gałązek i patrzyłam, jak spadają w dół.

W dzieciństwie obrywałam płatki koniczyny. Obrywanie płatków łączyło się z dziecienną wyliczanką: „kocha, nie kocha, kocha,

nie kocha...". Lubiłam wyliczać, czy mnie kocha czy nie, chociaż nikogo konkretnego nie miałam na uwadze. Sprawiało mi przyjemność samo wyliczanie, wysoka trawa, w której niemal cała tonęłam, zapach kwiatów, upleciony wianek złożony chwilę wcześniej na kolanach i koniczyna w moich rękach. Często w dzieciństwie szukałam czterolistnej koniczyny. Moja babcia powiedziała mi, że ten, kto ją odnajdzie, znajdzie szczęście, więc wiele godzin przeklęczałam na trawie, przesuając dłońmi po koniczynie, rozgarniając ją i odliczając jej liście. Wszystkie, na które trafiałam, miały po trzy. Myślałam wtedy z niedowierzaniem, że pewnie nic takiego jak czterolistna koniczyna nie istnieje naprawdę. Przypominało mi to jakąś starą bajkę o poszukiwaniu szczęścia, którego nie można wziąć do ręki. Sądziłam, że ludzie wymyślili czterolistną koniczynę właśnie po to, żeby nikt jej nigdy nie odnalazł.

Na wykładach z historii sztuki, na studiach, fascynowały mnie Wyspy Szczęśliwości, które powracały jak refren piosenki, niemal w każdej epoce. Pociągała mnie myśl o takich wyspach. Zastanawiałam się, jak naprawdę by wyglądały, gdyby były, i jak szybko ludzie zniszczyliby je, gdyby się do nich dostali; niepokoił mnie też fakt, że miałyby być dostępne dla wszystkich. Kiedy o nich czytałam, odżywało we mnie pragnienie, by mieć swoje szczęście namacalne, na wyciągnięcie ręki. Pamiętam, jak wiele godzin na studiach poświęciłam kopiowaniu obrazu, który głęboko zapadł mi w pamięć. Odnosił się właśnie do Wysp Szczęśliwości, a przedstawiał dwoje ludzi, którzy przedzierali się przez gęstą roślinność. W tej roślinności znajdował się nagrobek, na którego płycie Śmierć napisała: *Ja też tu jestem*, niweczając ich marzenia o szczęściu.

W dzieciństwie tylko raz trafiłam na czterolistną koniczynę. Była mała, jeszcze nie do końca rozwinięta, ale wyraźnie mogłam wyróżnić w niej cztery płatki. Pamiętam, że schowałam ją w pamiętniku, a zgubiłam wiele lat później. Wydawało mi się, że skoro ją mam, znalazłam szczęście i że jest tylko moje, bo tylko ja mam do niego dostęp.

Kiedy Joasia przyjechała do mnie i w nocnej rozmowie powiedziała, że ma wrażenie, iż przegapiła wszystkie swoje szanse na szczęście, czułam wielki żal. Przez ten żal przebijało się jednak wrażenie, że minie kilka lat i obie będziemy wspominać ten moment ja-

ko przykry, ale tylko przystanek w jej życiu. Myślałam wtedy o tym, że życie ciągle gna naprzód i naprzód i że przecież tyle jest w nim szczęścia, jeśli chce się je zauważać, że nie powinno się myśleć negatywnie o przyszłości. Dla Joasi chciałam znaleźć czterolistną koniczynę. Miałam nadzieję, że jeśli jej podaruję coś takiego, to może uda mi się podnieść ją trochę na duchu. Ostatecznie w dzieciństwie z zapalem równym mojemu szukała jej w trawie i zawsze przykładła wielką wagę do symboli.

Z rana, kiedy jeszcze spała, weszłam do jej pokoju. Miała za-puchniętą od płaczu twarz, obok niej na łóżku leżały niektóre rzeczy jej siostry, zauważyłam, że nie zdjęła nawet ubrania, w którym przyjechała do mnie wieczorem. Delikatnie rozchyliłam rolety w oknach, tyle, by za kilka godzin słońce wsunęło się właśnie na jej łóżko i obudziło ją kaskadą światła. A potem wyszłam.

Szukałam czterolistnej koniczyny na polanie przy mojej kamienicy. Najczęściej w tym miejscu bawiły się dzieci z osiedla, więc trawa była połamana i podeptana. Znalazłam jednak spore fragmenty zieleni pełnej koniczyny. Przyklękłam zupełnie tak jak za dawnych czasów i szukałam. Oczywiście moje dłonie natrafiały tylko na trzylistne roślinki, a jeśli nawet rosła gdzieś tam ta, której szukałam, to skutecznie chowała się przed moim wzrokiem.

Do śniadania jednak udało mi się ją znaleźć. Trzymając ją w palcach bardzo ostrożnie, wróciłam do domu, wsunęłam się do sypialni Joasi i położyłam ją na poduszce, tuż koło twarzy.

Wiedziałam, że powinna zbudzić się za godzinę. Słońce przesunęło się już po nogach jej łóżka i dosięgało rąk. Przyglądałam się jej długą chwilę, świadoma, że więcej już jej nie zobaczę w takiej sytuacji. Po chwilach smutku zawsze przychodziła chwile radości i byłam przekonana, że nie będzie więcej potrzeby, by Joasia czuła się jeszcze kiedyś tak bardzo źle.

Mateusza przywiał mi chyba ciepły wiatr dmący od południa i postawił na mojej drodze w gorące czerwcowe popołudnie, kiedy krążyłam po sklepach, szukając prezentu na ślub Anety.

Gdzieś w tłumie mignęła mi przelotnie jego twarz, potem wydało mi się, że widzę kogoś, kto idzie w podobny sposób. Zamrugam-

łam oczami, nagle tracąc spokój. Mój wzrok zamiast na wystawy sklepów kierowa! się na ludzi, spojrzenie stano się rozbiegane, nerwowe.

Kiedy jednak minęło kilka chwil, a Mateusz się nie pojawiał, pomyślałam, że po prostu pomyliłam go z kimś. Wróciłam do wyszukiwania prezentu. Chciałam kupić Anecie coś nietypowego i ważnego, co poza stroną funkcjonalną będzie mieć jeszcze jakieś walory magiczne. Zbyt dobrze pamiętałam, że oglądając kilka tygodni wcześniej jej dłonie, trafiłam na linię, która wcale mi się nie podobała. Była krótka, ale głęboka i dość ostro odbiegała w dół. Towarzyszyły jej małe wysepki, które przy takim układzie mogły oznaczać co najwyżej chwile zamykania się w sobie, ale też nie wróżyły niczego dobrego.

W sklepie z antykami oglądałam stare wazy i różne wiekowe bibeloty. Szukałam czegoś, co pasowałoby do Anety - w końcu udało mi się znaleźć piękny chiński ceramiczny dzban, który na pewno by się jej spodobał.

I to chyba właśnie wtedy uniosłam głowę i zobaczyłam Mateusza przy szybie wystawowej.

Nie zauważył mnie, zapatrzony w jakiś obraz na wystawie. Mimo woli cofnęłam się, nawet schyliłam do chińskiej porcelany. Czułam, jak cała moja twarz robi się czerwona, ze zdenerwowania zaczęły drżeć mi ręce, łapałam oddech jak ryba wyrzucona na brzeg.

Uspokój się, idiotko! - pomyślałam, zła na siebie o tę reakcję. Kiedy chwilę później uniosłam głowę, Mateusza już nie było.

Odnalazłam go w tłumie na chodniku i poszłam za nim w pewnej odległości.

Szliśmy tak przez niemal całą Świętojańską, aż do dużego centrum handlowego.

Mateusz wszedł do księgarni, ja po chwili namysłu za nim.

Jedno za drugim przesuwałam się między regałami i półkami. Starłam się uważać, żeby w lustrach nad jego głową nie pojawiło się moje odbicie - i to mi się udawało. Moje zdenerwowanie powoli opadało. W pewnym momencie uświadomiłam sobie, jak idiotyczne jest to, co robię, i zapragnęłam wyjść. Ogarnęła mnie jednak niewytłumaczalna potrzeba otarcia się o niego przed wyjściem, poczucia zapachu perfum, które tak bardzo mi się kiedyś spodobały.

Zbliżyłam się na tyle, na ile pozwalała mi czujność. Stałam teraz niemal dokładnie za nim. Kiedy tak z bliska przyglądałam się jego ramionom rysującym się pod podkoszulkiem, nie wytrzymałam - wysunęłam dłoń i bardzo delikatnie dotknęłam jego włosów. Teraz czułam też zapach perfum i od tego zapachu dosłownie zaczęło kręcić mi się w głowie. Nabrałam głęboko powietrza, moja dłoń macała powietrze tuż przy jego głowie, potem osunęła się w pobliże pleców. Pomyślałam, że jeden jego ruch może mnie teraz zdemaskować, ale nie umiałam się cofnąć. Przymknęłam oczy i poczułam ciepło emanujące od jego ciała.

- Co robisz? - spytał.

Otworzyłam oczy, przerażona, momentalnie cofnęłam dłoń. Mateusz patrzył na mnie, częściowo odwrócony. Uśmiechał się, więc ja też zaczęłam się śmiać.

- Jestem taka głupia, przepraszam... - powiedziałam i znowu zaczęłam się śmiać. - Sądziłam, że mnie nie zauważysz.

Chyba nie zauważył tego, co robiłam, ani nie domyślił się, po co za nim stałam.

Spytał z niedowierzaniem:

- Chciałaś przemknąć za moimi plecami niepostrzeżenie?

- Tak chciałam zrobić.

Odłożył książkę, którą trzymał w rękach.

- Może masz chwilę? Poszlibyśmy na bulwar i porozmawiali... Chciałam zaprzeczyć, ale tylko bąknęłam, że mam chwilę.

Na bulwarze Mateusz nie mówił nic z tego, co chciałam usłyszeć. Opowiadał mi o wystawie w Londynie, o londyńskim teatrze, o swojej grupie artystycznej.

Ja wpatrywałam się w niebo nad nami i porównywałam jego kolor z błękitem wody morskiej. Od morza wiał wiatr chłodniejszy niż w centrum i trochę żałowałam, że nie założyłam na siebie nic cieplejszego niż prosta letnia sukienka z krótkimi rękawami. Zatrzymaliśmy się przy murze i oparliśmy o niego. Uświadomiłam sobie, że Mateusz już nic nie mówi. Może nie zadałam mu właściwego pytania, może wyczuł, że nie staram się podtrzymać rozmowy. Jego ramię dotykało mojego ramienia, ciepły dotyk ogrzewał moją skórę. Odwróciłam do niego twarz i chwilę po prostu wodziłam spojrzeniem po jego ustach, po ostrym nosie, po rękach. Przez ułamek sekundy przypomniał mi się jego dotyk sprzed kilku miesięcy,

to niesamowite uczucie, które wtedy mnie ogarnęło: uczucie ulgi i wrażenie, że tak właśnie powinno być.

- Nie pisałeś nic z Londynu - powiedziałam cicho. Pokręcił głową.

- To nie tak... Pisałem, ale nic z tego nie wysłałem.

Znowu poczułam się zdenerwowana, silniejszy podmuch wiatru rozgarnął mi włosy i kilka kosmyków wpadło na niego. Odgarnął je, a potem popatrzył na mnie. Już się nie uśmiechał.

-Nie umiem pisać listów o niczym. Nie chciałem pisać ci

O Londynie i o wystawach.

- Więc o czym pisałeś?

- To były chyba najgorsze listy, jakie widział świat. Beznadziejne.

- Czemu tak myślisz? Uśmiechnął się na ich wspomnienie.

- Były beznadziejnie romantyczne i tak głupie, że spaliłbym się ze wstydu, gdybyś przeczytała chociaż jeden!

- Romantyczne?

Teraz już zaczął się śmiać.

- Bardzo, do bólu!

Zamilkliśmy niemal równocześnie. Mateusz skrzyżował ręce na piersiach i patrzył w morze, ja stałam obok niego nieruchoma, znowu niezdolna zachowywać się w sposób przemyślany

i właściwy. Gdzieś w mojej głowie pojawił się krótki strzęp bardziej wrażenia niż wspomnienia. Kolejne niezrozumiałe *déjà vu*, które zawsze towarzyszyło rozmowom z Mateuszem i spotkaniom z nim.

Poruszyłam się niespokojnie, bo nagle wydało mi się oczywiste, że właśnie tu i teraz muszę podjąć najważniejszą decyzję w moim życiu.

- Posłuchaj... - zaczęłam i w tym momencie zdałam sobie sprawę, że on mówi to samo do mnie. Przerwałam więc i pozwoliłam mu dokończyć.

- Posłuchaj - powiedział. - Nie wiem, dlaczego to musiało być akurat ty. Czuję się tak, jakbym miał związane ręce, bo nie wypada mi ani mówić tego tobie, ani starać się walczyć o ciebie.

Przechwyciłam jego niepewne spojrzenie i zaraz odwróciłam twarz. Patrzyłam na szybujące wysoko w górze mewy.

- Mati... - odezwałam się cicho. - Mati, chcę wyjechać z tobą.

Odwrócił się, zaskoczony.

- Wyjechać?

Nie odpowiedziałam, nagle czując ogarniający mnie spokój.

- Gdzie pojechać?

Dłoń dotykała teraz mojego ramienia. Zobaczyłam, że Mateusz się uśmiecha i wszystko we mnie zamarło. Mój Boże! ~ miałam ochotę powiedzieć. - To taka ważna decyzja! A jeśli nie pojedę? Jeśli coś pokrzyżuje mi plany... Czy to oznacza, że widzę go teraz ostatni raz?

Patrząc na niego, myślałam o tym, jak to wszystko będzie wyglądać dalej.

Wyobrażałam sobie salę sądową, na której znajdę się z Jackiem, by uzyskać rozwód. Zastanawiałam się, jak to będzie - pakować swoje rzeczy, składać je do walizek, jak zamknę za sobą drzwi.

- Tak się boję pożegnań... - wyszeptałam. I nagle poczułam przenikający mnie strach. A potem pomyślałam o samolocie do Paryża, o dniach i nocach z Mateuszem. Może tak właśnie trzeba. Może takie życie jest mi pisane i całkiem możliwe, że nigdy nie obudzę się z myślą, że straciłam coś cennego.

Uśmiechnęłam się, bo w mojej głowie rozpoczynała się projekcja tego, co nastąpi: ja i Mateusz szukający mieszkania w Paryżu i znajdujący je w starej, ale pięknej kamienicy. Ja i Mateusz spacerujący po Paryżu. Francuskie słowa przepływające przez moje usta. Jego ciało zasypiające obok mojego. Lato w Paryżu: duchota i zgiełk. Jesień w Paryżu: spadające z drzew kolorowe liście, żółknące trawy, echo naszych kroków na paryskim bruku. Zima w Paryżu: ośnieżona wieża Eiffla, odpływający z nabrzeża turyści, ja w futrzanej czapie wychodząca z rana po zakupy. Wiosna w Paryżu: zieleń traw, coraz więcej różnych zagranicznych słów, spaceru nad rzekę, wieczory w otwartych kafejkach na Polach Elizejskich.

- Mogę to wszystko mieć - powiedziałam cicho.

- Co takiego?

Roześmiałam się i splotłam palce z jego palcami.

- Ciebie, Mati.

I czułam się taka szczęśliwa, aż pijana tym szczęściem.

Mimo poszukiwań, które przez cały czas prowadziłam, nie udało mi się trafić na jakieś konkrety związane z Adrianem Legran-

tem. Moje listy wysyłane do Francji pozostawały bez odpowiedzi. Tak samo bez odpowiedzi pozostawały moje pytania.

Czerwiec przeminął, a po nim lipiec i sierpień. W Polsce było upalnie, duszno. Pojechałam z Jackiem w góry, a potem jeszcze raz, już pod koniec wakacji, pojechałam z Basią do Wilna.

Przez cały ten czas pisałam listy do różnych osób, które, myślałam, mogłyby mi pomóc. Niestety, jedyną informacją, jaką udało mi się uzyskać, było potwierdzenie śmierci Adriana w pożarze w Paryżu.

Jesienią, kiedy na drzewach żółkły już liście, a moje przyjaciółki szykowały się do spotkania w pełnym gronie u Joasi w jej warszawskim mieszkaniu, zdecydowałam się zakończyć moje poszukiwania. Nie było sensu grzebać się w tym dalej i rozkopywać coś tak niepewnego. Ostatecznie wszystko, co chciałam wiedzieć, udało mi się potwierdzić. Postanowiłam więc zostawić wszystko tak, jak jest.

Jesienią zawsze budziła się we mnie jakaś dziwna nostalgia za tym, co było albo czego nie doświadczyłam. Rodziła się wraz z chłodem i dojrzewała razem z pomarańczowiejacymi liśćmi. Przejmowała mnie nagłym dreszczem gdzieś na ulicy miasta, dopadała w moim starym, sypiącym się mieszkaniu, przejmowała zimnem i wrażeniem wielkiej straty.

Jeśli Jacka nie było w pobliżu, dzwoniłam do Joasi i próbowałam uzyskać od niej jakieś dobre nowiny albo zwyczajne zapewnienie, że wszystko jest takie, jakie być powinno.

Joasia jednak czasami mówiła coś, czego nie chciałam słyszeć.

- Wydaje mi się, że nie zawsze można żyć marzeniami o tym, co będzie, a co odpycha się od siebie obiema rękami, jeśli przyjdzie moment podjęcia ważnych decyzji.

Nie wiem, czemu moje życie zaczęło budzić w niej niepewność, czy dobrze zrobiła, wymuszając na mnie kiedyś obietnicę, że nie zmienię w nim niczego.

- Twoja obietnica nie była wiążąca - odpowiadałam najczęściej, jeśli wracała do tego tematu. - Nie było wcale tak, że się nią zasugerowałam i że cokolwiek robiłam z jej powodu.

- Czy masz z nim jakiś kontakt?

- Nie, nie sędę, żebym jeszcze kiedyś miała. -1 jak się z tym czujesz?

Joasia sądziła, że usłyszy ode mnie, że jest mi z tym źle, że uważam, iż popełniłam największy błąd w moim życiu i że ciągle zastanawiam się, jak by to było dalej.

Nie mogłam niczego takiego jej powiedzieć. Nie mogłam, bo przecież dokładnie wiedziałam, co byłoby dalej. Gdzieś w moich myślach istniało miejsce, do którego miałam dostęp, jeśli tego potrzebowałam. Tam moja wyobraźnia tworzyła obrazy tego, co jest dalej. I już nie musiałam niczego żałować.

Joasia była zaskoczona, że nie płaczę w telefon i nie uważam, że zmarnowałam swoje życie. Ona uważała, że je zmarnowałam i że powinnam płakać. Może nawet czuła się za to w jakiejś mierze odpowiedzialna. Kilka dni temu przyznała mi się, że jak zobaczyła Mateusza po raz pierwszy, od razu wydało jej się, że jest niemal stworzony dla mnie. Mówiła, że wtedy czuła złość na niego - o to, że w ogóle jest i może mnie odebrać Jackowi. Teraz, po kilku miesiącach rozmów ze mną, dochodziła do wniosku, że powinnam była wybrać jednak inaczej.

Miałam ochotę zapewnić ją, że nie powinna się tym przejmować, bo jeśli jest mi coś przeznaczone, to i tak pewnego dnia będę to miała. Widocznie ktoś tam w górze ma inne plany względem mnie i dlatego wciąż jestem tutaj.

- Jak czujesz, Magda? Czy to, co przeżywasz, jest bez znaczenia w obliczu wszystkich innych rzeczy, które dzieją się na świecie?

Zastanowiłam się nad jej pytaniem.

- Dziwnie, że pytasz mnie o coś takiego. Jest przecież różnie, zależy z jakiej perspektywy na to patrzysz.

- A z jakiej ty patrzysz? Roześmiałam się.

- Z mojej.

Basia przesłała mi mejlem wierszyk, który wpisałam jej do pamiętnika, jak miałam dziewięć lat. Kompletnie go nie pamiętałam i zaskoczyło mnie, kiedy zobaczyłam zeskanowany fragment z moim pismem, wierszem i śmiesznym rysunkiem niezapominajek.

Wierszyk po latach bardzo mi się spodobał.

Najpiękniejsze jest to, czego nie masz
Na co czekasz i tęsknisz od lat
Najpiękniejsze są w życiu marzenia
Tajemniczy, bajkowy świat
Lecz gdy przyjdzie do marzeń spełnienia
Nie będą one jak we śnie
Bo najpiękniejsze jest to, czego nie masz
A co dopiero spełni się

Za tydzień spotkam moje koleżanki. Jadę z Anetą moim samochodem do Warszawy, zatrzymamy się u Joasi i Karola, przyjedzie do nas Basia i mamy zamiar spędzić cały weekend, opowiadając sobie o wszystkim, zadając właściwe pytania i udzielając szczerych odpowiedzi.

Wiem, że dziewczyny dowiedziały się już o moim niedoszłym romansie i roztrząsają to na wszystkie strony. Aneta zadaje mi ostatnio bardzo podchwytliwe pytania, dziwnie podobne do pytań Joasi.

Nie wiem, dlaczego wszyscy myślą, że przegapiłam coś ważnego. Przecież tak nigdy nie jest w życiu. Jeśli nawet coś się straci, to tylko po to, by zyskać coś innego. Nie powiem dziewczynom, że tęsknię do Mateusza i że żałuję. Myślę o nim często, ale to zachowam dla siebie. Teraz, kiedy przyszła jesień, myślę o nim jakoś częściej. Zastanawiam się, czy długo na mnie czekał na lotnisku, zanim zrozumiał, że go okłamałam.

Czasami myślę o jego życiu, o tym, co robi, czy ma kogoś. Nie wątpię, że zajmuje się wciąż teatrem.

Kiedy Jacek gra na skrzypcach, ja leżę na naszej kanapie owinięta w koc i słucham. Senność wkrada się w moje ciało, kołysze nim lekko, pociąga mnie za sobą w tamten dziwny i niezrozumiały dla mnie świat.

Śnię, że unoszę się ponad miastem. Zamiast ramion wyrosły mi skrzydła i czuję, jak prędkość i wiatr przesuwiają się między piórami. Unoszę się nad Gdynią, a potem lecę dalej i dalej, aż nad wysokie wieże innych miast. Te sny są piękne i czyste. Unoszę się pod samo niebo, potem obniżam lot i mam świadomość, że wszystko, co robię, jest takie ważne.

Czasami śnię, że potrafię przenikać ściany. Są tylko materia, przez którą przechodzi moje ciało, potrafię się w niej zagłębić.

Kilka dni temu śniłam, że widzę Mateusza. Była wczesna godzina, niebo jeszcze nie do końca zrobiło się jasne, w powietrzu czułam wilgoć po wieczornym deszczu. To nie była Polska, wyczuwałam klimat starego miasta, oddychałam jego francuskim zapachem.

Mateusz siedział na ławce przy rzece, przez którą przerzucono wiele pięknych i zabytkowych mostów. Na kolanach miał aparat fotograficzny, ale nie robił tej nocy żadnych zdjęć. Siedział zasłuchany w szum rzeki.

Zdziwiło mnie, że tak bardzo się zmienił od momentu, kiedy widziałam go ostatni raz: ściał włosy, schudł, pod jego oczami gromadziły się cienie.

Czułam jego myśli i miałam jakąś dziwną pewność, że to właśnie nimi ściągnął mnie do siebie. W moim śnie pytał, co teraz robię.

- Jestem przy tobie... - odpowiedziałam.

Nie słyszał mnie. Chciałam dać mu jakiś znak, więc delikatnie dotknęłam jego twarzy.

Nie wiem, czy wyczuł mnie, czy po prostu zimny podmuch wiatru, ale otworzył oczy. Patrzyłam, jak podnosi niepewnie dłoń i dotyka się tam, gdzie chwilę temu dotykała go moja dłoń.

Muzyka urywa się, Jacek odkłada skrzypce, a ja budzę się z moich snów o lataniu. Znowu jestem w swoim ciele, znowu tutaj, przy nim. Nabieram głęboko powietrza, bo mam wrażenie, że wciąż czuję zapach Paryża. Jacek, przesiąknięty zimnem mieszkania, wsuwa się pod mój koc i przytula twarz do moich włosów.

Gdyby Joasia zapytała mnie teraz, czy żałuję, odpowiedziałabym bez zastanowienia, że nie.

Basia

Ludzie zostawiają bardzo dziwne rzeczy w kawiarni. Z samych tych zapomnianych rzeczy mogłabym wyposażyć sobie niezłe garderobę.

Najwięcej oczywiście gubią dziewczyny: zostawiają torebki, szaliki, czapki, rękawiczki. Ostatnio jakaś laska zostawiła biały sweterek

od Coco Chanel. Aż mi dech zaparto z wrażenia! Sweterek jest dla mnie w sam raz, więc wcale nie ogłaszam, że został znaleziony. Postanawiam, że jak się laska po niego zgłosi, to jej oddam, a sama wychylać się z tym nie będę. Po trzech dniach zaczynam chodzić w tym sweterku. Sebastian mówi, że wyglądam w nim bardzo ładnie.

Sebastian okazuje się całkiem romantyczny. Mówi rzeczy w rodzaju: „W tym świetle wyglądasz tak delikatnie!”. Jak raz zostawił mi wiadomość na kartce, to mało nie padłam trupem! Wcale nie zostawił mi zwykłej kartki i zwykłej wiadomości. Na kartce najpierw sam zrobił jakieś ładne wzory, potem wiecznym piórem napisał w sposób staropolski, że widzimy się wieczorem i że będzie czekał na mnie tam i tam.

On w ogóle robi różne dziwne rzeczy. Czasami umawia się ze mną w dziwnych miejscach, w których z pozoru nic nie ma, ale kiedy zaczyna mnie po nich prowadzić, to nagle widzę, jakie są piękne.

W kawiarni raz kupił dla mnie kwiaty od jakiejś starej kobiety, która wciskała je wszystkim klientom.

Zabiera mnie na koncerty jazzowe. Matko, w życiu nie wiedziałam, że w Warszawie odbywa się tyle koncertów jazzowych i że mamy takich dobrych muzyków! Przez to ciągle łażenie na koncerty cała jestem przesiąknięta jazzem aż po same uszy!

Sebastian ma dziwne spojrzenie na wszystko. Mam wrażenie, że kiedy patrzy na mnie, nie widzi mnie normalnie. Widzi światło i cienie, widzi kolory, widzi jakieś ładne układy. Ciągle mnie rysuje.

Kiedy idziemy ulicą, też inaczej na wszystko patrzy. I zauważa jakieś rzeczy, które kompletnie umykają mojej uwadze. Zauważa na przykład wyrastający z chodnika pęd kwiatu. Albo światło na murach kamienic. Albo jakiś plakat, na który ja nigdy bym nie spojrziała.

Najbardziej lubię, kiedy jesteśmy sami. Leżymy na kocu na dachu i spoglądamy z góry na naszą dzielnicę. Podkarmiamy się nawzajem różnymi owocami, Sebastian zasypuje moje ramiona i plecy pocałunkami, rozmawiamy o jakiś głupotach i jest naprawdę fajnie!

Między ludźmi jest inaczej. Kiedy jedziemy autobusem, Sebastian obejmuje mnie czule i całuje. Ja odwzajemniam jego pocałun-

ki, chociaż jest mi głupio robić to przy ludziach. Ostatnio jakaś kobieta powiedziała z wyrzutem:

- Wstydu nie macie!

Sebastian wcale się tym nie przejął, ale mnie było strasznie głupio. Zresztą, póki jeszcze nie rozmawiamy o tym, co dalej, to nie wiem, czy jest sens, by wszyscy widywali nas jako parę. Nie chcę, by zobaczył mnie jakiś znajomy Patryka i doniósł mu o tym. Dziwię się trochę, że Sebastian nie martwi się, czy do Niny nic nie dojdzie.

W mieszkaniu pytam go o nią: -Jaka ona jest?

Marszczy brwi, zniecierpliwiony, że męczę go takimi pytaniami.

- Mówiłem ci już, że Nina ma dużo problemów ze sobą.

Irytuje mnie, że zawsze mówi tak oględnie. Chciałabym wiedzieć, jakie problemy ma Nina. Zresztą wkurza mnie, że kiedy go o nią pytam, jest taki oględny, jakby wcale jej nie znał, a jak sam o niej mówi, to w samych drobiazgach! Ostatnio przyłapałam go dwa razy na spostrzeżeniach w rodzaju: „Ninie by się to podobało!” albo: „Nina lubi właśnie ten odcień”.

- Ile czasu jesteście razem?

Sebastian rzuca mi złe spojrzenie; zaczynam myśleć, że zaraz się pokłócimy.

- Dlaczego pytasz?

Pytam, bo chcę znać swoje szanse w tej materii, zwłaszcza że Patryk wraca za cztery dni, a ja nie wiem, co mam mu powiedzieć.

- Z ciekawości.

- Cztery lata.

- Cztery lata?! - niemal się krztuszę. Spodziewałam się, że powie „rok” albo coś koło tego, ale czterech lat w życiu nie wzięłabym pod uwagę! - To cholernie dużo czasu! Sebastian pociera nos wierzchem ręki, zerka na mnie, wciąż trochę ześlony.

- Ciągłe o nią pytasz.

- Bo ciągle o niej mówisz!

- Nie mówię o niej!

- Mówisz! Ostatnio nawet powiedziałaś, że Nina lubi kolor seledynowy, jakby to miało jakieś znaczenie dla naszych rozmów!

Mruga oczami, zaskoczony.

- Tak powiedziałem?

- Oczywiście że tak.

Wcale nie jestem na niego zła, ale nie chcę, żeby myślał, że może mnie tak traktować. Odwracam się nadąsana i czekam, aż on zareaguje. Reaguje dość szybko: obejmuje mnie od tyłu ramionami i przyciąga do siebie. Zakrywa mi ręką usta:

- Lubię cię, kiedy milczysz...

Gryzę go lekko w rękę, a potem odwracam się i z bliska mu przypatruję.

- Policzę ci piegi... - proponuję, śmiejąc się. Dotykam palcem poszczególnych piegów na policzkach, aż trafiam na jego usta. Wtedy wycofuję dłoń i zaczynam go całować.

Najchętniej wisiabym mu cały czas na szyi. Ciągłe mi mało pieszczot. Jemu zresztą jest to chyba jak najbardziej na rękę. Całujemy się całymi godzinami, aż mam pościeraną skórę wokół ust od jego kłującego zarostu.

Na noc zawsze zostaję u niego. Leżąc na materacu, oglądamy straszne filmy na komputerze, chrapiemy chipsy i popijamy piwo. Patryk chyba oszalałby, gdybym przyniosła mu chipsy do łóżka. Ale nie Sebastian. On lubi wszystko, co robię i wcale mu nie przeszkadza, że okruszki spadają na kołdrę.

- Potem to wytrzepiemy - mówi obojętnie, kiedy widzi moją panikę.

Oglądamy filmy, palimy papierosy i jest cudownie!

Potem oczywiście następuje najlepsze. Właściwie to zawsze zaczyna się podczas oglądania: moja stopa trafia na jego stopę albo jego spojrzenie coraz częściej przenosi się z ekranu na mnie, albo ja nie wytrzymuję i wsuwam się pod kołdrę, żeby dostać się do niego.

Kochamy się długo, przeciągając koniec jak się da. Dziwne, że podoba nam się w seksie niemal to samo. Jeszcze dziwniejsze jest to, że przez dwadzieścia osiem lat żyłam, nie wiedząc, że można tak się kochać!

Sebastian mówi, że bardzo podoba mu się moje ciało. Dziwne. Nina taka chuda, a ja do najchudszych nie należę! Czy to oznacza, że jej ciało mu się nie podoba?

- Znowu pytasz o nią! - wścieka się.

- Chcę znać odpowiedź! - upieram się.

Sebastian jednak nie ma zamiaru mi jej udzielić, odsuwa się i siada na łóżku. Pociera rękami oczy.

- Czemu to robisz? Tak nie można.

Boję się spytać go wprost, co zamierza w naszej kwestii i jak chce rozegrać sprawę z Niną. Może to dlatego pytam o nią. Sama nie wiem. Patryka nigdy nie pytałam o jego poprzednie panienki.

- Powiedziałaś, że jest chora... - naciskam i siadam za nim. Delikatnie wodzę dłońmi po jego plecach, po karku, po ramionach. Czekam, aż powie mi wszystko. On jednak nic nie mówi. Najwyraźniej chce w ogóle pominąć ten temat, bo przyciąga mnie za rękę do siebie i żartobliwie zrzuca na dywan. Szamoczemy się przez chwilę, ja w końcu upadam na podłogę i pociągam go za sobą. Kiedy się pochyła, szepczę:

- Powiedz mi...

Jego spojrzenie przesuwa się po mojej twarzy, na ustach pojawia smutny uśmiech.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko.

- Zadaj jakieś pytanie.

- Czy podoba ci się jej ciało?

Głębokie westchnienie, unika mojego spojrzenia, kręci głową:

- Zadaj inne.

- Chcę to!

- Nie powiem ci... to głupie!

- Chcę wiedzieć - nalegam. - Podoba ci się? Nie będę zła, powiedz...

Zaczyna się śmiać ze znużeniem.

- Tak, podoba mi się.

Wtedy czuję się tak, jakby dał mi porządnego kopniaka. Momentalnie zrywam się z dywanu i zaczynam zbierać z podłogi swoje rzeczy. Sebastian opiera się o łóżko, odchyla głowę do tyłu.

- Miałaś nie być zła... - przypomina.

Jestem taka zła, że mogłabym w niego czymś rzucić. Wciągam na siebie ubranie i wołam Kapcia. Kapeć zagnieździł się u niego tak bardzo, że ledwie mogę go stąd wyciągnąć. Czasami muszę brać go

na ręce, żeby w ogóle zechciał wyjść. Teraz znajduję go w fotelu; zakładam mu smycz i ciągnę za sobą do drzwi. Już w przedpokoju słyszę, że Sebastian wraca na łóżko i przełącza kanały w telewizji. Cofam się więc, cała zalana łzami, i syczę:

- Nigdy nikt mnie tak nie zranił!

- Do jutra! - woła za mną i wcale nie słyszę, żeby specjalnie przejął się moimi łzami. Przychodzi do mnie Iwona i pyta, czy Nina jest już w Portugalii.

- Tak, a co? - odpowiadam wściekle. Iwona nakryła mnie wczoraj z Sebastianem, jak całowaliśmy się przy skrzynce na listy i teraz patrzy na mnie tak, jakby znała już wszystkie moje tajemnice. Ostatnio nawet powiedziała z jakimś lisim uśmiechem: „Patryk niedługo wraca”.

Teraz też na pewno przyszedła dowiedzieć się, co jest grane. Przeszywa mnie wzrokiem na wylot, uśmiecha się głupio.

- Kiedy Nina wraca?

- Nie mam pojęcia - odpowiadam, hamując gniew. Chciałabym sobie popłakać - do powrotu Patryka zostały dwie noce, a ja pierwszą noc z nich spędzę sama w mieszkaniu, w pustym łóżku!

- Ale wróci, prawda? - pyta Iwona, mściwie wierząc mnie wzrokiem.

- Odczep się! - krzyczę. - Czego ty ode mnie chcesz?!

Ale ona nic sobie nie robi z mojej złości. Wprawdzie zmierza do drzwi, ale zaraz wraca i mówi tonem ostrzeżenia:

- Ona przez ciebie robiła mu te awantury, wiesz?

Kiedy Iwony już nie ma, otwieram stare wino i popijam kilka łyków. Pociągam żałośnie nosem, napszczam wody do wanny i ściągam Kapciowi obrożę:

- Twoja pani ma doła - mruczę ze smutkiem. - I kompletnie nie wie, co robić.

Oczywiście mogłabym zadzwonić do Joasi albo do Magdy, żeby jakoś mi pomogły. Tyle że wiem, co by mi doradziły. Są takie poukładane, że w głowie by im się nie mieściła moja znajomość z Sebastianem! Już prawie słyszę, jak pouczają mnie: najpierw niech z nią zerwie, a potem możesz z nim sypiać. Nie szanujesz się. Robisz same błędy!

- Pieprzone panusie... - mruczę załamana.

Sebastian puka do mnie koło jedenastej wieczorem.

- Daj mi spokój! - wołam i zerkam na niego przez wizjer. Widzę, że moje słowa go rozbawiają. Przysuwa się bliżej, mówi cicho:

- Basiu, otwórz.

- Nie mam zamiaru! Idź sobie!

Wiem, że nie chce mówić głośno, bo się boi, że Iwona go usłyszy. Powiedział mi ostatnio, że Iwona działa na niego jak płachta na byka i że to ostatnia osoba, z jaką chciałby spędzać czas.

Przez wizjer widzę, jak ogląda się na jej drzwi, wzdycha i powtarza równie cicho jak przed chwilą:

- Basiu, porozmawiajmy. Mściwie wołam:

- Nie słyszę, co mówisz!

Widzę, że zaczyna się śmiać. Opiera się o ścianę przy drzwiach i szepcze:

- Mam coś dla ciebie.

- Nic nie chcę!

- Mam czekoladki.

Mimo woli zaczynam się uśmiechać. Przytykam mocniej oko do wizjera, odpowiadam:

- Nie wierzę ci. Pokaż.

Więc wysuwa w stronę wizjera jakieś pudełko:

- Twoje ulubione, z orzechami i karmelem!

Ja też się śmieję, powoli otwieram zasuwę i rozchyłam drzwi na tyle, byśmy mogli się zobaczyć.

- Z karmelem? - upewniam się.

Przytakuje i podaje mi pudełko. Obracam je w palcach, unoszę brwi i otwieram szerzej drzwi.

- Skoro tak...

Sebastian wchodzi, zamyka drzwi za sobą i opiera się o nie.

- Porozmawiamy? Kręcę głową.

- Ty będziesz mówił, a ja będę jeść czekoladki. Teraz on kręci głową.

- Nie. Porozmawiamy poważnie.

Wiem, że on sam nie mówi tego poważnie, bo tematu o nas unika jak ognia. Nie sądzę więc, by teraz chciał mi nagle powiedzieć cokolwiek w tej kwestii.

Rozpakowuję czekoladki, ale zabiera mi je i rzuca na cokół. Odpędza też Kapcia, który już łasi się radośnie do jego nóg.

- Więc ty zacznij - proponuję, a on zastanawia się chwilę, potem pyta bez sensu:

- Ja mam zacząć? -Tak.

Przyciąga mnie więc za włosy do siebie i całuje tak, że aż miękną mi nogi. I wcale już mnie nie obchodzi żadna rozmowa, już nie chcę o niczym mówić. Zrzucam z siebie szlafrok, Sebastian zsuwa mi ramiączka koszuli i przypiera do ściany.

-Jutro... - proponuje, kiedy zdejmuję z niego podkoszulek. - Jutro porozmawiamy, dobrze?

Patryk dzwoni, by powiedzieć, że przedłuży pobyt i wróci dopiero za tydzień. Z trudem kryję radość i podniecenie. Tydzień bez Patryka oznacza tydzień dłużej z Sebastianem!

Zaczynamy planować tysiące rzeczy na ten tydzień. Teraz też jakoś więcej i normalniej mówimy o Ninie i o Patryku. Tak jakby nasze grzeszne zachowanie strywalizowało się i jakby puściły pewne tamy.

Sebastian opowiada mi, jak poznał Ninę. To było we Wrocławiu na wernisażu. Zobaczył ją rozmawiającą ze znajomymi i nie mógł oderwać od niej oczu. Po wernisażu zaproponował jej spacer.

Dowiaduję się z tej opowieści, że Nina do zbyt trudnych dziewczyn nie należy. Spacer skończył się seksem w jej samochodzie. Jeszcze tej samej nocy poszli też do niego i Nina zdecydowała się tam wprowadzić.

- Rano pojechaliśmy po jej rzeczy. Wprowadziła się do mnie i tak już zostało.

W całym tym opowiadaniu niepokoi mnie to, że Sebastian bardzo dokładnie pamięta, co Nina miała na sobie, kiedy widział ją po raz pierwszy. Pamięta też jej słowa kierowane do niego.

Podchwytliwie pytam, jak ja byłam ubrana, kiedy widział mnie po raz pierwszy. Szuka w pamięci, ale nie znajduje.

- Ale na pewno ładnie... - mówi przepraszająco.

Ja opowiadam mu w rewanżu o Patryku. O tym, jak poderwał mnie, kiedy latem na stacji benzynowej myłam szyby samochodów, żeby sobie dorobić. Umyłam mu szybę, a on dał mi swój telefon.

Oczywiście nie zadzwoniłam, więc przyjechał znowu. Wtedy zgodziłam się z nim umówić.

Głupio mi, że w mojej historii nie ma niczego tak romantycznego jak w jego opowiadaniu o Ninie. Nie mogę też powiedzieć, że znałam Patryka dwa dni, kiedy postanowiłam przeprowadzić się do Warszawy. Przemilczam fakt, że Patryk starał się o mnie ponad rok, nim przyjechałam tutaj.

Robiąc kolację dla mnie, Sebastian opowiada mi, co jest nie tak z Niną.

- Ciągłe się odchudza - tłumaczy, stojąc tyłem i mieszając coś na patelni. - Jest taka chuda, że nie wiem, z czego jeszcze chce się odchudzić, ale ona uważa, że ma wiele miejsc zbyt grubych. Wkurza mnie, kiedy staje przed lustrem i mówi, że wygląda w czymś strasznie grubo. Wnerwia mnie też, że nic nie je mimo moich próśb... -

Urywa i podejmuje dopiero po chwili: - Wszyscy w tej cholernej kamienicy myślą, że robię jej coś złego. Iwona kiedyś powiedziała mi, że chyba mam nasrane pod sufitem, żeby bić swoją dziewczynę...

- Przyjeżdżało tu po nią pogotowie - przypominam mu.

- Tak, wiem. Zawsze tak jest. Gdziekolwiek pojedziemy, to prędzej czy później tak się dzieje...

- To przez odchudzanie? Słabnie i potrzebuje lekarzy? Sebastian kroi cebulę, kiedy więc odwraca się do mnie, ma zaczerwienione spojówki.

- W sumie tak, ale nie do końca. Raz tak było, że musiałem wezwać pogotowie, bo zemdląła z głodu. Ale ona potem martwi się tym, zaczyna jeść i wszystko wraca do normy na jakiś czas.

- Więc? - nie daję za wygraną.

- Nina jest strasznie nerwowa. Czasami wpada w straszną wściekłość i robi głupie rzeczy. Szczególnie kiedy wmówi sobie, że coś z nami jest nie tak. Robi się z niej wtedy prawdziwa jędza. Raz pocięła sobie ręce rozbitą filiżanką...

Przyglądam się mu w milczeniu. Teraz rozumiem tamte awantury, które tak drażniły Patryka, że wezwał policję. Nina była zazdrosna o mnie. Chorobliwie.

- Kiedy się domyśliła? - pytam rzeczowo.

Sebastian wraca do krojenia cebuli, kurwuje na nią przez chwilę, w końcu odpowiada:

- Chyba po tym, jak przyszedł do mnie po kompakt z Petersonem.

Tydzień powoli się kończy. Jeździmy trochę po Polsce jeepem Niny, w Warszawie chodzimy razem na zakupy, w kinie oglądamy jakiś potworny, ciężki film, który przygnębia nas na cały wieczór.

Im bliżej końca tygodnia, tym robię się bardziej nerwowa. Nie wiem, dlaczego on nie porusza tego tematu. Nie wiem, czy nie martwi się tak samo, jak ja. Przecież to oczywiste, że nie mogę dalej nie wiedzieć, na czym stoję. Przecież nie będę okłamywać Patryka, kiedy wróci, i mieszkać u niego dalej. To oczywiste, że muszę się z nim rozstać, ale przecież to oznacza też wyprowadzenie się stąd!

Trochę przeraża mnie myśl, że jeśli zostanę z Sebastianem, to wciąż będę mieszkać w tej samej klatce co Patryk. Jezuuu, nie mogę nawet myśleć, że moglibyśmy mijać się na schodach albo wpadać na siebie!

Postanawiam, że jeśli Sebastian zaproponuje mi wspólne mieszkanie, poszukamy czegoś nowego, w innej dzielnicy. Może nawet w innym mieście.

Na dwa dni przed powrotem Patryka Sebastian odbiera wcześniej rano telefon od Niny. Od razu wiem, że to od niej, bo wstaje z łóżka i wychodzi z pokoju, żeby rozmawiać.

Ze mnie momentalnie spływa cała senność. Sięgam po paczkę papierosów, zapalam jednego, a potem nastawiam uszy jak radary. Nic jednak nie słyszę, bo Sebastian, kiedy ma poważną rozmowę, zawsze rozmawia tak cicho, że z drugiego pokoju za cholerę go nie usłyszę.

Nie wiem też, czy już skończył rozmawiać. Lampka w telefonie pali się na czerwono, więc wygląda, że odłożył słuchawkę. Nie wchodzi jednak do pokoju i nie wyjaśnia mi niczego. Mija kilka długich chwil - palę i nasłuchuję. Słyszę jakieś szelesty, przekładanie czegoś, odgłos kroków i znowu szelesty.

Idę do niego zdziwiona, owijając się w szlafrok. Kiedy wchodzi do dużego pokoju, Sebastian zbiera z podłogi jakieś swoje rzeczy i upycha je w torbę podróżną.

Stoję jak wmurowana. Papieros parzy mnie w palce i dopiero wtedy uświadamiam sobie, ile czasu już tak stoję. Pospiesznie gaszę go. Pytam:

- Co ty robisz? Odwraca się do mnie.

- Muszę wyjechać.

Mam ochotę się roześmiać. Zamiast tego mówię spokojnie:

- Po co ci aż tyle kłopotów? To długa podróż?

Nie odpowiada, tylko rozgląda się po pokoju w poszukiwaniu kolejnych rzeczy.

Czuję, że zaczyna mi się kręcić w głowie; niepewnie opieram się o ścianę.

- Co ty robisz? - powtarzam głośniejszym głosem. - Gdzie jedziesz? Patrzy na mnie, trochę zmieszany.

- Przepraszam cię, Basiu. Muszę wyjechać na jakiś czas.

- Na jaki czas?

- Na jakiś - odpowiada po chwili namysłu. - Nie wiem, na jaki.

- Gdzie?

Mierzymy się spojrzeniami i właściwie Sebastian mógłby już nic nie mówić. Robi mi się niedobrze.

- Jedziesz do Portugalii? Zadzwoń i leć do niej? W jego głosie wyczuwam złość, kiedy mówi:

- To nie twoja sprawa.

- Nie moja sprawa?! - Teraz podnoszę głos. - Posłuchaj sam siebie! Jak to nie moja sprawa?!

- Niny tata zmarł. Muszę do niej pojechać.

- Bo zmarł jej tata? - Nie mogę w to uwierzyć; podejrzewam, że Sebastian kłamie.

Nieraz przyłapałam go na kłamstwie, więc nie byłoby to dla mnie wielkim zaskoczeniem.

Ale jest. I czuję, że trafia mnie szlag.

- Odwaliło ci?! Co ty robisz?!

Dopiero kiedy to krzyczę, widzę, jaki on jest wściekły. Wrzuca do torby pudełko z farbami.

- Nie masz prawa mnie oceniać! Co ty w ogóle o mnie wiesz?! Myślisz, że kilka dni wystarczy, żeby cokolwiek zrozumieć!

- Tobie i Ninie starczyło! - odgryzam się, pamiętając jego opowieść, że po jednym wieczorze zdecydowali się razem zamieszkać.

Sebastian odgarnia włosy z twarzy, ścisza głos.

- Zmarł jej tata, potrzebuje mnie, jest załamana. Muszę pojechać do niej i pomóc jej!
Zaczynam się śmiać ze złości i z bezsilności.

- Posłuchaj, co ty w ogóle pieprzysz! - Rozkładałam ręce na boki dla podkreślenia własnej bezradności i absurdu, w jaki oboje się zagłębiamy. - Zadzwoń do ciebie i rzucasz wszystko, żeby jej pomóc?!

Marszczy brwi, patrząc na mnie. Dodaję więc:

- A co ze mną? Tym się nie martwisz?

Wtedy odwraca ode mnie wzrok i podchodzi do okna.

- O co ci dokładnie chodzi? - pyta. Jestem taka zła, że mnie o to pyta.

- Więc mnie tylko pieprzysz, a ją kochasz? - pytam złym głosem.

Sebastian odwraca się do mnie, patrzy z niedowierzaniem.

- Ej, nic sobie nie obiecywaliśmy. Przystopuj!

Krew napływa mi do policzków i zaognia je. Powtarzam za nim:

- Nic sobie nie obiecywaliśmy?

- Bądź uczciwa, niczego ci nie obiecywałem. Ty mi zresztą też!

Znowu zaczynam się śmiać, a potem ogarnia mnie taka złość, że podbiegam do niego i zaczynam okładać go na oślep pięściami. Wrzeszczę przy tym same najgorsze rzeczy. Wyzywam go od skurwieli, od drani i od świń. Wrzeszczę i nagle mam w sobie tyle energii i złości, że chyba rozszarpałabym go na strzępy.

Niestety, Sebastian jest dużo silniejszy ode mnie i po chwili szamotania udaje mu się wykręcić mi ręce do tyłu.

Krzyczę więc do niego w bezsilnej złości:

- Jak mogłeś?! Miałam być tu tylko rozrywką? Tak właśnie radzisz sobie z życiem, kiedy ona wyjeżdża?! Taki macie układ?! Ona pieprzy się z Portugalczykami, a ty ze mną?!

Wiem, że moje krzyki słyhać na całej klatce schodowej i w całym pionie i niemal widzę Iwonę przycupniętą na balkonie i nadstawiającą uszy. Podświadomie czekam, aż ktoś wezwie policję, jak Patryk kiedyś. I myślę sobie, że wcale się Ninie nie dziwię, że przy Sebastianie dostaje furii. Każda by dostała. Zresztą pewnie jej odchudzenie wynika z tego, że chce się mu podobać i ta chęć urasta do chorobliwych rozmiarów. Pewnie nie może znieść myśli, że drań

zdradza ją na prawo i na lewo. Sądzi, że jak będzie chudsza i ładniejsza, to przestanie ją zdradzać.

- Nienawidzę cię! Nienawidzę! - wrzeszczę, a Sebastian trzyma mnie przy sobie mocno, żebym znowu się na niego nie rzuciła. Próbuje też mnie uspokoić.

- Przestań, porozmawiajmy jak ludzie. Nie zachowuj się tak...

- Jacy ludzie?! - wrzeszczę jeszcze głośniej. - Ty człowieka przypominasz tylko z gadki i z wyglądu! Ty nie masz nawet serca, bezduszny gnoju!

W pewnym momencie uświadamiam sobie, że Sebastian się śmieje, i to całkiem szczerze. Może rozbawiły go moje niewyszukane obelgi, a może to jego zwykła reakcja na nerwy. Nie wiem, ale jego śmiech sprawia, że wszystko gotuje się we mnie. Tak się wściekam, że udaje mi się wyrwać i kiedy już mam wolne ręce, uderzam go otwartą dłońią w twarz.

Potem wybiegam z jego mieszkania, nawet nie wołając Kapcia za sobą i nie szukając swoich ubrań. Biegnę po schodach w rozchełstany szlafroku, mijam Iwonę stojącą w drzwiach mieszkania i bez słowa wpadam do siebie.

Kompletnie nie wiem, co robić. Szlag mnie trafia. Chodzę od ściany do ściany, a mój gniew wcale nie opada, tylko narasta i przeradza się w rozpacz. Nie mogę tu wytrzymać, więc znowu wychodzę na klatkę schodową i jadę windą na ostatnie piętro. Wspinam się po drabinie na dach, opieram o komin i patrzę na dzielnicę rozciągającą się na dole.

Widok miasta nareszcie przynosi mi ulgę. Uspakajam się. Siadam na krawędzi, opuszczam nogi i oddycham ciężko. Staram się poukładać to wszystko w głowie. Kocha ją, przekłety głupiec! - myślę z narastającym niedowierzaniem. A Nina o tym wie, dlatego z taką łatwością wyjeżdża na pół roku do Portugalii. Wie, że jeśli zadzwoni do niego, on przyjedzie na każde jej skinienie choćby do Nowej Zelandii! - Kurwa mać! - syczę i kręcę głową z rozgoryczeniem. Że też wcześniej na to nie wpadłam. Przecież było tyle symptomów! Jego błyszczące oczy, kiedy dzwoniła, to, że gdy była w pobliżu, olewał mnie i zajmował się tylko nią! Nie wiem, jak mogłam być taka głupia i naiwna. Ale teraz już na pewno nie będę!

Sebastian przychodzi za mną na dach i siada obok. Siada nawet dość blisko mnie, jakby zapomniał już, że jestem nieprzewidywalna i jeśli powie coś nie po mojej myśli, mogę próbować go zrzucić.

Podaje mi papierosy i zapalniczkę. Dobrze, że to robi, bo mam straszną ochotę zapalić. Zapalam sobie papierosa i zaciągam się z ulgą. W milczeniu patrzymy na ulicę pod nami i ludzi, którzy z tej wysokości wyglądają śmiesznie.

- Pięknie mnie załatwiłeś - mówię lodowato. Moja złość opadła już na tyle, że mogę nawet na niego spojrzeć. Pali papierosa, wiatr rozwiewa mu kasztanowe włosy, słońce oświetla jego rude piegi.

Odwracam wzrok i patrzę na ludzi w dole. Na pierwszym piętrze kamienicy jakaś dziewczyna opala się bez stroju kąpielowego.

- Widzisz to? - pytam wbrew sobie, z niedowierzaniem. Sebastian przytakuje, ręką uzbrojoną w papierosa wskazuje na park za kamienicą: -Zobacz tam...

W parku jakaś para wchodzi razem w krzaki, całując się.

- To obrzydliwe! - odwracam wzrok. Sebastian spogląda na mnie łagodnie.

-Wiem, że to niewiele pomoże, ale przepraszam cię za to wszystko.

Wzruszam ramionami.

- Twoja strata. Ja po prostu... - waham się i szukam odpowiednich słów - ja po prostu nie sądziłam, że jesteś takim głupcem!

Czuję jego dłoń na mojej.

- Nie mów tak. Kręcę głową.

- Ale tak jest. Jesteś głupi, skoro do niej jedziesz. Gdzie? Do Portugalii?

Puszczam moje obelgi mimo uszu.

- Do Paryża. Zaciągam się papierosem.

- Więc jedź, skoro to takie ważne dla ciebie.

Czuję, że patrzy na mnie, mam też wrażenie, że nabiera powietrza, jakby chciał coś powiedzieć.

- Nie szukaj żadnych pięknych słów, Sebastian - odzywam się szybko. - I nic mi nie tłumacz. Nie jestem już głupia. Nie ma nic, co chcę wiedzieć. I nic, co możesz mi teraz gadać.

Wiem, że uszanuje moją decyzję, bo tak naprawdę to pewnie nie jest dobry w pozyskiwaniu sobie na nowo odtraconych przez siebie dziewczyn. Wstaje więc i otrzepuje swoje sprane dżinsy.

Potem przytula mnie do siebie jeszcze na chwilę i całuje we włosy. I dopiero wtedy odchodzi.

Aneta

W ostatnim miesiącu należy zrobić generalną przymiarkę strojów ślubnych - już Z próbną fryzurą i makijażem. Skompletować walizkę, którą zabierzemy ze sobą w podróż- Przygotować dokumenty i obrączki. Spakować kosmetyczkę Panny Młodej (zapasowe rajstopy, kosmetyki, proszek od bólu głowy, chusteczka, perfumy). Być dobrej myśli!

Jestem już panią magister sztuki i okrutnie się z tego cieszę! Marek twierdzi złośliwie, że magistrami sztuki są też aktorzy po wyższej szkole aktorskiej i że w sumie to mogę udawać, że kończyłam właśnie filmówkę, a nie ASP. Och, ja tam po prostu się cieszę, że mam to wszystko już za sobą!

Nina odezwała się bardzo enigmatycznym sms-em, że jest w Paryżu i że postara się zdążyć na czas.

- Postara się? - spytała moja mama z niedowierzaniem.

- Będzie na czas - odpowiedziałam obronnie, kierując się resztkami przyjaznych uczuć do Niny. Tak naprawdę to nie mieściło mi się w głowie i dalej nie mieści, że Nina jest w Paryżu i że wycięła mi taki numer.

- Co ona tam robi, do jasnej cholery?! - wściekam się przez telefon do Basi, bo wiem, że Basia ostatnia z nas miała kontakt z Niną, więc może coś wie na ten temat. Niestety, Basia rozczarowuje mnie srodze. Warczy, jakbym zrobiła jej jakąś straszną krzywdę!

- Czego ty ode mnie chcesz?! - pyta wcale nie przyjemnie. - Myślisz, że mam z nią jakiś kontakt i wiem, co robi? Nic mnie to nie obchodzi!

Nie rozumiem, dlaczego Basia reaguje tak dziwnie i zaczynam się zastanawiać, czy nie zrobiłam jej faktycznie czegoś podłego.

A może powiedziałam o niej coś, dziewczyny jej doniosły i dlatego jest na mnie taka wściekła?

- Ojciec jej zmarł - mówi mi na sam koniec rozmowy, już spokojniej. - I załamała się, bidulka.

W ostatnich słowach brzmi jakaś straszna gorycz, aż mnie ciarki przechodzą! Postanawiam pospiesznie zmienić temat i chociaż jestem kompletnie rozbita tą wiadomością, bąkam:

- Będziesz siedzieć na weselu obok Sebastiana... Wiesz, chcę zrobić taką przeplatankę, chłopak, dziewczyna, chłopak, dziewczyna... A obok Patryka będzie siedzieć Magda. A naprzeciwno, myślałam, żeby siedziała Asia z Karolem, to będziecie swobodnie sobie rozmawiać...

W słuchawce zapada cisza. Basia odzywa się dopiero po chwili:

- Posadź mnie inaczej.

- Inaczej? - pytam wstrząśnięta, bo przecież rozplanowywałam ten układ kilka dni i nie chce mi się spędzić nad nim kolejnych!

- I chyba będę sama - dorzuca Basia, a mnie włosy jeżą się na głowie, bo przecież już nieodwołalnie opłaciłam jej partnera. Słyszę, jak dodaje: - Jak sama stara panna...

Rzuć mi chociaż celnie welon, co?

Niny tata nie żyje, więc dzwonię do niej, zdenerwowana. Nikt jednak nie odbiera. Już rozumiem, dlaczego Nina nie odpisuje na moje mejle. Nie wiem, ile czasu jej tata umierał i na co, ale w tej sytuacji ja też nie miałabym głowy do mejli i telefonów.

Strasznie mi głupio, że złorzeczyłam na nią, a ona przeżywała taki dramat. Biedna Nina, myślę z rozpaczą i powtarzam to wielokrotnie, żeby zmniejszyło swoje znaczenie i nie przejmowało mnie aż taką grozą.

Żal mi jej taty, bo Nina pod koniec naszej podróży wiele mi o nim opowiadała. Z jej opowieści wynikało, że był bardzo dobrym człowiekiem. Pracował ciężko przy kładzeniu kostki brukowej w Paryżu i ponoć dzięki tej pracy wybrukował całkiem sporo paryskich uliczek. Nina śmiała się, że jak już będziemy na miejscu, to możemy obejść te wszystkie ulice, które są jego dziełem.

„Pomyśl, będziemy chodzić po jego rękodziele” - mówiła, rozbawiona.

Im bliżej byliśmy Paryża, tym więcej mi opowiadała o swojej rodzinie. To były ładne historie, bardzo lubiłam, kiedy je rozwijała. Mówiła, że jej mama jest blondynką i ma bardzo duże orzechowe oczy. Wcześniej nikt nie mówił przy mnie „orzechowe” w kontekście koloru, więc długą chwilę zajęło mi zastanawianie się, jakiego koloru są właściwie oczy jej mamy.

- Są podobne do włosów Sebastiana - wyjaśniła. - Kiedy mama patrzy w słońce, to robią się rude. A kiedy patrzy na ziemię, masz wrażenie, że stają się ciemne, niemal brązowe.

Nie za bardzo pamiętałam włosy Sebastiana. Coś mi się mgliście przypominało, że chyba były właśnie rudawe, ale nie miałam pewności, bo Sebastian zawsze, jak go widziałam, miał jakieś nakrycie głowy: albo chustę, albo czapkę. Wyobraziłam sobie jednak jej mamę jako kobietę podobną do Niny: z długimi nogami, bardzo szczupłą, z tymi orzechowymi oczami i jasnymi włosami, które podobno zaczesywała w kok.

- Tata zakochał się w niej, kiedy sprzedawała w sklepie - opowiadała mi Nina z pogodnym uśmiechem na ustach. - Powiedział, żeby wybrała mu najładniejsze jabłko z kosza i kiedy ona faktycznie zaczęła szukać, zakochał się w niej!

Wyobrazisz sobie? Taka miłość od pierwszego wejrzenia!

W Niny świecie wszystko było niezwykle romantyczne, więc nie zdziwiła mnie ta historia. Tak samo jak jej opowieści o Paryżu, które starałam się przesiać przez sito. Przyzwyczaiałam się już, że Nina wiele zwykłych spraw ubarwia i nadaje im urok, którego nie mają w rzeczywistości.

Podczas naszej wyprawy Marek dzwonił do mnie wielokrotnie i strasznie się zdenerwował, kiedy powiedziałam mu, że jadę stopem do Paryża. Zamilkł na długą chwilę i nie umiał wykrztusić żadnego słowa. Dopiero potem spytał, czyj to był pomysł.

- Niny - odpowiedziałam zgodnie z prawdą, a on powiedział tylko, że mam na siebie bardzo uważać, o ile to możliwe, skoro wybrałam tak przyjazny dla przygód środek transportu.

Nina nie miała telefonów od Sebastiana, ale sama do niego czasami dzwoniła z różnych budek telefonicznych. Wychodziła potem zdenerwowana, zaczerwieniona na twarzy i nerwowo zapalała papierosa.

- On jest z kimś, wiem to - mówiła ze złością, a ja przyglądałam się jej z niedowierzaniem, bo Sebastian nie wyglądał mi nigdy na faceta, który może zdradzać swoją kobietę. Zresztą po co miałby to robić, skoro był z Niną? Kiedy Nina nie była już zła i zapomniała o swoich bezpodstawnych podejrzeniach, podejmowała opowieści o swojej rodzinie. Nie starała się ich wplątywać w żaden kontekst historyczny i może dlatego jej opowieści wydawały mi się tak strasznie nierealne, jakby zawieszała je w powietrzu gdzieś ponad nami. Zresztą wynikało z nich, że jej rodzice są najcudowniejszymi rodzicami na świecie, a to kłóciło się ostro z faktami.

Fakty były takie, że Nina nie wysyłała im żadnych kartek na święta, nie dzwoniła do nich, podjęła studia w Polsce i jeśli planowała wyjazd zagraniczny, najczęściej jej plany nie obejmowały Paryża.

- Jacy oni są naprawdę? - zapytałam ją kiedyś. Odwróciła do mnie twarz, strasznie zaskoczona i wzburzona.

- Słucham?

Machnęłam lekceważąco ręką i odpowiedziałam szybko:

- Tak sobie gadam, dajmy temu spokój. Ale ona nie chciała dać temu spokoju.

- Możesz mi to wyjaśnić? Co masz na myśli? Sądzisz, że kłamię?

- Nie, wcale tak nie myślę... Po prostu to wszystko jest dziwne.

- Co jest dziwne?

Znałam już sposoby, którymi mogłam ją ułagodzić, kiedy zaczynała się denerwować i wtedy wykorzystywałam taki właśnie sposób:

- Dajmy temu spokój, jutro będziemy w Paryżu...

Ale ona nie zareagowała tak, jak bym chciała. Kiwnęła tylko głową, jakby chciała zbyć tę uwagę, i zamyśliła się.

- W Paryżu... - mruknęła na koniec z kpina. - Jasne. Będziemy.

Do ślubu zostały tylko dwa dni. Pakuję ślubną kosmetyczkę i po trzysta razy zaglądam do niej, by upewnić się, że wszystko wzięłam. Jestem strasznie zdenerwowana i dobrze wiem, że dzisiaj nie zasnę.

- Przestań się denerwować - poradziła mi Magda przez telefon.

Magdzie łatwo mówić, bo to nie ona wychodzi za mąż, nie jej świadek utknął w Paryżu, nie dając znaku życia, i nie jej suknia trzaska w szwach!

Nie wiem, co powinno się robić na dzień przed ślubem. Nigdzie nie ma takiej informacji, a przecież to chyba najważniejsze! Przeglądam wszystkie poradniki, które pożyczyła mi moja kosmetyczka i czytam, co powinnam robić na dwa miesiące przed ślubem, na trzy dni przed ślubem, ale nie mogę znaleźć żadnej informacji, co na dzień przed!

Jest mi niedobrze ze strachu. Przez ostatnie dni utylam jeszcze dwa kilo i suknia za ładnie na mnie nie leży. Wolę nie myśleć, że mi fiszbin trzeszczy dziwnie i że może pęknąć.

- Wszystko będzie dobrze... - powtarzam w myślach. - Będzie dobrze...

Patrzę na mój pokój tonący w ciemnościach, patrzę na moje łóżko i boję się jak wszyscy diabli.

Pod wieczór listonosz przynosi mi paczkę, która jechała tu aż z Paryża.

- Ojjoj! - mówię na głos, odbierając ją od niego i podpisując. Paczka jest ciężka jak jasna cholera, ledwie daję radę donieść ją

do stołu i położyć. Nie wiem, co Nina tam napchała, ale ogarnia mnie przerażenie na myśl, że może zrobiła mi jakąś rzeźbę, a ja chyba nie za bardzo lubię jej rzeźby.

W swoim życiu dostałam już wiele prezentów od Niny i wszystkie były trafione jak kulą w płot. Jeden prezent jej się udał, ale chyba tylko dlatego, że był to obraz, w dodatku malowany raczej przez Sebastiana niż przez nią i może dlatego w ogóle przypadł mi do gustu. Nigdy nie lubiłam malarstwa Niny i jej dziwnych, przytłaczających rzeźb.

Otwierając paczkę, czuję smutek, bo już teraz wiem na pewno, że Nina nie przyjedzie. To dlatego nie wręczyła mi tego prezentu sama. Szkoda tylko, że wiedziała o tym, że jej nie będzie, już kilka dni temu, skoro nadała paczkę, a mnie o tym nie poinformowała!

W środku nie ma żadnej rzeźby, chociaż jej prezent w dużej mierze rzeźbę przypomina. Jest to ogromny album, którego okładka łączy w sobie brąz i fragmenty witrażowe.

Nigdy w życiu jeszcze czegoś takiego nie widziałam, ale jest naprawdę piękny. I niewątpliwie zrobiła go Nina.

W jego wnętrzu znajduje się cała historia naszej znajomości. Nina powklejała i poopisywała zdjęcia, wyrysowując przy nich piękne secesyjne linie i kwiaty. Tam, gdzie zabrakło zdjęć, dorysowała kwatery komiksu przedstawiającego różne sytuacje ze mną i z nią w roli głównej.

Oglądam duże, sztywne kartki w zdumieniu - ile czasu Nina musiała to robić i jak wiele włożyła w to staranie! Patrząc na nas i na plenery wokół nas: morze, kluby, szerokie ulice, chodniki, parki, uczelnia. W albumie znajdują się wydrukowane piękną czcionką i rozpisane nasze listy, zarówno te mejlowe, jak i te pisane ręcznie. Wpisała też kilka sms-ów.

Cofam się do poprzednich stron i wcale mnie nie dziwi, że Nina pominęła ważny aspekt naszej historii.

Brakuje tu kartek o naszej podróży do Paryża.

Gaszę światło. Rodzice już dawno śpią, a ja nie mogę zasnąć. Wciąż myślę, czy wszystko przygotowałam, przeliczam gości, miejsca siedzące, rozpisuję, co w jakiej kolejności mam jutro zrobić. Jestem zdenerwowana i strasznie głośno bije mi serce. Leżę w ciemnościach i czuję, że chyba w ogóle nie zasnę.

Myślę też o albumie od Niny. Wiem, dlaczego brakuje w niej stron z naszej podróży. Nina wyrzuciła je, bo wstydzi się za to wszystko, co zdarzyło się potem.

Jest jej głupio, że przed samym Paryżem, kiedy w strugach deszczu czekałyśmy na ostatniego naszego stopa, który miał zawieźć nas do centrum miasta, wpadła w panikę i zaczęła błagać mnie, żebyśmy zawróciły.

Pamiętam rozpacz w jej głosie, panikę w oczach i te strugi deszczu, które spływały po jej twarzy, rozmazując makijaż i kamuflując łzy.

- Zawróćmy! - błagała, wiedząc dobrze, jakie to idiotyczne i jak powinnam zareagować.

Byłam wtedy taka wściekła na nią. Stałam na szerokiej asfaltowej drodze, brudna i wykończona tyłoma dniami podróży, widziałam na horyzoncie Paryż i po prostu ogarniała mnie czarna rozpacz na myśl, że mam teraz zawrócić.

- Och, ty oszalałaś! - krzyczałam do niej wściekle, płacząc ze złości na nią. - Jedziemy tu tyle dni, a ty teraz chcesz zawrócić?! Co się stało, do cholery?! Nina płakała rozpaczliwie i wydawała mi się taka nieszczęśliwa i zrozpaczona, ale we mnie tylko narastała straszna złość. Zaczęłam wykorzystywać jej słowa przeciwko niej. Przypominałam jej, co sama mówiła o Paryżu i krzyczałam podle, że nie może teraz się wycofać.

- Jak mogłam w ogóle cię słuchać! - zakończyłam - Jak mogłam ruszyć z tobą w tę cholerną podróż?!

Odwróciłam się od niej; czułam, jak deszcz moczy moje ubranie. Spod kół samochodów bryzgało na nas błoto - miałam je teraz nawet na włosach.

Nina stała gdzieś za moimi plecami i płakała rozpaczliwie. Potem poczułam, jak dotyka mnie i usłyszałam jej szept:

- Nie mogę tam jechać... przepraszam cię, ale nie mogę...

To chyba wtedy dowiedziałam się, że uciekła z domu, kiedy miała szesnaście lat, po tym, jak Mounde ją rzucił. I że od tamtej pory nie rozmawiała z rodzicami i nawet nie wie, jak teraz żyją.

Zapewniała mnie, że dzwoniła do nich kilka razy i słuchała, jak pytają nerwowo „halo?” ale sama się nie ujawniała. Dzwoniła, bo chciała wiedzieć, czy żyją.

- Pomóż mi... - poprosiła, łapiąc mnie za rękę. - Zawróćmy... proszę...

Paryż miałam w zasięgu wzroku i nawet pomyślałam, że pojedę tam bez niej. Zaraz też jednak rozplecił się we mnie strach, że sama mam wsiadać do łapanych samochodów i co gorsza, sama potem wracać całą tą długą trasą do Polski.

-Jak mogłaś mi to zrobić?! - zawołałam do niej ze łzami w oczach, a ona tylko zakryła twarz rękami i płakała.

Z rana wszystko nabiera jakiegoś straszliwego tempa, jakbym oglądała film na przyspieszonym podglądzie. Moja mama biegnie po mieszkaniu z lokówkami na głowie, ja pędzę do fryzjera, a tu się okazuje, że fryzjer w nocy został zalany i nie działają mu suszarki. Pędzę więc z powrotem do domu i dzwonię do Magdy.

Magda przyjeżdża taksówką, nie wiem dlaczego z Joasią. Robi mi fryzurę, Joasia w tym czasie maluje mi paznokcie w rozmaite

białe wzorki. Pomagają mi włożyć buty. Mama zmusza mnie do zjedzenia śniadania, Marek dzwoni, by powiedzieć, że gdzieś mu zginął krawat i pyta, czy może być bez krawatu.

- Jak to ci zginął? - Zaczynam się denerwować. - Przecież mieszkasz sam!

- No właśnie! - Marek jest załamany. Joasia proponuje, że pojedzie postawić go na nogi, ale Marek na szczęście pół godziny później dzwoni, że wszystko już w porządku, krawat jest i żeby Joasia w ogóle się u niego nie pokazywała teraz. Zjadam śniadanie. Kątem oka widzę mamę latającą z papilotami na głowie i tatę z maszynką do golenia. Przybywa babcia, chociaż miała być dopiero w kościele. Za babcią nadciąga rodzina z Gniezna, która - jak się okazało - przyjechała wcześniej pociągiem. Robi się tłum ludzi, rozgardiasz, wszędzie walają się czyjeś rzeczy, wszyscy udzielają rad i jednocześnie opowiadają różne, w ich pojęciu ciekawe historie.

Mama załamana, bo lakier tak usztywnił jej włosy, że nic się nie da z nimi zrobić. Myjemy jej na nowo i w pośpiechu układamy fryzurę.

Na środku dużego pokoju kołysze się przypięty do lampy wieszak. Nie wiem, co tam robi i od czego jest, ale nikt się nim jakoś nie przejmuje.

W korytarzu pojawia się jakiś ponury facet i mówi cicho:

- Przepraszam. Nikt go nie słyszy.

-Przepraszam - zagaduje facet do mnie, gdy pędzę przez przedpokój w samych pończochach i bieliźnie. Nie znam go, to nikt z rodziny, ale jakoś jest mi to obojętne, bo strasznie się zdenerwowałam.

- Jestem kamerzystą - wyjaśnia. - Gdzie mogę się rozlokować? Wskazuję mu kąt i pędzę dalej. Magda pomaga mi założyć suknię.

- Uważaj na sznurówki! - ostrzegam ją.

- Uważam!

Dzwoni Marek i mówi, że jest w kwaciarni, ale nie ma tu mojego bukietu.

- Jak to nie ma? - krzyczę. - To bierz jakikolwiek, wcale nie musi być dopasowany do mojego charakteru!

Marek dzwoni kilka minut później, że bukiet się znalazł, ale wygląda dziwnie. Bukiet faktycznie wygląda dziwnie, kiedy widzę przez okno, jak Marek niesie go z samochodu. Ma ogromne łądygi, które na zdjęciu wcale nie wyglądały tak strasznie. Magda też jest przerażona, ale mówi, że nie mam się co martwić, bo łądygi zawsze można przyciąć.

Przybywają wujkowie z ustrojonym samochodem i od razu psują mi humor. Boże, jak mogli ubrać wóz w dwie ohydne, niemiło-ściwie ustrojone lalki?

- Jakie piękne laleczki! - cieszy się babcia przez okno, a ja mam ochotę kłąć.

Na błogosławieństwie kamerzysta włącza kamerę, więc moi rodzice starają się mówić ładnie i składnie. Ja oczywiście już zaczynam płakać, ale niezawodna Magda wyciera mi ukradkiem oczy, tak że makijaż wcale mi nie spływa.

- Wzięłam wodoodporny tusz... - szepcze.

Cały wieżowiec - wszystkie jedenaście pięter - zaczyna przechylać się w moją stronę, kiedy wychodzę na parking. W szybach widzę rozpląszczone twarze sąsiadów i faktycznie mam wrażenie, że blok zaraz runie.

Kamerzysta woła, że mamy się zatrzymać z Markiem przy samochodzie, bo chciałby nakręcić takie ujęcie. Zatrzymujemy się więc i wiem, jak to wszystko będzie potem idiotycznie wyglądać: my w tych śmiesznych ślubnych strojach, za nami ohydna klatka schodowa, dwie lalki na samochodzie i rozpląszczone twarze w oknach.

Przed kościołem jest już całe mnóstwo gości. Nie spodziewałam się ich aż tylu.

Wszyscy poczytują sobie za obowiązek sfotografować się ze mną, więc cały czas muszę tylko stać i się uśmiechać. Kątem oka widzę, że na niebie zbierają się burzowe chmury. Pięknie! -myślę z niedowierzaniem. Jeszcze tego tylko brakowało, żeby mi deszcz zmoczył fryzurę i kieckę!

Basia i Joasia palą papierosy przed kościołem, osłaniając się od wiatru, który w tym roku jest dziwnie suchy i upalny, jakby przywiewał tu z Afryki. Widzę, że dziewczyny się nieźle odstawiły, Basia włożyła nawet wysokie szpilki. Rozmawiają o czymś zaciekle, paląc papierosy i raz po raz wskazując na mnie rękami.

Widzę Karola, zresztą nietrudno zauważyć te jego barwione na czerwień włosy. Pierwszy raz widzę go w garniturze; chyba nieczęsto chodzi w czymś takim, bo wygląda jakby strasznie był cierpiący z tego powodu. Częstuje się papierosami Joasi, obejmuje ją ramieniem i mówi akurat w momencie, jak wieje wiatr, więc jego słowa zawiewają w moim kierunku. Mówi, że zmieniają z Joasią mieszkanie w Warszawie, bo chcą mieszkać bliżej centrum.

Marek trzyma mnie kurczowo za rękę, ja wodzę spojrzeniem po pędzącej ku mnie Lidce. Widzę, jak Justyna obrabia mnie przed Martą i nawet słyszę strzęp jej słów:

- Mówiłam, że w tej fryzurze będzie jej okropnie...

Nic mnie to nie obchodzi. Oddycham nerwowo, patrząc, jak przy podstawionym autokarze zaczynają gromadzić się wujkowie i ciotki, jak ich liczba narasta, aż wypełnia przestrzeń tak ciasno, jakby przyjechało ich o wiele za dużo.

Magda ma na sobie śliczną seledynową sukienkę, stoi razem z Jackiem obok nas i zapewnia, że wszystko będzie dobrze.

- Wygląda na to, że będziesz moim świadkiem - mówię i śmieję się nerwowo.

- Gdzie jedziecie w podróż? - pyta Jacek Marka.

- Do Turcji.

- Do Turcji?

- Tak, chciałem do Paryża, ale Aneta powiedziała, że to ostatnie miejsce, w którym miałyby stanąć jej stopa, więc jedziemy w poniedziałek do Turcji.

Wymieniam z Magdą spojrzenia. Magda wie o mojej podróży i o tym, jak wracałam z niej w zupełnym milczeniu, wściekła i załamana obrotem sprawy. Wie też, że Nina starała się ze wszystkich sił zrekompensować mi tę podróż, ale wcale jej się to nie udawało. Pyta cicho:

-Przecież chciałaś zobaczyć Paryż... Dlaczego nie pojedziesz tam z Markiem?

Wzruszam ramionami. To ciężko wyjaśnić. Paryż jest romantyczny i szalony. Nie potrafię patrzeć na niego teraz inaczej, niż przez pryzmat tego, co opowiadała mi o nim Nina. I jeśli pojechałabym tam bez niej, ciągle prześladowałoby mnie widmo tego, jak to by było, gdybyśmy jednak wtedy dojechały tam razem. Nina wi-

działa to tak euforycznie, uważała, że przeżyjemy w nim najpiękniejsze chwile.

- Paryż to jej marzenie - odpowiadam po namyśle i nie dopowiadam tego, ale myślę, że to będzie najlepsze wyjście, jeśli rozminę się wreszcie z Niną i zacznę żyć swoim życiem, bez poczucia, że to tylko cień życia, które proponowałyby mi ona.

Do rozpoczęcia mszy pozostało tak mało czasu. Patrę, jak goście wchodzą do środka, słyszę pierwsze dźwięki marsza weselnego i nie chce mi się wierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Ona nie przyjedzie - mówię do Magdy i proponuję, żeby zajęła już miejsce dla świadka. - Nie wiem, może ty masz inne przeczucia, aleja sędzę, że nie przyjedzie. Myślę o tym, że może Nina też zdaje sobie sprawę z tego, że swoimi marzeniami i umiłowaniem wolności psuje mi tu wszystko, bo to, czym ja się otaczam, nosi znamiona rutyny i schematyzmu. Może Nina to wie i dlatego nie przyjechała.

Prezent od niej mogę uznać za pożegnanie. Na ostatniej stronie narysowała mnie w sukni ślubnej, jak rzucam wiązanek w stronę dziewczyn. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że siebie nie narysowała wśród łapiących kwiaty.

Gdzie ty wtedy będziesz? - pytam w myślach i czuję tak wielki żal, że nie umiałabym wyrazić go żadnymi słowami.

Patrę, jak Magda wchodzi do kościoła, by zająć miejsce dla świadka, jak ludzie w ławkach oglądają się na nas. Marek ściska moją dłoń i mówi szeptem:

- Strasznie się boję, a ty?

Ja też się boję, więc unoszę na niego wzrok i odpowiadam cicho:

- Strasznie...

Magda, wchodząc do kościoła, uściśnęła mnie i powiedziała, żebym już nie myślała o Ninie. Więc nie chcę o niej myśleć, nie chcę teraz rozpamiętywać jej twarzy zalanej łzami, moknącej w deszczu i zastanawiać się, jak by to było, gdybyśmy wtedy dotarły do Paryża i gdyby cały tamten tydzień okazał się dokładnie taki, jak w jej opowieściach.

Nie wiem tego i nigdy już się nie dowiem. Trzeba zacząć żyć na nowo, bez obciążeń z przeszłości. Bez strachu, że robię coś, co ona uznałaby za nudne i trywialne. Bez myśli, że można wszystko robić inaczej.

Chcę być właśnie tu, gdzie teraz jestem, na tych schodach prowadzących do kościoła. Chcę widzieć w środku roześmiane twarze przyjaciół, którzy czekają na nasze wejście. Chcę czuć dotyk dłoni Marka na mojej i wiedzieć, że to wszystko jest słuszne.

Czas już odrzucić Paryż i to wszystko, co nie miało nigdy miejsca. Czas wyrzucić z pamięci jej obraz.

W tym obrazie Nina śmieje się, trzymając nad głową chustę. Chusta trzepocze, bo pędzimy samochodem. W pewnym momencie Nina ją puszcza i chusta unosi się w powietrze jak latawiec. Odwracamy się obie i śmiejemy głośno. Nina klęka na siedzeniu, wyciąga ręce w stronę nieba i woła:

- Cholera! Moja najładniejsza chusta!

A potem uśmiecha się szeroko i obserwuje lot chusty po bezchmurnym niebie. Wiatr szarpie nią, rozpościera. Nina wciąż się uśmiecha, szepcze cichutko:

- Jakie to piękne...

- Trzeba wejść - mówi Marek, a ja zaglądam do kościoła i patrzę na zebrany tam tłum.

Tak, trzeba wejść i rozpocząć Wielkie Przedstawienie.

Zaraz rozlegną się pierwsze takty Mendelssohna, potknę się na schodach i już bez przygód dojrniemy aż do ołtarza.

Wiem, że potem dostanę mnóstwo prezentów, że Asia, składając mi życzenia, powie jakieś poetyckie słowa, że Magda będzie bardzo szczerze życzyć mi szczęścia, że Basia po mszy zapali papierosa przed kościołem i pomacha do mnie ręką, że Justyna nie omieszka skomentować mojej sukni, a Marta, zamiast powiedzieć coś do mnie, powie coś o sobie.

Potem pojedziemy taksówką do wynajętej sali i będziemy bawić się do rana. Marek przeniesie mnie przez próg przy oklaskach gości i szepnie, że jestem ciężka jak wszyscy diabli. Ze zdenerwowania nie będę mogła zjeść chleba, którym powitają mnie w lokalu rodzice, jak nakazuje tradycja.

Za to dobrze wyjdzie nam pierwszy taniec.

Ludzie będą się bawić wyśmienicie: wszystkie wężyki, rączki, kuperki i sokoły zostaną zagrane i rozbawią gości do łez. Będziemy tańczyć, pić wino, wódkę i soki. Na stole będą zmieniać się przystawki, owoce i coraz nowsze potrawy. Nikt nie będzie pamiętał, że

kelnerka pomyliła wizytówki i że przy prezydialnym stole wylądowali koledzy Marka, a najdalej od prezydialnego stołu szanowna rodzinka. Nikt w ogóle nie zwróci na to uwagi, bo wszyscy będą jeść, pić i się bawić.

Rzucę wiązanekę prosto w ręce Joasi.

O północy zjemy pyszny, podświetlony tort weselny.

Marek będzie macał nas po nogach z oczami zasłoniętymi chustą i z dziwnym uśmiechem na ustach.

Ja będę panów macać po nosach.

Potem zostaną już same niedobitki: dziewczyny z butami w rękach, chłopcy bez krawatów.

Będziemy żegnać się wśród radosnych okrzyków, ja pójdę z Markiem do pokoju i odpakujemy tysiące prezentów oraz przeliczymy wiele kopert. Na to cieszę się najbardziej.

- Czas na nas... - mówię, kiedy zaczyna się Mendelssohn. Marek kiwa głową:

- Tak, chodź! Wchodzimy.

Gdynia 16.03.2005